MIESIĘCZNIK 2'82

Fantastyka

CENA 50 zł



EUROCON VII/82

PIERWSZY I NIEUSTAJĄCY KONKURS „FANTASTYKI"

Poszukując talentów w tak szerokiej, a specyficznej dziedzinie twórczości, jaką jest science fiction, ogłaszamy nieustający konkurs na

prozę (nowela, powieść) i poezję SF

oraz na

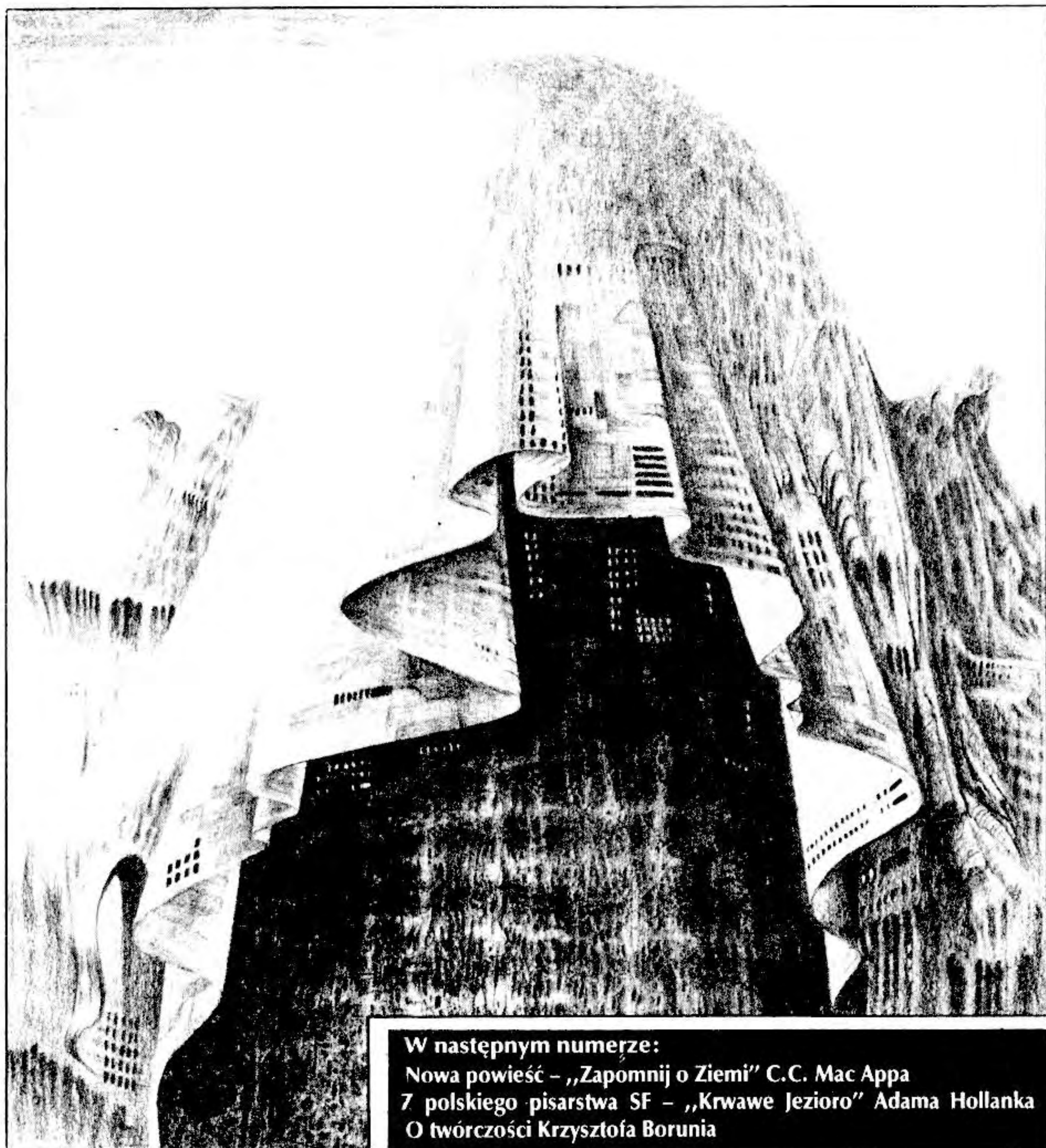
grafikę i malarstwo SF

Utwory mogą przesyłać zarówno osoby zajmujące się zawodowo pisarstwem i plastyką jak i amatorzy – pod adresem naszej redakcji z dopiskiem Konkurs. Utwory nagrodzone drukowane będą w „Fantastyce" i honorowane według przyjętych stawek autorskich, wyróżnieniem zaś będzie otrzymanie do redakcji książek z dziedziny SF oraz wymienienie nazwiska osoby wyróżnionej na łamach pisma.

Zastrzegamy sobie drukowanie utworów nagrodzonych w całości lub we fragmentach. Powinny być oryginalne i nigdzie dotychczas nie publikowane.

Oczekujemy i zapraszamy. Każdy utwór będzie skrupulatnie oceniony przez grono specjalistów.

Redakcja



W następnym numerze:

Nowa powieść – „Zapomnij o Ziemi" C.C. Mac Appa

Z polskiego pisarstwa SF – „Krwawe Jezioro" Adama Hollanka

O twórczości Krzysztofa Borunia



9

Opowiadanie Joan i Vernera Vinge można zaliczyć do gatunku przejściowego – między SF a „fantasy". Bliżej jednak „fantasy". Z żywą akcją w dziwnej, trochę niesamowitej scenerii; z zaskakującą pointą.

...3...2...1...



To już drugi start „Fantastyki". Skończy w czasie tego orbitowania swoją powieść George Martin, rozwinie się równocześnie pełna niespodzianek akcja „Żuka w mrowisku" braci Strugackich. Gościnnymi pilotami nowel w tym miesiącu będą: Isaac Asimov, ze swoją słynną „Fundacją" (a więc wizyta klasyka science fiction na naszych łamach) oraz Joan D. Vinge i Vernor Vinge z „Uczniem domokrążcy". Polscy prozaicy wolą nie zapominać o starej Ziemi i jej obyczajach. Andrzej Ziemiański na przykład prezentuje socjo- czy psychofantastykę, ukazując dramatyczny krąg ludzkich samoograniczeń czy samoudręczeń. Nie bardzo lubię, niezbyt mi się podoba ten typ SF, choć ma już sporo zwolenników. Im dedykujemy nowelę „Zakład zamknięty". Twierdzę jednakże, że sama science fiction nie znosi żadnego zamknięcia, żadnych granic. Świadczył o tym przebieg Euroconu VII. Jest to typowy znak naszych czasów – ogromnego pomieszania zawodowstwa z amatorszczyzną. Ten przedziwny zjazd pisarzy i ich czytelników, malarzy i grafików i ich wielbicieli, ludzi różnego wieku, różnych profesji, różnych poglądów, w którym uczestniczyłem po raz pierwszy, imponuje równocześnie i drażni. Obok dzieł znakomitych twórców pisarzy czy artystów plastyków, prezentujących swoje utwory w profesjonalnych czasopismach czy albumach, przechodzącego przez sale Euroconowych stoisk uderza zalew często bardzo naiwnie pojmowanej sztuki science fiction. Znakomity surrealista Tholle, stały obecnie mieszkaniec Mediolanu, szuka delikatnych wysublimowanych form dla specyficznych wizjin mistrzowski w swym superrealizmie Peruwińczyk Vallejo zawdzięcza zaś swą światową karierę ilustracjom książkowym, dokładniejszym niż fotografie. Niech się wobec niego chowają i wstydzą wszelkie kolorowe techniki filmowe.

Od dawna wieszczono, iż w naszym dwudziestym wieku technika doprowadzi do zatarcia się różnic między tym, co zawodowe, a tym, co naiwnie amatorskie. Sądzę, że nie jest aż tak dobrze ani aż tak źle. Różnice między jednym a drugim nie zanikają, może się nawet pogłębiają, ale istotnie dochodzi do dużego przemieszania się ludzi i form. Mistrzowie sięgają po naiwne symbole typowe dla „fantasy" – baśni SF. Natomiast fanowie, miłośnicy bajek dla dorastających i dorosłych, dalecy od maestrii, hołdują nadal swoim naiwnym, a nawet szmirowatym potworkom z obcych światów i horrorom. Co było w ginnazjalnym budynku (sic), w przemysłowym nadreńskim Mönchengladbach, szczególnie uderzające – to braterskie uczestnictwo w służbie science fiction różnorodnej: to bajkowej, to potworowatej, to znów rycerskiej czy społecznej twórczości prozatorskiej, poetyckiej i plastycznej. Bogactwo form. Zróżnicowanie poziomów i jednakowość lub głęboko sięgające podobieństwa symboli i rekwizytów. Dziecinada do potęgi, którą pojąć i docenić może tylko ten, kto uważnie przeczytał Lema „Wysoki zamek".

Wydawcy, których przedstawiciele i to dużej rangi, nie ominęli okazji do niezwykle licznej prezentacji dorobku swoich oficyn, bardzo interesowali się polską SF i dobrze się o niej wyrażali, pragnąc pomnażać kontakty polegające na jej tłumaczeniu – po prostu. Uważali ją za oryginalną, chociaż poniektórzy rodzimi malkontenci powiadają, że i w science fiction bywamy najczęściej naśladowcami wzorów zagranicznych. Zaskoczyła mnie wypowiedź Wolfganga Jeschkego o Stanisławie Lemie. A bardziej szczegółowo o tej i o innych sprawach, m.in. o sprawie zalewu książek science fiction na Zachodzie, piszemy w sprawozdaniu z odwiedzin Euroconu VII i w wywiadach przeprowadzonych z luminarzami tej imprezy: z pisarzami i wydawcami, a także działaczami SF (tak można by to również określić, po naszemu) Pierrem Barbettem z Francji, Johnem Brunnerem z W. Brytanii i wymienionym już Wolfgangiem Jeschkem z RFN.

Poza tym, w czasie wspólnego tegomiesięcznego lotu „Fantastyki": oczywiście „Słownik polskich autorów fantastyki" i fragment pożółkłych kartek powieści Stefana Barszczewskiego (żył 1862–1937), która przedstawia Warszawę wieku XXII. Mój Boże jakże różną od naszych współczesnych wyobrażeń. Są także recenzje i najnowsze wieści z frontu walki o spotkanie z istotami z innych planet. Te ostatnie (mowa rzecz jasna o wieściach) nie pochodzą bynajmniej z „ksiąg ani z opowiadań", lecz z naukowych doniesień i polemik, jakie toczono w Tallinie przy okrągłym stole, w międzynarodowym, naukowym towarzystwie specjalnego sympozjum, zwołanego w takiej właśnie, kosmicznej sprawie.

Gdy się o tym sympozjonie czyta, science fiction szarzeje i blednie ze swym trochę już nawet wyświechtanym wachlarzem pomysłów i marzeń wobec fantastycznej śmiałości niektórych uczonych, jak na przykład Drake'a (z jego wzorem na wielkość cywilizacji pozaziemskich) oraz niektórych grup społecznych na świecie, mających odwagę na „wyrzucanie pieniędzy" na poszukiwania kosmicznych braci. Jest to jeden ze sposobów nauki: tworzenie techniki kosmicznej jako konkurencyjnej wobec tej techniki, która świat brudzi lub światu wprost zagraża.

Oprócz bajkowych projektów nauki zamieszczamy także i w bieżącym numerze „Fantastyki" – komiks, rozpoczynając serial tego gatunku, tak bardzo chętnie widziany i oglądany. Z supersilnymi bohaterami i bohaterkami, z mnóstwem dramatycznych przygód. Proszę jednak autorów, aby nie było to samo życie, samo życie ziemskie, lecz wspaniała awantura kosmiczna.
Więc próbujemy lecieć dalej; coraz dalej?
8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

■

fantastyka

miesięcznik literatury SF
00-666 Warszawa ul. Noakowskiego 14
tel. 21-32-56 (łączy wszystkie działy)
Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red.nacz.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red.nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagranicznego), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia, Andrzej Wójcik (z-ca red.nacz.).
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch" ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93 Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty:
1. **dla instytucji i zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejcowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
2. **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach poczt. i u doręczycieli,
– osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych, przy użyciu „blankietu wpłaty", na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603
3. **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 10% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:
– do dnia 25 listopada na I kwartał, I półrocze oraz cały rok 1983
– do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku 1983
Nr indeksu 35839 Z-109
N 100 000 egz Druk i oprawa PZGraf Łódź Z 2328/82 r

Hari Seldon był stary i zmęczony.
„Jest to ostatnie zebranie grupy, którą zebrałem ponad dwadzieścia lat temu". Seldon przebiegł wzrokiem po twarzach siedzących naukowców. Był sam na podwyższeniu, sam w fotelu na kółkach, do którego przygwoździł go ostatni atak. Na kolanach trzymał ostatni tom – pięćdziesiąty drugi – protokołów z poprzednich zebrań. Otwarty był na ostatniej stronie.
Mówił dalej: „W skład grupy, którą zebrałem, weszli najlepsi spośród filozofów, psychologów, historyków i przedstawicieli nauk ścisłych naszego Imperium Galaktycznego. I dwadzieścia lat temu podjęliśmy się rozwiązania problemu – najtrudniejszego, z jakim mogła się kiedykolwiek spotkać grupa pięćdziesięciu ludzi – być może najtrudniejszego z problemów, wobec których kiedykolwiek stanęła ludzkość. Osiągnęliśmy nasz cel i nasza rola już się skończyła. Imperium Galaktyczne chyli się ku upadkowi, ale jego kultura nie tylko nie zaginęła, lecz rozwinie się z niej nowa, jeszcze wspanialsza, dzięki poczynionym przez nas krokom. Powstały już dwie zaplanowane przez nas Bazy Naukowe na obydwu krańcach Galaktyki: na Terminusie i Krańcu Gwiazd. Rozpoczęły swą działalność i kierunek ich rozwoju będzie zgodny z naszymi planami.
Nam pozostało już tylko jedno zadanie do spełnienia i tylko pięćdziesiąt lat. Zadanie to, dokładnie już opracowane, polegać będzie na zasianiu ziarna buntu w najważniejszych sektorach: Anakreon i Loris. Zapoczątkuje to nieuchronny bieg wydarzeń, które w ciągu następnego tysiąclecia powinny dać przewidziane przez nas rezultaty".
Hari Seldon opuścił głowę. „Panowie, na tym zakończyliśmy nasze ostatnie spotkanie. Rozpoczęliśmy naszą działalność w sekrecie, pracowaliśmy w sekrecie i teraz kończymy w sekrecie – nasze wysiłki zostaną wynagrodzone za tysiąc lat, w chwili powstania Drugiego Imperium Galaktycznego".
Ostatni tom protokołów został zamknięty.
„To wszystko" – wyszeptał Hari Seldon.



ilustrował R. WOJTYŃSKI

Lewis Pirenne pracował w skupieniu, siedząc przy swoim biurku w jedynym mocno oświetlonym kącie pokoju. Trzeba było skoordynować działalność. Praca musiała być zorganizowana. Wszystkie jej etapy powinny łączyć się w jednolitą całość.
Już pięćdziesiąt lat, pięćdziesiąt lat starań, by Fundacja Encyklopedii Numer Jeden funkcjonowała harmonijnie. Pięćdziesiąt lat przygotowań. Wszystko to już za nimi. W ciągu najbliższych pięciu lat zostanie wydany pierwszy tom najbardziej monumentalnego dzieła, jakie kiedykolwiek powstało w Galaktyce. A potem – regularnie co rok – następny tom, potem następny i następny.
Na gwałtowny, budzący dźwięk dzwonka przy biurku, Pirenne poruszył się niecierpliwie. Niemalże zapomniał o umówionym spotkaniu. Zwolnił blokadę drzwi i kątem oka dostrzegł, jak się otwierają i barczysty Salvor Hardin wchodzi do pokoju. Pirenne nie podniósł głowy znad biurka.
Hardin uśmiechnął się do siebie. Miał mało czasu, ale wiedział, że nie należy przejmować się lekceważeniem, z jakim Pirenne traktował każdego, kto przerywał mu pracę. Usiadł w fotelu naprzeciw uczonego i czekał.
Pirenne westchnął i odsunął się od biurka. „Dobrze, porozmawiajmy. Ale mam nadzieję, że nie będzie mi pan zawracał głowy sprawami miasta. Proszę, żeby tymi sprawami sam się pan zajął. Praca nad Encyklopedią pochłania cały mój czas."
„Słyszał pan najnowszą wiadomość?" – zapytał spokojnie Hardin.
„Jaką wiadomość?"
„Tę, którą system odbiorników fal ultra w Terminus City odebrał dwie godziny temu. Królewski Gubernator prowincji Anakreon obwołał się królem".
„Tak? I cóż z tego?"
„To znaczy – odpowiedział Hardin – że jesteśmy odcięci od wewnętrznych regionów Imperium. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że Anakreon leży na naszym ostatnim szlaku handlowym prowadzącym do Santanni, do Trantoru i samej Vegi? Skąd będziemy teraz sprowadzać metale? W ciągu sześciu miesięcy nie zdołaliśmy przywieźć stali czy aluminium, a teraz nie będziemy mogli dostać w ogóle nic, chyba że król Anakreonu okaże nam swą łaskawość i pozwoli na to."
Pirenne odparł ze zniecierpliwieniem: „W takim razie sprowadźcie to przez niego".
„Ale czy możemy to zrobić? Niech pan posłucha, Pirenne. Zgodnie ze statutem Fundacji władza administracyjna jest w ręku Rady Członków Zarządu Encyklopedycznego. Ja jako Burmistrz Terminus City mam jedynie prawo wydmuchać własny nos i ewentualnie kichnąć, o ile otrzymam wasze pisemne pozwolenie. Rozwiązanie zaistniałego problemu należy więc do waszej Rady. W imieniu mieszkańców miasta, których dobrobyt zależy od stałych stosunków handlowych z Galaktyką, proszę o zwołanie nadzwyczajnej sesji..."
„Stop! Pańskie wywody są nie na miejscu. Panie Hardin, Rada Członków Zarządu nie sprzeciwia się istnieniu władz miejskich na Terminusie. Rozumiemy, że ze względu na zwiększenie się liczby ludności od czasu założenia Fundacji i zwiększenie liczby osób zajmujących się sprawami nie związanymi z Encyklopedią, władze te są potrzebne. Ale nie znaczy to, że wydanie Encyklopedii całej ludzkiej wiedzy przestało być najważniejszym i jedynym celem Fundacji. Jesteśmy pracownikami państwowej instytucji naukowej, Hardin. Nie możemy, nie powinniśmy i nie będziemy mieszać się w lokalne sprawy polityczne".
„Lokalne sprawy polityczne! Na wielki palec lewej nogi Cesarza, Pirenne, to sprawa życia i śmierci. Sama, odizolowana planeta Terminus nie może zapewnić warunków istnienia nowoczesnej cywilizacji. Brak na niej metali. Pan o tym dobrze wie. W pokrywających ją skałach nie ma ani śladu żelaza, miedzi czy aluminium, a wszystko inne występuje jedynie w znikomych ilościach. Jak pan myśli, co stanie się z Encyklopedią, kiedy ten – jak mu tam – Król Anakreonu zechce zawładnąć także nami?"
„Nami? Czyżby pan zapomniał, że podlegamy bezpośrednio władzy samego Imperatora? Nie jesteśmy częścią prowincji Anakreon ani żadnej innej prowincji. Proszę to sobie zapamiętać! Nasza planeta wchodzi w skład prywatnych posiadłości Imperatora i nikt nie ma do niej prawa. Imperium potrafi zapewnić bezpieczeństwo poddanym".
„W takim razie dlaczego nie zapobiegło uniezależnieniu się Anakreonu? I czy tylko Anakreonu? Przynajmniej dwadzieścia prowincji leżących na krańcach Galaktyki, w zasadzie całe Peryferie, zaczynają działać na własną rękę. Prawdę mówiąc, mam cholerne wątpliwości co do potęgi Imperium i jego możliwości, jeśli chodzi o chronienie nas".
„Bzdury! Królewscy Gubernatorzy, Królowie – co za różnica? W Imperium zawsze toczyły się jakieś spory polityczne, a różni ludzie starali się zwiększyć swoje wpływy. Gubernatorzy wzniecali bunty, Imperatorzy byli odsuwani od władzy lub mordowani. Ale co to ma wspólnego z samym Imperium? Niech pan sobie nie zawraca tym wszystkim głowy, Hardin. To nie nasza sprawa. My jesteśmy naukowcami – najważniejszymi, a zarazem najmniej ważnymi obywatelami. Nas obchodzi tylko Encyklopedia. Aha, byłbym zapomniał. Hardin!"
„Tak?"
„Niech pan coś zrobi z tą pańską gazetą!" W głosie Pirenne'a brzmiała złość.
„Dziennikiem Terminus City? On nie jest mój, jest w rękach prywatnych właścicieli. A co się z nim takiego dzieje?"
„Od tygodnia głosi, że pięćdziesiąta rocznica założenia Fundacji powinna być uczczona jako święto narodowe i że powinny być zorganizowane uroczyste obchody – to zupełnie niewłaściwe podejście".
„Dlaczego? Za trzy miesiące zegar radowy otworzy Pierwszą Kasetę. Według mnie, jest to ważne wydarzenie".
„Ale nie dla pospólstwa. Pierwsza Kaseta i jej otwarcie to sprawa interesująca jedynie Radę Członków Zarządu. Wszystkie ważniejsze informacje będą podane do wiadomości publicznej. To ostateczna decyzja i proszę ją przekazać Dziennikowi".

„Pan wybaczy, Pirenne, ale Karta Praw Miasta gwarantuje coś, co określa się jako wolność prasy".
„Możliwe. Ale Rada Członków Zarządu nie gwarantuje tego. Ja jestem przedstawicielem Imperatora na Terminusie, Hardin, i mam pełne prawo decydować o tym".
Przez chwilę Hardin wyglądał jakby liczył po cichu do dziesięciu. W końcu powiedział ponuro: „W takim razie mam dla pana, jako przedstawiciela Imperatora, jeszcze jedną, ostatnią wiadomość".
„Dotyczącą Anakreonu?" – Pirenne zacisnął usta. Był zirytowany tą rozmową.
„Tak. Specjalny wysłannik przybędzie do nas z Anakreonu. Za dwa tygodnie".
„Wysłannik? Tutaj? Z Anakreonu? – zastanawiał się Pirenne. „Po co?"
Hardin wstał i ustawił fotel z powrotem przy biurku. „A jak pan myśli?"
I wyszedł – zupełnie bezceremonialnie.

Anselm haut Rodric – „haut" oznaczało jego szlacheckie pochodzenie – Zastępca Gubernatora Pluemy i Specjalny Wysłannik jego Wysokości Króla Anakreonu – posiadający jeszcze tuzin innych tytułów – powitany został na lotnisku przez Salvora Hardina z zachowaniem wszelkich niezbędnych przy takich okazjach ceremonii. Potem ruszyli reprezentacyjnym samochodem.
„To miasto jest jedynym zamieszkałym miejscem na waszej planecie?" – zapytał Hardina.
Hardin odpowiedział, starając się przekrzyczeć wrzawę: „To jest młody świat, Wasza Wysokość. W ciągu naszej niedługiej historii odwiedziło nas zaledwie kilku dostojników".
„Dostojnik" nie wyczuł ironii, która zabrzmiała w jego głosie.
Powiedział w zamyśleniu: „Pięćdziesiąt lat temu. Hmm. Macie tutaj wiele nie wykorzystanych gruntów, Burmistrzu. Czy nigdy nie myśleliście o podzieleniu ich na osobne posiadłości ziemskie?"
„Do tej pory nie było takiej potrzeby. Wszyscy mieszkamy w tym centralnym rejonie. Musimy, z powodu Encyklopedii. Być może kiedyś, gdy populacja się zwiększy..."
„Dziwna planeta! Nie ma tu chłopów?"
Hardin bez trudu spostrzegł, że jego wysokość wyraźnie ciągnie go za język. Odpowiedział jakby nigdy nic: „Nie – ani szlachty".
Haut Rodric uniósł brwi. „A wasz przywódca – człowiek, z którym mam się spotkać?"
„Ma pan na myśli Dr. Pirenne'a? Tak? Jest Przewodniczącym Rady Członków Zarządu i przedstawicielem Imperatora".
„Doktor? Bez żadnego innego tytułu? Uczony? I jest ważniejszy od władz miasta?"
„Tak, oczywiście – odparł uprzejmie Hardin – wszyscy właściwie jesteśmy uczonymi. W końcu jesteśmy nie tyle państwem, ile fundacją naukową – bezpośrednio kierowaną przez Imperatora".
Ostatnie zdanie wymówił z lekkim naciskiem, co spowodowało, że zastępca gubernatora jakby nieco się zmieszał. Resztę drogi na Plac Encyklopedii odbył w milczącym zamyśleniu.

Hardin nudził się wprawdzie przez następne popołudnie i wieczór, lecz miał przynajmniej satysfakcję widząc, że Pirenne i haut Rodric – mimo wypowiedzianych przy powitaniu zapewnień o wzajemnym szacunku i poważaniu – zapałali do siebie niewypowiedzianą wprost niechęcią.
Haut Rodric obojętnie wysłuchał wykładu Pirenne'a w czasie zwiedzania budynku Encyklopedii.
„To wszystko jest bardzo interesujące – powiedział – ale wydaje się być dziwnym zajęciem dla dorosłych mężczyzn. Czemu to ma służyć?"
Była to uwaga, zauważył Hardin, na którą Pirenne nie znalazł odpowiedzi, jakkolwiek miał wymowny wyraz twarzy.
Uroczysta kolacja nie różniła się od wydarzeń, które miały miejsce tego popołudnia – tym razem mówił jedynie haut Rodric, opisując w najdrobniejszych szczegółach i z niezwykłym zapałem swe wyczyny w czasie ostatniej wojny między Anakreonem i sąsiednim, niedawno proklamowanym Królestwem Smyrno.
Relacja trwała do końca kolacji, kiedy to drugorzędni dostojnicy państwowi kolejno opuścili towarzystwo.
„A teraz – powiedział haut Rodric z nieco sztuczną wesołością – przejdźmy do spraw poważnych".
„Oczywiście rozmowy oficjalne, podpisanie porozumienia i wszystkie te nudne szczegóły odbędą się w obecności – jak nazywacie tę waszą radę?"
„Rada Członków Zgromadzenia" – odpowiedział sztywno Pirenne.
„Dziwna nazwa! W każdym razie to nastąpi jutro. Jednakże możemy wyjaśnić pewne sprawy sami już teraz. Tak?"
„To znaczy..." – zachęcił go Hardin.
„Sprawy mają się tak: sytuacja na Peryferiach zmieniła się dość znacznie i pozycja waszej plenety stała się odrobinę niepewna. Byłoby dobrze, gdybyśmy doszli do porozumienia w pewnych kwestiach".
Pirenne skrzywił się. „Jeśli dobrze rozumiem, Wasza Wysokość, pańska misja ma na celu jedynie wyjaśnienie sytuacji?"
Haut Rodric skinął potakująco głową.
„W takim razie nie będzie ona trwała długo. Jeśli chodzi o Fundację Encyklopedii Numer Jeden, to sytuacja jest taka, jaka była dotąd".
„Ach! A jaka była do tej pory?"
„Jest to finansowana przez państwo instytucja naukowa, wchodząca w skład osobistych posiadłości Jego Wysokości Imperatora".
Wypowiedź ta nie sprawiła wrażenia na zastępcy gubernatora. Wydmuchiwał kółka dymu. „To brzmi ładnie, Dr. Pirenne. Sądzę, że macie Kartę Praw opatrzoną Cesarską Pieczęcią – ale chodzi mi o właściwą sytuację. Jaki jest wasz stosunek do Smyrno? Jesteście przecież oddaleni od ich stolicy zaledwie o niecałe pięćdziesiąt parseków. A co z Konom i Daribow?"
Pirenne odpowiedział: „Nie łączy nas nic z żadnym gubernatorem. Jako część posiadłości Imperatora..."
„Oni nie są gubernatorami – przypomniał haut Rodric – teraz są to królowie".
„Niech będą królowie. Nie mamy z nimi nic wspólnego. Jako instytucja naukowa..."
„Do diabła z nauką!" – zaklął gość w dość brutalny, żołnierski sposób. „Co ona ma wspólnego z niebezpieczeństwem opanowania Terminusa przez Smyrno, co może nastąpić w każdej chwili?"
„A Imperator? Czy nie przeszkodziłby temu?"
Uspokoiwszy się haut Rodric powiedział: „Niech pan posłucha, Dr. Pirenne, szanuje pan własność Imperatora, tak samo jak czyni to Anakreon, ale Smyrno może nie liczyć się z tym. Proszę pamiętać, że właśnie podpisaliśmy z Imperatorem układ o wzajemnym porozumieniu – jutro przekażę jego kopię waszej Radzie – na mocy którego jesteśmy odpowiedzialni za zachowanie ładu i porządku w granicach dawnej Prefektury Anakreonu, w imieniu Imperatora. Tak więc nasza rola jest jasno określona, nieprawdaż?"
„Oczywiście. Ale Terminus nie należy do Prefektury Anakreonu".
„A Smyrno..."
„Ani też nie jest częścią Guberni Smyrno. Nie należy do żadnej guberni".
„Czy Smyrno wie o tym?"
„Nie obchodzi mnie to".
„Ale nas obchodzi. Dopiero co zakończyliśmy wojnę z nimi i nadal mają nasze dwa systemy gwiezdne. Terminus zajmuje ważną pozycję strategiczną między nami a Smyrno".
Hardina znudziła ta wymiana zdań. Wtrącił więc: „Co pan proponuje, Wasza Wysokość?"
Zastępca gubernatora z widoczną ulgą zrezygnował ze słownej szermierki na korzyść konkretnych wypowiedzi. „To chyba oczywiste – powiedział z ożywieniem – że ponieważ Terminus sam nie może się bronić, Anakreon musi wziąć na siebie ten obowiązek, również ze względu na własne bezpieczeństwo. Zrozumiałe jest, że nie zamierzamy ingerować w sprawy wewnętrzne..."
„Hmm..." mruknął oschle Hardin.
„... ale sądzimy, że najlepiej byłoby dla obu zainteresowanych stron, gdyby Anakreon miał bazę wojskową na waszej planecie".
„I to wszystko, co chcecie – bazę militarną na jakimś dużym, nie zamieszkanym terenie?"
„Cóż, byłaby jeszcze oczywiście kwestia utrzymania sił obronnych."
Hardin przestał kiwać się na krześle i usiadł opierając łokcie na kolanach.
„Doszliśmy wreszcie do sedna sprawy. Powiedzmy jasno. Terminus ma być protektoratem i płacić daninę".
„Nie daninę. Podatki. My będziemy was chronić. A wy będziecie za to płacić".
Pirenne uderzył pięścią w oparcie krzesła z niezwykłą u niego gwałtownością. „Proszę mi dać coś powiedzieć, Hardin. Wasza Wysokość, guzik mnie obchodzi Anakreon, Smyrno, wasze rozgrywki polityczne i wojenki. Mówiłem panu, że jesteśmy wolną od podatków, państwową instytucją".
„Państwową? Ale to my jesteśmy państwem, Doktorze Pirenne".
Pirenne wstał ze złością. „Wasza Wysokość, reprezentuję bezpośrednio..."
„... jego dostojną wysokość Imperatora – dokończył Anselm haut Rodric szorstko – a ja jestem bezpośrednim przedstawicielem Króla Anakreonu. Anakreon jest dużo bliżej, Dr. Pirenne".
„Wróćmy do rzeczy! – ponaglił Hardin. „W jakiej postaci pobieralibyście te

tak zwane podatki, Wasza Wysokość? Bralibyście zboże, kartofle, warzywa, bydło?"
Zastępca gubernatora spojrzał na niego zaskoczony. „Co takiego? Nie potrzebujemy tego. Mamy spore nadwyżki produktów rolnych. Złoto, oczywiście. Właściwie lepszy byłby chrom lub wanad, jeśli macie je w dostatecznych ilościach".
Hardin roześmiał się. „W dostatecznych ilościach! Nie mamy nawet żelaza. Złoto! Proszę, niech pan spojrzy, jakie mamy monety". Podał wysłannikowi monetę.
Haut Rodric podrzucił ją i patrzył na Hardina pytająco. „Co to jest? Stal?"
„Tak."
„Nie rozumiem."
„Terminus jest planetą zupełnie pozbawioną metali. Wszystko sprowadzamy. Tak więc nie mamy złota ani nic innego do zapłacenia wam, chyba że chcecie parę ton kartofli".
„Cóż – może fabrykaty".
„Bez metalu? Z czego moglibyśmy robić maszyny?"
Zamilkli na chwilę i Pirenne znów spróbował się wtrącić. „Ta cała dyskusja nie ma najmniejszego sensu. Terminus nie jest planetą tylko fundacją naukową, opracowującą wielką encyklopedię. Na przestrzeń, panowie, czyżbyście nie mieli ani odrobiny szacunku dla nauki?"
„Encyklopedie nie wygrywają wojen". Haut Rodric zmarszył brwi. „Planeta bez żadnego przemysłu – i właściwie nie zamieszkana. Cóż, moglibyście płacić ziemią".
„Jak pan to rozumie?" – zapytał Pirenne.
„Na waszych ziemiach nikt nie mieszka i te nie zajęte grunty są najprawdopodobniej żyzne. Wśród szlachty anakreońskiej jest wielu, którzy pragnęliby powiększyć swe posiadłości".
„Pan nie może proponować takiej..."
„Niepotrzebnie się pan denerwuje, Dr. Pirenne. Ziemi jest tak wiele, że wystarczy dla wszystkich. Jeśli nasze porozumienie dojdzie do skutku i będziemy współpracować, zorganizujemy wszystko tak, żebyście nic nie stracili. Będzie można nadawać tytuły i przyznawać majątki ziemskie. Myślę, że się rozumiemy".
„Dziękuję" – odparł drwiąco Pirenne.
Hardinowi przyszło nagle do głowy, żeby zapytać: „Czy Anakreon mógłby dostarczać nam wystarczające ilości praseodymium do naszych elektrowni atomowych? Mamy zapasy na zaledwie kilka lat".
Pirenne wydał stłumiony okrzyk i na kilka minut zapadła cisza. I kiedy haut Rodric odezwał się, głos jego brzmiał zupełnie inaczej niż do tej pory.
„Macie energię atomową?"
„Oczywiście. Co w tym niezwykłego? Używana jest już od pięćdziesięciu tysięcy lat, jak sądzę. Dlaczego mielibyśmy jej nie mieć? Tylko trochę trudno dostać praseodymium".
„Tak... tak". Wysłannik przerwał i dodał nieswojo: „No, cóż, panowie, wrócimy do tego jutro. Teraz jeśli pozwolicie, pożegnam się".
Pirenne odprowadził go wzrokiem i mruknął ze złością: „Nieznośny, głupi osioł! Co za..."
„Wcale nie – wtrącił Hardin – po prostu ma mentalność stworzoną przez warunki, w jakich żyje. Nie rozumie nic poza faktem ja mam broń, a ty jej nie masz".

Zaprzeczając, że jest właścicielem Dziennika, Hardin jedynie formalnie nie mijał się z prawdą. Hardin kierował ruchem mającym na celu utworzenie z Terminusa niezależnego miasta-państwa – wybrano go na pierwszego Burmistrza – nic więc dziwnego, że chociaż nie posiadał żadnych akcji, to jednak kontrolował bardziej okrężnymi drogami jakieś sześćdziesiąt procent udziałów.
Zawsze istnieją różne dyskretne sposoby działania.
Nie było więc przypadkiem, że kiedy Hardin zaczął sugerować Pirenne'owi, by pozwolono mu brać udział w zebraniach Rady Członków Zarządu, Dziennik rozpoczął taką samą kampanię. I odbyło się pierwsze w historii Fundacji zgromadzenie ogólne domagające się reprezentacji władz miejskich w Zarządzie.
Wreszcie Pirenne uległ.
Usiadłszy przy końcu stołu, Hardin zastanawiał się, co mogło sprawiać, że naukowcy byli tak złymi zarządcami. Może po prostu dlatego, że zbyt byli przyzwyczajeni do niezmiennych faktów i zupełnie nie przyzwyczajeni do łatwo zmieniających się ludzi.
Tomaz Sutt i Jord Fara siedzieli po jego lewej stronie, Lundin Crast i Yate Fulham po prawej. Pirenne przewodniczył zebraniu. Hardin znał oczywiście wszystkich, ale wydawało mu się, że zachowywali się wyjątkowo pompatycznie z powodu jego obecności.
Na wpół drzemał w czasie formalnego rozpoczęcia posiedzenia i ożywił się dopiero, gdy Pirenne wypił łyk wody ze stojącej przed nim szklanki i powiedział:
„Mam przyjemność poinformować Radę, że otrzymałem wiadomość, iż lord Dorwin, Kanclerz Imperium, przybędzie na Terminus za dwa tygodnie. Możemy więc być pewni, że nasze stosunki z Anakreonem zostaną uregulowane zgodnie z naszymi życzeniami, jak tylko Imperator dowie się o zaistniałej sytuacji".
„Na przestrzeń!" – zirytował się Hardin. „Co się dzieje? Co chwilę ktoś mówi Imperator lub Imperium, tak jakby to były magiczne słowa. Imperator znajduje się ponad pięćdziesiąt parseków stąd i wątpię, czy cokolwiek go obchodzimy. A nawet jeśli tak, to co może zrobić? Wojska Imperium, które stacjonowały w tym regionie, są teraz w rękach czterech królestw, między innymi Anakreonu. Posłuchajcie panowie, musimy bronić się za pomocą dział, nie słów".
Odezwał się Lundin Crast, marszcząc ze złością nos: „Jeśli proponuje pan zmilitaryzowanie Fundacji, to nie chcę nawet o tym słyszeć. Oznaczałoby to nasze włączenie się do konfliktów politycznych. My, panie Burmistrzu, jesteśmy fundacją naukową i niczym więcej".
Hardin jęknął z bezsilną rozpaczą. Rada była zupełnie zwariowana na punkcie Encyklopedii.
Powiedział lodowatym tonem: „Czy kiedykolwiek przyszło wam panowie do głowy, że mieszkańców Terminusa może obchodzić coś innego niż Encyklopedia?"
„Nie rozumiem, Hardin – odparł Pirenne – jak Fundacja mogłaby interesować się czymś innym niż Encyklopedią?"
„Nie powiedziałem Fundacja, powiedziałem Terminus. Obawiam się, że nie rozumiecie sytuacji. Jest nas na Terminusie ponad milion i nie więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy zajmuje się Encyklopedią. Dla reszty to jest dom. Urodziliśmy się tutaj. Mieszkamy tutaj. W porównaniu z naszymi farmami, naszymi domami i naszymi fabrykami Encyklopedia nie znaczy nic. Chcemy, by to wszystko było bezpieczne..."
Zakrzyczano go.
„Najważniejsza jest Encyklopedia!" – krzyknął Crast. „To jest nasza misja!"
„Misja, do diabła!" – odpowiedział mu krzykiem Hardin. „Tak mogło być pięćdziesiąt lat temu, ale teraz są inne czasy i inne pokolenie. Jeśli chcecie znać moje zdanie Imperium Galaktyczne niedługo się rozpadnie!"
Zabrał głos Crast: „Nie wiem, co zamierzał pan osiągnąć przez swoją histeryczną wypowiedź, panie Burmistrzu. Z całą pewnością nie wniosła ona niczego do naszej dyskusji. Proponuję, panie Przewodniczący, by głos ostatniego mówcy został pominięty w protokole zebrania, a dyskusja podjęta na nowo od punktu, w którym ją przerwano".
Wtedy Jord Fara odezwał się po raz pierwszy. Do tej pory nie zabierał głosu w sporze, nawet w najgorętszym momencie. Teraz jego potężny głos, równie potężny jak jego ważące trzysta funtów ciało, zagłuszył wszystkie inne.
„Czy przypadkiem nie zapomnieliśmy o czymś panowie?"
„O czym?" – zapytał drżącym z irytacji głosem Pirenne.
„O tym, że za miesiąc obchodzić będziemy pięćdziesiątą rocznicę". Fara potrafił mówić o najoczywistszych sprawach, tak jakby przekazywał szalenie ważne wiadomości.
„I co z tego wynika?"
„W tym dniu – ciągnął spokojnie Fara – otwarta zostanie Pierwsza Kaseta Hariego Seldona. Czy zastanawialiście się kiedyś, co będzie zawierała?"
„Widzę, że wszyscy zapomnieliście, że Seldon był najlepszym psychologiem naszych czasów i założycielem Fundacji. Możemy więc założyć, że zastosował swą wiedzę, by określić prawdopodobny bieg historii w najbliższej przyszłości. Jeśli tak zrobił, a powtarzam: jest to możliwe, z pewnością znalazł sposób, by ostrzec nas przed niebezpieczeństwem i, niewykluczone, wskazać nam rozwiązanie problemu. Jak wiecie, Encyklopedia wiele dla niego znaczyła".
Hardin do końca zebrania nie odezwał się już ani słowem, mimo że znów powrócono do rozmowy na temat wizyty Kanclerza Imperium.
Właściwie nawet nie słuchał. Jego myśli zostały skierowane na nowy tor i wszystko zaczęło się układać w logiczny ciąg – pomaleńku. Niektóre elementy – dwa lub trzy – zaczęły pasować do siebie.
Kluczem do rozwiązania łamigłówki była psychologia. Był tego pewien.
Gorączkowo próbował przypomnieć sobie teorie psychologiczne, których kiedyś się uczył. I od razu wpadła mu do głowy pewna myśl.
Świetny psycholog, taki jak Seldon, znał ludzkie emocje i zachowania na tyle dobrze, by móc przewidzieć dokładnie rozwój wydarzeń w przyszłości.
A to znaczyło – hmm!

Lord Dorwin zażywał tabaki. Miał długie włosy, ufryzowane w kunsztowne loki, i puszyste, jasne bokobrody, które co chwilę gładził z afektacją. Ponadto układał zdania z nadmierną starannością i nie wymawiał „r".
Hardin nie miał zbyt wiele czasu na zastanowienie się, dlaczego szacowny kanclerz od pierwszej chwili wzbudził w nim niechęć. Och, jeszcze te wyszukane gesty ręki, towarzyszące jego wypowiedziom i protekcjonalny ton, jakim wypowiadał nawet najzwyklejsze zdania.
Ale, niezależnie od tego, teraz należało go znaleźć. Zniknął razem z Pirennem przed pół godziną – wsiąkł jak kamfora, niech go diabli.

Hardin był pewien, że jego nieobecność w czasie wstępnych rozmów będzie Pirene'owi na rękę.

Przecież widziano Pirenne'a w tym skrzydle budynku i na tym piętrze. Trzeba więc było po prostu zajrzeć do każdego pomieszczenia. Otwierając drzwi w połowie korytarza powiedział: „Ach!" i wszedł do zaciemnionego pokoju. Na podświetlonym ekranie rysował się wyraźnie cień kunsztownej figury lorda Dorwina.

Lord Dorwin spojrzał na niego i powiedział: „Ach, Hałdin. Z pewnością szuka pan nas, czyż nie tak?" Wyciągnął swą tabakierkę – zbytnio ozdobną i w dodatku kiepskiej roboty, jak zauważył Hardin – i kiedy Hardin grzecznie mu odmówił, sam wziął szczyptę i uśmiechnął się.

Pirenne zmarszczył brwi z niezadowoleniem, co Hardin przyjął z zupełną obojętnością.

Milczenie, które zapadło, przerwał jedynie dźwięk zatrzaśniętej przez lorda Dorwina tabakierki. Kanclerz schował ją i rzekł:

„Wspaniałe osiągnięcie, ta wasza Encyklopedia, Hardin. Wyczyn, doprawdy, równy największym osiągnięciom wszechczasów."

„Większość z nas tak właśnie sądzi, milordzie. Jednakże jest to dzieło nie w pełni jeszcze ukończone".

„Spławność działania waszej Fundacji, o której miałem już do tej poły okazję się przekonać, nie pozwala mi wątpić w osiągnięcie waszego celu". Tu skinął głową Pirenne'owi, który odpowiedział ukłonem.

Towarzystwo wzajemnej adoracji, pomyślał Hardin. „Nie miałem na myśli niesprawnego działania, milordzie, lecz raczej zbyt sprawne działanie Anakreończyków – w zupełnie innym i nie tak twórczym kierunku".

„Ach, tak, Anakleon.". Lekceważące machnięcie ręką. „Właśnie stamtąd włacam. Bałbarzyńska planeta. To niepojęte jak ludzie mogą żyć tu na Pełyfeliach. Błak najbałdziej podstawowych udogodnień potrzebnych cywilizowanemu człowiekowi, błak wszystkiego co zapewnia wygodę i odpowiedni poziom życia, sułowe wałunki, w jakich..."

Hardin przerwał mu ostro: „Anakreończycy, niestety, mają wszystkie podstawowe udogodnienia pozwalające na prowadzenie wojny i wszystko co zapewnia możliwość niszczenia".

„Owszem, owszem". Lord Dorwin był widocznie zirytowany, prawdopodobnie tym, że przerwano mu w połowie zdania. „Ale pozostawmy intełesy na później. Dopławdy, nie jestem tełaz w odpowiednim nastłoju. Dr. Piłenne, czy pokaże mi pan długi tom? Bałdzo płoszę".

Zgasły światła i przez następne pół godziny Hardin mógłby równie dobrze być na Anakreonie, gdyż zupełnie nie zwracano na niego uwagi. Nie próbował nawet śledzić tego, co pokazywano na ekranie, za to lord Dorwin chwilami okazywał wręcz ludzkie podniecenie. Hardin zauważył, że w tych momentach uniesienia kanclerz wymawiał „r".

Kiedy ponownie zabłysło światło, Lord Dorwin powiedział: „Cudowne. Dopławdy cudowne".

„Milordzie – powiedział Pirenne – sądzę, że powinniśmy już iść".

„A tak. Chyba tak".

Po wyjściu z pokoju Hardin zapytał nagle: „Milordzie, czy mogę zadać jedno pytanie?"

Lord Dorwin uśmiechnął się dobrotliwie i podkreślając swe słowa uprzejmym ruchem dłoni, odpowiedział: „Oczywiście, dłogi przyjacielu. Jeśli tylko mogę w czymś pomóc".

„Chodzi mi o pewne wydarzenie. W zeszłym roku otrzymaliśmy wiadomość o wybuchu w elektrowni na planecie V w Gamma Andromeda. Dotarły do nas tylko ogólne informacje – żadnych szczegółów nie znamy. Zastanawiam się, czy mógłby mi pan powiedzieć dokładnie, co się wtedy wydarzyło".

Pirenne skrzywił się. „Męczy pan jego lordowską mość pytaniami na zupełnie nieistotne tematy".

„Ależ skąd, Doktorze Piłenne – zaprotestował uprzejmie kanclerz. Odpowiem z miłą chęcią. Niewiele jednak można powiedzieć na ten temat. Nastąpił wybuch w elektłowni, dopławdy była to katastłofa. Sądzę, że zginęło kilka milionów ludzi i przynajmniej połowa planety legła w głuzach. Pławdę mówiąc, rząd łozpatłuje płojekt ogłaniczenia użycia enełgii atomowej – o czym, oczywiście, nie mówi się publicznie".

„Rozumiem – powiedział Hardin – ale co było przyczyną wypadku?"

„Cóż, pławdę powiedziawszy – odpowiedział obojętnie lord Dorwin – któż może to wiedzieć? Kilka lat temu coś się popsuło i uważa się, że wymiana części i napława nie była właściwie dokonana. Tak tłudno w dzisiejszych czasach znaleźć ludzi, którzy dobrze znaliby się na naszych urządzeniach". Ze smutkiem sięgnął po tabakę.

„Czy wie pan o tym – powiedział Hardin – że niezależne królestwa Peryferii nie posiadają już energii atomowej w ogóle?"

„Tak? Nie dziwi mnie to. Bałbarzyńskie planety – och, ale dłogi przyjacielu, nie nazywaj ich niezależnymi. To nie jest pławda. Układy, które z nimi zawarliśmy, są tego dowodem. Uznają zwierzchnictwo Impełatoła. Nie mają innego wyjścia – inaczej nie pełtłaktowalibyśmy z nimi".

„Możliwe, że tak jest, ale nie zmienia to faktu, że mają znaczną swobodę działania".

„Tak, zgadzam się z panem. Znaczną, ale to nie jest istotne. Dla Impełatoła taka sytuacja jest korzystna ze względów ekonomicznych. Nam oni nie są potrzebni. Większość to planety bałbarzyńskie. Na niskim poziomie cywilizacyjnym".

Trwało drugie zebranie Rady, w którym uczestniczył Hardin. Nie licząc, oczywiście, nieoficjalnych rozmów, jakie członkowie Rady przeprowadzili z lordem Dorwinem przed jego wyjazdem. Burmistrz zdawał sobie jednak sprawę, że odbyło się przynajmniej jedno, a najprawdopodobniej dwa lub trzy zebrania, na które dziwnym trafem nie otrzymał zaproszenia.

Miał wrażenie, że i o tym nie zostałby powiadomiony, gdyby nie ultimatum.

Przeczytawszy pobieżnie ten wizigrafowany dokument można by sądzić, że są to jedynie pozdrowienia przesłane jednemu mocarstwu przez drugie, jednakże równał się on ultimatum.

Hardin trzymał dokument delikatnie. Zaczynały go kwiecistym stylem napisane pozdrowienia od Jego Królewskiego Majestatu, Władcy Anakreonu dla jego przyjaciela i brata Dr. Lewisa Pirenne'a, Przewodniczącego Rady Członków Zarządu Fundacji Encyklopedycznej Numer Jeden, a kończyła gigantycznych rozmiarów wielokolorowa pieczęć o dość zawiłej symbolice.

Niemniej było to po prostu ultimatum.

Hardin powiedział: „Okazuje się, że nie mieliśmy zbyt wiele czasu – zaledwie trzy miesiące. I nawet tę niewielką szansę zmarnowaliśmy. Ten oto papier daje nam jeszcze tydzień. Co zrobimy?"

Zafrasowany Pirenne zmarszczył czoło. „Musi istnieć jakieś wyjście z sytuacji. To zupełnie niepojęte jak mogą stawiać sprawę w ten sposób, biorąc pod uwagę zapewnienia lorda Dorwina dotyczące stosunku Imperatora i Imperium do zaistniałego problemu".

Hardin spojrzał na niego uważnie. „Rozumiem. Poinformował pan Króla Anakreonu o stanowisku Imperatora?"

„Tak – po przedłożeniu tej propozycji Radzie, która jednomyślnie zaakceptowała ją w głosowaniu".

„A kiedy odbyło się to głosowanie?"

„Nie sądzę, abym mógł udzielić panu odpowiedzi, Burmistrzu Hardin" – odpowiedział wyniośle Pirenne.

„W porządku, nie interesuje mnie to aż tak bardzo. Tylko, moim skromnym zdaniem, przesłanie przez pana oficjalnej informacji dotyczącej stanowiska lorda Dorwina wobec istniejącej sytuacji – uśmiechnął się ironicznie – było bezpośrednią przyczyną otrzymania przez nas tego przyjacielskiego liściku. Gdyby nie to, być może sprawa by się jeszcze przeciągnęła – chociaż myślę, że biorąc pod uwagę postawę Rady, i tak nic by to nie pomogło Terminusowi".

Odezwał się Yate Fulham: „Jak doszedł pan do tak interesującego wniosku, panie Burmistrzu?"

„To dość proste. Wymagało to jedynie zastosowania czegoś, o czym tak często się zapomina – zdrowego rozsądku. Widzi pan, istnieje pewna dziedzina nauki zwana logiką symboliczną. Może ona być użyta do odcedzania wszystkich pustych słówek, które tak zaśmiecają ludzki język".

„I co z tego wynika?" – zapytał Fulham.

„Posłużyłem się nią. Między innymi do zinterpretowania tego właśnie dokumentu. Nie musiałem tego robić, gdyż dla mnie i tak jest jasne, o co w nim chodzi, ale sądzę, że łatwiej będzie mi to wyjaśnić pięciu fizykom za pomocą symboli niż za pomocą słów".

Hardin wyciągnął z koperty, którą trzymał pod pachą, kilka arkuszy papieru i rozdał je zebranym. „Nie zrobiłem tego sam, nawiasem mówiąc – powiedział – możecie zobaczyć podpis Mullera Holka z Wydziału Logiki".

Pirenne pochylił się nad stołem, by lepiej widzieć. Hardin kontynuował: „Wiadomość z Akankreonu była oczywiście prostym zadaniem, ponieważ napisali ją ludzie czynu, nie słów. Łatwo dała się sprowadzić do jednego kategorycznego stwierdzenia, którego zapis symboliczny widzicie przed sobą, a które przetłumaczone na normalny język brzmi: Za tydzień dacie nam to czego chcemy albo zrównamy wasze miasto z ziemią i sami to weźmiemy".

Pięciu członków Rady w milczeniu przyglądało się symbolom, po czym Pirenne usiadł i zakasłał z zakłopotaniem.

Hardin powiedział: „Nie ma wyjścia, nieprawdaż, Dr. Pirenne?"

„Na to wygląda".

„No właśnie". Hardin schował część arkuszy. „A teraz przyjrzyjcie się panowie kopii porozumienia podpisanego między Imperium a Anakreonem – porozumienia, które zbiegiem okoliczności, w imieniu Imperatora podpisał ten sam lord Dorwin, który był tu w zeszłym tygodniu. Jest także analiza symboliczna traktatu".

Porozumienie wydrukowane było na pięciu stronach, a analiza napisana odręcznie zajmowała jedynie pół strony.

„Jak widzicie panowie, około dziewięćdziesięciu procent porozumienia zostało, jako nic nie znaczące, odrzucone w trakcie przeprowadzania analizy. A to, co zostało, można ująć w następujący sposób:

Zobowiązania Anakreonu wobec Imperium: Żadne!

Prawa Imperium do decydowania o sprawach Anakreonu: Żadne!"

Ponownie pięciu uczonych prześledziło uważnie analizę, sprawdzając jej zgodność z treścią porozumienia, a kiedy skończyli, Pirenne powiedział z troską w głosie: „Zgadza się".

„A więc przyznaje pan, że traktat ten jest niczym innym jak tylko deklaracją zupełnej niezależności Anakreonu i zaakceptowaniem jej przez Imperium?"

„Tak to wygląda".

„I czy przypuszcza pan, że Anakreon nie zdaje sobie z tego sprawy i nie zamierza podkreślić tego faktu – w którym to przypadku przyjąłby oczywiście z oburzeniem jakiekolwiek pogróżki ze strony Imperium? Szczególnie, kiedy jest oczywiste, że Imperium nie mogłoby spełnić takich pogróżek, bo w przeciwnym razie nie zgodziłoby się na tę niezależność".

„Ale jak w takim razie – przerwał mu Sutt – wytłumaczy Burmistrz Hardin zapewnienia lorda Dorwina o poparciu, jakiego udziela nam Imperium? Wydawały się..." – wzruszył ramionami. „Wydawały się być zadowalające".

Hardin usadowił się wygodniej na krześle. „Wiecie, panowie, to właśnie w całej tej historii jest najbardziej interesujące. Przyznaję, że kiedy poznałem jego lordowską mość, wziąłem go za skończonego durnia – ale okazało się, że jest on doskonałym dyplomatą i bardzo mądrym człowiekiem. Pozwoliłem sobie zapisać wszystkie jego wypowiedzi".

Nastąpiło ogromne poruszenie, a Pirenne aż otworzył usta z przerażenia.

„Cóż z tego?" – zapytał Hardin. „Wiem, że było to pogwałcenie zasad gościnności i coś, czego tak zwany dobrze wychowany człowiek nie robi. A także, gdyby jego lordowska mość to zauważył, mogłyby wyniknąć duże nieprzyjemności, ale nie zauważył i mam zapis, to wszystko. Poleciłem zrobić jego kopię i ją również dałem Holkowi do analizy".

„Gdzie jest ta analiza?" – zapytał Lundin Crast.

„To – odpowiedział Hardin – właśnie jest interesujące. Analiza była najtrudniejsza z wszystkich trzech do przeprowadzenia. Kiedy Holk, po dwóch dniach nieprzerwanej pracy, wyeliminował wreszcie nic nie znaczące zdania, wymijający bełkot, zbędne określenia – jednym słowem całe to bla-bla-bla – okazało się, że nie zostało nic.

Lord Dorwin, panowie, w czasie trwających pięć dni rozmów nie powiedział nic, i zrobił to tak, że nikt z was tego nie zauważył. Oto właśnie są zapewnienia drogiego Imperium".

Gdyby Hardin położył na stole mającą za chwilę wybuchnąć bombę, zamieszanie nie byłoby większe niż to, które powstało po jego ostatniej wypowiedzi. Poczekał cierpliwie aż się uspokoją.

„Tak więc – zakończył – kiedy przesłaliście pogróżki, a tym właśnie był wasz list do Anakreonu, dotyczące działań Imperium przeciwko Anakreonowi, jedynie rozdrażniliście króla, który lepiej znał całą sytuację. Naturalnie jego urażoną dumę mogło uspokoić tylko natychmiastowe działanie, czego rezultatem jest ultimatum. Wracamy więc do mojej pierwszej wypowiedzi: został nam tylko tydzień – co robimy?"

„Wydaje mi się – powiedział Sutt – że nie mamy innego wyjścia jak tylko pozwolić Anakreonowi na założenie baz militarnych na Terminusie".

„Czy nie rozumie pan – powiedział Hardin – że te brednie na temat baz militarnych to tylko prymitywne oszustwo? Haut Rodric powiedział, o co chodzi Anakreonowi – o całkowite zajęcie Terminusa i narzucenie nam feudalnego systemu z majątkami ziemskimi chłopstwem i arystokracją."

Wstał oburzony i reszta również wstała – z wyjątkiem Jorda Fary.

Po czym odezwał się Jord Fara. „Proszę wszystkich, żeby usiedli. Myślę, że zaszliśmy w tym sporze za daleko. Burmistrzu Hardin, niepotrzebnie się pan tak denerwuje, nikt z nas nie popełnił zdrady".

„Musicie mnie o tym przekonać".

Fara uśmiechnął się łagodnie. „Nie mówi pan tego poważnie. Proszę mnie posłuchać".

Jego bystre, małe oczka były na wpół przymknięte, a gładka broda lśniła od potu. „Nie mamy powodu ukrywać, że Rada zdecydowała, iż rozwiązanie problemu z Anakreonem znajduje się w Pierwszej Kasecie, która otworzy się za sześć dni".

„Czy to wszystko, co macie do powiedzenia na ten temat?"

„Tak".

„Mamy nie robić nic, czyż nie tak, i czekać spokojnie w błogim przeświadczeniu, że deus ex machina wyskoczy z Pierwszej Kasety?"

Hardin zacisnął pięści. „To wygląda na chorobliwe podejście do rzeczywistości – odruch warunkowy, który paraliżuje wasze umysły, ilekroć istnieje potrzeba przeciwstawienia się władzy. Nigdy nie wątpicie, że Imperator jest silniejszy od was, a Hari Seldon mądrzejszy. A to jest błąd, czy nie widzicie tego?"

Nie wiadomo dlaczego nikt mu nie odpowiedział.

Hardin mówił dalej: „I tak jest nie tylko z wami. To choroba całej Galaktyki. Wy, panowie, i połowa ludności Terminusa jesteście tacy sami. Siedzimy tu uważając, że Encyklopedia to wszystko. Sądzimy, że najwyższym osiągnięciem nauki jest sklasyfikowanie dotychczasowej wiedzy. To na pewno jest ważne, ale czy nic więcej nie można już zrobić? Cofamy się i zapominamy, czy nie zauważyliście tego? Tutaj na Peryferiach straciliśmy energię atomową. Na Gamma Andromeda elektrownia wybuchła na skutek złej reperacji, a Kanclerz Imperium narzeka na brak techników atomowych. A rozwiązanie tego problemu? Wyszkolić nowych techników! Nie! Zamiast tego ogranicza się zastosowanie energii atomowej".

Powtórzył po raz trzeci: „Czy nic nie widzicie? To opanowało całą Galaktykę. Nabożna cześć dla przeszłości. Upadek – stagnacja!"

Popatrzył na każdego z nich po kolei, a oni siedzieli z oczyma utkwionymi nieruchomo w jego twarzy.

Fara ocknął się pierwszy. „Cóż, mistycyzm nam nie pomoże. Pomówmy konkretnie. Czy zaprzecza pan, że Hari Seldon mógł z łatwością odgadnąć przyszły bieg historii za pomocą prostych metod psychologicznych?"

„Nie, oczywiście że nie!" – krzyknął Hardin. „Ale nie możemy polegać na tym, że poda nam rozwiązanie. W najlepszym razie, może nam wskazać istotę problemu, ale jeśli w ogóle istnieje jakieś rozwiązanie, musimy znaleźć je sami. Nie może za nas tego zrobić".

Fulham zapytał nagle: „Jak to – wskazać istotę problemu? My przecież wiemy, jaki problem istnieje".

Hardin zwrócił się gwałtownie w jego stronę. „Tak pan myśli? Uważa pan, że Anakreon to jedyna sprawa, o której Henri Seldon myślał? Jestem innego zdania! Powtarzam, panowie, że nadal żaden z was nie ma zielonego pojęcia o tym, co się naprawdę dzieje".

„A pan ma pojęcie?" – zapytał wrogo Pirenne.

„Tak mi się wydaje!" Hardin wstał i odsunął krzesło. Spojrzał na nich twardym i zimnym wzrokiem. „Jedno jest pewne – cała ta sytuacja jest dziwna. Istnieją sprawy poważniejsze niż te, o których rozmawialiśmy. Zadajcie sobie jedno pytanie: „Dlaczego wśród pierwszych osadników w Fundacji nie było żadnego wybitnego psychologa, z wyjątkiem Bora Alurina? I dlaczego on uczył swych studentów jedynie podstaw, uważnie bacząc, by nie dowiedzieli się czegoś więcej".

Po chwili ciszy Fara zapytał: „No tak. Dlaczego?"

„Być może dlatego, że psycholog mógłby zorientować się, o co właściwie chodzi – zbyt szybko, a tego Hari Seldon chciał uniknąć. Postarał się więc o to, żebyśmy znali tylko część prawdy".

Roześmiał się z goryczą. „Do widzenia, panowie!"

W sali z Pierwszą Kasetą stało więcej niż sześć krzeseł, tak jakby oczekiwano liczniejszego zgromadzenia. Hardin zauważył to i usiadł w rogu, jak najdalej od pozostałych pięciu mężczyzn. Był zmęczony.

Członkowie Rady zdawali się być z tego zadowoleni. Rozmawiali ze sobą szeptem, który stopniowo zmienił się w zaledwie szmer i ucichł. Z nich wszystkich tylko Jord Fara wydawał się w miarę spokojny. Wyciągnął zegarek i wpatrywał się w niego posępnie.

Hardin spojrzał na swój zegarek, a potem na szklaną kabinę – zupełnie pustą – która zajmowała połowę sali. Był to jedyny niezwykły element w pokoju i poza nim nic nie wskazywało na to, że gdzieś odrobina radu promieniowała aż do momentu, w którym opadnie zapadka elektroniczna, obwód zostanie zamknięty i...

Przygasło światło.

Nie zgasło, tylko pożółkło i ściemniało tak nagle, że Hardin aż drgnął. Podniósł głowę, by spojrzeć na lampy na suficie, a kiedy ją opuścił, kabina nie była pusta.

Była w niej jakaś postać – postać siedząca w fotelu na kółkach!

Przez chwilę milczała, potem zamknęła trzymaną na kolanach książkę

i pogłaskała jej okładki. Potem uśmiechnęła się i twarz tej postaci ożywiła się.
Usłyszeli głos: „Jestem Hari Seldon". Głos ten brzmiał słabo, jak kogoś starego i zmęczonego.
Hardin omalże nie wstał w odpowiedzi na to przedstawienie się.
Głos kontynuował przyjacielskim tonem: „Nie widzę was, rozumiecie, więc nie mogą was właściwie powitać. Nie wiem nawet, ilu was jest, zatem ceremonia ta odbędzie się raczej nieprzepisowo. Jeśli niektórzy z was stoją, proszę, aby usiedli i jeśli palicie, to zupełnie mi to nie przeszkadza". Roześmiał się. „Dlaczego miałoby to mi przeszkadzać? Właściwie nie ma mnie wśród was".
Hardin prawie automatycznie sięgnął po cygaro, ale rozmyślił się.
Hari Seldon odłożył na bok swoją książkę – tak jakby położył ją na stojącym obok biurku – i kiedy jego palce przestały jej dotykać, zniknęła.

Powiedział: „Minęło pięćdziesiąt lat od chwili założenia tej Fundacji – pięćdziesiąt lat, w czasie których członkowie Fundacji nie zdawali sobie sprawy, do czego dążą. Ta ich nieświadomość była konieczna, ale już taką być przestała.

Zacznijmy od tego, że Fundacja Encyklopedyczna to oszustwo od samego początku!"

Z tyłu za Hardinem ktoś poruszył się i rozległy się stłumione okrzyki, ale Burmistrz nie odwrócił się.

Hariemu Seldonowi nie przeszkodziło to, oczywiście. Mówił dalej: „Jest to oszustwo w tym sensie, że ani mnie, ani moich kolegów nie obchodzi, czy zostanie wydany jakikolwiek tom Encyklopedii. Spełniła już ona swoje zadanie, gdyż dzięki niej uzyskaliśmy Kartę Praw od Imperatora i ściągnęliśmy sto tysięcy naukowców potrzebnych do zrealizowania naszego planu; dzięki niej byli zajęci przez czas, w jakim powstały odpowiednie warunki i zrobiło się zbyt późno, by którykolwiek z nich mógł się wycofać.

W ciągu tych pięćdziesięciu lat, kiedy pracowaliście nad owym oszukańczym projektem – nie ma powodu, by nie nazywać rzeczy po imieniu – droga powrotu została odcięta i nie macie innego wyjścia, jak tylko przystąpić do realizacji niepomiernie ważniejszego projektu, który był i jest waszym prawdziwym celem.

Z tego samego powodu umieściliśmy was na takiej planecie i w takim momencie, żebyście za pięćdziesiąt lat nie mieli możliwości wyboru sposobu postępowania. Od tej chwili, przez wieki możecie podążać tylko w jednym, nieuniknionym kierunku. Na swej drodze spotkacie się z szeregiem kryzysów, teraz właśnie stoicie w obliczu pierwszego, i za każdym razem swoboda waszego działania będzie ograniczona, tak że będziecie zmuszeni do podążania w tylko jednym kierunku.

Kierunku, który opracowaliśmy za pomocą psychologii – i nie bez przyczyny.

Od wieków cywilizację Galaktyki opanowała stagnacja i degeneracja, chociaż tylko nieliczni zdawali sobie z tego sprawę. Ale teraz, nareszcie, Peryferie odłączają się od Imperium i jego polityczna jedność zostanie zachwiana. Któryś rok spośród tych minionych pięćdziesięciu historycy przyszłości uznają za umowną datę Upadku Imperium Galaktycznego.

I będą mieli rację, mimo że mało kto zauważy ten upadek przez kilka najbliższych stuleci.

Po Upadku nastąpi nieunikniony okres barbarzyństwa, okres, który, według naszej psychohistorii, powinien w normalnych warunkach trwać od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy lat. Nie możemy zapobiec upadkowi.

Nie chcemy, gdyż kultura Imperium straciła całą swoją prężność i wartość. Ale możemy skrócić okres barbarzyństwa, który musi potem nastąpić – do zaledwie kilku tysięcy lat.

Szczegółów tego skracania nie możemy wam podać, tak jak nie mogliśmy powiedzieć wam prawdy o Fundacji pięćdziesiąt lat temu. Gdybyście poznali szczegóły, plan mógłby się nie powieść, tak jakby to się stało, gdybyście odkryli oszustwo z Encyklopedią wcześniej, gdyż dzięki waszej wiedzy swoboda waszego działania byłaby większa. Ilość dodatkowych możliwości stałaby się zbyt duża, by nasza psychologia mogła kierować wyborem najwłaściwszej.

Ale nigdy nie odkryjecie tajników naszego działania, dlatego że nie ma wśród was psychologów i nigdy nie było, z wyjątkiem Alurina – a to był nasz człowiek.

Mogę wam powiedzieć tylko tyle: Terminus i Fundacja na przeciwnym krańcu Galaktyki to zarodki Odrodzenia i przyszłe kolebki Drugiego Imperium Galaktycznego. I właśnie obecny kryzys jest początkiem drogi Terminusa do wymienionego przeze mnie celu.

Jest to, nawiasem mówiąc, dość prosty problem, o wiele łatwiejszy niż następne. Wymienię tylko zasadnicze cechy tego kryzysu: jesteście na planecie odciętej od wciąż wysoko rozwiniętego centrum Galaktyki i jesteście zagrożeni przez silniejszych sąsiadów. Jesteście małym światem naukowców, otoczonym przez ogromny i szybko powiększający się obszar barbarzyństwa. Jesteście wyspą energii atomowej na rozprzestrzeniającym się oceanie bardziej prymitywnej energii, ale mimo to jesteście bezradni z powodu braku metali.

Widzicie więc, że znajdujecie się w trudnym położeniu i musicie podjąć jakieś działanie. Sposób działania – to znaczy, rozwiązanie problemu – jest, naturalnie, oczywisty!"

Obraz Hariego Seldona wyciągnął rękę i książka ponownie pojawiła się w niej. Otworzył ją i powiedział:

„Ale jakkolwiek nie potoczy się historia, zawsze pamiętajcie, by przekazać waszym potomkom wiadomość, że droga wasza została wytyczona i u jej kresu leży nowe i wspanialsze Imperium!"

Skierował spojrzenie na książkę i zniknął, a światło znowu stało się jasne. Hardin podniósł głowę i zobaczył stojącego przed nim z tragicznym wyrazem oczu i drżącymi wargami Pirenne'a.

Głos przewodniczącego brzmiał stanowczo, ale bezbarwnie. „Wygląda na to, że miał pan rację. Proszę przyjść o szóstej, Rada chce omówić z panem plan działania".

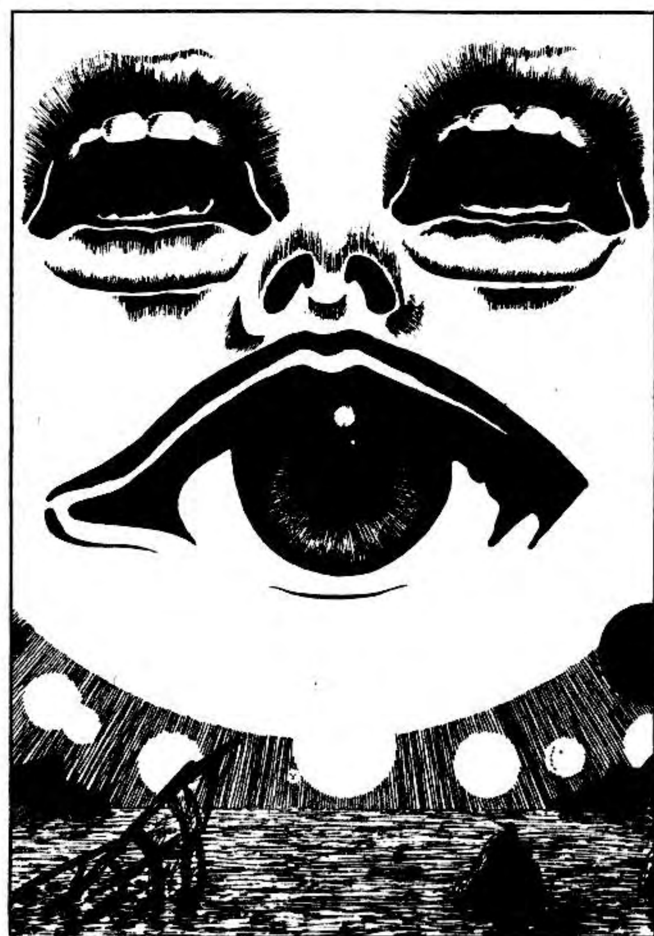
Po kolei podawali mu rękę na pożegnanie i wychodzili. Był to szczery gest z ich strony, gdyż jako uczeni potrafili przyznać się do błędu – ale dla nich było już za późno.

Hardin spojrzał na zegarek. Do tej pory już było po wszystkim. Ludzie Lee opanowali teren i wydawanie rozkazów nie należało już do Rady.

Jutro wylądują pierwsze statki Anakreończyków, ale to też zostało załatwione. Za sześć miesięcy oni z kolei stracą prawo do wydawania rozkazów.

Rzeczywiście, jak powiedział Hari Seldon, a Salvador Hardin odgadł w dniu, kiedy Anselm haut Rodric wyjawił mu, że Anakreon nie ma energii atomowej – sposób wyjścia z pierwszego kryzysu był jasny.
Jasny jak diabli!

Z angielskiego przełożyła:
Anna Miklińska



UCZEŃ DOMOKRĄŻCY

Joan D. Vinge
i Vernor Vinge

Lord Buckry I, Pan na Fyffe, siedział wygodnie na tronie obserwując dwóch najmłodszych synów, którzy pojedynkowali się w pustej Sali Posłuchań. Sztylety mieli drewniane, lecz walka była prawdziwa, i mniejszy chłopiec przegrywał. Lord Buckry bawił się ciężkim, złotym kolczykiem w uchu; szczupły Hanaban o kasztanowych włosach, który odziedziczył powierzchowność i umysłowość po ojcu, był jego cichym ulubieńcem.

Władca Flatlandii był wysokim mężczyzną. Jego kasztanowe, rozczochrane włosy zaczynały już siwieć na skroniach. Niebieskie oczy osadzone w szczupłej, lisiej twarzy nadal patrzyły z niepokojącą ostrością, choć lata doświadczeń nauczyły go skrywać myśli. Już ponad dwadzieścia lat minęło, odkąd objął w posiadanie swe obecne ziemie; nie bez powodu udało mu się przez tak długi czas utrzymać niepewną pozycję władcy.

Teraz w jego oczach błysnęła pochwała, albowiem Hanaban krzyknął – Trace, popatrz! – a gdy brat odwrócił się, zdezorientowany, Hanaban grzmotnął go zdrowo w pierś.

– Hurra! – krzyknął Hanaban zachwycony. Tracę skrzywił się z oburzeniem.

Ojciec zaśmiał się cicho, ale twarz nagle mu się zmieniła, gdy dobiegły go odgłosy zamieszania. Ciężkie drzwi w przeciwległym końcu sali otworzyły się z hukiem. Flatlandzki kurier roztrącił straże, przemierzył wysoką salę, w której jego kroki odbijały się głośnym echem, i zgiął się w ukłonie, z łoskotem uderzając karabinem o podłogę.

– Wasza Wysokość!

Lord Buckry strzelił palcami; zdumione dzieci cicho wymknęły się z sali.

– Wyprostuj się – powiedział niecierpliwie. – Cóż to ma u diabła znaczyć?

– Wasza Wysokość – kurier uniósł zakurzoną twarz, drgnąwszy nieznacznie słysząc przeciągłą wymowę władcy, charakterystyczną dla mieszkańców górzystej Highlandii. – Chodzą słuchy, że nadmorskie królestwa zebrały nową armię. Wojska przekraczają teraz przybrzeżne góry i...

– To niemożliwe. Przepędziliśmy ich zaledwie pół roku temu.

– Wasza Wysokość, na wybrzeżu jest mnóstwo ludzi – jeździec stał ze skruszoną miną. – Tym razem Jayley Sharktooth zawarł pakt z Southlandczykami...

Lord Buckry zesztywniał. – O ile wiem, zawsze skakali sobie do gardła. – Zmarszczył brwi, znowu pociągając za kolczyk. – Jedyne, co ich łączy – to ja! Do licha!

Z roztargnieniem słuchał sprawozdania jeźdźca, potem nagle wstał i po chwili namysłu odesłał kuriera. Gdy ciężkie drzwi komnaty zamknęły się ze zgrzytem, Lord Buckry był już w drodze do windy umieszczonej tuż za szybem wyrzutni pojazdów balistycznych, wyrzutni nie używanej od ponad trzydziestu lat. W swych highlandzkich butach o miękkich podeszwach poruszał się bezszelestnie po zimnej, wypolerowanej podłodze.

Z murów zamku patrzył na szerokie połacie swego dominium, na bogate, zupełnie płaskie ziemie uprawnej doliny, szerokiej na sto mil. Jego południowi i zachodni sąsiedzi bardzo chcieli mieć te ziemie. Było już po orce, pora rozpoczynać wiosenne siewy, nie miał więc czasu na zwoływanie armii. Nieprzyjaciele z pewnością dobrze o tym wiedzieli. Dzień był wyjątkowo pogodny. Lord Buckry spojrzał na wschód, gdzie w taki dzień można było dostrzec szaro-purpurową ścianę odległych gór: Highlandia, miejsce gdzie się urodził, i miejsce, gdzie zdarzyło się coś, co w tej chwili miało dla niego jeszcze większe znaczenie.

Suchy wiatr rozwiewał mu włosy, gdy przemierzał myślą minione trzydzieści lat; jego opalone dłonie zacisnęły się na gładkiej, zielono-czarnej od starości powierzchni muru.

– Niech cię diabli, Panie Jagged – powiedział w przestrzeń. – Gdzie twoje czary, gdy ich potrzebuję?

Domokrążca przybył do Darkwood Corners ze wschodu, w dzień siedemnastych urodzin Wima Buckry'ego. Mimo że było wczesne lato, śnieg zalegający porośnięte sosnowym lasem wzgórze, nad którym przycupnęło miasteczko, iskrzył się jeszcze w słońcu. Zlodowaciały śnieg w wyższych partiach gór zaczynał się wreszcie topić i woda płynęła żlebami, które były suche przez większą część roku. Rzeczka Littlebig zamieniła się w zimny, rwący potok podmywający grunt pod chatami przy północnej stronie drogi. Jeszcze tydzień temu ponad dziesięciometrowa warstwa śniegu zalegała Przełęcz Wschodnią.



Wiktor SADOWSKI

I wydawało się, że spokój spłynął na mieszkańców miasteczka, gdy ujrzeli domokrążcę ciągnącego swój wóz drogą wiodącą do Corners ze wschodu. Wóz był ogromny, miał trzy metry wysokości i pięć metrów długości. Rzeźbione, jaskrawo pomalowane ściany boczne wyginały się ostro ponad kołami i łączyły z dwuspadowym dachem. Wim gapił się zdumiony na te koła, wykonane z jakiegoś bardzo delikatnego drewna, o średnicy przekraczającej jednak półtora metra. Pod ciężarem wozu koła zapadały się w błotnisty trakt na grubość obręczy, ale przebijały się przez błoto bez trudu, nie zostawiając nawet koleiny.

Mimo to, domokrążca szedł zgięty niemal we dwoje z wysiłku. Był niski i przysadzisty, a Wim nigdy jeszcze nie widział tak ciemnej skóry. Spiczasta, czarna broda kupca sterczała pod ostrym kątem, gdy chwiejnie brnął przez błoto, tonąc w nim po kostki. Ale jego spodnie z wyprawionej skóry lśniły ponad łydkami czernią i czystością. Kilka skrofulicznych psów biegało węsząc ostrożnie dookoła wozu; domokrążca nie zwracał na nie uwagi, tak samo jak nie zwracał uwagi na wpatrzonych w niego ludzi.

Wim pchnął pusty kufel w kierunku Ounze Rumpstera, który siedział najbliżej drzwi tawerny.

– Nalej – powiedział. Ounze zaklął, ale podniósł się i zniknął we wnętrzu. Wim nie spuszczał oka z domokrążcy ani na sekundę. Dobrnąwszy do rozszerzenia drogi w centrum miasteczka, ciemnoskóry mężczyzna zatrzymał się w błotnistym grzęzawisku, gdzie kiedyś stał dom wdowy Henley, zanim potok zniszczył go doszczętnie. Wszyscy wpatrywali się teraz w przybysza. Nawet kowal odszedł od paleniska i stał na progu kuźni.

Domokrążca odwrócił się do nich plecami i kopnął hamulec umieszczony z tyłu malowanego wozu. Hamulec opadł w błoto. Kupiec wrócił do przodu pojazdu i poruszył małym kołem osadzonym w desce: na szczycie dachu pojawił się wąski, niebieski proporczyk i zatrzepotał wesoło. Z wozu popłynęła świszcząca melodia, świeża i metaliczna. Na ten dźwięk opustoszała tawerna i reszta mieszkańców wyległa na ulicę. Ounze Rumpster omal nie spadł z drewnianych schodków z wrażenia; usiadł ciężko, podając napełniony kufel Wimowi. Wim nie zwrócił na niego uwagi.

Gdy domokrążca stanął twarzą do tłumu, tajemnicza muzyka urwała się i już tylko potok huczał głośno w ciszy. A potem rozległ się zdumiewający, basowy głos małego człowieczka.

– Nazywam się Jagit Katchetooriantz i handluję towarem misternej roboty. Mam igły, ostrza toporów i noże. Kupicie?

Nacisnął klamkę w ścianie wozu i deska opadła ukazując rzędy lśniących ostrzy oraz igieł tak cienkich, że Wim widział tylko blask odbijającego się w nich słońca.

– Podejdźcie bliżej, popatrzcie, pomacajcie, a potem szczerze mówcie, ile to dla was warte.

Nie trzeba było powtarzać zaproszenia – domokrążcę otoczono w mgnieniu oka. Gdy krąg ludzi zamknął się, handlarz wszedł na mały stopień z boku wozu i znowu był widoczny ponad tłumem.

Chłopcy Wima byli już na nogach, ale on sam siedział nieruchomo z wyrazem uwagi na twarzy.
– Siadać – rzekł półgłosem. – Już wam ślipia wyłażą na wierzch. Łapy przy sobie, bo obedrą nas ze skóry. Za dużo ich. Siadać! – Kopnął w łydkę Bathecara Henleya, który siedział najbliżej. Wszyscy usiedli. – Daj no mi ten twój duży pierścień, Sothead.
Młodszy brat Ounze Rumpstera spojrzał na Wima, po czym podciągnął brudny, wełniany mankiet, ukazując obwieszoną klejnotami dłoń.
– Coś nagle taki gorący, Wim? – rozdrażniony rzucił pierścień na rękę Wima. Wim odwrócił się bez słowa i podał masywną bryłkę złota tłuściutkiej, ładnej dziewczynie Bathecara.
– Słuchaj no, Emmy, pójdziesz do tego wozu i postarasz się kupić kilka noży, nie za długich, o takich – długość pokazał palcami. – Zobacz też, jak są przymocowane do półki.
– Dobra, Wim. – Wstała ze stopnia i wdzięczącym się krokiem ruszyła błotnistą drogą w kierunku tłumu otaczającego wóz kupca. Wim skrzywił się zauważywszy, że czerwona, wełniana sukienka, którą podarował jej Bathecar, jest chyba za ciasna.
A domokrążca gadał dalej, nie mogąc jednak zagłuszyć szumu potoku.
– Wypróbujcie swoje ostrza na moich, przyjaciele. No, śmiało. Ani śladu rysy, co? A teraz podajcie swoją cenę. Wezmę złoto, srebro. Albo narzędzia. Potrzebuję też konia – straciłem swojego na tej piekielnej drodze – wskazał dłonią Przełęcz. Zrobił się niesamowity tłok. Każdy starał się wypróbować błyszczący metal i zaoferować cenę, która zainteresowałaby domokrążcę. Emmy wcisnęła się sprytnie w tłum, a w chwilę później Wim ujrzał jej czerwoną sukienkę tuż przy wozie. Uradowana bawiła się towarami starając się zwrócić na siebie uwagę przybysza.
Hanaban Kroy przesunął swe cielsko na twardym, drewnianym stopniu.
– Coś mi mówi, że ten facet jest z zachodu – powiedział – a przylazł od wschodu, żeby narobić tu zamieszania. Na wschodzie takich noży nie robią.
– Możliwe – Wim nieznacznie skinął głową. Obserwował domokrążcę i bawił się ciężkim kolczykiem, który prawie ginął w jego zmierzwionych, kasztanowych włosach.
Po przeciwnej stronie drogi kupiec zajęty był licytacją z czterema osobami. Ludzie chcieli płacić futrami lub kuszami, ale te rzeczy nie interesowały Jagita Katchetooriantza, co znacznie uszczupliło jego potencjalną klientelę. Mimo że był pochłonięty zawieraniem transakcji, jego bystre ciemne oczy omiatały ulicę. Zatrzymawszy się na grupie obok tawerny, przez chwilę zimno mierzyły Wima.
Domokrążca zdjął z półki kilka ostrzy, najwidoczniej otrzymując w zamian metal. Emmy dostała przynajmniej dwa noże. Potem uniósł ręce do góry, uciszając ludzi.
– Bardzo przepraszam za tak niespodziewaną wizytę. Wiem, że nie mieliście czasu się przygotować, więc dość na dzisiaj. Spotkamy się jutro. Przynieście to, co macie na wymianę. Mogę nawet wziąć kilka futer. Przyprowadźcie też konie, jeśli chcecie. Jestem w potrzebie, więc dam wam dwa albo trzy topory za dobrego konia lub muła. Zgoda?
Nie było zgody. Kilku zawiedzionych próbowało ściągnąć towary z półki. Wim zauważył, że bez powodzenia. Kupiec pociągnął za linkę z przodu wozu i półka schowała się ukazując ludziom rzeźbioną deskę. Gdy tłum się przerzedził, Wim dojrzał Emmy, która poważnie rozmawiała z kupcem ściskając w dłoni dwa noże i kawałek drukowanego materiału.
Domokrążca zdjął z pasa posrebrzany łańcuch, przeciągnął go przez koła wozu i pobliskie drzewo, po czym udał się za Emmą.
Ounze Rumpster prychnął:
– Ten łańcuch to nic. Jednym palcem można dać mu radę.
– Możliwe... – Wim znowu skinął głową nie słuchając go. Jego niebieskie oczy patrzyły lodowato na Emmy, która prowadziła handlarza prosto do tawerny.
– Och, Bathecar, tylko popatrz na te piękne igły, które pan Katchetooriantz mi sprzedał...
Sothead podniósł się z wysiłkiem.
– Ty głupia, mała... Miałaś kupić noże. Noże! A ty dałaś mój pierścień za igły!
Wyrwał materiał z rąk Emmy i zaczął go drzeć na kawałki.
– Hej! – Emmy rzuciła się na niego z pięściami usiłując odebrać zdobycz. – Bathecar, niech on przestanie!
Bathecar i Ounze obezwładnili Sotheada, odebrali igły i materiał.
– Gbur – Emmy wydęła wargi.
Wim zmarszczył brwi i pociągnął z kufla, nadal nie spuszczając oka z domokrążcy. Mężczyzna o śniadej skórze stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i z nieśmiałym uśmiechem przyglądał się kolejno wszystkim członkom bandy. Jego spokojne, czarne oczy widziały wszystko. Takie oczy nie pasują do twarzy tłustego domokrążcy. Wim poczuł się nieswojo, targnięty nagłym niepokojem. Opanował się. Bez sensu byłoby rozpoczynać walkę, której wynik nie jest pewny. Wstał i wyciągnął rękę.
– Nazywam się Wim Buckry, Panie Katchetooriantz. Przepraszam za Sotheada. On jest ciągle pijany.
– Ludzie nazywają mnie Jagit – domokrążca uścisnął dłoń Wima. – Miło mi pana poznać. Panna Emmy mówi, że pan i pana ludzie wynajmujecie się czasem do ochrony takich jak ja.
Stojący za nim Bathecar Hentey otworzył usta ze zdziwienia. Emmy uśmiechnęła się tępawo; od czasu do czasu okazywało się, że nie jest taka głupia na jaką wygląda. Wim skinął poważnie głową.
– Zgadza się, i naprawdę warto skorzystać z naszych usług. W tych górach jest pełno złodziei, ale wystraszą się, jak zobaczą sześć dobrych łuków. – Spojrzał na Sotheada. – Pięć dobrych łuków.
– W takim razie... – pękaty człowieczek uśmiechnął się uprzejmie, i przez chwilę Wim zastanawiał się, jak mógł w ogóle dojrzeć coś nieludzkiego w tej twarzy – ...umowa stoi.

I tak opuścili wysokie wzgórza. Było wczesne lato, które w górach Highlandii przypominało raczej wybuch wiosny. Pod lśniącym, niebieskim niebem ziemia pokryła się zielenią, która wdzierała się w brudne garby topniejącego śniegu i odsłonięte półki starego granitu. Rwące strumyki pędziły śpiewnie przez górskie doliny i spadały z wodospadów i progów, które rozbijały wodę na białą pianę i przeistaczały ją w iskrzące welony na wysokości zaledwie paru centymetrów nad skalnym dnem. Postrzępione szczyty w obramowaniu lodowca oddalały się coraz bardziej, a jednak dzień nie stawał się cieplejszy; lodowata woda utrzymywała wszędzie chłód powietrza.
Domokrążca i jego sześciu „opiekunów" szli ścieżką biegnącą przez głęboki, szumiący las sosnowy oraz górskie łąki, na których rosły jasne gwiaździste kwiaty i kępy niskiej trawy raniącej kostki. Minęli moczary, nad którymi mimo zimnego powietrza unosiły się chmary moskitów. Wysokie mokasyny Wima chlupotały w miękkiej, wilgotnej ziemi.
Późnym popołudniem dotarli do Szlaku Doliny Czarownic, gdzie droga była lepsza i koń ciągnący wóz domokrążcy już się tak nie męczył. Gdzieś przed nimi szedł Ounze Rumpster; tłusty Hanaban, Bathecar i Shorty tworzyli obronę boczną, zaś Sothead Rumpster, już prawie trzeźwy, zamykał tyły. Nawet rabusie, a może szczególnie rabusie, zachowywali ostrożność przeprawiając się przez góry Highlandii.
Jak dotąd, podróż przebiegała spokojnie. Słychać było tylko plusk płynącej wody, szum wiatru, świergot ptaków wśród sosen. Wydawało się, że są sami i że nikt im nie zagraża. Nie spotkali nikogo oprócz jednego rolnika jakieś cztery mile za Darkwood Corners.
Poprzedniego dnia domokrążca wypytywał Wima o okolicę. Chciał wiedzieć, ile ludzi mieszka w pobliżu Corners, z czego żyją. Był trochę rozczarowany dowiedziawszy się, że Highlandię zamieszkują głównie biedni rolnicy i traperzy, albowiem, jak przyznał, jego towary mogą zainteresować raczej bogatych mieszczan. Wim natychmiast podchwycił temat mówiąc, że jest jednym z niewielu Highlandczyków, którzy byli w Wielkiej Dolinie prowadzącej do okazałego miasta Fyffe: dodał też, że on i jego ludzie bardzo chętnie zaprowadzą kupca do Flatlandii – za odpowiednią opłatą. Jeśli odrobina chciwości może ukryć prawdziwe zamiary szajki, tym lepiej. A zadatek w postaci dziwnych srebrnych kulek nabijanych klejnotami sprawił, że ich zainteresowanie planami kupca stało się naprawdę szczere.
Wim spojrzał przez ramię na domokrążcę, który szedł między nim a tarantowatym koniem. Z tej odległości przybysz wyglądał jeszcze bardziej niezwykle niż z daleka. Jego proste, czarne włosy były przycięte nad szyją z niebywałą dokładnością; Wim pomyślał, że domokrążca pewnie obciął je nakładając na głowę donicę. I pachniał jakoś dziwnie, nie żeby nieprzyjemnie, ale raczej jak stare igły sosnowe niż jak człowiek. Wim nigdy nie widział tak delikatnej, srebrnej nitki jak ta, którą zszyta była miękka, skórzana koszula domokrążcy. Dobrze byłoby mieć taką koszulę. – Wim z roztargnieniem szarpał sznur koralików i polerowanego metalu wiszący na jego własnej, znoszonej koszuli płóciennej.
Mimo niskiego wzrostu i tuszy, nieznajomy szedł lekkim krokiem wcale się nie męcząc; przeciwnie, z czasem stawał się coraz bardziej przyjacielski i rozmowny. Lecz gdy dotarli do Doliny Czarownic, znowu zamilkł popatrując najpierw na niezwykłą gładkość ścieżki, a potem na niską, nagą skalną ścianę, która sterczała po jednej stronie wąskiego szlaku.
Przebyli już około pół mili, gdy Wim zaofiarował się z informacjami.
– Jesteśmy w Dolinie Czarownic. Opowiadają, że kiedyś tutejsi znali się na czarach i umieli latać w powietrzu w wymyślnych machinach. Raz jedna taka machina spadła na ziemię, widać czary przestały działać. Opowiadają, że jeszcze dwadzieścia lat temu leżały tu kości i kawałki żelaza, wszystko pordzewiało. Niektórzy mówią, że szlak przez tę dolinę to dzieło sztana.
Jagit nie odpowiedział. Szedł z opuszczoną głową, opierając spiczastą brodę na piersi. Wydawało się, że po raz pierwszy od początku podróży okolica przestała go interesować. W końcu powiedział:
– To kiedy ta latająca machina rozbiła się?
Wim wzruszył ramionami.
– Mój dziadek usłyszał tę historię od swojego dziadka.
– Aha. A słyszałeś może jeszcze o innych... czarach?
Wim postanowił nie mówić domokrążcy, co wiedział o Fyffe. Ten biedak mógłby się przestraszyć i zechcieć zawrócić, co przedwcześnie ujawniłoby plany szajki.
– Są w tych górach czarownice, na przykład kuzynka wdowy Henley, ale na moje oko to szachrajki. Czary? Słyszałem tylko o tych wiedźmach, no

i o nieszczęściach, które, jak mówią, są karą za grzechy – uśmieszek wykrzywił mu wargi. – A czego się pan spodziewał?

– Czegoś więcej niż historyjki o głupawych, marnych wiedźmach, to na pewno. Im bardziej poznaję ten kraj, tym bardziej uświadamiam sobie, że nie jest to miejsce, do którego chciałem wyruszyć.

Następną milę przebyli w milczeniu. Droga przecięła skalną grań. Wysoko w górze, z lewej strony, Wim spostrzegł Hanabana. Zaczerwieniony z wysiłku, machnął im ręką na znak, że wszystko w porządku. Wim odpowiedział na sygnał i wrócił do rozmyślań o tym dziwnym człowieczku, który szedł teraz obok niego. Jakoś nie mógł zapomnieć, jak wczoraj Hanaban powiedział błagalnie: „Wim, ten typ brzydko mi pachnie. Dajmy sobie z nim spokój". Ponieważ Hanaban rozbudził jego wcześniejszy niepokój, rozgniewał się i odpowiedział ostro: „Masz pietra, Han? To, że facet jest dziwny, wcale nie znaczy, że jest groźny". I wiedział, że jego słowa nie przekonały żadnego z nich.

Może odgadując tok jego myśli, a może z innego powodu, domokrążca zaczął znowu mówić. Tym razem jednak nie na temat podróży, lecz raczej o sobie oraz o Sharn, miejscu, skąd pochodził i gdzie działy się tak niewiarygodne cuda, że Wim roześmiałby się, gdyby usłyszał tę historię od kogoś innego.

Albowiem Sharn było krainą, gdzie rządzili prawdziwi czarodzieje, gdzie latające machiny żelazne wcale nie były czymś nadzwyczajnym, bo używano ich powszechnie. Sharn było olbrzymim krajem – ale także miastem, miastem bez ulic, samotnym, lśniącym, czującym kryształem, który włóczniami światła rzuca wyzwanie niebu. Zaś mieszkańcy Sharn, dzięki mocy magicznej, stali się prawie bogami; ubierali się w szaty cienkie jak pajęczyna, niczym błyskawice rzucali się w niebo i słychać było wtedy pioruny, rozmawiali ze sobą na odległość mil. Osiedlili się pod ciepłymi morzami, które wytyczały granice ich ojczyzny; pogoda była im posłuszna, zachowywali młodość przez całe życie. Dzięki mocy czarodziejskiej stali się groźnymi wojownikami i potężnymi zdobywcami, ponieważ potrafili zabijać myślą lub skinieniem głowy. Jeśli obraziła ich góra, niszczyli ją w oka mgnieniu. Wim pomyślał o swojej Highlandii i zadrżał, dotykając kościanej rękojeści noża przywiązanego rzemieniem do nogi.

Jagit przybył do Sharn z krainy o wiele prymitywniejszej, położonej jeszcze dalej na wschód. Pozostał w Sharn i nauczył się sporo miejscowych czarów. Towary, które przywiózł ze sobą, cieszyły się powodzeniem i dobrze na nich zarobił. W czasie pobytu w zaczarowanej krainie przyswoił sobie większość pomniejszych zaklęć sharneńskich. Potem wyjechał w poszukiwaniu rynku dla swoich nowych zdobyczy – miał to być kraj, gdzie znano się na czarach, lecz nie tak dobrze jak w Sharn.

Gdy domokrążca skończył swoją opowieść, Wim zauważył, że słońce prawie już dotykało grzbietu wzgórz położonych na zachód przed nimi. Przez kilka minut szedł popatrując spod przymrużonych powiek w zachodzące słońce, jakby szukał w nim śladów utraconego Sharn.

Szlak skręcił o dziewięćdziesiąt stopni i biegł dalej w dół przecinając małą dolinę. Niebezpieczny drewniany mostek nad strumykiem był prawie niewidoczny w pogłębiającym się mroku. Za mostkiem sosny wspinały się po zaciemnionym wzgórzu aż do zalanego słońcem szczytu. Wzdłuż odległej o milę linii grzbietu kilkanaście potężnych, samotnych drzew stało w świetle, dominując nad lasem.

– Panie Jagit, nigdy jeszcze nie spotkałem tak dobrego kłamcy. – Czując na sobie baczne spojrzenie handlarza, Wim z trudem pokonał strach i wskazał dłonią miejsce po drugiej stronie doliny.

– Tam, za tą granicą, chcemy dziś przenocować. To miejsce nazywa się Gaj Pradziada. Chyba nie widział pan takich wysokich drzew nawet w Sharn!

Domokrążca wpatrywał się w zachodzące słońce.

– Chyba nie – powiedział. – Ale bardzo chętnie je zobaczę.

Opuścili krąg światła i weszli w coraz większy mrok. Wim zauważył wysoki, filcowy kapelusz: to Ounze wyłonił się z cienia po przeciwległej stronie doliny, ale nie było widać żadnego z pozostałych członków bandy. Wim i domokrążca musieli zboczyć ze Szlaku Doliny Czarownic na gorszą drogę i koń znowu z wysiłkiem ciągnął wóz. W niespełna pół godziny jednak doszli do skraju Gaju Pradziada i minęli jedno z niebotycznych drzew, potem drugie i trzecie. Skarlałe, wrzecionowate sosny rosły coraz rzadziej, by wreszcie zniknąć zupełnie. Przed nimi były już tylko drzewa pradziada, których kosmate, prążkowane pnie lśniły rdzawo i złociście w niknących promieniach słońca. Już nie było słychać wiatru, który towarzyszył im w czasie marszu przez dolinę, ani huczenia strumyka, który pozostał za nimi. Zapanowała cisza jak w katedrze: tylko chłodne, nieruchome powietrze i złociste drzewa. Wim przystanął i zadarł głowę do góry, żeby dojrzeć choć najniższe gałęzie, obsypane złocisto-zielonymi igiełkami o ostrym zapachu. To była ich ziemia, a on znał wiele opowieści o tym, jak te drzewa ją chroniły przed szkodliwymi stworzeniami i utrzymywały chłód w powietrzu oraz zapach i łagodną wilgoć gleby przez całe lato.

– To tu – z lewej strony dobiegł stłumiony głos Hanabana.

Okrążyli szeroką na siedem metrów podstawę drzewa i natknęli się na Hanabana i Bathecara, którzy rozpalali małe ognisko przy pomocy podpałki przyniesionej z gór. Wim wiedział, że kora drzew pradziada nie chce się palić. Migocący płomień oświetlił ogromną jamę ciemności za ich plecami: wypatroszony pień potężnego odwiecznego drzewa, który tworzył jaskinię na nocne obozowanie.

Przed zachodem słońca zdążyli zjeść kolację i zmienić straże. Wim przysypał ognisko; polankę oświetlał teraz jedynie sierp księżyca, który przesuwał się śladem słońca w kierunku zachodnim.

Z narastającym rozdrażnieniem zauważył, że domokrążca wcale nie ma zamiaru iść spać. Skrzyżowawszy nogi, kupiec siedział nieruchomo w cieniu wozu; okryty ciemnym płaszczem, który chronił go przed zimnem, był prawie niewidoczny, ale Wim wyczuł, że mały człowieczek wpatruje się w niebo. Milczenie przeciągało się, aż wreszcie Wim pomyślał, że będzie musiał udać, że śpi, bo handlarz może tak siedzieć w nieskończoność. W końcu Jagit wstał, podszedł do tyłu wozu, opuścił maleńką klapę i wyjął dwa przedmioty.

– Co to? – spytał Wim z zaciekawieniem, ale i nieufnością.

– To tylko takie niewinne czary.

Jedno z tych urządzeń, przypominające długi pręt z uchwytem na końcu, położył na ziemi. Wim zbliżył się, gdy domokrążca przyłożył drugi przedmiot do oka. To drugie urządzenie było bardziej skomplikowane: lśniło, prawie skrzyło się w bladym świetle księżyca, Wimowi zaś wydało się, że z boku dojrzał lusterka i dziwne kreseczki. W rurce umieszczonej z boku przesuwała się maleńka bańka powietrza. Domokrążca patrzył przez przyrząd na rozproszone blade gwiazdy prześwitujące między drzewami, wreszcie zaniósł go do wozu i ujął pręt. Wim obserwował go uważnie, gdy kupiec zmierzał w kierunku drzewa-jaskini: ta różdżka trochę za bardzo przypominała mu broń.

Jagit pomanipulował przy uchwycie prętu i niesamowity jęk wypełnił zagajnik. Potem zapadła cisza, ale teraz Wim był pewien, że drugi koniec różdżki wirował. Jagit przytknął wirujący koniuszek do osrebrzonej księżycem kory drzewa i pręt zaczął bez wysiłku wwiercać się w masywny pień.

– To... to te czary z Sharn, panie Jagit? – spytał Wim drżącym głosem.

Domokrążca zaśmiał się cicho kończąc eksperyment.

– To jeszcze nic. Sharneńska sztuka magiczna jest o wiele zmyślniejsza i wygląda znacznie prościej. To jest tylko zwykłe zaklęcie do odczytywania Znaków.

– Aha – Wim lekko zachwiał się na nogach z wrażenia. Ciekawość toczyła w nim walkę ze strachem: w drzewie jaskini widniała wyraźna, głęboka dziura. To, że facet jest dziwny, wcale nie znaczy, że jest groźny... Wim instynktownie skrzyżował palce dla odczynienia uroku. Albowiem wyglądało na to, że domokrążca nie jest największym kłamcą świata, a to by znaczyło...

– Może lepiej sprawdzę, co dzieje się z chłopcami.

Ponieważ Jagit nie odpowiadał, Wim odwrócił się i szybko odszedł, choć naprawdę miał ochotę biec. Minął Ounze'a, na pół ukrytego za gigantycznym pniem. Bez słowa dał mu znak, żeby dalej obserwował domokrążcę i jego wóz. Reszta bandy czekała pod nieco niższym drzewem pradziada, odległym o prawie sto metrów od drzewa-jaskini. Miejsce spotkania zostało uzgodnione jeszcze w Darkwood Corners. Wim szedł spokojnie po sprężystej ziemi obchodząc ruiny czegoś, co kiedyś musiało być jednym z największych drzew w zagajniku: gigant wysoki na przeszło sto metrów, doprowadzony do upadku chorobą i wiekiem. Wielka tarcza zgruchotanych korzeni wznosiła się na wysokość dziesięciu metrów. Wim wyglądał jak karzeł, gdy rzucił się ciężko na ziemię obok Hanabana.

– Ounze i Sothead stoją na straży – szepnął Bathecar Henley.

Wim skinął głową.

– To bez znaczenia. Nie tkniemy tego domokrążcy.

– Co?! – Bathecar aż krzyknął ze zdziwienia. Po czym dodał zniżając nieco głos: – Boisz się jednego człowieka? Jednego człowieka?

Wim uciszył ich groźnym ruchem ręki.

– Będzie jak powiedziałem. Hanaban miał rację – ten Jagit jest diabelnie niebezpieczny. To czarownik – i ma złe oczy. Ma też coś jakby nóż i przecina tym drzewa pradziada na wylot! A ten jego sposób mówienia...

Przerwały mu przekleństwa, które tamci mamrotali. Tylko Hanaban Kroy nie odezwał się ani słowem.

– Zwariowałeś, Wim – odezwał się przysadzisty cień Shorty'ego. – Przeszliśmy dziś piętnaście mil, a ty chcesz nam powiedzieć, że na darmo! Łatwiej byłoby zarobić na roli!

– Coś jednak z tego będziemy mieli, ale wygląda na to, że przez jakiś czas trzeba będzie zachowywać się przyzwoicie. Myślę, że poprowadzimy go jeszcze kawałek, gdzieś do lasu liściastego, a potem grzecznie poprosimy o połowę tego, co obiecał nam w Corners.

– Do diabła, nie mam zamiaru prowadzić nikogo aż tak blisko Doliny – Bathecar zmarszczył czoło.

– W takim razie zawracaj. Ja tu rządzę, Bathecar, pamiętaj. Już i tak zyskaliśmy na tym interesie, dał nam przecież te srebrne kulki...

Coś świsnęło, a potem huknęło: Hanaban padł na ziemię poza cieniem drzewa. W jego gardle tkwiła strzała wypuszczona z kuszy.

Gdy Wim i Bathecar próbowali ukryć się wśród gnijących korzeni, Shorty wstał i burknął:

– Ten przeklęty kupiec.

Zapłacił za to życiem: trzy strzały wbiły się w niego w tej samej chwili i zwalił się na Hanabana.

Wim usłyszał, jak atakujący okrążają ich z hałaśliwą pewnością siebie. Na ile mógł się zorientować, wszyscy byli uzbrojeni w kusze. Jego chłopcy nie mieli szans wobec takiej przewagi. Przedarł się głębiej, rozpychając szponiaste korzenie, poczuł, jak pękł wisiorek i koraliki posypały się przez rękę. Leżący za nim Bathecar zdjął z ramienia kuszę i przygotował się do strzału.
Wim obejrzał się przez ramię i wtedy, przez moment nie dłuższy niż jedno uderzenie serca, widział, jak srebrzysta biel księżycowego krajobrazu zapłonęła ostro zarysowaną niebieską jasnością. Oślepiony, potrząsnął głową zastanawiając się, co to może być. Nagłe wrzaski przywróciły mu poczucie rzeczywistości. Zaczął przeklinać i modlić się jednocześnie.
Napastnicy dotarli już do zwalonego drzewa. Wim usłyszał, jak wdzierają się pomiędzy korzenie i cofnął się głębiej, by uciec spoza zasięgu ich noży. Jeszcze jeden wrzask odbił się echem i jakiś głos zauważył:
– Hej, Rufe, mam tego łotra, co zabił Rockera zeszłej jesieni.
Inny głos odpowiedział:
– W takim razie to już pięciu. Wszyscy oprócz kupca i Wima Buckry'ego.
Wim powstrzymał oddech i zlał się potem. To był głos Axla, najstarszego z braci Bork. W ciągu ostatnich dwóch lat chłopcy Wima udaremnili Borkom wiele kradzieży i tylko dzięki sprytowi Wima udawało im się ujść zemście tych notorycznych złodziei. Ale tej nocy – jak mógł się dać podejść tej nocy? Niech diabli porwą tego domokrążcę!
Znowu doszedł go trzask łamanych gałęzi, tym razem bliżej. Potem nagle czyjeś palce chwyciły go za włosy. Szarpnął się, ale w tej samej chwili dopadł go drugi bandyta i pociągnął za włosy, a potem za kołnierz skórzanej kurtki. Wywleczono go brutalnie z gmatwaniny korzeni i rzucono na ziemię. Poderwał się, ale zanim zrobił krok, ktoś kopnął go w żołądek. Ciężko dysząc, zwalił się na ziemię, czując, jak wyciągają mu nóż z pochwy. Dojrzał trzy niewyraźne postacie. Ten, który stał najbliżej, postawił ciężką nogę na jego brzuchu i powiedział:
– No, no, Wim Buckry. Leż spokojnie, bratku. Udała nam się ta noc, nawet jeśli nie złapiemy domokrążcy. Chytrość was zgubiła, chłopcze. Wykończyliśmy już całą twoją szajkę.
Zadrżał, usłyszawszy ich śmiech.
– Jeszcze trochę i zrobimy to, o czym marzyliśmy przez całe dwa lata.
– Lew, weź go do tej jaskini w drzewie. A jak znajdziemy kupca, pobawimy się troszkę z jednym i z drugim.
Szarpnięciem postawili go na nogi, potem poczuł kopnięcie i runął na ciała Hanabana i Shorty'ego. Poderwał się do ucieczki, ale w tej samej chwili któryś z Borków podstawił mu nogę i skopał. Gdy wreszcie dowlekli go do drzewa-jaskini, jego prawe ramię zwisało bezwładnie, a ciepła, lepka krew zalewała jedno oko.
Borkowie próbowali ponownie rozpalić ognisko. Trzech braci ustawiło się wokół Wima w migocącym świetle płomyków. Nasłuchiwał nadejścia pozostałych, którzy nadal przeszukiwali zagajnik. Zamyślił się ponuro: skoro znaleźli wszystkich jego chłopców, to jak mogli nie zauważyć jednego jedynego wozu stojącego na otwartej przestrzeni?
Jeden z młodszych Borków, który miał niewiele ponad piętnaście lat, zabawiał się tępawo rzucaniem rozpalonych gałązek w twarz Wima. Wim zamierzył się na niego, nie trafił, aż wreszcie któryś z bandy uderzeniem wytrącił płonące drewno z ręki chłopca. Wim przypomniał sobie, że Axl Bork surowo karał za nieposłuszeństwo. Otępiały z bólu i rozpaczy, z trudem odczołgał się od ogniska i oparł o sprężysty pień drzewa. Jednym okiem widział, jak pozostali członkowie bandy wracają z lasu z pustymi rękami. Naliczył sześciu Borków, ale przy słabym świetle płomienia nie mógł rozpoznać ich twarzy. Z całą pewnością jednak nie było wśród nich tego kurdupla Axla. Dwóch bandytów przeszło obok niego i zniknęło w ciemnym wnętrzu drzewa-jaskini. Słyszał, jak czołgając się przeszukiwali zakamarki w końcu korytarza. Domokrążca mógł się tam skryć, ale przecież jego wóz wypełniłby całe wejście do jaskini. Wim znowu zdziwił się, dlaczego Borkowie nie znaleźli wozu; i jeszcze raz przeklął dzień, w którym on sam ujrzał ten wóz po raz pierwszy.
Dwóch mężczyzn wynurzyło się z drzewa w momencie, gdy w malejącym kręgu światła z ogniska pojawił się Axl. Przysadzisty bandyta miał przynajmniej czterdzieści lat, ale w ciągu tych czterdziestu lat zdążył przegrać sporo walk i chodził lekko pochylony, utykając przy tym na jedną nogę. Wim wiedział, że kapelusz opadający mu na czoło skrywał łysą czaszkę zeszpeconą bliznami, a nawet jednym wklęśnięciem. Axl podszedł do ogniska, przez nieuwagę zasypując wątłe płomyki kurzem i niepalną korą.
– Wy syny diablicy i ropuszego kozła z samego dna piekieł, gdzie mieliście oczy? Byliście wszędzie, zsiekliście całą tę przeklętą szajkę, oprócz Wima tutaj. Dlaczego nie znaleźliście kupca?
– Uciekł, Axl, uciekł.
Chłopcu, który wcześniej zabawiał się kosztem Wima, wydawało się, że dokonał odkrycia. Ale Axl był widać innego zdania i ciosem na odlew rzucił chłopca na drzewo.
Jedna z ledwie widocznych postaci przemówiła z wahaniem.
– Coś ci powiem, Axl, tylko nie zrozum mnie źle... ale patrzyłem prosto na to drzewo jaskiniowe, jak ty szukałeś tamtych. Widziałem tego kupca tak wyraźnie jak ciebie teraz, stał przy wozie i koniu. A potem nagle był ten niebieski błysk – mówię ci Axl, naprawdę było widno – i przez minutę nic nie widziałem, a potem, jak znów widziałem, no to... już nie było ani śladu tego obcego.
– Hmm – najstarszy z Borków przyjął tę wiadomość bez wyraźnego gniewu. Podrapał się pod pachą i powłócząc nogami obszedł gasnące ognisko, zmierzając w kierunku Wima.
– Zniknął, ech? Tak po prostu. No, ten tu wygląda na całkiem niezłą nagrodę...
Wyciągnął nagle łapę, schwycił Wima za kołnierz i zawlókł do ogniska. Zatrzymawszy się w kręgu światła, przyciągnął twarz Wima do swojej. Pod szerokim, obwisłym rondem kapelusza jego twarz wyglądała jak pusta czarna dziura. Ten widok był w pewien sposób straszniejszy niż wszelka rzeczywistość.
Widząc przerażenie Wima, roześmiał się zgrzytliwie. Nie odwracał twarzy ku światłu.
– Już od dawna, Wim, chciałem dać ci nauczkę. Ale teraz mogę połączyć interes z przyjemnością. Zaraz zaczniemy cię przypiekać, kawałeczek po kawałeczku, aż nam powiesz, gdzie nawiał twój przyjaciel.

Wim z trudem stłumił skowyt, który narastał mu w gardle: Axl Bork zaczął pomalutku wpychać jego zdrową rękę w ogień. Teraz chciał już tylko wykrzyczeć im całą prawdę, wyznać, że domokrążca nigdy nie wtajemniczył go w swe czary. Ale wiedział, że prawda będzie przyjęta tak samo jak błagania o litość. Jedynym wyjściem jest kłamać, kłamać lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Przypomniał sobie historie, które domokrążca opowiedział mu w ciągu dnia. Już wiedział, co ma mówić.
– No dalej, Axl! Zabaw się. Wiem, że jestem bliski śmierci, ale wy też...
Uścisk nie zelżał, ale sękata dłoń przestała wpychać go w ognisko. Czuł jednak, jak rozpalone powietrze nad żarzącymi się węglami wypieka mu skórę. Zrozpaczony, zapomniał o bólu i strachu.
– Jak myślisz, dlaczego nie wykończyliśmy tego kupca, mając na to cały dzień? Czy dlatego, żeby wpaść w wasze łapy? – Jego śmiech zabrzmiał trochę histerycznie. – Tak naprawdę, to byliśmy nieprzytomni ze strachu! Ten obcy to czarownik, niebezpiecznie z nim zaczynać. Potrafi czytać w myślach, zamącić w głowie i wmówić coś, czego nie ma. On potrafi zabić; wystarczy, że popatrzy w jakiś taki zły sposób. Więc – był teraz w stanie prawdziwego natchnienia – no tak, on mógł nawet zabić jednego z tych twoich zuchwałych kuzynków, a teraz stoi tu i udaje Borka, a wy się o tym dowiecie dopiero, jak położy was trupem...
Axl zaklął i wepchnął dłoń Wima w żarzące się węgle. Tym razem Wim wrzasnął przeraźliwie. Po chwili, która trwała wieczność, Axl puścił jego rękę. Węgielki poruszyły się i ostatni jęzor złego płomienia bluznął z żaru, a potem już tylko wyblakłe, rubinowe punkciki współzawodniczyły ze światłem księżyca. Zapanowało długie milczenie: Wim przygryzł wargi, żeby nie jęczeć. W ciszy słychać było tylko łagodny wietrzyk, który szeleścił wśród ulistnionych koron drzew pradziada, gdzieś na wysokości stu metrów ponad ich głowami. W pobliżu parsknął koń.
– Hej, nie mamy koni – w głosie mówiącego był niepokój.
Siedem postaci stało nieopodal drzewa-jaskini, wewnątrz kręgu cienia obrysowanego delikatnym srebrem zachodzącego księżyca. Stali nieruchomo obserwując się uważnie – i nagle i Wim, i oni zdali sobie sprawę z tego, że powinno być ośmiu krewniaków. Najwyraźniej w czasie ataku domokrążca w jakiś sposób usunął jednego z Borków, tak cicho, tak szybko, że nikt tego nie zauważył. Wim zadrżał przypominając sobie nagle wybuch nierzeczywistego, biało-niebieskiego światła i kwestię, którą właśnie wygłosił na temat domokrążcy. Jeśli jednak Borka można tak łatwo zabić, to dlaczego nie dwóch? W takim razie...
– On jest tutaj i udaje jednego z was! – Wim krzyknął łamiącym się głosem.
I prawie fizycznie poczuł, jak zaczęli się bać jeden drugiego, jak ich przerażenie rosło, aż wreszcie jedna z najniższych postaci rzuciła się do ucieczki. Bork zdążył przebiec około sześciu metrów, gdy strzała przeszyła mu kark. Uciekinier padł skręcony na miękkie, srebrzyste poszycie. Świsnęła druga strzała i następny z braci runął martwy u stóp Wima.
– Zabiłeś Clyna, ty... czarowniku! – Borkowie stali z kuszami gotowymi do strzału.
– Przestać! – krzyknął Axl. Było ich już tylko pięciu: dwa ciała leżały nieruchomo na ziemi. – Ten kupiec rzucił na nas urok. Stać spokojnie! Musimy zobaczyć, którego z nas udaje.
– Ale Axl, on się nie przebrał, jego tu nie ma, przecież poznalibyśmy go... On, on sztuczkami zmusza nas, żebyśmy uwierzyli, że może być każdym!
Uwięziony pod trupem, Wim widział tylko te pięć cieni na tle nocy. Ich twarze były odwrócone od światła, a obszerne ubrania zakrywały wszelkie różnice. Zagryzł wargi, żeby nie wydać nawet najcichszego jęku: nie czas teraz przypominać Borkom o Wimie Buckrym. Straszliwy ból ręki przesunął się w górę ramienia i nagle Wim poczuł, jak ogarnia go przemożna senność, odrywając od niego i tak już zamazany świat. Stracił przytomność.
Gdy ponownie otworzył oczy, na polance stało już tylko trzech mężczyzn: ostatni z trafionych podrygiwał jeszcze na ziemi.
Głos Axla zabrzmiał przeraźliwie z gniewu:
– Ty... potworze! To twoja sprawka, że się zabijamy!
– Nie, Axl, musiałem go zastrzelić. To był kupiec. Przysięgam. Odwróć go.

Popatrz! On zabił Jana, gdy kazałeś nam przestać...
– Czarownik! – krzyknął trzeci głos. – Zabiłeś ich!
Dwóch bandytów uniosło kusze i strzały świsnęły jednocześnie. Obaj padli na ziemię.
Axl długo stał w milczeniu, samotny pośród trupów. Księżyc już zaszedł, a nieliczne gwiazdy były ledwo widoczne ponad kołyszącymi się koronami gigantycznych drzew. Wim leżał cicho jak mysz, czując zapach krwi, potu i przypalonego mięsa. Doszedł go odgłos kroków, coraz bliższych. Nieprzytomny ze strachu podniósł wzrok na ciemną, przysadzistą postać Axla Borka.
– Jeszcze tutaj? Dobrze. – Stopa odziana w czarny but strąciła z niego martwe ciało.
– No, chłopcze, powinienem obejrzeć tę rękę – głos należał do Jagita Katchetooriantza.
– Och – Wim zaczął się trząść. – Och, panie Jagit... tto... pan?
W dłoni domokrążcy, który przybył z Sharn, zabłysło światełko.
Wim zemdlał.

Wczesnym rankiem Gaj Pradziada wypełnił się mglistymi smugami światła. Wim Buckry siedział oparty o wejście do drzewa-jaskini popijając jakiś gorący i gorzki płyn z kubka, który trzymał niezdarnie w zabandażowanej dłoni. Prawą rękę wetknął za pasek od spodni, aby chronić zwichnięte ramię. Ze spokojem popatrzył, jak domokrążca obrządza nakrapianego konia, a potem po raz dziesiąty powiódł wzrokiem po słonecznym zagajniku, gdzie najmniejszy ślad wypadków minionej nocy nie zakłócał spokoju dnia. Jego wczorajsze przerażenie wydało mu się teraz nierzeczywiste jak zły sen i zastanowił się, czy aby nie był to jeszcze jeden czar, podobnie jak ten płyn, który łagodził ból. Spojrzał na spodnie, poplamione zeschniętą krwią. „Zajmę się tym wszystkim", przypomniał sobie słowa domokrążcy. No cóż, to jednak prawda – zginęli wszyscy Borkowie. I wszyscy jego chłopcy. Przez ten moment pomyślał z żalem o klejnotach, które poszły z nimi do ziemi; wzdrygnął się jednak na myśl, że przecież doznał o wiele większej straty.
Domokrążca wrócił do ogniska, które jakiś czas temu z łatwością rozpalił, i zasypał płomień. Wim podciągnął nogi; ciemne oczy kupca patrzyły pytająco na jego posępną twarz.
– Panie Jagged – już nie było śladu szyderstwa w jego głosie – czego pan ode mnie chce?
Jagit otrzepał z kurzu swą skórzaną koszulę.
– No cóż, Wim. Myślę, że może zechcesz dotrzymać naszej umowy.
Wim uniósł zabandażowaną dłoń:
– Niezła ochrona, jeden kaleka.
– Ale ja nie znam drogi przez tę Dolinę, a ty znasz.
Wim roześmiał się z niedowierzaniem.
– Myślę, że pan mógłby dolecieć na księżyc na miotle, i to bez mapy. I, do diabła, przecież nie potrzebna panu ochrona! Dlaczego właściwie wynajął nas pan, Panie Jagged?
Smutek, a potem olśnienie, otrzeźwiły go nagle.
– Pan to wszystko wiedział od początku, prawda? Na co się szykowaliśmy. Zabrał nas pan, żeby obserwować. Ja... my zmieniliśmy zamiar zanim ta banda nas dopadła. Chcieliśmy doprowadzić pana tam, gdzie obiecaliśmy, naprawdę.
– Wiem – domokrążca skinął głową. – Znasz to stare porzekadło: „Co dwie głowy to nie jedna?" Nigdy nic nie wiadomo, Wim. Zawsze możesz się przydać.
Wim wzruszył ramionami: ciekawe, gdzie domokrążca mógł usłyszeć to „stare porzekadło".
– No cóż, lepszej propozycji dziś nie miałem.

Wim i domokrążca wyruszyli w kierunku Wielkiej Doliny. Gdy drzewa pradziada zostały za nimi, szli przez sosnowy las, potem wiecznie zieloną roślinność zastąpiły dęby i jawory. Powietrze stało się cieplejsze i mniej wilgotne. Koło południa Wim dostrzegł rozległą, bursztynowo-zieloną dolinę, prześwitującą między drzewami. Powiedział o tym domokrążcy. Jagit skinął głową, chyba z zadowoleniem, i powrócił do swojego mamrotania, które, jak Wim podejrzewał, miało skrywać jego diabelskie myśli. Jeszcze raz spojrzał na okrągłego, przysadzistego kupca, ostatniego człowieka na świecie, którego można było podejrzewać o posiadanie mocy czarodziejskiej. Ale może właśnie dlatego jego czary były tak przekonujące...
– Panie Jagged? Jak to się robi? To znaczy, jak pan zaczarował tych Borków?
Jagit uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.
– Dobry czarodziej nigdy nie mówi jak. Może powiedzieć co, ale nigdy jak. Musisz patrzeć i sam odgadnąć jak. Tylko tak możesz zostać dobrym czarodziejem.
Wim westchnął, poprawił rękę pod paskiem.
– Myślę, że w takim razie nie chcę wiedzieć.
Domokrążca zaśmiał się cicho.
– W porządku.
Przez cały dzień Wim jednak potajemnie obserwował każdy ruch domokrążcy.

Po wieczornym posiłku Jagit znowu zasiadł przy swoim wozie, ukryty w ciemności. Wyczerpany, Wim wyciągnął się przy ognisku. Zauważył blask różdżki czarodzieja, ale tym razem nawet się nie ruszył, by sprawdzić, co Jagit robi, chociaż na wszelki wypadek skrzyżował dwa palce. Ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, postanowił rozważyć kilka spraw. Wpatrywał się w płomienie, ręka ciągle go bolała.
– A więc droga do doliny zajmie nam jutro około godziny? A potem trzeba pójść na północny zachód, i trafimy na Fyffe?
Wim drgnął na dźwięk głosu domokrążcy.
– Och... taak, tak mi się zdaje. Trzeba iść na północ, i każda droga tam zaprowadzi; wszystkie idą do Fyffe.
– Wszystkie drogi prowadzą do Fyffe? – Domokrążca roześmiał się niespodziewanie, przykucnąwszy przy ognisku.
– Co w tym śmiesznego? – zdziwił się Wim. Każdy panu powie, jak stąd dojść do Fyffe. Myślę, że ja jutro będę wracać. Nigdy nie miałem... nie mieliśmy zamiaru iść tak daleko. My, ludzie z gór, nie bardzo lubimy schodzić do Flatlandii.
– Hm, to szkoda, Wim. – Jagit rzucił gałąź w ognisko. – Coś mi się jednak zdaje, że kiedyś byłeś w Fyffe?
– No taak, byłem... prawie – spojrzał na domokrążcę zdziwiony. – Trzy czy cztery lata temu, jak byłem jeszcze młodzikiem, z ojcem i jeszcze paroma innymi. Wie pan, mój dziadek był kowalem w Darkwood Corners, i zdobył broń.
I nagle Wim zaczął mówić domokrążcy rzeczy, o których wszyscy wiedzieli, a także rzeczy, o których nigdy nikomu nie wspominał. Mówił o tym, jak jego dziadek odkrył proch strzelniczy, jak Highlandczycy uknuli spisek w celu obalenia władców Fyffe i zagarnięcia żyznych ziem doliny. I jak jeźdźcy, uzbrojeni w broń i czary, wyjechali z miasta na ich spotkanie, jak bursztynowe pola zostały zryte i pokryły się czerwienią, a jego ojciec zginął, gdy broń własnej roboty wypaliła mu w twarz. Mówił dalej, jak pokrwawiony chłopiec powrócił do Darkwood Corners z zaciśniętymi ustami i swą opowieścią napełnił mieszkańców strachem przed władcą i panami na Fyffe.
Wim siedział wykręcając boleśnie złoty kolczyk w uchu.
– I... słyszałem jeszcze, że panowie na Fyffe rzucili urok na swoich ludzi, ale my tego nie widzieliśmy, bo nie doszliśmy do samego miasta... Niech się pan zastanowi, czy naprawdę chce pan tam iść.
– Dziękuję za ostrzeżenie, Wim – Jagit skinął głową. – Ale powiem ci jedno: jestem kupcem z zawodu i z powołania. Jeśli nie będę sprzedawać moich towarów, to po co mam żyć, a przecież nie mogę ich sprzedać w tych górach.
– Nie boi się pan, że będą próbowali pana zatrzymać?
Jagit uśmiechnął się.
– Noo, tego nie powiedziałem. Nie znają się na czarach tak dobrze jak ci z Sharn, tego jestem prawie pewien, chociaż kto wie... Podejrzewam jednak, że mogą okazać się mymi najlepszymi klientami – panowie łatwo wydają pieniądze.
Popatrzył na Wima jakby z uznaniem.
– Ale, jak mówię, co dwie głowy to nie jedna. Naprawdę szkoda, że nie chcesz iść ze mną. Ale może rano dojdziemy do porozumienia.
Rankiem domokrążca zaprzągł konia i wyruszył w stronę Wielkiej Doliny. I niezupełnie rozumiejąc dlaczego, Wim Buckry poszedł z nim.

Opuściwszy przyjazną osłonę dębowego lasu, szli na przełaj przez rozległe, kołyszące się wzgórza dojrzewających dzikich traw, aż wreszcie dobili do żłobionego koleinami szlaku wiodącego na północ. Wim zdjął kurtkę i rozpiął koszulę. Jego biała skóra Highlandczyka natychmiast zaczerwieniła się od słońca, które wznosiło się coraz wyżej nad Doliną. Ciemnoskóry domokrążca w skórzanej koszuli uśmiechnął się do niego i Wim z poirytowaniem stwierdził, że kupiec najwyraźniej cieszy się upałem.

Joan D. Vinge urodziła się w 1948 roku. Z wykształcenia jest antropologiem, z zawodu archeologiem. Jako autorka utworów science fiction zadebiutowała w 1973 roku opowiadaniem „Tin Soldier". Debiut był bardzo udany i w krótkim czasie pisarka stała się jedną z najbardziej znanych postaci młodego pokolenia na amerykańskim rynku SF. Na łamach licznych magazynów zaczęły się ukazywać chętnie czytane i wysoko cenione opowiadania przynoszące ich autorce nominacje do John Campbell Award i Jupiter Award. W 1978 roku opowiadanie „Eyes of Amber" przyniosło jej nagrodę HUGO w kategorii opowiadań. W tymże 1978 roku ukazały się pierwsze powieści Joan Vinge: „Fireship" i „The outcasts of heaven belt". Najbardziej znaną powieścią pisarki jest wydana w 1979 roku „The snow quenn", która doczekała się licznych przekładów. Vernor Vinge, urodzony w 1944 roku, profesor matematyki na Uniwersytecie w San Diego, fantastykę naukową traktuje jako przyjemne hobby, karierę literacką pozostawiając swojej żonie. Jako autor krótkich nowel zadebiutował w 1965 roku na łamach New Worlds utworem „Apartness". Od tego czasu opublikował około tuzina opowiadań i dwie powieści: „Grimms world" (1969) i „The witling" (1976). „Uczeń domokrążcy" jest pierwszym wspólnie napisanym utworem.

Około południa dotarli do brukowanej drogi, za którą ciągnęły się zielone, bezkresne pola Flatlandii. Jagit ukląkł i zbadał sprężystą nawierzchnię drogi, po czym ruszyli dalej. Wim niejasno pamiętał tę drogę do Fyffe, której miękki bruk stanowił dziwny luksus dla stopy Highlandczyka. Nie uszło jego uwagi, że dziury w nawierzchni starannie załatano gładkimi kamieniami.
Domokrążca nucił coś pod nosem, ale prawie się nie odzywał, najwyraźniej pochłonięty wyszukiwaniem oznak flatlandzkich czarów. Dobry czarodziej obserwuje... Wim zmusił się, żeby obejrzeć na pół zapomniany krajobraz. Jak okiem sięgnąć, dojrzewające pola i pastwiska pokrywały Dolinę niczym żywa, oszalała szkocka spódniczka w złoto-zieloną kratę, rozpostarta nad żyzną, ciemną ziemią. Gdzieś w oddali dojrzał opalizującą mgiełkę i zastanowił się, czy była to sztuczka magiczna czy tylko sprawa upalnego dnia. Na polach przy drodze pracowali Flatlandczycy. Byli dobrze odżywieni, choć prosto odziani. Ich spalone, łagodne twarze patrzyły na przybyszów bez zainteresowania, zrezygnowane; więcej można by oczekiwać od muła.
Wim zmarszczył czoło.
– Raczej dziwny brak ciekawości, nie sądzi pan?
Domokrążca spojrzał na niego.
– Chyba nie będą dobrymi klientami – dodał Wim, a potem nagle wybuchnął gniewem:
– Niech pan popatrzy na nich! Jak mogli to wszystko zrobić? Wcale nie są lepszymi rolnikami niż my; w górach można urobić sobie ręce po łokcie i nic, same kamienie. A oni, niech pan popatrzy, oni są grubi. Jak to jest, panie Jagged?
– No, zastanów się, Wim, jak oni to robią?
– Myślę... – urwał. Dobrzy czarodzieje dochodzą do tego jak... – No, mają lepszą ziemię.
– Słusznie.
– I... są jeszcze czary.
– Widzisz teraz jakieś czary?
– No, a te strumyki wyłożone gładkimi kamykami, ta tutaj droga... to przecież nie jest naturalne. Ci ludzie wyglądają, jakby byli... zaczarowani, dokładnie jak opowiadano. A może to tylko panowie na Fyffe znają się na czarach – czy to ich mamy się strzec? – Wim skrzyżował palce.
– Niewykluczone. Ale wygląda na to, że będą moimi jedynymi klientami, chyba, że coś się zmieni. – Twarz domokrążcy była bez wyrazu. – Przestań krzyżować palce, Wim; jedyne, co może cię uratować, to szacunek dla wykształconych ludzi.
Wim przestał krzyżować palce. Upłynęło kilka minut, zanim uświadomił sobie, że domokrążca mówi teraz jak prawdziwy Flatlandczyk, i to tak samo dobrze, jak przedtem mówił językiem mieszkańców Highlandii.
Późnym popołudniem dotarli do jednej z rolniczych wiosek, która leżała jak piasta w wielkim kręgu pól. Zatrzymali się przy studni wypełnionej wodą po brzegi. Domokrążca nabrał wody do kubka, a Wim pociągnął łyk wprost z wiadra. Poczuł w ustach smak gorzkiego metalu i splunął przerażony, spoglądając na domokrążcę. Jagit właśnie przesuwał dłonią nad nią, nie, wrzucał coś do kubka: woda spieniła się i przybrała nagle jasnoczerwony kolor. Domokrążca uniósł swe czarne brwi z zainteresowaniem i powoli wylał wodę na ziemię. Wim zbladł i starannie wytarł usta w rękaw.
– Smakuje jak trucizna!
– To nie jest smak trucizny – zaprzeczył Jagit. – Wydaje mi się, że woda jest trochę zanieczyszczona przez rolnictwo. Ale oprócz tego czegoś tu nasypano.
Spojrzał na wieśniaków, którzy mrucząc coś niezrozumiale okrążyli jego wóz.
Barany – Wim skrzywił się z niesmakiem.
Domokrążca wzruszył ramionami.
– Ale za to są zdrowi, bogaci i mądrzy... no, przynajmniej zdrowi i mądrzy... Zdrowi?
Podszedł do wozu i zaoferował swoje towary. Niewielu znalazło się nabywców. Gdy Wim zbliżył się do wozu, by wypić trochę stęchłej górskiej wody z beczki przyczepionej do tyłu pojazdu, usłyszał znowu mruczenie kupca, coś co brzmiało jak inkantacja:
– Fyffe... Fyffe... Dyston-Fyffe, jak oni tu to nazywają... District Town Five?... Niemożliwe – Jagit zmarszczył czoło, pogrążony w myślach. – Ale w końcu, dlaczego by nie?

Przez cały wieczór domokrążca był dziwnie ponury i zamyślony, czasem tylko wyrzucał z siebie przekleństwa w jakimś niezrozumiałym języku. Wreszcie rozbili obóz. Pozostawiony sam sobie, Wim jeszcze raz boleśnie przeżył stratę jedynych przyjaciół, jakich miał. A potem nagle zastanowił się, czy ten ciemnoskóry, milczący nieznajomy, siedzący naprzeciwko niego przy ognisku, dzieli jego samotność; domokrążcy zawsze byli obcymi, nawet jeśli któryś był z nich czarownikiem.
– Panie Jagged, czy ma pan czasem ochotę wracać do domu?
– Do domu? – Jagit spojrzał na niego. – Czasem tak. Może nawet teraz. Ale zaszedłem tak daleko, że jest to chyba niemożliwe. Jeżeli wrócę, wszystko przepadnie.
W świetle płomieni twarz jego przybrała nagle wygląd bardzo starego człowieka.
– To, co składało się na mój dom, przestało istnieć zanim jeszcze wyruszyłem w podróż... Ale może gdzieś to odnajdę.
– Taak... – Wim skinął głową, rozumiejąc jednocześnie więcej i mniej niż sobie uświadamiał. Dziwnie pocieszony, otulił się kocem i zapadł w zdrowy sen.

Różne drobne wydarzenia nie przestawały go dziwić w czasie dalszej podróży, dręczyło go także pytanie „Dlaczego"? Aż wreszcie dokuczliwe uwagi Jagita przemieniły jego podejrzliwy strach w próżną ciekawość, na co Jagit reagował czasem zmarszczeniem czoła, choć nic nie mówił.
Aż trzeciego ranka Wim w końcu oświadczył:
– Wszystko jest sztuczką, trzeba ją tylko przejrzeć. To tak samo, jak z tymi czarownicami z gór. Wszystko ma powód. Myślę, że nie ma żadnych czarów!
Jagit obrzucił go przeciągłym i łagodnym spojrzeniem, a w jego ciemnych oczach zabłysło coś jakby widmo nocy spędzonej w Gaju Pradziada.
– Naprawdę tak myślisz?
Zmieszany, Wim opuścił głowę.
– Magia istnieje, Wim; wszystko wokół nas jest pełne czarów. Ale teraz zaczynasz patrzeć na świat oczami czarodzieja: istotnie, nic się nie dzieje bez powodu. Możesz nie znać przyczyny, ale ona jest. A skoro już wiesz o tym, to rzeczywistość wcale nie staje się mniej magiczna, mniej dziwna lub straszna – po prostu łatwiej sobie z nią poradzić. Nigdy o tym nie zapominaj, gdziekolwiek będziesz... Pamiętaj też, że jest niebezpiecznie wiedzieć mało.
Wim skinął głową, uspokoił się, a potem nagle uszy poczerwieniały mu ze wstydu, bo domokrążca dodał cicho:
– Niebezpiecznie jest też nie wiedzieć wszystkiego.
Trzeciego dnia po południu zobaczyli Fyffe. Z daleka miasto wyglądało jak niewyraźna plama unosząca się nad horyzontem. Wim obejrzał się szukając wzrokiem gór leżących gdzieś poza bezkresną zielenią pól, ale przesłaniała je teraz żółta fatlandzka mgiełka. Spojrzawszy znów na miasto uświadomił sobie, że strach, który opanował go w momencie wejścia w Wielką Dolinę, stawał się coraz mniejszy w miarę, jak zbliżali się do Fyffe krocząc tą obcą-znajomą drogą. W gorącej, dusznej ciszy popołudnia głośno zarżał koń i wtedy Wim zdał sobie sprawę, że ową nowo odnalezioną odwagę zawdzięcza domokrążcy z jego wozem pełnym czarów.
Uśmiechnął się, zginając poparzoną rękę. Jagit nigdy nie przeprosił za to, co zrobił, ale Wim nie był hipokrytą, żeby oczekiwać przeprosin w takich okolicznościach. A poza tym kupiec leczył jego rany jakimiś płynami i siniaki zaczęły znikać, a skóra goiła się prawie w oczach. To prawie tak jak...
Potknął się o kamień wystający na drodze i nagle urwał rozmyślania. Miasto, teraz już lepiej widoczne, leżało obojętne wśród pól i wydłużających się cieni gorącego popołudnia. Starał się przypomnieć sobie, na którym polu jego ojciec... i nagle przerwał te dociekania zauważywszy, że miasto nie ma żadnych murów ani innych widocznych oznak obronności. Dlaczego? Może dlatego, że nie mają się czego bać... Poczuł, jak ciało znowu mu drętwieje z przerażenia. Ale Jagit najwyraźniej był w coraz lepszym nastroju, w miarę jak zbliżali się do celu. Czyżby podjął jakąś decyzję? Jeśli domokrążca jest dobrej myśli, to Wim też będzie. Spojrzał na miasto wzrokiem czarownika i uderzyło go, że jego spojrzenie jest chyba najdziwniejszym wyzwaniem, jakie kiedykolwiek rzucono panom na Fyffe.
Wkroczyli do miasta. Domokrążca sprawiał wrażenie niemal rozczarowanego, za to Wim bezskutecznie usiłował ukryć zdumienie. Gapił się na ciężkie, kamienne i drewniane domy, stojące jeden przy drugim wzdłuż ulicy, wyłożonej kocimi łbami, jedno- i dwupiętrowe domy przesłaniające widok pól. Wzdłuż ulicy ciągnęły się sklepy: zauważył okrągłe okienka z grubego szkła i szyldy, z których łuszczyła się farba. Domyślił się, że nad sklepami mieszkają ludzie. W zwietrzałym kamieniu krawężników widniały wgłębienia wydeptane niezliczoną ilością stóp. Wim zadrżał na myśl o tak wielkiej ilości ludzi – według domokrążcy pięć tysięcy – mieszkających na małym obszarze.
Mijali szaro odzianych i dobrze odżywionych mieszczan i rolników, którzy w chłodzie popołudnia kończyli całodzienny handel. Wima dochodziły czasami odgłosy ożywionego targowania się, ale też zauważył, że pojawienie się dziwacznych przybyszów miasto powitało prawie tak samo obojętnie jak ludność na polach. Przynajmniej dzieci powinny biec za kolorowym wozem... Z niepokojem uprzytomnił sobie, że ani tutaj, ani na polach nie było prawie żadnych dzieci, te zaś, które zauważył, trzymały się blisko rodziców. Wyglądało na to, że domokrążca nie zrobi tu lepszego interesu niż w górach. Jak świnie w chlewie... Rozejrzał się po ulicy.
– A gdzie są świnie?
– Co? – domokrążca spojrzał na niego pytająco.
– Tu jest czysto. Tyle ludzi, wcale nie ma śmieci. Jak to możliwe, jeśli nie trzymają świń, które by żarły odpadki? Ale nie widzę świń. Nie ma też prawie dzieci.
– Hm – domokrążca wzruszył ramionami, uśmiechając się. – Dobre pytanie. Może powinniśmy je zadać panom na Fyffe.
Wim potrząsnął głową. Było to dziwne miasto, a jednak musiał przyznać, że

jak dotąd nie dostrzegł w nim żadnych oznak czarów, czarów potężniejszych i groźniejszych niż te, które widział na polach. Może panowie na Fyffe nie byli tak straszni, jak opowiadano, a ich wojownicy wcale nie byli zaczarowani, tylko po prostu lepiej uzbrojeni?

Ulica ostro skręciła i stłoczone domy ustąpiły miejsca dużemu placowi, na którym stały kryte stragany miejskiego rynku. A za rynkiem – Wim stanął wytrzeszczając oczy. Już wiedział. Za rynkiem stała siedziba panów Fyffe. Gmach był o wiele masywniejszy niż wszystkie znane mu budynki, a w jego pilastrowych, zielono-czarnych murach niczym w ciemnym, złośliwym zwierciadle, odbijał się plac. Budynek miał solidność czegoś, co wyrosło z ziemi, trwałość, która miastu nadawała charakter efemeryczny. Teraz już wiedział, że przygląda się murom w poszukiwaniu siły magicznej, która mogłaby dorównać czarom domokrążcy i miasta Sharn.

Jagit uśmiechał się wyraźnie, choć niezwykle tajemniczo.

– Przepraszam panią – zagadnął przechodzącą kobietę z dzieckiem – jesteśmy tu obcy. Jak się nazywa ten budynek?

– Przecież do Gmach Rządu – odparła kobieta prawie bez zdziwienia.

Wim spojrzał z podziwem na jej kostki okryte pończochami.

– Rozumiem. A co oni tam robią?

Kobieta odruchowo odciągnęła dziewczynkę od wozu.

– Tam są władze i ludzie chodzą tam z petycjami. Oni – chyba rządzą. Lissy, odejdź od tej brudnej bestii.

– Dziękuję. A może zechciałaby pani obejrzeć...

– Nie dziś. Chodź, dziecko, spóźnimy się.

Domokrążca skłonił się przedrzeźniając rozdrażenienie kobiety. Wim westchnął.

– Wydaje mi się, że to nie jest rynek na cuda z Sharn – powiedział Jagit. – Chyba dałem się wywieść w pole. No cóż, teraz nie pozostaje mi już nic innego, jak złożyć wizytę tym panom na Fyffe. Może mam jeszcze coś, co ich zainteresuje. – Patrzył na gmach badawczo, przymrużywszy oczy.

Wim mruknął coś z niezadowoleniem, na co Jagit obejrzał się i wskazał na wydłużające się cienie.

– Już i tak za późno na handel. Może po prostu przejdziemy się – nagle zamilkł.

Wim odwrócił się. W ich kierunku zmierzała grupa składająca się z sześciu mężczyzn: Wim rozpoznał herb widniejący na kapeluszu dowódcy. Słowa uwięzły mu w gardle, gdy milicjanci zdjęli z ramion broń i spokojnie otoczyli wóz, odcinając go od domokrążcy. Dowódca zwrócił się do Jagita tonem z lekka pogardliwym:

– Rząd...

Wim rzucił się na jednego ze strażników, próbując wyrwać mu broń. Zaatakowany wpadł na swego towarzysza i obaj znaleźli się na ziemi. Trzymając karabin za lufę, Wim uderzył trzeciego strażnika w głowę.

– Wim! – znieruchomiał na dźwięk głosu domokrążcy, który stał przy wozie, nie stawiając oporu. – Rzuć broń.

Wim odwrócił się. Widząc jak trzej pozostali strażnicy biorą go na cel, z wyrazem zawodu na twarzy, cisnął broń na ziemię.

– Związać go – powiedział dowódca. – Jak już mówiłem, rząd chce z wami pomówić. Pójdziecie z nami.

Dowódca zrobił krok do tyłu, obojętnie patrząc na strażników, którzy podnosili się na nogi.

Wim skrzywił się z bólu, gdy brutalnie związywano mu ręce z przodu; twarz strażnika była pokiereszowana, ale nie dojrzał w niej śladu mściwości. Szturchnięciem nakazano mu iść obok domokrążcy.

– Czemu nie użyje pan swoich czarów?

– To by nam zaszkodziło – odparł Jagit. – Przecież to oni, władcy Fyffe, przyszli do mnie.

Wim świadomie skrzyżował palce, gdy po zielono-czarnych schodach wchodzili do gmachu Rządu.

Godziny wlokły się w nieskończoność w nudnym pokoju bez okien, gdzie kazano im czekać. Wim szybko znużył się patrzeniem na gładkie ściany i bezdymne lampy. Domokrążca bawił się jakimiś drobiazgami, które znalazł w kieszeni. Gdy strażnicy wreszcie wrócili, aby zabrać ich na bardzo opóźnione spotkanie z władcami Fyffe, Wim wbrew woli zaczynał już drzemać.

Strażnicy pozostawili ich sam na sam z mężczyzną, który siedział za olbrzymim brązowym biurkiem w pokoju o zielonych ścianach.

– No, wreszcie! – mężczyzna wstał uśmiechając się. Miał dobrze ponad pięćdziesiątkę i włosy mu już siwiały. Ubrany był z prostotą mieszkańców miasta, wzrostem dorównywał Wimowi, choć był nieco cięższy. Wim spostrzegł, że w tej uśmiechniętej twarzy nie było ani śladu tępoty widocznej w twarzach strażników.

– Jestem Charl Aydricks i reprezentuję Rząd Światowy. Przepraszam, że musieliście czekać, ale nie było mnie w mieście. Śledziliśmy waszą podróż z pewnym zainteresowaniem.

Wim zadał sobie pytanie, za kogo u diabła ten biedak gubernator się uważa, twierdząc, że Flatlandia jest całym światem. Rozejrzał się po pustym pokoju oświetlonym lampami. Na biurku gubernatora zauważył jedyną jak dotąd oznakę przepychu – dziwną kulę inkrustowaną metalami, w kolorze niebieskim, ale z brązowymi i zielonymi pasami, przymocowaną do złotej podstawki. Z rosnącym zainteresowaniem zastanawiał się, gdzie mogą być pozostali panowie na Fyffe; Aydricks był sam, nawet bez straży... I nagle Wim przypomniał sobie, że kimkolwiek ten człowiek nie był, to nade wszystko był przecież czarownikiem, tak samo jak domokrążca.

Jagit skłonił się uprzejmie:

– Jagit Katchetooriantz, do usług. Kupiec z zawodu. Pochlebia mi pańskie zainteresowanie. A to jest mój uczeń...

– Wim Buckry – szacujące spojrzenie gubernatora przeniosło się nieoczekiwanie na Wima. – Tak, pamiętamy cię, Wim. Muszę przyznać, że jestem zdziwiony, widząc cię tu znowu. Ale też cieszę się... Chcieliśmy cię dostać w nasze ręce.

Po twarzy Aydricksa przemknął wyraz wielkiego zainteresowania. Wim tęsknie spojrzał na zamknięte drzwi.

– Proszę, usiądźcie. – Gubernator wrócił na swoje miejsce. – Rzadko mamy tak... niezwykłych gości.

Jagit usiadł spokojnie, Wim zaś opadł na fotel czując nagle miękkość w kolanach. Usadowiwszy się poczuł, że jakaś siła popycha go w dół. Poderwał się jak wystraszony źrebak, ale w tej chwili coś wepchnęło go z powrotem na miejsce. Z trudem chwytając powietrze opadł na fotel pokonany i wtedy ucisk zelżał.

Jagit popatrzył na niego ze współczuciem, potem skierował wzrok na gubernatora. Wim zauważył, jak palce domokrążcy zaciskają się bezradnie na poręczy fotela.

– Pan chyba nie sądzi, że jesteśmy groźni? – w głosie domokrążcy zabrzmiała lekka drwina.

– My wiemy, do jakich mocy odwoływał się pan w Gaju Pradziada – gubernator przybrał nagle ostry ton.

– Nie do wiary! Mogłem się zresztą tego spodziewać – Jagit wytrzymał spojrzenie gubernatora. – A więc wreszcie mam do czynienia z techniką najwyższej klasy. Sądzę, że moje towary mogłyby was zainteresować...

– Z pewnością je obejrzymy. Ale bądźmy szczerzy, dobrze? Z pana taki sam domokrążca jak ze mnie, jestem o tym absolutnie przekonany. A gdyby pan rzeczywiście przybył ze wschodu – skądkolwiek – wiedzielibyśmy o tym; nasza służba informacyjna funkcjonuje bez zarzutu. Pojawił się pan w Rezerwacie Highlandzkim po prostu nie wiadomo skąd. Pan przybywa z miejsca, którego nie ma na ziemi, prawda?

Jagit milczał, patrząc wyczekująco. Wim wlepił wzrok w chropowatą zieleń ściany próbując zapomnieć, że jest świadkiem rozmowy czarowników.

Aydricks poruszył się niecierpliwie.

– Tego miejsca nie ma na ziemi. Nasza kolonia księżycowa nie istnieje już od dawna, co znaczy, że nie przybywa pan z żadnej planety naszego układu. Pozostają jedynie Stracone Kolonie – przybyłeś z jednej z kolonii imperium, Jagit, z innego systemu gwiezdnego. Ale jeśli sądziłeś, że nas zaskoczysz po tylu latach, to pomyliłeś się.

Jagit nieznacznie wzruszył ramionami.

– Nie, wcale tak nie myślałem. Ale też nie przewidziałem wielu innych rzeczy. Wszystko przybrało zupełnie inny obrót niż oczekiwałem...

Chcąc nie chcąc Wim przysłuchiwał się tej rozmowie w niemym zdumieniu. Czyżby poza jego światem istniały jakieś inne światy, które wyglądają jak iskierki w przepastnej czerni nocy nad ziemią? Czy to właśnie gdzieś tam, daleko poza tą niebieskością, którą ludzie nazywają niebem, miało być Sharn ze swymi cudami?

– Rzecz jasna – kontynuował gubernator – stanowisz bezprecedensowe i wyjątkowo niebezpieczne zagrożenie dla Rządu Światowego. My naprawdę jesteśmy rządem światowym, rządem, który utrzymuje pokój i stabilność od tysięcy lat. Nasz kosmiczny system obronny czuwa nad tym, żeby nikt z zewnątrz nie zakłócił nam spokoju. No i mieliśmy spokój aż do dziś. Jesteś pierwszą osobą, która wtargnęła w nasz system i nawet nie wiemy, jak to zrobiłeś. Tego właśnie chcemy się dowiedzieć, musimy się dowiedzieć. Mniejsza o to, kogo reprezentujesz i skąd przybywasz, i po co; chcemy przede wszystkim wiedzieć, jak się tu dostałeś. Nie możemy dopuścić do tego, by cokolwiek zniszczyło naszą stabilność.

Aydricks pochylił się nad biurkiem i kurczowo zacisnął palce wokół podstawki dziwnej metalowej kuli. Wim stracił wszelką nadzieję uświadomiwszy sobie, że jakimś cudem gubernator zna każdy sekret domokrążcy. Jagit nie był nieomylny, tym razem zaś dał się złapać w pułapkę.

Ale Jagit nie wyglądał na przestraszonego.

– Jeśli tak bardzo cenicie swą stabilność, to chyba czas najwyższy, by ją ktoś naruszył.

– Bierzemy to pod uwagę – Aydricks wyprostował się w fotelu przybierając pogardliwy wyraz twarzy. – Ale nie ty to zrobisz. Mieliśmy dziesięć tysięcy lat na udoskonalenie systemu i jak dotąd nikt nie pomieszał nam szyków. Położyliśmy wreszcie kres całym tysiącom lat bezsensownego marnotrawstwa na tym świecie...

Dziesięć tysięcy lat? Słuchając dalej Aydricksa, Wim starał się pojąć jeszcze jedną prawdę, która z trudem docierała do jego świadomości:

Albowiem historia ludzkości to cud powstający na cudzie od nieprawdopodobnych tysięcy lat, to potężne cykle wypełnione mniejszymi cyklami. Kiedy cywilizacja osiągnęła wreszcie etap, na którym każde marzenie przemieniało się w rzeczywistość, człowiek wysłał swoich potomków do

gwiazd, ale tylko po to, by przez swą własną głupotę wtrącić się na powrót w otchłań zatraty, bo ludzie zaczynali zapominać o tym, że są ludźmi i rzeczywistość stała się koszmarem. A potem, z wolna, cykl znowu się zmieniał i po jakimś czasie ludzkość osiągała nowy wysoki poziom rozwoju, którego, jak na ironię, nigdy nie potrafiła utrzymać. Tworząc, człowiek nigdy nie mógł oprzeć się pokusie niszczenia i zawsze udawało mu się znaleźć środki wiodące do zagłady całkowitej.

I było tak aż do czasu ostatniego wielkiego imperium cyklicznego, kiedy to pewna grupa panujących zauważyła, że cykl zbliża się do punktu kulminacyjnego i że nowy upadek jest nieunikniony. Ludzie ci podjęli środki przeciwdziałania: narzucili światu nowy porządek, porządek bezmodelowej stabilności na niskim poziomie, i na tym świat się zatrzymał.

– ... I dzięki nam świat przetrwał dziesięć tysięcy lat w stanie wolnym od walki i cierpienia. Nic się nie zmieniło, dosłownie nic. Jestem jednym z pierwotnych założycieli Rządu Światowego.

Wim spojrzał z niedowierzaniem na uśmiechniętą twarz gubernatora, w której nie było nic szczególnego oprócz oczu, zdradzających fanatyzm i cechy nieprawdopodobnej starości.

– Dobrze się trzymasz – rzekł Jagit.

Gubernator wybuchnął szczerym śmiechem.

– To nie jest moje prawdziwe ciało. Przy pomocy sieci komputerowej potrafimy przekazywać pamięć w stanie nie skażonym ciału „następcy": komuś, kto jest młody i pełen możliwości. Gdy tylko znajdujemy odpowiednią osobowość, wciągamy ją w większą całość i jednostka staje się wskrzeszoną częścią nas. Oto dlaczego śledziłem Wima: on ma cechy, które pozwolą uczynić zeń wspaniałego gubernatora.

Uśmiech niezwykłego zainteresowania znów pojawił się na twarzy Aydricksa. Wim zacisnął związane dłonie – niewidzialna siła pchnęła go z powrotem na fotel. Nie potrafił ukryć zdumienia. Aydricks obserwował go z rozbawieniem.

– Inicjatywa techniczna i agresja psychiczna są podstawowymi czynnikami, które prowadzą do rozchwiania społeczeństwa – kontynuował. – Aby utrzymać stabilność, musimy zgnieść te cechy osobowości, utrzymujemy więc grupy kontrolne, które są odizolowane od wszelkich zewnętrznych wpływów – przykładem są mieszkańcy Highlandii. W ten sposób zapewniamy sobie źródło takich typów osobowości, jakie są nam potrzebne. Ale system jako całość jest naprawdę dobrze zorganizowany. Sieć komputerowa zapewnia nam trwanie, a także technikę, łączność oraz... źródła energii, które są niezbędne do zachowania stabilności. My z kolei zapewniamy trwałość komputerowi, ponieważ zachowujemy wiedzę, dzięki której może on funkcjonować bez przerwy. Ten system może trwać wiecznie.


ilustrował Wiktor SADOWSKI

Wim spojrzał na domokrążcę szukając w jego twarzy otuchy, ale odwrócił głowę, gdy Jagit odezwał się ponuro:

– I wydaje się wam, że ja powinienem docenić ten wyczyn. Docenić to, że przez dziesięć tysięcy lat manipulowaliście losem każdego stworzenia na tej planecie dla swych własnych celów i że macie zamiar robić to w nieskończoność?

– Ależ to dla ich dobra, czy nie rozumiesz? My nic nie chcemy dla siebie, żadnego zysku, żadnej nagrody oprócz pewności, że ludność już nigdy nie wpędzi się w barbarzyństwo, że cykl bezsensownego marnotrawstwa, wzrostu i upadku, został wreszcie na ziemi powstrzymany. Ludzie są bezpieczni, ich świat jest niezmienny, widzą, że przyszłe generacje mogą być spokojne o swój byt. Czy świat może się poszczycić takim osiągnięciem? Pomyśl, ile to już lat minęło od chwili, gdy wyruszyłeś w podróż – czy jest tam jeszcze jakaś cywilizacja, do której mógłbyś powrócić?

Jagit z trudem zachował spokój, a potem uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

– Pozostaje jednak faktem, że cykl wzrostu i upadku jest naturalnym porządkiem rzeczy, tak jak życie i śmierć. Ten cykl daje ludzkości szansę osiągnięcia nowych szczytów, a staremu porządkowi przynosi czystą śmierć. Zastój to śpiączka – nie ma dołów, ale nie ma też gór, nie ma wyboru.

Coś mi się zdaje, że Sharn wolałby czystą śmierć niż...

– Sharn? Co wiesz o tym imperium? – gubernator pochylił się ku domokrążcy, wyzbywając się wszelkiej uprzejmości.

– Sharn? – zdumiał się Wim, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Tam, skąd przybywam, wiedziano wszystko o Sharn. Kryształowe niebo, którego serce przestało bić. Gra Trzech. Zaobserwowano nawet bieg wydarzeń, które mogą doprowadzić do upadku, choć nikt nie spodziewał się tak pełnego sukcesu.

– Noo, to jest coraz bardziej interesujące – głos gubernatora stał się twardy. Tym bardziej, że jest niemożliwe, by ktokolwiek z zewnątrz mógł znać historię ostatnich lat tego imperium. Ale podejrzewam, że w ten sposób będziemy tylko mnożyć pytania. Czas już poznać kilka odpowiedzi.

Wim wtulił się w fotel, przerażony wizją tortur. Ale gubernator obrzucił go tylko spojrzeniem w którym był jakby głód, po czym podszedł do Jagita i umieścił na jego głowie lśniącą, misternie wykonaną metalową obręcz.

– Będziecie zaskoczeni wynikami – twarz Jagita była spokojna, choć Wim wyczuł w jego głosie napięcie.

Gubernator wrócił na miejsce.

– Och, nie sądzę. Właśnie podłączyłem cię do komputera.

Jagit znieruchomiał ze zdumienia, lecz natychmiast opanował się, przywołując na twarz lekki uśmiech. Gubernator jednak zdążył zauważyć zmianę.

– Gdy tylko komputer zacznie działać, będzie ci bardzo trudno ukryć myśli. Komputer jest szybki i nigdy nie zawodzi, choć, niestety, nie mogę zagwarantować, że nie zwariujesz.

Domokrążca przestał się uśmiechać.

– Pełna cywilizacja – powiedział spokojnie. Napotkał pytające spojrzenie Wima.

– No cóż, Wim, pamiętasz, co ci mówiłem. Nawet krzyżowanie palców nie pomogło, prawda?

– Tak, panie Jagged – odpowiedział Wim zrezygnowanym tonem. Pomyślał, że pewno nie będzie miał okazji już nic zapamiętać.

Nagle domokrążca stracił oddech, zamknął oczy i osunął się bezwładnie w fotelu.

– Panie Jagged? – szepnął Wim.

Nie było odpowiedzi. Pozostawiony sam sobie Wim zachodził w głowę, co za straszliwe zaklęcie siedzi w metalowej koronie i czy zaboli, gdy komputer – a licho wie, co się za tym kryje – połknie jego własną duszę.

– Podłączyłeś monitory? Wszystkie obwody? Tak, transmisja bezpośrednia.

Wydawało się, że gubernator przemawia do biurka. Zawahał się, jakby nasłuchując, potem zapatrzył się w przestrzeń.

Wim zdał się teraz na łaskę losu i siedział bezwładnie w fotelu. Nie bał się już i nie zwracał uwagi na dwóch mężczyzn, którzy sprawiali wrażenie zahipnotyzowanych. W zielonym pokoju zapadła cisza. Nagle światła zamigotały i przygasły. Wim otworzył szeroko oczy czując, że niewidzialna siła, która więziła go dotąd w fotelu, jakby nieco osłabła. Po chwili jednak, gdy zapaliły się światła, siła znów zaczęła działać. Z niewiadomego powodu gubernator zmarszczył czoło, nadal wpatrując się w przestrzeń. Wim próbował bezskutecznie uwolnić związane ręce. Jeśli w tym pokoju rzeczywiście działają jakieś czary, to przed chwilą na moment przestały działać, więc następnym razem będzie gotów... Spojrzał na Jagita. Czyżby się uśmiechał?

– Tu Obwód Osiemnasty. Aydricks, co się dzieje?

Wim wzdrygnął się. W kręgu światła na tle ściany pojawiła się nagle głowa rudowłosego młodzieńca. Mrugając oczami, gubernator spojrzał na zjawę.

– Odbiór jest zniekształcony. Te dane nie mogą być prawdziwe, wynika z nich, że on jest... – upiorna twarz zamigotała, a głos utonął w dźwięku jak gdyby przelewającej się wody – ...diabła, co się dzieje z transmisją? Czy on jest dobrze podłączony? Nie dostajemy teraz żadnych informacji...

Na ścianie ukazała się twarz starca o skórze jeszcze ciemniejszej niż skóra domokrążcy oraz twarz kobiety w średnim wieku. Starzec i kobieta byli wyraźnie zaniepokojeni. I wtedy właśnie Wim uświadomił sobie, że widzi pozostałych władców Fyffe – w istocie władców całego świata – obecnych tutaj, a jednak jakby nieobecnych, bo przeniesionych za pomocą czarów z najdalszych krańców ziemi. Rudowłosy duch przyjrzał się Wimowi, który skulił się pod gniewnym spojrzeniem młodo-starych oczu, a potem przeniósł wzrok na Jagita. Zmarszczył czoło, jego twarz wyrażała namysł, potem zdziwienie, wreszcie niedowierzanie.

– Nie, to niemożliwe!

– Co jest niemożliwe? – Aydricks zaniepokoił się.

– Znam tego człowieka.

Czarnowłosa kobieta zwróciła się do ducha:

– Jak to go znasz?
– Ja też go znam! – jeszcze jedna ciemna twarz pojawiła się na tle ściany. – On jest z Sharn, z imperium. Ale... czy to możliwe, żeby po dziesięciu tysiącach lat wyglądał tak samo?... Aydricks! Pamiętasz tego człowieka od Sztuk Prymitywnych, był sławny, spędził... – głos stał się niewyraźny – ...musimy się go pozbyć z systemu łączności, on zna wszystkie kody, on... – upiorna twarz zdematerializowała się całkowicie.
Aydricks spojrzał z wściekłością na nieruchomą postać domokrążcy, potem przeniósł wzrok na gubernatorów.
Twarze pojawiały się i znikały. Tak, to on...
– Powstrzymaj go, Aydricks! – kobieta zaczęła krzyczeć. – On nas zniszczy! Zmienia teraz kody, przerywa połączenia!
– Nie mogę go odłączyć!
– Teraz jest na mojej linii, tracę kon... – rudy duch zniknął.
– Powstrzymaj go, Aydricks, bo spalimy Fyffe!
– Jagged! Uważaj! – Wim zaczął się szamotać ze swymi niewidzialnymi pętami, zauważywszy, że gubernator z wyrazem ponurego postanowienia na twarzy sięga po metalowy globus. Wiedział, że Aydricks chce rozwalić czaszkę kupca i że bezradne ciało uwięzione w fotelu nie jest w stanie się obronić.
– Jagged, obudź się!
Aydricks był już blisko. Zrozpaczony, Wim podstawił mu nogę, ale gubernator tylko potknął się. Jeszcze jedna twarz zniknęła ze ściany, po czym zgasły światła. Uwolniony Wim ześliznął się z fotela i sięgnął po nóż zapominając, że zabrali mu go strażnicy. Pod gasnącym spojrzeniem duchów widocznych jeszcze na ścianie Aydricks niezdarnie zmierzał ku domokrążcy.
Wim rzucił się pod nogi Aydricksa i chwycił go za kostkę dokładnie w momencie, gdy światła ponownie rozbłysły. Miotając przekleństwa, gubernator odwrócił się, by go kopnąć, lecz Wim zdążył się podnieść i odskoczyć, unikając ciosu ciężką statuetką.
– Aydricks, powstrzymaj go!
Przejęty nagłym gniewem, Wim wykrztusił:
– Do diabła, nie uda ci się tym razem!
Gdy gubernator odwrócił się plecami, Wim zaatakował go od tyłu. Aydricks zachwiał się i wtedy Wim zarzucił mu spętane ręce na głowę. Próbując wyswobodzić się, Aydricks upuścił kulę w momencie, gdy szarpnął się do tyłu, chcąc zrzucić atakującego na biurko. Wim jęknął uderzywszy kręgosłupem o krawędź mebla i stracił równowagę. Upadając, podciągnął kolana do góry. Rozległ się głośny trzask: to gubernator wylądował obok niego i znieruchomiał. Wim ukląkł; wiekowe oczy przeszyły go spojrzeniem pełnym oskarżenia i strachu.
– Nie. Och nie.
Oczy stały się szkliste.
W tydzień po swych siedemnastych urodzinach Wim Buckry zabił człowieka liczącego dziesięć tysięcy lat. Nieświadomie, dopomógł też w zniszczeniu imperium. W pokoju zapanowała cisza. Ostatnia z twarzy władców świata zniknęła już dawno ze ściany. Wim podnosił się powoli z wyrazem obrzydzenia na twarzy: wszystkie czary świata nie przyniosły temu czarownikowi nic dobrego. Podszedł do Jagita, który jeszcze był w transie, i uniósł dłonie, chcąc zdjąć metalową koronę i przerwać czary. I zawahał się, targnięty nagłą niepewnością. Czy przerwanie czarów obudzi domokrążcę czy zabije? Muszą się przecież stąd wydostać, ale może lepiej mu teraz nie przeszkadzać. Domyślił się, że Jagit w jakiś sposób walczy z transem. Opuścił ręce i stanął niezdecydowany. Czekał.
Po chwili znów wyciągnął dłonie ku metalowej obręczy, ale natychmiast odskoczył, bo Jagit niespodziewanie uśmiechnął się do niego. Ciemne oczy otworzyły się, domokrążca westchnął, wyprostował się w fotelu i delikatnie zdjął metalową obręcz.
– Cieszę się, że czekałeś. Chyba nigdy nie zrozumiesz, jak bardzo się cieszę.
Wim uśmiechnął się z ulgą, szczerze. Jagit chwiejnie stanął na nogi, spojrzał na ciało Aydricksa i pokręcił głową. Na jego twarzy malowało się znużenie.
– A nie mówiłem, że możesz się przydać? – powiedział. Wim stał spokojnie podczas gdy domokrążca, który liczył tyle samo lat co Sharn, rozplątywał sznury na jego krwawiących nadgarstkach.
– No to załatwiliśmy sprawę. Jesteś gotów do drogi? Nie mamy zbyt dużo czasu.
W odpowiedzi Wim skierował się ku drzwiom, otworzył je i niespodziewanie stanął oko w oko ze strażnikiem, którego nikt nie wzywał. Pięść Wima trafiła w otwartą ze zdziwienia gębę, strażnik zachwiał się i nieprzytomny runął na podłogę. Wim podniósł jego karabin. Jagit zatrzymał się w progu i wskazał w głąb mrocznego korytarza.
– A gdzie są ludzie? – spytał Wim.
– Miejmy nadzieję, że w łóżkach. Jest czwarta trzydzieści rano. Nikt chyba nie podniesie alarmu.
Wim roześmiał się beztrosko i powiedział:
– To o wiele prostsze niż ucieczka przed Borkami.
– Jeszcze nie uciekliśmy, a już może być za późno. Te twarze ze ściany próbowały zrzucić na Fyffe... kawałek słońca. Myślę, że im przeszkodziłem, ale nie jestem wcale pewien. Jeśli nie udało mi się, nie chcę się o tym przekonać.
Szerokimi schodami zeszli do sali, gdzie w dzień gromadzili się petenci. Wim zrobił kilka kroków, które odbiły się w pustej sali, ale Jagit, wpatrzony w jakiś punkt na ścianie, przywołał go z powrotem. Innymi schodami zeszli w studnię ciemności, rozświetlaną magicznym światełkiem domokrążcy. Przy końcu schodów drogę blokowały drzwi, zamknięte na głucho. Jagit zachmurzył się, a w chwilę później skierował snop niebieskiego światła na metalową płytkę w drzwiach. Drzwi otworzyły się.
Znaleźli się w małej, słabo oświetlonej niszy, którą wypełniały trzy fotele wyściełane ciężkimi poduszkami, ustawione dookoła dziwacznego stołu. Fotele sprawiały wrażenie przytwierdzonych do podłogi. Wim poczuł się jak uwięziony.
– Siadaj, Wim. Dzięki Bogu, nie pomyliłem się. Ta wieża to wyrzutnia pojazdów balistycznych. Zapnij pasy, zaraz z niej skorzystamy.
Wim niezdarnie zapinał pasy bojąc się zastanowić nad znaczeniem słów domokrążcy. Ciężkie wewnętrzne drzwi zamknęły się odcinając pokoik od reszty świata. Dlaczego nie opuszczali budynku, dlaczego nie biegli? W jaki sposób... Coś go pchnęło w poduszki fotela, coś jak delikatna, ale nalegająca dłoń. Pomyślał, że to jeszcze jedna pułapka, ale ucisk trwał, uświadomił sobie, że tym razem działa na niego jakaś zupełnie inna siła. A potem, spoglądając w przestrzeń ponad uważną twarzą Jagita, Wim ujrzał, że zamiast pustych ścian otaczało ich teraz rozgwieżdżone nocne niebo. Wychylił się z fotela – i pod stopami dostrzegł miasto Fyffe, zmniejszające się z każdym uderzeniem serca, niknące w coraz głębszej ciemności. Patrzył na świat wzrokiem orła – leciał... Wyprostował się w fotelu i poszukał stopami bezpiecznej trwałości niewidzialnej podłogi, ale podłogi nie było. Teraz już żadna siła nie pchała go w dół, już zupełnie nic nie czuł. Jego ciało unosiło się biernie pod pasami, lżejsze od ptaka. Spojrzał w gwiazdy i wydał cichy okrzyk nieprawdopodobnego zdumienia. Patrzył, jak jasność zaczyna rosnąć nad ciemną linią horyzontu, jak z każdą sekundą zagarnia coraz szersze połacie nieba i przesłania gwiazdy delikatnymi barwami świtu. Przymknął oczy, bo nagle płonąca twarz słońca wystrzeliła ponad krawędź świata i z niepojętą prędkością oraz niesamowitym blaskiem zaczęła wdzierać się w niebo, na którym uparcie panowała czerń nocy. Wreszcie ukazała się cała kula słoneczna i pięła się dalej w nieprzeniknione ciemności, ale teraz, z lewej strony nad horyzontem, Wim dostrzegł cienką smugę niebieskiego nieba, choć jasnożółty blask świtu jeszcze oświetlał środek widnokręgu. W ciemnościach ponad horyzontem słońce ustroiło się w strzelistą koronę gwiazdy przyćmiewającej wszystkie inne, a w dole, na skraju widnokręgu, Wim ujrzał świat, który wchodził w dzień. Sam horyzont zaś nie był linią prostą, ale z obu stron łagodnie wyginał się ku dołowi... Pod stopami Wima rozpościerały się nadal nieprzeniknione ciemności, które pochłonęły Fyffe. Westchnął.
– Wspaniały widok – pochylony dotąd nad połyskującym blatem Jagit wyprostował się w fotelu, unosząc się nieco ponad poduszkami. Na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.
– Pan też to widzi? – spytał Wim ochryple.
Domokrążca potwierdził skinieniem głowy.
– Za pierwszym razem miałem takie samo uczucie. Myślę, że wszyscy tak reagują. Ten widok jest nagrodą dla każdej cywilizacji, która osiągnie etap lotów kosmicznych.
Wim nie znalazł słów, by odpowiedzieć. Łukowaty horyzont przemieścił się nieco, a w chwilę później Wim zaobserwował jeszcze jedną zmianę: wolno, lecz dostrzegalnie, słońce zaczęło przesuwać się wstecz swoim własnym śladem w kierunku punktu świtu, z którego się narodziło. Nagle doznał olśnienia: to nie słońce, lecz oni przesuwali się, opadając ze szczytów chwały w ciemność tego świata. Czekał, aż słońce opuści czarne i nieprzyjazne nieba i zniknie w miejscu, w którym wzeszło, a jego poświatę ponownie pochłonie noc. Na widnokręgu zapanowała czerń i znowu ukazały się gwiazdy. Wim opadł na siedzenie, jak gdyby odzyskując świat. Nagle, pod wpływem zderzenia, kabina zatrzęsła się i przechyliła, a potem wszelki ruch ustał.
Wim siedział nieruchomo nic nie rozumiejąc. Po chwili drzwi rozsunęły się i powiew chłodnego, rześkiego powietrza nocnego wdarł się do środka.
– No i tego samego dnia dotarliśmy do domu – powiedział Jagit ze znużeniem, niezdarnie odpinając pasy.
Wim nie czekał. Instynktownie wyswobodził się z pasów i ruszył ku drzwiom. I nagle zatrzymał się, widząc, że drzwi nie znajdują się na poziomie ziemi. Stopami wyczuł drabinę. Zstępując z ostatniego szczebla usłyszał chrzęst przemieszczającego się żwiru. W ciszy słychać było jeszcze westchnienie lodowatego wiatru i plusk wody. Gdy jego oczy oswoiły się już z ciemnością, powiedziały mu to, o czym wiedział za pomocą innych zmysłów: był w domu. Co prawda nie w Darkwood Corners, ale na pewno gdzieś w swojej rodzinnej, okrutnie pięknej Highlandii. Dookoła wznosiły się strzeliste wierzchołki gór, przesłaniając gwiazdy. Ale dużo gwiazd lśniło na gładkiej powierzchni jeziora: drżały leciutko i on też drżał na zimnym wietrze, lepki od potu pod cienką koszulą. Stał na kamieniach górskiej przełęczy gdzieś ponad linią drzew; od strony wschodu powracał dzień, zabarwiając niebo widoczne pomiędzy szczytami na kolor szaro-różowy.

Usłyszał hałas. Odwrócił się i ujrzał Jagita schodzącego powoli na ziemię. Z zewnątrz komnata czarodzieja miała kształt ściętej kuli karabinowej. Jagit niósł broń zabraną strażnikowi, opierając się na niej jak na lasce.
– No, moje umiejętności nawigacyjne jeszcze mnie nie zawiodły – Jagit przetarł oczy, przeciągnął się.
Wim przypomniał sobie, że kiedyś, bardzo dawno temu, powiedział coś o podróżowaniu na księżyc miotłą, i znowu popatrzył na świt, tym razem przesuwający się prawidłowo i spokojnie w górę coraz jaśniejszego nieba.
– Przylecieliśmy tutaj. Prawda, panie Jagged? – zęby zaczęły mu dzwonić.
– Jak ptak. Tylko że... przy-przylecieliśmy z bardzo daleka – urwał, przestraszony własnym odkryciem. Na moment doszedł w nim do głosu przesądny lęk całego życia, że nie ma prawa wiedzieć o rzeczach, które widział, ani też wierzyć w nie. Słowa wybuchnęły buntowniczym pędem: – Tak. Właśnie tak. Z bardzo daleka, z innego świata. I... i to wszystko prawda: że świat jest okrągły jak kamień i że są jeszcze inne światy, sam mi pan to przecież mówił, gdzie mieszkają tacy sami ludzie. Widziałem też, że słońce jest jak wszystkie inne gwiazdy, tylko większe... – zmarszczył czoło.
– Czy... czy jest bliżej? Ja...
Jagit uśmiechnął się ukazując rząd białych zębów w gęstwinie czarnej brody:
– Czarodziej, pierwsza klasa.
Wim spojrzał w niebo.
– To przechodzi wszelkie pojęcie – powiedział miękko. Potem, przypomniawszy sobie o bardziej praktycznych sprawach, rzekł:
– A co z tymi duchami? Czy będą nas ścigać?
Jagit wykonał przeczący ruch głową.
– Nie. Myślę, że unieszkodliwiłem te duchy na zawsze. Ich system łączności jest w większości nie do użytku, bo pozmieniałem słowa kodu. Sieć komputerowa jest przerwana, a kosmiczny system obrony musiał wysiąść na dobre, skoro nie zniszczyli Fyffe. Rzekłbym, że to już kres Rządu Światowego, choć oni jeszcze o tym nie wiedzą. Mogą istnieć jeszcze kilkaset lat, ale w końcu rząd upadnie. W ich wielkiej „machinie stabilności" wreszcie coś zaczyna zgrzytać... Wydaje mi się, że już nie pojawią się w tych stronach, by użyć swych czarów.
Wim myślał przez chwilę, a potem rzekł z nadzieją w głosie:
– Czy pan też wróci, żeby rządzić, panie Jagged? I odczarować Flatlandczyków? Moglibyśmy...
Ale domokrążca zaprzeczył ruchem głowy.
– Nie, Wim. Obawiam się, że to mnie nie interesuje. Chciałem jedynie położyć kres panowaniu tych szarlatanów nad światem, no i już to zrobiłem.
– Więc... chce pan powiedzieć, że pan naprawdę zrobił wszystko to za darmo? Ryzykował pan życiem tylko dlatego, że, jak pan powiedział, to nie jest w porządku, że rzucili urok na ludzi, którzy nie potrafili się obronić? Zrobił pan to dla nas – i nic pan nie chce? Pan chyba zwariował.
Jagit roześmiał się.
– To niezupełnie tak. Powiedziałem ci już: tak naprawdę, to chcę tylko podziwiać nowe widoki i sprzedawać moje towary. Rząd Światowy zaś nie przysłużył się moim interesom.
Wim napotkał spojrzenie domokrążcy, potem niezdecydowanie odwrócił wzrok.
– Gdzie się pan teraz wybiera? – spytał. Był prawie pewien, że w odpowiedzi usłyszy: wracam do gwiazd.
– Wracam do łóżka – odrzekł Jagit, po czym ruszył w stronę kamienistego wzniesienia nad jeziorem. Gestem przywołał Wima do siebie.
Ciężko oddychając w rozrzedzonym powietrzu, Wim wspinał się śladem domokrążcy aż do wielkiego usypiska głazów przed nagą granitową ścianą. Dopiero gdy stanęli tuż przy samej ścianie, Wim zauważył ukryte w skale wejście do jaskini. Otwór był dziwnie symetryczny, mroczne wnętrze zaś skrzyło się jakby mglistym tęczowym blaskiem. Rozcierając zziębnięte dłonie, Wim wpatrywał się w jaskinię nic nie rozumiejąc.
– Oto skąd przybyłem, Wim. Nie ze wschodu, jak myślałeś, ani nie z kosmosu, jak myślał gubernator – domokrążca wskazał ciemne wejście. – Widzisz, Rząd Światowy pomylił się co do mnie. Byli pewni, że musiałem przybyć z miejsca poza ich kontrolą. A ja w istocie byłem cały czas na ziemi: ta jaskinia jest moim domem od pięćdziesięciu siedmiu tysięcy lat. Jest w niej pewien rodzaj magii, która za każdym razem układa mnie do „zaczarowanego" snu na pięć lub dziesięć tysięcy lat. A w międzyczasie świat się zmienia. Gdy nastąpi już wiele zmian, budzę się i wychodzę zobaczyć. W tym właśnie celu udałem się dziesięć tysięcy lat temu do Sharn, zabierając z sobą dzieła sztuki z wcześniejszego, prymitywniejszego okresu; cieszyły się wzięciem, a ja stałem się czymś w rodzaju znakomitości. W ten sposób zyskałem dostęp do nowych towarów – moich sharneńskich zaklęć – by zanieść je gdzie indziej, gdy świat znów się zmieni.
– Problem z Rządem Światowym polegał na tym, że przerwali naturalne cykle historii, od których jestem uzależniony, co wytrąciło mnie z rytmu. Ze stabilności zrobili taką naukę, że byli w stanie zachować statyczność świata przez pięćdziesiąt lub sto tysięcy lat. Gdyby w grę wchodziło dziesięć lub piętnaście tysięcy lat, mógłbym tu wrócić i przeczekać ich, ale pięćdziesiąt tysięcy to za długo. Musiałem wprawić rzeczy w ruch na nowo, bo inaczej straciłbym interes.
Wim zadrżał, gdy w wyobraźni ujrzał wieki, które oddzielają go od domokrążcy, które oddzielają domokrążcę od wszystkiego, co kiedykolwiek było lub będzie udziałem człowieka. Jakiej wiary trzeba, jakiej osobowości, by samotnie stawić światu czoła? Jakie względy nim kierują? Przecież musi być coś, co czyni to wszystko wartym zachodu...
– W świecie zaszły takie zmiany, Wim, o jakich potomkom Sharn nawet się nie śniło. Każdy kolejny zenit ludzkości napawa mnie zdumieniem... Teraz się rozstaniemy. Byłeś lepszym przewodnikiem, niż myślałem. Dziękuję ci. Wydaje mi się, że Darkwood Corners jest o dwa lub trzy dni drogi stąd, idąc na północny zachód.
Wim zawahał się, trochę z obawy, trochę z żalu.
– Czy mogę z panem pójść?
Jagit zaprzeczył ruchem głowy.
– Od tej chwili miejsca starczy tylko dla jednego. Ale widziałeś już więcej cudów niż większość ludzi; myślę też, że się czegoś nauczyłeś. Będziesz miał na pewno mnóstwo okazji, by użyć swej wiedzy. Pomogłeś zmienić swój świat, Wim; co masz zamiar teraz zrobić?
Wim stał milcząc, niezdecydowany. Jagit rzucił mu karabin.
Wim pochwycił broń, a jego twarz zaczął powoli rozjaśniać radosny uśmiech.
– Do widzenia, Wim.
– Do widzenia, panie Jagged.
Wim patrzył jak domokrążca oddala się w kierunku jaskini.
Przy samym wejściu Jagit zawahał się i obejrzał.
– Wim, w tej jaskini jest więcej dziwów, niż ci się kiedykolwiek śniło. Nie było mnie tu tak długo, bo jestem naiwny. Niech cię nie kuszą te cuda.
Jego sylwetka widniała przez chwilę na tle tęczy, po czym zanurzył się w ciemność.
Wim długo stał przy wejściu. Wreszcie, zmarznięty, ruszył z powrotem w dół kamiennego zbocza. Zatrzymał się na chwilę nad brzegiem lustrzanego jeziora, potem obejrzał się i popatrzył na czarodziejski pojazd w kształcie kuli, wreszcie jeszcze raz na skalną ścianę. Wschodzące słońce obmywało ją złocistym światłem, ale teraz już nie był nawet pewien, gdzie jest jaskinia.
Z westchnieniem zarzucił karabin na ramię i wyruszył w długą podróż do domu.

Lord Buckry westchnął. Wspomnienia powoli oddalały się, zabierając z sobą dręczące pragnienie, by odszukać kryjówkę domokrążcy, pragnienie, które nie opuszczało go przez trzydzieści lat. W jaskini można by znaleźć rozwiązanie każdego problemu, z którym miał do czynienia w życiu. Ale mimo to nigdy nie odważył się wystawić na próbę ostrzeżenia Jagita. Nie tyle z powodu niebezpieczeństwa – chociaż z pewnością istniało i było śmiertelne – ile z powodu przekonania, że bez względu na to, jak wiele osiągnie w życiu, to i tak jego sukcesy będą efemeryczne, będą niczym w porównaniu z dokonaniem człowieka, którego życie było tak długie jak połowa życia ludzkości. W jaskini domokrążcy znajduje się to wszystko, co przekracza możliwości zwykłego człowieka, i dlatego Lord Buckry nigdy nie spróbuje wedrzeć się w jej tajemnicę.
Zajął się więc tym, co realne, i zmagał się z trudnościami, licząc tylko na własne siły oraz kierując się dziwnie trzeźwym spojrzeniem na rzeczywistość, którego nauczył się od domokrążcy. Każdy problem rozwiązywał sam, bo musiał, a teraz nie pozostało mu nic innego jak po prostu rozwiązać jeszcze ten jeden.
Z dumą posiadacza spojrzał na lud zebrany na placu, na swoje miasto Fyffe otoczone teraz mocnymi murami... Więc Zachód i Południe połączyły się, i to tylko z jednego jedynego powodu, który, niestety, sprawia, że zadawnione uczucia wrogości przestały się liczyć. A gdyby tak ponownie rozbudzić tę skrytą nienawiść... Kilka zręcznie sformułowanych plotek i zjednoczeni wrogowie rzucą się sobie do gardła. Może nie będzie nawet musiał zwoływać swojej armii. Tak, tak można by załatwić tę sprawę. A potem...
Lord Buckry uśmiechnął się. Całe życie marzył o tym, żeby pojechać nad morze.

Z angielskiego przełożyła:
Ewa Ćwirko-Paniłowska

■

Powieści do wycięcia

Powieści w naszym piśmie postanowiliśmy drukować w taki sposób, żeby strony można było wyciąć (choćby przy pomocy żyletki) i ułożyć na kształt książki. Ostatnia strona „Fantastyki" stanowi okładkę dla tak skompletowanej powieści. Mamy nadzieję, że dzięki takiemu zabiegowi przyczynimy się nieco do zmniejszenia deficytu na rynku wydawniczym pozycji SF, a jednocześnie ułatwimy Czytelnikom kompletowanie ich własnych biblioteczek.

– Oni mają w całym wszechświecie jedynego Boga – odpowiedziałem. Uśmiechnął się tylko.
– W porządku, Robb – odeszliśmy od okna. – Zapamiętam to. I odnajdę dla ciebie twoją Lyannę.
Głos załamał mi się.
– Lyanna jest dla mnie stracona i dla innych też. Wiem to na pewno. Ja również podążę jej śladem, jeżeli będę czekał. Wyjeżdżam dziś w nocy. Zamawiam miejsce na pierwszym statku do Balduru.
Skinął głową.
– Jak chcesz. Twoje honorarium jest przygotowane. Jak tylko znajdziemy Lyannę, odeślemy ją do ciebie. Obawiam się, że będzie w nie najlepszym stanie, ale to już twoje zmartwienie.
Nie odpowiedziałem. Wzruszyłem tylko ramionami i poszedłem w kierunku windy. Zatrzymał mnie.
– Zaczekaj – powiedział. – Co z naszym obiadem? Dobrze wywiązałeś się ze swego zadania. Będzie to pożegnalne przyjęcie i dla nas. Laurie także wyjeżdża.
– Przykro mi.
– Dlaczego niby ma być ci przykro? Laurie jest piękna i tracę ją. Ale nie ma tragedii. Są inni piękni ludzie. Shkeen nie służyła jej najwyraźniej.
Z powodu bólu i zaszłych wrażeń zapomniałem prawie zupełnie o moim Talencie. Przypomniałem sobie o nim teraz. Przeczytałem Valcaranghiego... Nie było w nim smutku ani rozpaczy, po prostu zawód. A ponad tym wszystkim jego ochronna powłoka, izolująca go od otoczenia. Był przyjacielem wszystkich, chociaż tak naprawdę dla nikogo nie istniał. Nosił w sobie ostrzeżenie – zatrzymaj się, dalej wstęp wzbroniony.
– Chodź z nami, powinno być przyjemnie.
Zgodziłem się.

Sam sobie zadałem pytanie, już po opuszczeniu planety, dlaczego właściwie wyjeżdżam.
Być może po to, by wrócić do domu? Na Baldurze, na jednym z mniej rozwiniętych kontynentów – jest mój dom. Za sąsiedztwo wystarcza mi natura. Dom stoi na skale powyżej wodospadu, który spada w głębię doliny i niknie w zielonej tafli jeziora. Lyanna i ja pływaliśmy tam często, oczekując na dalsze zadania. Po kąpieli leżeliśmy w cieniu pomarańczowych drzew i kochaliśmy się na srebrzystym dywanie mchu. Może wracam właśnie do tego, ale bez Lyanny, i nigdy nie będzie tak jak przedtem.
Bóg. Jeżeli wierzyłem w to, co mówiłem Valcarenghiemu, to dlaczego nie poszedłem za Lyanną?
Może dlatego, że nie jestem pewien samego siebie, że ciągle żyję nadzieją, iż znajdę większą miłość, większą od tej, którą można spotkać w Unii? Może wierzę jeszcze w Boga, o którym tak dawno temu mi opowiadano? Ryzykuję, bo jeszcze część mnie samego czegoś szuka, a jeżeli mylę się, pozostanie mi samotna równina... A może chodzi o coś innego – coś, co zobaczyłem w Valcarenghim, co kazało mi wątpić w to, co mówiłem...
Człowiek znaczy przecież więcej niż Shkeen. Przynajmniej w pewnym sensie tak jest. Są ludzie tacy jak Dino, Gourlay, Lyanna i Gustaffson. Boją się, a jednocześnie pożądają Zjednoczenia się w sobie. Shkeenowie nie mają tego typu rozterek. Jeśli tak, to ludzie muszą iść inną drogą. Muszą odnaleźć własną odpowiedź na pytanie: jak kochać się, w jaki sposób stać się jednym i jak pozostać człowiekiem.
Nie potępiam Valcarenghiego, ale i też nie zazdroszczę mu. W gruncie rzeczy krzyczy on z rozpaczy i nikt o tym nie wie, nawet on sam, nikt nigdy nie przeniknie go do końca. Pozostanie samotny i nieszczęśliwy.
Widzisz, Lyanno, jest we mnie cząstka i jego, i ciebie – i dlatego odszedłem, chociaż tak bardzo cię kochałem.
Laurie Blackburn leciała tym samym statkiem. Zaraz po starcie zjedliśmy obiad, a potem rozmawialiśmy długo nad szklanką wina. Nie znaleźliśmy w tej rozmowie szczęścia, była to zwykła, ludzka rozmowa. Oboje potrzebowaliśmy kogoś.
A potem poszliśmy do mojej kabiny i kochaliśmy się tak gwałtownie, jak tylko potrafiliśmy. I nastąpiła ciemność i leżeliśmy całą noc w swych ramionach – rozmawiając.

KONIEC

Tym razem obiad zjedliśmy w biurze Valcarenghiego, oczywiście po wniesieniu dodatkowych krzeseł. Jak się dowiedzieliśmy jego mieszkanie znajdowało się piętro niżej, lecz, zgodnie ze zwyczajem, gości wolał podejmować w biurze, skąd roztaczał się wspaniały widok.
Było nas pięcioro – sami znajomi – ja, Lyanna, Valcarenghi i Laurie plus Gourlay. Laurie pilnowała kuchni, w czym nadzorował ją sam Valcarenghi. Podano befsztyk z bydła wykarmionego na paszach ze Starej Ziemi i fantastyczny zestaw jarzyn – grzyby ze Starej Ziemi, groundpips z Balduru oraz sweethorne ze Shkeen. Dino lubił eksperymenty. Ten zestaw był jednym z jego ostatnich osiągnięć.
Złożyliśmy szczegółowy raport z naszych dziennych poczynań. Tylko czasami Valcarenghi przerywał nam swymi dociekliwymi pytaniami. Po obiedzie uprzątnięto naczynia i zasiedliśmy wokół barku do drinka. Rozmowa toczyła się nadal. Tym razem to ja i Lyanna zadawaliśmy pytania, na które w większości odpowiadał Gourlay, a Valcarenghi przysłuchiwał się siedząc na poduszce na podłodze. Jedną ręką obejmował Laurie, w drugiej trzymał kieliszek wina.
Jak dowiedzieliśmy się od Gourlaya – nie byliśmy pierwszymi Talentami, którzy odwiedzili planetę, nie byliśmy też pierwszymi, którzy twierdzili, że Shkeenowie są podobni do ludzi.
– Przypuśćmy, że to podobieństwo posiada pewne znaczenie – mówił – ale faktem jest, że to nie są jednak ludzie. Przede wszystkim mają znacznie bardziej rozwinięty instynkt społeczny. Współpracują ze sobą w każdej dziedzinie. Uważają, że nawet handel polega na wzajemnej współpracy, na dzieleniu się z innymi.
Valcarenghi uśmiechnął się.
– Tak, wiem coś na ten temat. Cały dzień spędziłem na pertrakcjach z grupą farmerów, którzy poprzednio z nami kooperowali. Nie jest to łatwe, musicie mi wierzyć. Oferują mnóstwo towarów, ile tylko zechcemy, czasami nawet bez uprzedzenia. Za to w przyszłości chcą w zamian wszystko, co im się spodoba. I sądzą, że jest to możliwe. Dla nich to naturalne, za każdym więc razem, muszę wybierać między możliwościami: albo wręczyć im zobowiązanie in blanco, albo zdecydować się na piekło, które ostatecznie przekonuje ich, że jestem patologicznym egoistą.
Lyanna ciągle nie była zadowolona z wyjaśnień.
– A jak wygląda u nich sprawa seksu? Z tego co tłumaczyliście podczas wczorajszego zebrania, odniosłam wrażenie, że są raczej monogamistami.
– Według potocznych wyobrażeń nie jest to łatwy problem – mówił w dalszym ciągu Gourlay. – Dla nich seks oznacza dzielenie się. Dobrze jest, gdy dzieli się każdy z każdym. Dzielenie musi poza tym spełniać pewne warunki, by uznać je za wartościowe – musi być rzeczywiste i znaczące, a to stwarza dodatkowe perturbacje.
Laurie wyprostowała się, pełna skupienia.
– Zajmowałam się tym – oznajmiła. – Moralność Shkeenów wymaga miłości w stosunku do każdego. Ideał ten w rzeczywistości jest trudno osiągalny. Są na to zbyt „ludzcy", zbyt zaborczy. Wiążą się w związki monogamiczne, ponieważ naprawdę głębokie zjednoczenie seksualne jest daleko bardziej według nich wartościowe, niż duża liczba płytkich kontaktów z wieloma osobami. Idealny Shkeen byłby w stanie kochać się z każdym i w każdym zaangażować się tak głęboko jak my w jednej osobie. Mimo to, jakoś nie potrafią tego ideału osiągnąć.
Zmarszczyłem brwi, usiłując sobie coś przypomnieć.
– A czy na tym zebraniu przypadkiem nie żałował ktoś, że zdradził żonę?
Laurie przytaknęła żywo.
– Tak, ale jego wina polegała na tym, że ten drugi związek spowodował rozluźnienie związku

uczuciowego z jego żoną. Na tym polegała jego zdrada. Gdyby udało mu się zaangażować z inną, bez zaniku uczuć w stosunku do żony, nie miałoby to istotnego znaczenia. Gdyby wszystkie jego związki były powiązane z uczuciem miłości do każdego z obiektów, wówczas byłoby to osiągnięcie, a jego żona byłaby z niego dumna.

– Jednym z najcięższych przewinień jest pozostawienie kogoś w samotności – wtrącił Gourlay. – Chodzi mi o samotność emocjonalną.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim, podczas gdy Gourlay kontynuował wątek:

– Shkeenowie tylko nieliczne rzeczy uważają za przestępstwa... stąd nie ma u nich problemu z przestępczością. W ich nieciekawej, monotonnej historii nie znajdziecie morderstw, rzezi, wojen, więzienia ludzi itp.

– Są rasą nie uznającą morderstw – wtrącił Valcarenghi. – To może coś oznaczać, bo i na Starej Ziemi gatunki z największą liczbą samobójstw miały najmniejszą liczbę morderstw, a przecież wskaźnik samobójstw na Shkeen wynosi sto procent.

– Zabijają zwierzęta – zauważyłem.

– Ale nie te, które uczestniczą w Zjednoczeniu – odparł Gourlay, a w Zjednoczeniu uczestniczy wszystko, co myśli. Takie stworzenia nie mogą być zabijane. Nie zabija się Shkeena, ludzi i Greeshki.

Lya spojrzała na mnie, potem na Gourlaya.

– Greeshka nie myśli – powiedziała. – Próbowałam odczytać dzisiaj Dopuszczonych i nie znalazłam nic poza myślami Shkeenów, nawet najmniejszych znaków świadomości.

– Wiemy o tym, i zawsze to mnie zastanawiało – powiedział Valcarenghi powstając z podłogi. Podszedł do baru, wyciągnął butelkę wina i napełnił nasze kieliszki. – Zupełnie bezrozumny pasożyt, a inteligentna rasa jest jego niewolnikiem. Dlaczego?

Nowe wino smakowało mi: z lubością przełknąłem zimny strumień. Pokiwałem głową z aprobatą.

– Narkotyki – odpowiedziałem. – Greeshka musi chyba produkować narkotyczną substancję, która powoduje fizyczną przyjemność. Shkeenowie poddają się jej działaniu i umierają szczęśliwi. Radość jest naprawdę szczera, wierzcie mi. Czuliśmy ją.

Lyanna spoglądała powątpiewająco. Gourlay kręcił przecząco głową.

– Nic z tego, Robb. Przeprowadziliśmy już eksperymenty z Greeshką i...

Musiał dostrzec wyraz zdziwienia na mojej twarzy, gdyż przerwał.

– A co mówili o tych eksperymentach Shkeenowie? – spytałem.

– Oczywiście o niczym nie wiedzieli. Gdyby wiedzieli, z pewnością nie byliby z tego zadowoleni. Greeshka to zwierzę – lecz dla nich – to Bóg. Przez długi czas powstrzymywaliśmy się, lecz gdy Gustaffson się nawrócił, jego zastępca Stuart musiał tę sprawę wyjaśnić. To było z jego nakazu. Eksperymenty niczego nie wyjaśniły, żadnego śladu substancji o działaniu narkotycznym. Sprawdziliśmy też, że Shkeenowie są jedynymi osobami na tej planecie, które poddają się działaniu Greeshki. Schwyciliśmy jedno z tutejszych zwierząt pociągowych i umieściliśmy na jego głowie Greeshkę, rzecz jasna związawszy je uprzednio. Po paru godzinach ze sznurków pozostały strzępy. Zwierzę szalało wprost, starając się zrzucić ze swej głowy pasożyta. Poszarpało sobie całkowicie skórę na głowie.

– Może rzeczywiście tylko Shkeenowie są na nią podatni – powiedziałem. – Osłabiony instynkt samozachowawczy.

– Niezupełnie – odparł Valcarenghi z ledwo widocznym uśmiechem na ustach. – Przecież są jeszcze ludzie.

W windzie Lyanna nie odezwała się. Domyślałem się, że zastanawia się teraz nad przebiegiem niedawnej rozmowy. Ale zaledwie drzwi naszego mieszkania zamknęły się za nami, zwróciła się w moim kierunku i zarzuciła mi ręce na ramiona.

Objąłem ją, pieszcząc jej miękkie kasztanowe włosy. Byłem nieco zaskoczony tym nagłym wybuchem czułości.

– Co się z tobą dzieje? – zażartowałem.

Spojrzała namiętnie.

– Kochaj mnie Robb – powiedziała z niecierpliwością. – Proszę cię, kochaj mnie teraz.

Potem leżeliśmy w ciemności, skąpani jedynie w świetle gwiazd, które przedostawało się przez

jak mi się wydaje, o strachu, o uczuciu bycia samotnym w pustym wszechświecie. Może jest to tylko strach przed śmiercią, może coś więcej. Nie wiem. Ale jest to uczucie podstawowe, pierwotne. Wszyscy ludzie na zawsze skazani są na samotność. Nie mogą się z tym pogodzić. Podejmują przeróżne usiłowania, by nawiązać kontakty pomiędzy sobą. Większości to się nie udaje. Nielicznym – a ja i Lyanna należeliśmy do nich – udaje się na krótką chwilę przerwać dzielącą nas pustkę, połączyć się. Ale nigdy stan ten nie trwa długo. Ostatecznie zawsze znajdziesz się z powrotem na mrocznej równinie. Rozumiesz to, Dino?

Uśmiechnął się nieco rozbawiony. Może nie ironicznie i nie w jego stylu. Był po prostu nieco zdziwiony.

– Nie. Nie rozumiem – odparł po chwili.

– Posłuchaj mnie więc. Ludzie zawsze szukają czegoś, czy kogoś. Rozmowa, Talent, miłość, sex – to wszystko elementy tej jednej jedynej pogoni, gorączkowego poszukiwania. I Boga też to dotyczy. Człowiek wynajduje bogów, ponieważ boi się samotności, pustki wszechświata, tej mrocznej równiny. To jest właśnie przyczyna, dla której twoi ludzie nawracają się na ten kult, Dino. Znaleźli oni Boga, czy też cząstkę Boga. Unia to rodzaj zbiorowego umysłu, umysłu nieśmiertelnego. Wszyscy stają się jednym – miłością. Shkeenowie nie umierają, dlatego nie znają pojęcia życia pozagrobowego. Oni nie wierzą, oni wiedzą, że Bóg istnieje. Być może jest to stwórca wszechświata, lecz nie on ich stworzył. Ich Bóg to miłość, miłość czysta. Prawdopodobnie to, co my nazywamy miłością, jest tylko cząstką Boga. Unia polega właśnie na tym. To kres poszukiwań Shkeenów i ludzi. Pod tym względem jesteśmy do nich podobni. Jesteśmy tak bardzo podobni, że sprawia to ból.

– Robb, jesteś przemęczony, mówisz tak, jakbyś był już Dopuszczonym.

– Może powinienem nim być. Lyanna jest już częścią Unii.

Zmrużył oczy w zdumieniu.

– Skąd o tym wiesz?

– Przyszła do mnie ostatniej nocy we śnie.

– Ach, tak...

– Była prawdziwa, ten sen był prawdą.

Administrator wstał. Uśmiechnął się.

– Wierzę ci – powiedział. – To jest wierzę, że Greeshka używa przynęty, przynęty zwanej miłością, jeżeli już chcesz. Jest tak potężna, że ludzie zaczynają wierzyć, iż to jest Bóg. A to już jest niebezpieczne. Muszę zastanowić się nim podejmę dalsze działania. Moglibyśmy otoczyć jaskinie strażami, lecz jest ich zbyt wiele. Zamurowanie wejść nie nastroiłoby tubylców przyjaźnie. Ale to już moja sprawa. Ty swoje zrobiłeś.

Czekałem aż skończy.

– Mylisz się w jednym, Dino. To nie jest przynęta. To wszystko prawda. To nie złudzenie. Czułem tak jak Lyanna. Greeshka pozbawiona jest świadomości. Ona w żaden sposób nie oddziałuje na istoty żyjące.

– Czy chcesz, abym uwierzył, że Bóg to zwierzę, które żyje w jaskiniach tej planety?

– Tak.

– Ależ, Robb, to absurdalne. Sam o tym wiesz. Chcesz przez to powiedzieć, że Shkeenowie znaleźli klucz do tajemnicy istnienia? Przyjrzyj im się. To najstarsza cywilizacja w znanym nam wszechświecie, a znajdują się ciągle na poziomie epoki brązu. To my przybyliśmy do nich, nie oni do nas. Gdzie są ich statki kosmiczne? Gdzie ich wspaniałe budowle, które my posiadamy?

– A gdzie są nasze dzwonki, gdzie nasza radość? – zapytałem. – Oni są szczęśliwi, Dino. A my, czy jesteśmy szczęśliwi? Dokąd, u diabła, tak się spieszymy? Po diabła właściwie podbijamy galaktyki, wszechświat, i co tam jeszcze. Może szukamy Boga...? Ale nie znajdziemy go nigdzie i w końcu odnajdujemy się na mrocznej równinie.

– Porównajmy osiągnięcia – powiedział Dino. – Ja będę rzecznikiem ludzkości.

– Czy to ma sens?

– Wydaje mi się, że tak. – Podszedł do okna i spojrzał w dół. – Nasza Wieża jest jedyną w ich świecie – powiedział, uśmiechając się i spoglądając w dół przez chmury.

– Ostateczne Zjednoczenie?
– Tak.
– Och, Lyanno!
– Robb, błagam cię. Przyjdź do nas. Przyjdź do mnie. Ty nie wiesz, jakie to szczęście. Szczęście na zawsze. Należenie do siebie, współczucie, bycie razem. Ja kocham, Robb. Kocham miliardy i miliardy ludzi! Wszystkie stworzenia. I wszystkich znam lepiej niż kiedykolwiek znałam ciebie. Oni kochają mnie. Wszyscy. I trwa to wiecznie. Ja. My. Unia. Jestem sobą, lecz również nimi. Rozumiesz? Oni są mną. Czytanie Dopuszczonych owładnęło mną i Unia wołała mnie od tej pory głosem nieodpartym. To wszystko jest miłość. Och, Robb, przyjdź do nas, do mnie. Kocham cię.
– Mam dostąpić Zjednoczenia? Przyjść do Greeshki? Kocham cię, Lyanno. Wróć do mnie, błagam cię. Przecież Greeshka nie mogła cię jeszcze całej pochłonąć. Powiedz, gdzie jesteś. Przyjdę po ciebie.
– Tak. Przyjdź do mnie. Przyjdź tutaj. Przyjdź wszędzie. Greeshka jest jedna. Jaskinie są połączone ze sobą. Przyjdź i przyłącz się do nas. Kochaj mnie tak, jak powiedziałeś, że mnie kochasz. Jesteś tak daleko, że z trudnością mogę rozmawiać z tobą. Chodź i bądźmy jednym.
– Nie. Nie dam się zjeść żywcem. Proszę cię, Lyanno. Powiedz, gdzie jesteś?
– Biedny jesteś, Robb. Nie martw się. Kochaj. Ciało nie ma znaczenia. Greeshka potrzebuje naszego ciała, by żyć. My je dajemy, ponieważ potrzebujemy Greeshki. Ale zrozum, Robb, Zjednoczenie to nie Greeshka. Greeshka nie jest tu istotna, nie posiada przecież umysłu. Ona jest po prostu pośrednikiem. Unia to Shkeenowie. Miliardy Shkeenów, które zjednoczyły się w ciągu czternastu tysięcy lat. To jest piękne, Robb. To jest nieporównanie więcej niż osiągnąć może jakikolwiek człowiek. A przecież nawet jako ludzie nazywaliśmy się czasami szczęśliwymi. Pamiętasz? To jest nieporównanie piękniejsze.
– Lyanno. Moja Najdroższa. To nie jest dla ciebie. To nie jest dla ludzi. Wracaj do mnie.
– To nie jest dla ludzi? Ależ to jest właśnie to, czego ludzie zawsze szukali, na próżno. To jest po prostu miłość, Robb. Miłość prawdziwa, przy której to, co ludzie nazywają miłością, jest tylko kiepskim żartem. Czy nie rozumiesz?
– Nie.
– Przyjdź tu, Robb. Bądź z nami, a my będziemy z tobą. Nigdy już nie zaznasz samotności. Samotność jest czymś strasznym. Ciemna równina, trwanie, a potem śmierć, po której nie ma już nic. Wieczna ciemność i pustka. I po twojej śmierci nie będę mogła już nigdy mieć cię przy sobie. Ale tak wcale nie musi być...
– Nie.
– Och, Robb. Ja już zanikam. Proszę cię, przyjdź.
– Nie, Lyanno. Nie przyjdę do ciebie. Kocham cię, Lyanno. Nie opuszczaj mnie.
– Kocham cię, Robb. Kochałam cię. Naprawdę kochałam cię...
Zniknęła. Znowu byłem sam na tej przerażającej równinie. Wiał skądś wiatr. Stała się ciemność i samotność wobec nieskończoności.

Następnego, ponurego poranka drzwi zewnętrzne do mego pokoju zastałem otwarte. Wyjechałem na górę i znalazłem administratora siedzącego samotnie w swym gabinecie.
– Czy wierzysz w Boga? – spytałem.
Spojrzał na mnie, uśmiechnął się beztrosko i powiedział. – Oczywiście.
Czytałem go. Był to temat, o którym nigdy nie myślał.
– Bo ja nie wiem czy wierzę. Lyanna też nie wiedziała. Większość Talentów to ateiści – powiedziałem. – Jakieś pięćdziesiąt lat temu, na Starej Ziemi, pewien Talent pierwszej klasy przeprowadził eksperyment. Utrzymywał on, że przy pomocy narkotyków, łącząc umysły największych Talentów wszechświata w jedno, otrzyma coś w rodzaju Superumysłu czyli Boga. Eksperyment, oczywiście, nie udał się, a Talent, który to organizował, Lineal – oszalał, a inni zapamiętali tylko wizję absolutnej nicości i obojętności pozbawioną wszelkiego znaczenia. Inne Talenty odczuwały to samo i tak samo odczuwali Normalni. Przed wiekami żył pewien poeta, Arnold, który napisał wiersz o mrocznej równinie. Wiersz napisany został w jednym ze starych języków, ale wart jest przeczytania. Mówi on,

oszkloną ścianę. Lyanna tuliła się do mnie. Jej głowa leżała na mojej piersi. Pieściłem ją.
– To było wspaniałe – powiedziałem nieco rozmarzonym głosem, uśmiechając się przez mrok pokoju.
– O tak – odpowiedziała głosem cichym i spokojnym. Zaledwie ją słyszałem.
– Kocham cię, Robb – wyszeptała.
– Ja też cię kocham.
Uwolniła się z moich objęć, usiadła opierając głowę na ramionach. Wpatrywała się we mnie uśmiechając się.
– Wiem o tym – przeczytałam cię. Ty też wiesz, jak cię kocham, prawda?
Skinąłem głową.
– Jesteśmy szczęśliwi. Normalnym pozostają tylko słowa. Są biedni. Cóż im mogą dać słowa? W jaki sposób mogą poznać swoje prawdziwe uczucia? Pozostają zawsze osobno, na próżno starając się przedostać w głąb psychiki ukochanej osoby. Nawet kochając się, nawet podczas orgazmu nie są zjednoczeni. Muszą być bardzo samotni.
W tym wszystkim było coś niepokojącego. Spojrzałem na Lyannę, na jej szeroko otwarte, szczęśliwe oczy. Zastanowiłem się.
– Może – odezwałem się wreszcie. – Ale nie jest z nimi tak źle. Przecież nie wiedzą, że mogłoby być inaczej. Również się kochają, a czasami udaje im się naprawdę połączyć.
– Spojrzenia tylko i słowa, potem milczenie i ciemność – mówiła Lyanna w zamyśleniu. – My jesteśmy bardziej szczęśliwi. Mamy przecież o wiele więcej...
– Jesteśmy szczęśliwi – powtórzyłem. I przeczytałem ją. Jej dusza była przepełniona szczęściem zmąconym niewielką domieszką tęsknoty. Ale było tam jeszcze coś, głębiej, prawie niewidoczne, ale zauważalne.
Usiadłem.
– Ty się czymś martwisz. A gdy wchodziłem w ciebie i gdy szaleliśmy w orgaźmie, czegoś się bałaś. O co chodzi?
– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. – powiedziała. Wyglądała na zaskoczoną.
Czytałem ją: Bałam się, ale nie wiem czego. Chyba Dopuszczonych. Ciągle myślę o tym, jak bardzo oni mnie kochają. A przecież w ogóle mnie nie znają. A kochają mnie tak bardzo i rozumieją – to było prawie tak, jak między nami. To, to... sama nie wiem. Dotknęli mnie w jakiś sposób. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę być w ten sposób kochana przez kogokolwiek oprócz ciebie. A oni byli tak złączeni, tak bliscy. Wobec nich czułam się samotna trzymając ciebie za rękę i rozmawiając z tobą. Chciałam być z tobą tak blisko jak oni. Gdy widziałam jak się kochają, samotność i brak miłości wydają się nieznośne, przerażające. Wiesz?
– Wiem – powiedziałem. – Rozumiem. I my rozumiemy się nawzajem. Jesteśmy razem prawie w taki sam sposób jak oni i w jaki nigdy nie będą Normalni.
Lyanna kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Zasnęliśmy w swoich ramionach.
Znowu miałem sny. Ale i tym razem, nad ranem, pamięć o nich zniknęła. Było to w sumie bardzo niepokojące. Sen był przyjemny, niemal rozkoszny. Chciałem, by powrócił, ale nie mogłem go sobie przypomnieć. Nasz pokój, skąpany w jaskrawym świetle dnia, wydawał się ponury w porównaniu z jasnością sennego przeżycia.
Lyanna obudziła się zaraz po mnie z okropnym bólem głowy. Tym razem proszki znajdowały się dokładnie na wyciągnięcie ręki, na stoliku przy łóżku. Krzywiąc się połknęła jeden.
– To chyba z powodu tego miejscowego wina – próbowałem jej wyjaśnić. – Jest w nim coś, co szkodliwie wpływa na twój metabolizm.
Włożyła świeży kombinezon.
– Przecież ostatniej nocy piliśmy Veltaar – wykrzyknęła. – Pierwszą lampkę tego wina wypiłam, gdy miałam dziewięć lat i nigdy nie cierpiałam z tego powodu na żadne dolegliwości.
– A jednak.
– Nic w tym zabawnego. Boli mnie głowa.
Zaprzestałem dalszych żartów i przeczytałem ją. Nie kłamała. Naprawdę b o l a ł a ją głowa. Całe jej czoło pulsowało. Wycofałem się szybko.

– No już dobrze – przepraszam. Ale masz przecież proszki – więc zażyj je i do pracy.

Drugi dzień był dniem polowania na ludzi. Wyszliśmy znacznie wcześniej niż zwykle, zjedliśmy szybkie śniadanie z Gourlayem, a następnie zajęliśmy miejsca w naszym poduszkowcu. Naszym zadaniem było znalezienie Dopuszczonego człowieka, co równoznaczne było z koniecznością przeszukania dość dużego obszaru. W tym rejonie Wszechświata było to największe miasto, jakie dotąd widziałem, i mała grupka ludzi – wyznawców tego dziwacznego kultu – ginęła w milionowym tłumie Shkeenów. Z kolei w tej niewielkiej grupce tylko połowa – to Dopuszczeni.

Wylądowaliśmy po drugiej stronie wzgórza i podeszliśmy piechotą, pozostawiając wóz otoczony chmarą dzieci. Gdy podchodziliśmy, dopuszczeni ciągle posilali się; ośmiu z nich było Shkeenami, o różnym wzroście i odcieniach skóry. Na głowach wszystkich pulsowały Greeshki. Dwóch pozostałych to byli ludzie.

Ubrani byli tak samo jak Shkeenowie, w czerwone szaty, i trzymali takie same dzwonki. Jeden z nich był bardzo wysoki, o pomarańczowej skórze, która zwisała z niego jakby utracił w ostatnich dniach znaczną część swojej wagi. Miał białe kręcone włosy, twarz naznaczoną szerokim uśmiechem i zmarszczkami wokół oczu, które wskazywały na wesołe usposobienie. Drugi był chudy i niski, przypominający nieco wyglądem łasicę z wydatnym orlim nosem.

Na głowach obu panoszyła się Greeshka. Pasożyt niskiego był mały i wyglądał jak niewielka narośl. Za to ten na głowie wysokiego zajmował całą jej powierzchnię i opadał aż na plecy.

Wyglądało to szczególnie odstręczająco.

Lyanna i ja podeszliśmy do nich, starając się ze wszystkich sił uśmiechać. Nie czytaliśmy, przynajmniej z początku. Odwzajemnili uśmiechy i pomachali do nas rękoma.

– Cześć – powiedział niski – nigdy was nie widziałem. Jesteście chyba nowi na Shkeen?

To mnie nieco zaskoczyło. Spodziewałem się jakiegoś dziwacznego, mistyczycznego pozdrowienia, a może raczej nie liczyłem na żadne przywitanie. Przyjmowałem milczące założenie, że Dopuszczeni ludzie tracą ludzką naturę, stając się niby Shkeenami. Myliłem się jednak.

– Mniej więcej – odpowiedziałem. Przeczytałem go. Był naprawdę uradowany naszym widokiem i całe jego wnętrze kipiało wprost radością.

– Zostaliśmy wynajęci, by porozmawiać z takimi ludźmi jak wy – postanowiłem być szczery.

Mój rozmówca rozpromienił się wbrew mojemu oczekiwaniu jeszcze bardziej.

– Jestem Dopuszczony i szczęśliwy – powiedział. – Miło mi z tobą pogawędzić. Co chciałbyś wiedzieć, bracie? Moje nazwisko brzmi Lester Kamenz.

Czułem, że stojąca dotąd spokojnie obok mnie Lyanna tężeje, pogrążając się w czytaniu. Postanowiłem ułatwić jej zadanie, zajmując go rozmową.

– Kiedy nawróciłeś się na tę wiarę?

– Wiarę?

– Chodzi o kult Zjednoczenia.

Pokiwał głową. Uderzyło mnie podobieństwo jego ruchów z ruchami starego Shkeena, spotkanego wczoraj.

– Ja zawsze byłem człowiekiem Unii. Wy też jesteście jej członkami. Wszystko co myśli jest Jednym.

– Ale niektórzy z nas nie zdają sobie z tego sprawy – powiedziałem. – A ty? Kiedy zdałeś sobie sprawę, że jesteś cząstką jedności?

– Rok temu, według czasu Starej Ziemi, a przyjęty zostałem w szeregi Dopuszczonych zaledwie kilka tygodni temu. Pierwsze Dopuszczenie jest wydarzeniem bardzo radosnym. Teraz, aż do ostatecznego Dopuszczenia, będę krążył ulicami świętego miasta, dzwoniąc i śpiewając.

– Co robiłeś przedtem?

– Przedtem? Byłem programistą. Programowałem komputery w Wieży. Ale moje życie było bezbarwne. Nie wiedziałem, że jestem w Unii i czułem się bardzo samotny. Miałem jedynie maszyny. Teraz jestem Dopuszczony. Teraz nie grozi mi samotność.

Zajrzałem do jego wnętrza i znalazłem tam rzeczywiście szczęście i... miłość. Ale było w nim również nieco bólu, jakby zamglone wspomnienie minionych trosk, niepożądanych wspomnień. Czy to już przeszło? Czy to można zapomnieć? Może darem, jaki Greshka miała dla swych ofiar, była możliwość

cię z największym trudem. Ty nie położyłeś się jak inni. Ty szedłeś po tym cielsku, które sięgało ci już prawie do kolan. Szarpałeś się jak wariat. To było straszne. Dino uderzeniem powalił cię na ziemię.

Potrząsnął głową i ruszył ku drzwiom.

– Dokąd idziesz?

– Pospać. – Ty śpisz już prawie osiem godzin. Dino prosił mnie, bym czuwał, dopóki się nie obudzisz. Teraz więc mogę już odejść. Odpocznij. Ja też trochę muszę. Pomówimy jutro.

– Chciałbym teraz.

– Zrozum – powiedział otwierając drzwi – jest już naprawdę późno.

Wyszedł. Słyszałem jego oddalające się kroki. Pewien jestem również, że słyszałem zgrzyt klucza w zamku. Musieli nabrać nieufności do Talentów rozmyślających samotnie nocą.

Nie zasnąłem jednak. Przynajmniej nie od razu. Zbyt wiele dzisiaj przeżyłem. Moja głowa była istnym kłębowiskiem chaotycznych myśli. Najpierw myślałem o tym przerażającym bólu głowy. Ból był nieco podobny do tego, jaki odczuwała Lyanna, ale ona nie przeszła przez to, co ja. A może jednak. Była Talentem najwyższej klasy, posiadała więc daleko większą od mojej wrażliwość.

Czy to możliwe, by ten sztorm uczuć, któremu daremnie próbowałem się oprzeć w jaskini, dotarł do niej aż tutaj, do miejsca oddalonego o całe mile? Może nastąpiło to właśnie ostatniej nocy? W nocy wszyscy śpią, myśli zanikają, a więc lawina mogła jednak dotrzeć... A może też moje sny, których nie mogłem sobie przypomnieć, były namiastką tego wszystkiego, co czułem dzisiaj i co szczególnie musiała odczuwać Lyanna? Ale moje sny były przyjemne. Nieprzyjemne było raczej przebudzenie. Ale czy w czasie snu odczuwałem podobny ból głowy? A może właśnie po przebudzeniu? Co u diabła właściwie się stało? Co to była za siła, która dręczyła mnie z taką gwałtownością? Greeshka?... Tak, na pewno. Przecież nie miałem nawet czasu, by pomyśleć o kobiecie, którą miałem zamiar czytać. To musiała być Greeshka. Ale przecież Lyanna mówiła mi, że Greeshka nie posiada samoświadomości. Nawet najbardziej elementarnych czynności umysłu...

Zapadłem w sen.

Z początku była zupełna ciemność, ale w końcu przyszło marzenie. Tym razem zapamiętałem je we wszystkich szczegółach. Znajdowałem się na nie zmierzonej równinie. Równinie zupełnie ciemnej, pod niebem zupełnie pozbawionym gwiazd. Na horyzoncie ciemne postacie. Była to równina, o której tak często mówiła Lyanna, równina z jednego z jej ulubionych wierszy. Byłem sam, sam na zawsze. Taka jest natura rzeczy. Byłem jedyną rzeczywistością wszechświata. Rzeczywistością wylęknioną, zimną. Dziwne kształty zmierzały nieubłaganie w moim kierunku, nieludzkie, nieprzeniknione. Nie było nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić, poprosić o pomoc, kto usłyszałby mój krzyk rozpaczy. I nigdy nie było nikogo. I nigdy nikogo nie będzie.

Pojawiła się Lyanna.

Spłynęła z bezgwiezdnego nieba, blada, szczupła, krucha. Stanęła przy mnie. Zaczesała włosy do tyłu i spojrzała na mnie oczyma rozszerzonymi ze szczęścia. Uśmiechnęła się promiennie. Wiedziałem, że nie jest to tylko sen. W jakiś sposób naprawdę była przy mnie. Rozmawialiśmy ze sobą.

– Cześć, Robb.

– Lyanna? Witaj. Gdzie jesteś? Opuściłaś mnie.

– Wybacz mi, kochany. Musiałam to zrobić. Zrozum, Robb. Musisz zrozumieć. Pragnęłam zniknąć z tego strasznego miejsca, z tej zimnej równiny. Był to jedyny sposób, by uciec naprawdę, Robb. Ludzie są na to skazani. Ich ucieczka nie trwa dłużej niż parę chwil, a potem znowu ciemność. Skazani na dotyk i głos? Pamiętasz? Tak, właśnie tak, Robb. Potem powrót: ciemność i cisza. Mroczna równina.

– Mylisz dwa różne wiersze, Lyanno, ale w porządku, jeśli tak chcesz. Znasz je poza tym lepiej niż ja. Ale czy nie pomijasz czegoś istotnego? Wcześniejszą zwrotkę... „Miłości, pozwól nam być naprawdę, być sobą".

– Och, Robb!

– Gdzie jesteś?

– Jestem – wszędzie, ale szczególnie w jaskini. Byłam do tego przygotowana. Już od początku byłam bardziej otwarta niż inni. Mogłam ominąć Zgromadzenie i Dopuszczenie. Mój Talent nauczył mnie współczucia, dzielenia się sobą. Poszłam więc.

Szybko znalazła się w pobliżu mnie. Powitała nas promiennym uśmiechem. Była stara, naga, piersi zwisały jej poniżej talii. Kobieta Shkeen. Oczywiście Dopuszczona. Greeshka pokrywała całą jej głowę i zwisała niżej niż piersi. Pasożyt miał ciągle jaskrawo czerwoną barwę. Ślad przebywania na słońcu. Przez jego tkankę dostrzegłem zjedzone ciało na plecach.

– Kandydatka do Ostatecznego Zjednoczenia – powiedział Gourlay.

– Ta jaskinia jest bardzo popularna – potwierdził administrator nieco sarkastycznie.

K bieta nie odezwała się ani słowem. My również. Uśmiechając się, przeszła obok nas. Położyła się na ciele Greeshki. W zetknięciu z olbrzymim cielskiem zaczęła niesłychanie szybko znikać, łącząc się w jedno z olbrzymim potworem. Została w ten sposób przywiązana do jego kadłuba już nieodwracalnie. Zamknęła po prostu oczy i spokojnie leżała, jakby nagle uśpiona.

– Co się teraz dzieje? – zapytałem.

– Dokonuje się Ostateczne Zjednoczenie – powiedział Valcarenghi. – Dopiero po godzinie zauważysz jakieś zmiany, ale Greeshka już zaczyna ją wysysać. Podobno jest to reakcja na temperaturę ciała ofiary. W ciągu dnia zniknie w czeluściach cielska. Po dwóch dniach stanie się już tylko takim punktem, jakie oglądałeś poprzednio. – Spojrzeliśmy ponownie na rozpuszczoną już prawie twarz.

– Czy mógłbyś ją przeczytać? – zaproponował Gourlay. – Może to nam coś powie.

– Mogę – powiedziałem. Byłem równocześnie ciekawy i czułem obrzydzenie. Przygotowałem się. Uderzył we mnie sztorm wrażeń.

Sztorm wrażeń to może niezbyt dokładne określenie. Było to coś monumentalnego i cudownego, intensywnego, oślepiającego i zapierającego dech w piersiach. Ale w tym wszystkim był również jakiś dziwny spokój i łagodność, która była gwałtowniejsza niż potrafi być ludzka nienawiść. A nad tym wszystkim górowało wołanie niezwykle kuszące, jakby śpiew syren. Przepełniały mnie uczucia niepojętej rozkoszy. W jednej chwili poczułem się pełen i pusty zarazem. W dali słyszałem dźwięk dzwonków, które grały melodię miłości i oddania, zjednoczenia i połączenia, tryumfu miłości nad samotnością.

A jednak to sztorm. To chyba najlepsze określenie. Ale do zwykłego sztormu czy burzy miało się to wszystko tak, jak wybuch supernowej do ziemskiego huraganu. Gwałtowność i intensywność były gwałtownością i intensywnością miłości. Czułem się zatopiony w wezbranej rzece miłości i pożądania. Dzwony kusiły mnie swymi syrenimi głosami. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie Zjednoczenia, poczucie miłości i tego, że już nigdy nie będę sam. Nagle poczułem, że dłużej opierać się jej nie mogę, nie chcę. Chciałem, by wszystko to trwało wiecznie. Bałem się znaleźć z powrotem na mrocznej równinie ludzkiej samotności.

I w tym momencie pomyślałem o Lyannie.

Znowu zebrałem wszystkie siły, walczyłem, opierałem się. Na próżno. Czułem, że przepełniająca mnie miłość wsysa mnie, że biegnę przed siebie, na oślep. Biegnąc opierałem się jeszcze. Ale coraz słabiej i słabiej. W końcu wszystkie bariery trzasły.

Wydałem z siebie potworny wrzask. Drzwi otworzyły się i huragan miłości wdarł się we mnie pełną siłą. Dałem się ponieść. Byłem bezbronnym, osaczonym jego przemożną siłą stworzeniem. Na jego falach podążałem ku gwiazdom, lecz ich światło nie było już zimne. Zbliżałem się do nich coraz bardziej, aż sam stałem się gwiazdami. A one stały się mną. Czułem się zjednoczony i sam byłem Zjednoczeniem, Unią. Przez jeden, niewypowiedzianie krótki moment byłem wszechświatem.

Potem nie było już nic.

Obudziłem się w moim pokoju, z bólem głowy, który rozsadzał mi czaszkę. Na krześle siedział Gourlay, czytając jedną z naszych książek. Gdy usłyszał mój jęk, podniósł wzrok.

Pigułki na ból głowy, których używała Lyanna, leżały ciągle na stoliku nocnym.

– Jak się czujesz?

– Głowa mi pęka – powiedziałem pocierając czoło. Pulsowało tak, jakby zaraz miało się rozerwać. To było gorsze niż ból Lyanny. – Co się stało?

Powstał.

– Przestraszyłeś nas nie na żarty. Gdy tylko zacząłeś czytać, dostałeś jakichś dziwnych drgawek. Potem polazłeś prosto na tego przeklętego potwora. Krzyczałeś jak oszalały. Dino i sierżant odciągnęli

zapomnienia i ucieczki? Może?

Zdecydowałem się na pewien eksperyment.

– Ta rzecz na twojej głowie – powiedziałem ostro i stanowczo – to pasożyt. On pije twoją krew, żywi się nią. W miarę jak będzie rósł, będzie pobierał coraz więcej substancji, bez których niemożliwe jest życie. Na koniec wreszcie zacznie pożerać twoje tkanki. Rozumiesz? Ten stwór c i e b i e pożre. Nie wiem, czy to będzie bolesne czy nie, ale jakiekolwiek to będzie, stracisz życie. Chyba, że natychmiast wrócisz do Wieży i poddasz się operacji usunięcia go. A może mógłbyś usunąć Greeshkę? Spróbuj. Wyciągnij rękę i wyrzuć ją, no dalej...

Czego się właściwie spodziewałem? Przerażenia? Wściekłości? Wstrętu? Nic z tych rzeczy. Kamenz po prostu stał i przeżuwał swój chleb, patrząc na mnie z miłością, pełen radości i odrobiny żalu czy też może politowania.

– Mylisz się, Greeshka nie zabija. Ona daje radość i szczęście Zjednoczenia. Tylko ci, co nie przyjmą Greeshki, umrą. To oni są samotni. Samotni.... na wieczność. – Pojawił się w nim jakby cień przestrachu, ale natychmiast zniknął.

Spojrzałem na Lyannę. Była sztywna, oczy miała skupione. Ciągle jeszcze czytała. Oderwałem od niej wzrok i chciałem zadać następne pytanie, ale nagle jeden z Dopuszczonych zaczął dzwonić swym dzwonkiem. Za nim poszli inni i po chwili radosne dźwięki wypełniły całą ulicę, obijały się o uszy i po raz drugi na tej planecie mój umysł zalany został falą miłości.

Przedłużałem czytanie, by nacieszyć się tym. Miłość była niezmierna, zapierająca dech w piersiach. Przemawiała swą intensywnością, przerażała nawet. Ale równocześnie było w niej tyle radości, zagadkowości, taka gama różnych przyjemnych odczuć, że nie można było się od niej oderwać. Coś zachodziło w Dopuszczonych w czasie takiego dzwonienia, coś jakby owładnęło nimi, czego nigdy nie udało się wyrazić Normalnym w ich chropawej i szorstkiej muzyce. Ale ja i Lyanna nie byliśmy przecież Normalnymi i mogliśmy to słyszeć.

Powoli, z oporami, wracała nam świadomość. Kamenz i ten drugi wydzwaniali teraz zawzięcie, z szerokim uśmiechem na twarzy, błyskiem w oczach i z oznakami ogarniającej ich ekstazy. Lyanna ciągle czytała. Drżała na całym ciele, usta miała na wpół otwarte.

Otoczyłem ją ramieniem i wsłuchany w muzykę Dopuszczonych – czekałem. Po paru minutach potrząsnąłem ją lekko. Spojrzała na mnie nieprzytomnie, jakby z oddali. Jej oczy poszerzyły się, potrząsała ciągle głową, marszczyła brwi.

Zaciekawiony przyjrzałem się jej uważniej. Jakież dziwne uczucie. Ujrzałem w niej plątaninę emocji, gęstą mieszaninę uczuć, których nie potrafiłem nawet nazwać. Poczułem się jakoś nieswojo. Gdzieś, spośród tej zagadkowej dżungli, wyzierała bezdenna przepaść, wyciągająca ku mnie ramiona. Tak przynajmniej czułem się wtedy.

– Lya, co się z tobą dzieje?

Potrząsnęła głową i spojrzała na Dopuszczonych wzrokiem pełnym strachu i tęsknoty. Powtórzyłem pytanie.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mi jest. Nie rozmawiajmy teraz, Robb. Chodźmy stąd, muszę ochłonąć.

– W porządku – odparłem. – Ale co ci się właściwie stało? – ująłem ją za rękę i obeszliśmy wzgórze docierając do miejsca, gdzie pozostawiliśmy swój pojazd. Ginął w dziecięcym tłumie. Rozpędziłem go ze śmiechem. Lyanna stała nieruchomo, patrząc gdzieś przed siebie nie widzącymi oczyma. Chciałem ją przeczytać, lecz wydało mi się nagle, że nie powinienem posuwać się za daleko.

Ruszyliśmy od razu w kierunku Wieży, tym razem szybciej i wyżej. Prowadziłem, a Lyanna siedziała wpatrzona w przestrzeń przed nami.

– Czy dowiedziałaś się czegoś istotnego? – zapytałem, próbując ją w ten sposób wyrwać z zamyślenia.

– Może tak, może nie. – Głos jej był roztargniony, miałem wrażenie jakby tylko częściowo brała udział w rozmowie ze mną.

– Przeczytałam ich. Obydwu. Kamenz był rzeczywiście programistą komputerów. Ale nie był najlepszy. Przeciętny, mały człowieczek, z przeciętną osobowością, bez poczucia sensu, bez przyjaciół,

bez niczego. Żył własnym życiem, Shkeenów unikał, nie lubił ich. Tak naprawdę to nie lubił nawet ludzi. W jakiś sposób dotarł do niego Gustaffson. Nie zwracał uwagi na jego zgorzkniałość, oziębłość, cynizm. Nie odwzajemnił mu się tym samym. Po jakimś czasie Kamenz przywykł do Gustaffsona, nauczył się go cenić i podziwiać. Nigdy właściwie nie byli przyjaciółmi, ale Gustaffson był mu bliższy niż ktokolwiek inny przedtem.

Urwała nagle.

– Więc podążył za Gustaffsonem? – Spytałem z niecierpliwością, rzucając na nią szybkie spojrzenie. Jej oczy ciągle były rozbiegane.

– Nie od razu, nie. Ciągle jeszcze bał się Shkeenów i Greeshki. Ale gdy Gustaffson odszedł, zaczął sobie zdawać sprawę, czym jest jego życie. Pracował z ludźmi, którzy nim gardzili, z maszynami, które były na wszystko obojętne, a wieczorami siadywał samotnie, czytał i oglądał głupie programy. Żył, ale co to było za życie? Ledwie zauważał ludzi wokół siebie. W końcu postanowił odszukać Gustaffsona i skończył jako nawrócony. Teraz...

– Co teraz?

Zawahała się. – Teraz jest szczęśliwy, Robb – powiedziała. – On naprawdę jest szczęśliwy. Po raz pierwszy w życiu. Nigdy dotąd nie zaznał miłości, która obecnie go przepełnia.

– Dużo się dowiedziałaś.

– Tak. – Głos miała ciągle roztargniony, oczy nieobecne. – On był bardzo otwarty. Jego świadomość składa się z wielu poziomów, lecz dotarcie do nich nie sprawiło mi trudności. Tak jakby jego wewnętrzne bariery zanikły.

– A co z tym drugim facetem?

– Ten drugi? To był Gustaffson...

To pytanie jakby przywróciło jej świadomość. Znowu była Lyanną, którą znałem i kochałem. Była sobą. Otrząsnęła się, spojrzała na mnie już świadomie i dotychczasowy bezładny potok słów zastąpiła bardziej składną wypowiedzią. Mówiła z pasją.

– Robb, słuchaj mnie. To był Gustaffson. Jest Dopuszczony od roku, a za tydzień dostąpi Ostatecznego Zjednoczenia. Greeshka zaakceptowała go, a on tego pragnie, wiesz? On naprawdę tego chce i... Och, Robb, on u m i e r a!

– Z tego, co mówisz, wnoszę, że umrze w ciągu tygodnia.

– Nie. To znaczy tak, ale niezupełnie tak. Ostateczne Zjednoczenie nie jest dla niego śmiercią. On w to wierzy, wierzy we wszystko. Greeshka jest dla niego Bogiem, a on ma zamiar połączyć się z nim. Ale przedtem, tak jak i teraz – umiera. Jest nieuleczalnie chory. Choruje już od piętnastu lat. Zaraził się na bagnach Nightmare, właśnie wtedy, gdy stracił rodzinę. Nie jest to środowisko przyjazne dla ludzi. Był tam przez krótki czas, jakieś pilne zadanie. Rodzina mieszkała na Thor. Złożyli mu wizytę. Statek, którym lecieli, rozbił się, Gustaffson szalał próbując dostać się do nich. Założył nieszczelny kombinezon i zarazki przedostały się do organizmu. Gdy przybył na miejsce, było już po wszystkim. To był niesamowity ból, Robb. Ból spowodowany chorobą, spowodowany utratą najbliższych. On ich niezmiernie kochał, i potem już nigdy nie wrócił do normy. Wysłali go na Shkeen. Miała to być nagroda czy coś w tym rodzaju. Chciano mu zapewnić spokój. Ale ani na chwilę nie przestał o nich myśleć. Widziałam to wszystko. Jak na obrazie. Dzieci bezpiecznie czujące się na statku, awaria systemu podtrzymującego życie. Straszna śmierć z braku powietrza, żona wciągająca rozpaczliwie skafander i usiłująca sprowadzić pomoc, a na zewnątrz te s t w o r y, te zarodki, które zamieszkują na Nightmare, jak im tam...?

Ciężko przełykałem ślinę. Czułem się nieswojo.

– Robaki żarłacze – powiedziałem głucho. Czytałem o nich, widziałem zdjęcie. Wyobrażałem sobie teraz obraz, który ujrzała Lya w duszy Gustaffsona. Musiał być okropny. W tym momencie nie zazdrościłem jej Talentu.

– Gdy przybył na miejsce, ciągle jeszcze żyli. Zabił ich serią z pistoletu.

Potrząsnąłem głową. – Nie wiedziałem, że takie rzeczy w ogóle mogą się zdarzać.

– Niestety – odpowiedziała Lya. – Gustaffson też sobie tego nie wyobrażał. Zanim to wszystko się wydarzyło, byli tacy szczęśliwi. On ją kochał, a jego kariera była nieomal legendarna. Nie musiał

jak szerokie ziewnięcie na skalistej twarzy, z prowadzącym do niego językiem drogi.

Ktoś, kto miał nadzieję, że ujrzy w jaskini malowidła ścienne albo jakieś ołtarze czy inne urządzenia, składające się zwykle na świątynię, czekało niemiłe rozczarowanie. Weszliśmy do najzwyklejszej groty, o wilgotnych ścianach, niskim sklepieniu, wypełnionej zimnym, wilgotnym powietrzem. Panował tu większy chłód niż na zewnątrz, za to mniej było kurzu. Ale to wszystko. Wejście prowadziło przez długi korytarz, szeroki, lecz niski, tak że Gourlay musiał iść nieco pochylony. Na ścianach w regularnych odstępach umieszczone były pochodnie, lecz tylko co czwarta czy co piąta paliła się. Unosił się z nich ciężki dym, który wydawał się pełzać po ścianach aż do sufitu, gdzie porywany był z prądem powietrza w głąb jaskini.

Po dziesięciu minutach marszu niezauważalnie obniżającym się korytarzem weszliśmy do jasno oświetlonego, wysokiego pomieszczenia. W pomieszczeniu tym znajdowała się Greeshka.

Miała rdzawoczerwoną barwę starej krwi, nie przypominającą w niczym jaskrawej, przezroczystej prawie, karmazynowej barwy stworów, które widywaliśmy na głowach Dopuszczonych. Na tle rdzawej skóry widniały porozrzucane z rzadka czarne plamy, niczym ślady po oparzeniu lub kupki sadzy. Odległe ściany były ledwo widoczne. Greeshka miała olbrzymie rozmiary. Górowała nad nami niczym wieża. Jej grzbiet nieomal dotykał sklepienia jaskini. Z wysokości tej jej galaretowate cielsko opadało łagodnym łukiem w dół i kończyło się nie więcej niż dwadzieścia stóp przed nami. Pomiędzy wielkim cielskiem Greeshki a miejscem, gdzie staliśmy, rozciągała się żywa plątanina macek potwora, przypominająca plątaninę czerwonych warkoczy.

Wszystko to równomiernie pulsowało. Nawet warkoczyki macek rozszerzały się i zwężały rytmicznie w takt głuchych uderzeń dobiegających z masy cielska.

Poczułem gwałtowny skurcz żołądka. Moi towarzysze stali nieruchomo. Widzieli to już nieraz.

– Chodź – powiedział administrator, zapalając elektryczną latarkę, którą przyniósł dla wzbogacenia światła świec. W tym świetle pajęcza sieć macek potwora robiła wrażenie niesamowitego, zaczarowanego lasu. Valcarenghi pewnym krokiem wkroczył w tę plątaninę, strumieniem światła smagając ciało potwora.

Gourlay postępował tuż za nim. Wzdrygnąłem się. Stałem jak sparaliżowany. Valcarenghi spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Nie masz się czego obawiać – powiedział. Greeshka jest niesłychanie powolnym stworzeniem. Zanim oplącze cię swymi mackami minie wiele godzin, a i wtedy można się łatwo wyzwolić. Mógłbyś się na niej nawet położyć.

Przemogłem obrzydzenie, wyciągnąłem rękę i dotknąłem jednego z tych żywych warkoczy. Był miękki, wilgotny, śliski. To wszystko. Dawał się łatwo odsunąć. Ruszyłem przed siebie, rozgarniając łamiąc liany macek. Za mną w milczeniu podążał policjant.

Zatrzymaliśmy się o jakąś stopę od właściwego cielska Greeshki. Valcarenghi przyglądał mu się przez moment, po czym skierował strumień światła w jeden punkt.

– Spojrz – powiedział. – Masz Ostateczne Zjednoczenie.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Światło oświetlało jeden z tych zauważonych już przeze mnie ciemnych punktów, wyglądających jak skaza na rdzawym cielsku. W centralnym punkcie plamy połyskiwała para dużych oczu i twarz o rysach charakterystycznych dla mieszkańców planety Shkeen. Twarz pokryta, lekko czerwoną błoną promieniała szczęściem. Stary Shkeen uśmiechał się. Tak! Uśmiechał się.

Przysunąłem się bliżej. Na prawo, nieco poniżej ciemnego punktu, wystawały koniuszki palców. Reszta wessana była w ciało potwora, rozpuszczona już albo dopiero rozpuszczająca się. Stary Shkeen był martwy. Pasożyt trawił jego szczątki.

– Każdy z tych ciemnych punktów to świadectwo niedawnego Ostatecznego Zjednoczenia – mówił Dino, przerzucając strumień światła z punktu na punkt. – Plamy z czasem znikają. A Greeshka ciągle rośnie. W ciągu następnych stu lat wypełni tę jaskinię i zacznie posuwać się korytarzami.

Nagle tuż poza nami rozległ się jakiś hałas. Spojrzałem za siebie. Jakaś postać przedzierała się przez macki.

– Jaskinie? – Spojrzałem na niego, nie bardzo pojmując, o co chodzi. – Aaa. Nie chcę, nie. Nie mogę tam jechać. Nie teraz.

Westchnął głęboko, nieco spektakularnie.

– Ależ Robb. Nie przesadzaj. Świat się przecież nie wali. Wszystko będzie dobrze, Lyanna na pewno się znajdzie. Wydała mi się rozsądną dziewczyną. Da sobie radę. Czy nie mam racji?

Skinąłem biernie głową.

– Świetnie. Jedziemy do jaskiń. Ciągle mam zamiar rozwikłać tę zagadkę.

– Ale to nic nie da. Nie możemy tam jechać bez Lyanny. Ona jest Talentem wyższej klasy niż ja. Ja czytam po prostu uczucia, emocje. Nie potrafię czytać tak głęboko jak ona. Sam niczego nie stwierdzę.

Wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Ale podróż jest przygotowana i nie mamy nic do stracenia. Zawsze możemy tam powrócić, gdy ją odnajdziemy. Poza tym, to dobrze ci zrobi, pozwoli ci zapomnieć o zmartwieniach. W tej chwili dla Lyanny zrobiliśmy wszystko. W poszukiwanie jej zaangażowani są najlepsi moi ludzie i jeśli oni jej nie znajdą, to ty też nie. Nie ma więc sensu tkwienie tu i roztrząsanie tej sprawy w nieskończoność. Róbmy swoje. Działanie to najlepsze lekarstwo.

Odwrócił się, poszedł w kierunku windy.

– Chodź już. Pojazd czeka, Nelson pojedzie z nami.

W czasie jazdy Valcarenghi siedział na przednim siedzeniu, obok potężnie zbudowanego policjanta o twarzy jakby wyciosanej z granitu. Wybrał wóz policyjny celowo, tak by móc odbierać ostatnie meldunki z akcji poszukiwania Lyanny. Gourlay i ja zajmowaliśmy tylne siedzenie. Gourlay rozłożył na kolanach ogromne mapy i opowiadał mi o jaskiniach Ostatecznego Zjednoczenia.

– Uważa się, że jaskinie są oryginalnym domem Greeshki – powiedział. – Wydaje się za tym wiele przemawiać. Te potwory osiągają w jaskiniach o wiele większe rozmiary niż gdzie indziej. Sam zresztą zobaczysz. Jaskinie ciągną się pod wszystkimi wzgórzami, od miasta aż do terenów dzikich. W każdej jaskini jest jedna Greeshka. Tak przynajmniej niesie wieść. Sam byłem w paru jaskiniach i rzeczywiście były tam Greeshki. Mam podstawy, by wierzyć w to, co mówię. Miasto zawdzięcza swe powstanie jaskiniom. Shkeenowie przybywają tu z całej planety na Ostateczne Zjednoczenie. Oto rejon jaskiń. – Wziął długopis i w centrum mapy zakreślił duże koło.

Dla mnie nie miało to znaczenia. Mapa zdezorientowała mnie zupełnie. Nie wyobrażałem sobie, że miasto Shkeenów jest tak ogromne. Jak można w nim odnaleźć kogoś, kto nie chce być odnaleziony?

Valcarenghi odezwał się ze swego miejsca.

– Jaskinia, do której jedziemy, jest bardzo duża w porównaniu z innymi. Byłem tam już nieraz. Z Ostatecznym Zjednoczeniem nie wiążą się żadne formalności. Dopuszczony Shkeen wybiera po prostu jedną z nich, wchodzi do środka i kładzie się na grzbiecie Greeshki. Wchodzą wejściami, które wydają im się najdogodniejsze. Największe z jaskiń są oswietlone pochodniami, ale nie ma to żadnego związku z Unią.

– Jedziemy do jednej z nich?

Dino skinął głową.

– Tak, masz rację. Chciałem, byś zobaczył, jak wygląda dorosła Greeshka. Widok nie należy do miłych, ale z pewnością jest pouczający. Potrzebujemy więc oświetlenia.

Po tym wtręcie Gourlay podjął swój wywód na nowo, ale nie słuchałem go już. Czułem, że wiem już o tym dostatecznie dużo, a poza tym niepokoiłem się ciągle o Lyannę. Po jakimś czasie skończył i reszta podróży przebiegała w milczeniu. Pokonaliśmy odległość większą niż kiedykolwiek z Lyanną. Nawet Wieża, nasz zwykły stalowy punkt orientacyjny, przepadła gdzieś za wzgórzami.

Teren stawał się cięższy, bardziej skalisty, porośnięty nieznaną roślinnością. Jednym słowem coraz dzikszy. Ale wszędzie byli Shkeenowie i ich domy. Przyszło mi na myśl, że gdzieś tam, poniżej, mogła być Lyanna, zagubiona wśród tych milionów mieszkańców. Czego szukała? O czym myślała?

W końcu wylądowaliśmy w lesistej dolinie, ukrytej pomiędzy dwoma masywnymi, skalistymi wzgórzami. Nawet tutaj nie brak było Shkeenów i ich domów, wyrastających jakby spod ziemi pomiędzy strzelistymi drzewami. Bez trudności odszukałem wzrokiem wejście do jaskini. Wyglądało

jechać na Nightmare – ale pojechał. Był to rodzaj wyzwania. Nikt nie mógł sobie tam poradzić. I ciągle o tym pamięta. On... oni... – Jej głos się załamał. – Uważali, że mieli s z c z ę ś c i e. – Powiedziała to i umilkła.

Nie było nic do dodania. Milczałem również, usiłując wyobrazić sobie bezmiar nieszczęść i rozpaczy Gustaffsona. Po pewnym czasie Lyanna zaczęła mówić na nowo.

– To wszystko w nim było, Robb. Ale mimo to jest zupełnie spokojny, chociaż wszystko pamięta. Pamięta ból, jaki odczuwał. Teraz żałuje tylko, że nie ma ich przy sobie, że odeszli bez Ostatecznego Zjednoczenia, prawie tak, jak ta kobieta na Zebraniu, pamiętasz? Ta, która nie mogła przeboleć, że spowodowała przedwczesne odejście swego brata.

– Pamiętam – odrzekłem.

– Odczuwa właśnie coś takiego, jego umysł był również otwarty. Bardziej niż umysł Kamenza. Gdy dzwoni, poziomy jego psychiki znikają i wszystko wypływa na wierzch – miłość i ból. Całe jego życie, Robb. W ciągu paru chwil przeżyłam całe jego życie. I wszystkie myśli... on widział jaskinie, gdzie następuje Ostateczne Zjednoczenie. Był tam przed nawróceniem. Ja...

Cisza. Przerywał ją jedynie zamierający warkot pojazdu. Zbliżaliśmy się do rogatek Shkeentown. Przed nami Wieża wszczepiała się w niebo, połyskując w słońcu. Niedługo zauważyliśmy miasto i ludzi.

– Robb – odezwała się Lyanna. – Wyląduj tutaj, chciałabym pomyśleć w samotności. Wracaj beze mnie. Powałęsam się pomiędzy Shkeenami.

Ja również zastanawiałem się wracając samotnie do Wieży. Myślałem o tym, co usłyszałem od Lyanny o Kamenzie i Gustaffsonie. Starałem się na to spojrzeć z perspektywy problemu, który mieliśmy rozwiązać. Nie chciałem też zbytnio przejmować się stanem psychicznym Lyanny, licząc na to, że jej złe samopoczucie przejdzie samo.

Po powrocie nie traciłem ani minuty. Natychmiast poszedłem do biura administratora. Był sam. Przekazywał coś do dyktafonu. Gdy wszedłem, przerwał zajęcie.

– Jak się masz, Robb? Gdzie podziałeś Lyannę?

– Wraca pieszo ze Shkeentown. Chciała ochłonąć. Myślę, że znalazłem rozwiązanie.

Valcarenghi uniósł brwi w oczekiwaniu.

Usiadłem.

– Znaleźliśmy Gustaffsona. Lyanna przeczytała go. Myślę, że przyczyny jego nawrócenia są jasne. Rzecz w tym, że wbrew wszystkim pozorom był to człowiek wewnętrznie załamany. Greeshka oznaczała dla niego koniec wszystkich cierpień. Był z nim inny nawrócony – Lester Kamenz. Biedny, szary człowieczek, żyjący bez celu. Dlaczego nie miał się nawrócić? Gdy przebadamy innych, jestem pewien, że znajdziemy coś, co ich łączy? Będą to zapewne ludzie zagubieni, wrażliwi, samotni.

Valcarenghi skinął głową.

– To prawdopodobne – powiedział. – Ale nasi psychologowie wpadli na to już wcześniej, Robb. To, co mówisz, nie stanowi rozwiązania sprawy. Oczywiście, że nawróceni byli z reguły ludźmi nieszczęśliwymi. W to nie wątpię. Ale dlaczego wybierali akurat kult Zjednoczenia? Psychologowie nie umieli dać właściwej odpowiedzi. Taki Gustaffson. To był mocny człowiek, możesz mi wierzyć. Nie znałem go co prawdą osobiście, ale znam jego karierę. Brał najtrudniejsze zadania. Właśnie ze względu na towarzyszące im niebezpieczeństwo. Podołał wszystkiemu. Mógł mieć wygodne, lukratywne posadki, ale to go nie interesowało. Słyszałem o wypadku na Nightmare. Jest w pewien szczególny sposób słynny. Nie, Phil Gustaffson nie należał do ludzi, którzy załamaliby się. Z tego, co wiem od Nelsa, szybko się z tego otrząsnął. Przyszedł na Shkeen i rzeczywiście, w krótkim czasie zaprowadził tu porządek, nadrabiając zaniedbania Rockwooda. Zawarł z mieszkańcami pierwszy z prawdziwego zdarzenia kontrakt handlowy i co więcej – sprawił, że Shkeenowie pojęli, na czym to polega. Nie jest to łatwe, wierz mi.

– A więc znasz Gustaffsona, tego znającego się na swej robocie faceta, który zabłysnął z podejmowania się najtrudniejszych zadań. I z tego, że ze wszystkich doskonale się wywiązywał. Przeżył osobistą tragedię, zgoda, ale mimo to pozostał dalej twardym facetem. I nagle nawraca się na kult Unii,

co jest równoznaczne z groteskowym nieomal samobójstwem. Dlaczego? By położyć kres swemu bólowi i nieznośnym wspomnieniom? Teoria interesująca, ale są inne sposoby, by pozbyć się cierpień. Między wypadkiem na Nightmare a jego przybyciem tutaj upłynęły całe lata. Nigdy w ciągu tego czasu nie uciekał przed wspomnieniami, nie pił, nie narkotyzował się, nic z tych rzeczy. Nie pospieszył na Starą Ziemię, by poprosić psychologów o usunięcie tragedii z pamięci. A gdyby chciał, mógł sobie na to pozwolić. Urząd do spraw kolonii zrobiłby dla niego, po wypadku na Nightmare, wszystko. Żył dalej po swojemu, intensywnie. Aż tu nagle bomba. Nawrócił się.

– Z pewnością ból uczynił go bardziej wrażliwym. Ale to nie wszystko. Musi być w tym kulcie jeszcze coś, czego nie można odnaleźć w alkoholu ani w oczyszczaniu pamięci. To samo zresztą dotyczy Kamenza i pozostałych. Jest mnóstwo sposobów, by powiedzieć życiu „dziękuję". Nie skorzystali z tego. Wybrali Zjednoczenie. Czy rozumiesz już, o co mi chodzi?

Rozumiałem, oczywiście. To, co uważałem za rozwiązanie problemu, nie było wcale rozwiązaniem. Teraz dopiero zdałem sobie z tego sprawę. Ale Valcarenghi też nie mógł być nieomylny.

– Tak – powiedziałem. – Myślę, że muszę jeszcze zastanowić się trochę i poczytać. – Uśmiechnąłem się blado. – Ale tak naprawdę, to Gustaffson nie podołał wszystkiemu. Lyanna była tego zupełnie pewna. Coś w nim przez cały czas siedziało, coś go męczyło. Nigdy się z tym nie uporał do końca.

– To jest dopiero zwycięstwo nad sobą, nieprawdaż? – powiedział Valcarenghi. – Tak doskonale ukryć ból, by nikt o nim nie wiedział.

– Nie wydaje mi się. Ale... poza tym było jeszcze coś. Gustaffson choruje na Slow Plague. Umiera. Trwa to już od lat.

Na twarzy administratora przez moment pojawiło się zdziwienie. – Nie wiedziałem o tym, ale to chyba potwierdza to, co powiedziałem. Czytałem gdzieś, że około 80% ofiar Slow Plague ochotniczo poddaje się eutanazji, jeżeli oczywiście znajdują się na planecie, gdzie to jest możliwe. Gustaffson był administratorem planety, mógł więc zalegalizować eutanazję. Jeżeli opierał się myśli o samobójstwie przez tyle lat, to dlaczego wybrał tę drogę dopiero teraz?

Nie potrafiłem tego rozwiązać. Lyanna nie powiedziała mi nic na ten temat. Nie byłem też zorientowany, gdzie moglibyśmy ewentualnie szukać odpowiedzi, chyba że...

– Jaskinie – uświadomiłem sobie nagle. – Jaskinie Zjednoczenia. Musimy zobaczyć Ostateczne Zjednoczenie, przyjrzeć się wszystkiemu. Musimy znaleźć coś, co wyjaśni nam tajemnicę nawróceń. Daj nam tę szansę.

Valcarenghi uśmiechnął się.

– W porządku, mogę to załatwić, spodziewałem się zresztą, że do tego dojdzie, ale ostrzegam: nie jest to przyjemny widok. Pamiętam, jakie na mnie wywarł wrażenie.

– Nie ma o czym mówić – odparłem. – Jeżeli myślisz, że czytanie Gustaffsona było przyjemne, to szkoda, że nie widziałeś, jak wyglądała Lyanna... Idzie pieszo, próbując o tym zapomnieć. Ten widok na pewno nie będzie gorszy od wspomnień z Nightmare. Możesz być pewien.

– Świetnie. W takim razie pójdziemy jutro. Oczywiście, będę towarzyszył wam, nie mogę pozostawić was bez opieki. Tam wszystko może się zdarzyć.

Byłem tego samego zdania. Valcarenghi wstał.

– Dobra, przejdziemy teraz do przyjemniejszych tematów. Masz jakieś plany na wieczór?

Gdy wróciłem do domu, Lyanna czekała na mnie leżąc w łóżku z tomem wierszy w ręku. Gdy wszedłem, podniosła na mnie wzrok.

– Cześć – powiedziałem – jak udał się spacer?

– Był długi – jej wyblakłą, drobną twarz rozświetlił na krótko uśmiech. – Miałam dość czasu, by poukładać myśli. Zastanawiałam się nad tym, co widzieliśmy dzisiaj i wczoraj, myślałam o Dopuszczonych i o nas.

– O nas?

– Robb, czy ty mnie kochasz? – Zadała to pytanie tonem nieomal obojętnym, czuć jednak było olbrzymie napięcie. Czyżby chciała się upewnić?...

Usiadłem na brzegu łóżka, ująłem ją za rękę.

– Oczywiście – odpowiedziałem – przecież wiesz.

– Czy to wszystko? – W pytaniu tym było tyle nadziei, że nie można było tego znieść.

– Obawiam się, że tak. On naprawdę jest bardzo zamknięty w sobie, Laurie. On potrzebuje tylko siebie. Jest nieomal samowystarczalny. Jeżeli nawet kocha, to jego miłość ukryta jest za nieprzeniknioną ścianą. Bardzo dużo o tobie myśli. Ale miłość, miłość to co innego. Jest to znacznie silniejsze uczucie, pojawia się niespodziewanie. W nim nic takiego nie znalazłem, przynajmniej tam, dokąd mogłem sięgnąć.

– Zamknięty w sobie – powiedziała. – Zamknięty dla mnie, a ja oddałam mu się zupełnie, bez reszty. On nie. Zawsze się tego obawiałam. Nawet gdy był ze mną, odczuwałam czasami, że w rzeczywistości jest zupełnie gdzie indziej.

Westchnęła głęboko. Czułem jej rozpacz, jej niezgłębioną samotność. Nie wiedziałem, co robić:

– Płacz, jeżeli możesz – powiedziałem nieco bezmyślnie – to czasami pomaga. Wiem o tym. Płakałem dużo w moim życiu.

Nie płakała. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się lekko.

– Nie – powiedziała. – Nie mogę. Dino uczył mnie, że nie należy nigdy płakać. Mawia, że łzy nigdy jeszcze nie rozwiązały żadnego problemu.

Przygnębiająca filozofia. Może rzeczywiście nie rozwiązują niczego. Są jednak częścią człowieczeństwa. Chciałem jej to powiedzieć, ale uśmiechnąłem się tylko.

Odpowiedziała z uśmiechem i zadarła głowę.

– Ty płakałeś – powiedziała nagle. – To zabawne. To głębsze wyznanie od wszystkich, które usłyszałam od Dino. Dziękuję ci, Robb. Bardzo ci dziękuję.

Stanęła na palcach i spoglądała na mnie wyczekująco. Czułem to. Objąłem ją, pocałowałem. Przylgnęła do mnie mocno, całym ciałem. Myślami byłem w tym momencie przy Lyannie. Byłem pewien, że nie miałaby nic przeciwko temu, że byłaby ze mnie nawet dumna, że rozumiałaby...

Gdy powróciłem do pokoju, Lyanny już tam nie było.

Jej pojazd znaleźliśmy w samym centrum miasta Shkeenów – mówił Valcarenghi. Jego głos był beznamiętny, precyzyjny, wzbudzający zaufanie. Starał mi się wmówić, bez słów, że nie ma się czym martwić. – Moi ludzie kontynuują poszukiwania. Ale miasto jest niezmiernie duże. Może domyślasz się, dokąd mogła się udać?

– Nie – odpowiedziałem tępym głosem. – Nic nie wiem. Może chciała po prostu porozmawiać jeszcze z Dopuszczonymi. Stali się jej obsesją. Zresztą nic nie wiem.

– Nie martw się. Mam dobrych ludzi. Znajdziemy ją. Jestem tego pewny. Ale to może potrwać. Czy pokłóciliście się?

– I tak, i nie. Kłótnia to może nieodpowiednie słowo. To było nieco dziwne.

– Rozumiem. – Ale nie zrozumiał. – Laurie powiedziała mi, że ostatniej nocy przyszedłeś sam do biura.

– Tak. Potrzebowałem jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym spokojnie pomyśleć.

– Dobrze – powiedział Valcarenghi. – Możemy więc przypuścić, że Lyanna obudziła się w nocy i również zapragnęła chwili samotności. Ty przyszedłeś do gabinetu, a ona wybrała samotną przejażdżkę. Może ma zamiar spędzić dzień czy dwa na błąkaniu się po mieście. Już wczoraj wyraziła ochotę samotnego, pieszego powrotu do domu, czy nie tak?

– Tak.

– A teraz robi po prostu to samo. Nie widzę problemu. Może powróci jeszcze przed obiadem.

– Dlaczego więc wyszła nie mówiąc mi ani słowa, bez pozostawienia jakiejkolwiek wiadomości?

– Nie wiem, ale to nie ma znaczenia.

Czy naprawdę nie miało to znaczenia? Siedziałem w fotelu, z głową w dłoniach, z twarzą ściągniętą napięciem. Moje ciało zlane było potem. Nagle opanowało mnie uczucie przerażenia przed czymś, czego sobie dokładnie nie uświadomiłem. Podczas gdy ja w gabinecie na górze kochałem się z Laurie, Lyanna obudziła się – i wyszła.

– A teraz – ciągnął Valcaranghi – czekają nas obowiązki. Podróż do jaskiń jest już przygotowana.

Jej włosy opadały kasztanowymi falami na ramiona. Ubrana była w jakąś bardzo powiewną szatę. Przez jej załamania widziałem jej kształtne ciało, którego zresztą wcale nie starała się ukryć.

– Często tu przychodzę, zwykle w nocy, gdy Dino już śpi. Tu można spokojnie pomyśleć.

– Masz rację – powiedziałem, uśmiechając się.

– Piękne gwiazdy...

– Tak...

– ... Ja... – zawahała się. – Powstała nagle i podeszła do mnie. – Czy ty kochasz Lyannę?

Pytanie zaskoczyło mnie. Zadano je w zupełnie niewłaściwym momencie. Myślę jednak, że nic po sobie nie pokazałem. Wciąż byłem z Lyanną.

– Tak – powiedziałem. – Kocham ją bardzo. Dlaczego pytasz?

Stała blisko mnie, patrzyła to na moją twarz, to poza mnie gdzieś w gwiazdy.

– Sama nie wiem. Czasami przychodzą mi takie myśli do głowy. Kocham Dino. Przybył tu dopiero dwa miesiące temu. Nie znamy się więc zbyt długo, ale mogę powiedzieć, że już go kocham. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on. Jest miły, nawet czuły. Zawsze wszystko robi dobrze, nigdy nie zepsuł tego, czego raz się podjął. A mimo to nie wydaje się być zapracowany jak tylu innych. Wszystko przychodzi mu łatwo. Wierzy w siebie, a to pomaga. Daje mi wszystko, czego mogłabym zapragnąć, wszystko...

Przeczytałem ją. Ujrzałem miłość, oddanie, niepewność.

– Oprócz samego siebie – uzupełniłem.

Spojrzała zaskoczona. Nagle uśmiechnęła się.

– Zapomniałam zupełnie, że jesteś Talentem. Przecież musisz wiedzieć. Tak, masz rację. Nie wiem dlaczego i czym właściwie, ale martwię się. Dino jest doskonały. Mówię mu o sobie, o moim życiu, on słucha, rozumie. Jest świetnym słuchaczem. I zawsze jest przy mnie, gdy go potrzebuję. Ale...

– Wszystko to jest jednokierunkowe – stwierdziłem sucho, bez wątpliwości.

Skinęła głową.

– Nie chcę powiedzieć, żeby miał przede mną jakieś tajemnice. Odpowiada na każde moje pytanie. Ale jego odpowiedzi pozbawione są sensu. Pytam na przykład, czego się obawia, co go dręczy, a on mi mówi, że wszystko w porządku. I mówi to tak, iż muszę mu uwierzyć. Jest bardzo opanowany, nigdy się nie złości. Nie nienawidzi, uważa zresztą, że nienawiść jest rzeczą złą. Nigdy nie przeżył prawdziwego cierpienia, przynajmniej tak utrzymuje. Mam na myśli cierpienie duchowe. Ale mimo to rozumie mnie, gdy opowiadam mu o moim życiu. Kiedyś zdradził się, że jego największą wadą jest lenistwo. Ale przecież on wcale nie jest leniwy. Czym w takim razie on jest? Chodzącą doskonałością? Powiada, że zawsze jest pewny siebie, ponieważ wie, że jest dobry. Ale mówiąc to uśmiecha się. Nie mogę więc nawet stwierdzić z całą pewnością, że jest próżny. Mówi, że wierzy w Boga, ale nigdy o nim sam nie mówi. Gdy próbuję z nim rozmawiać poważnie albo słucha cierpliwie, albo obraca wszystko w żart, albo skierowuje rozmowę na inne tory. Mówi, że mnie kocha, ale...

Skinęła głową. Wiedziałem, co chciała powiedzieć.

Spojrzała na mnie. W jej oczach była niema prośba.

– Jesteś Talentem – powiedziała. – Na pewno czytałeś go nieraz. Znasz go więc. Powiedz mi, proszę. Musisz mi powiedzieć.

Czytałem ją. Widziałem jej cierpienie, jej strach. Widziałem, jak bardzo pragnęła znać prawdę. Jak bardzo kochała. Nie mogłem jej okłamać. Mimo to niełatwo było jej powiedzieć to, co wiedziałem.

– Rzeczywiście, czytałem go – powiedziałem powoli, ostrożnie, precyzyjnie dobierając słowa. – Czytałem rwnież ciebie. Znam twoją miłość. Znam ją od czasu naszego pierwszego spotkania.

– A co powiesz o Dino?

Słowa utknęły mi w gardle. – „Jest w pewnym sensie zabawny" – powiedziała kiedyś Lyanna. Jego powierzchowne uczucia odczytać można bardzo łatwo. Jest zamknięty w sobie, jakby odgrodzony murem. Wygląda na to, jakby jego uczuciami były te, na które sam sobie pozwala. Widziałem jego ufność, pewność. Widziałem też obawy. Ale nigdy śladu prawdziwego strachu. W stosunku do ciebie jest bardzo czuły, opiekuńczy.

– Tak, wiem, wiem, że mnie kochasz, Robb, naprawdę mnie kochasz, tak mocno jak kochać może tylko człowiek. Ale... urwała. – Pokiwała głową, zamknęła książkę, westchnęła. – Ale mimo to nie jesteśmy razem. Nie jesteśmy jednym. Ja i ty to nie jest jedno.

– O czym ty mówisz?

– O tym popołudniu. Byłam poruszona i przerażona. Nie wiedziałam dlaczego. Musiałam się zastanowić. Gdy czytałam, Robb... byłam w nich, byłam nimi, dzieliłam ich miłość i byłam miłością. Naprawdę. I nie chciałabym, by to się skończyło. Nie chciałam ich opuszczać. Gdy oderwałam się, czułam się taka samotna jak gałąź odcięta od pnia.

– To twoja wina – powiedziałem. – Próbowałem z tobą rozmawiać, ale byłaś zajęta myślami, dałaś się porwać.

– Chciałeś ze mną rozmawiać? Cóż to takiego – rozmowa? Oni twierdzą, że to tylko porozumiewanie się, ale czy naprawdę? Tak wydawało mi się do czasu, gdy rozwinęłam swój Talent. Potem już tylko czytanie innych wydawało mi się prawdziwym sposobem porozumiewania się z inną istotą. Wszyscy są jednym. Prawie tak jak my, gdy się kochamy. A oni się też kochają, i kochają nas, mocno, czułam to. Gustaffson kocha mnie tak samo jak ty. Nie, on kocha mnie bardziej.

Jej twarz, gdy mówiła to, robiła się blada, oczy rozszerzały się, patrzyły bez celu. A ja poczułem nagły przypływ chłodu, który owionął moją duszę. Nie potrafiłem wymówić ani słowa. Patrzyłem na nią, oblizując wyschnięte wargi. Serce biło jak młot.

Dojrzała ból w moich oczach. Wydawało mi się... Jej ręka uścisnęła moją.

– Oh, Robb, proszę, nie miałam zamiaru zranić cię. To nie do ciebie mówiłam, lecz do nas wszystkich. Co my naprawdę mamy w porównaniu z nimi?

– Nie wiem, o czym mówisz, Lyanno. – Pewna część mej duszy zapragnęła rozpłakać się, inna znów chciała krzyczeć. Uspokoiłem obie i wypowiedziałem te słowa normalnym głosem, który w ogóle nie był normalny.

– Czy kochasz mnie, Robb? – spytała ponownie, pełna napięcia.

– Tak! – odpowiedziałem zaciekle, wyzywająco.

– A co to znaczy, że mnie kochasz?

– Wiesz doskonale, co to znaczy, do cholery, Lya, pomyśl trochę! Przypomnij sobie wszystko, co razem przeżyliśmy. To właśnie jest miłość. Tak jest. Byliśmy szczęśliwi, czy pamiętasz? Sama to powiedziałaś. Normalni mają tylko zmysły dotyku i głos, i więcej nic. Nie są w stanie odnaleźć się nawzajem. Są samotni, samotni na zawsze. Chodzą po omacku. Próbują nieustannie wydostać się ze swych samotni i nigdy się im to nie udaje. Ale my to co innego. My znamy właściwą drogę. Wiemy o sobie tyle, ile nikt z ludzi nie jest w stanie wiedzieć o drugim człowieku. Nie ma takiej rzeczy, której bym ci nie powiedział, której bym z tobą nie dzielił. Mówiłem to już wiele razy i wiesz dobrze, że tak jest. Możesz przecież mnie przeczytać. To jest miłość, do diabła! Jest czy nie?

– Nie wiem – powiedziała głosem przeraźliwie smutnym. Nagle, bezgłośnie, bez łkania, zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach, a ona mówiła dalej.

– Może to jest miłość. Zawsze dotąd tak myślałam. Ale teraz już nie jestem pewna. Jeżeli to, co jest między nami, jest miłością, to jak nazwać mam to, co czułam po południu w rozmowie z Dopuszczonymi? Och, Robb, ja też cię kocham. Wiesz o tym. Staram się żyć z tobą, być jednym. Ale nie mogę. My jesteśmy skazani na osamotnienie. Nie mogę sprawić, byś to zrozumiał. Ja jestem tutaj, ty jesteś obok, możemy dotykać swych ciał, możemy się kochać, ale to nie jest to. Ciągle ja i ty to nie jedność. Jesteśmy samotni. Rozumiesz? Czy rozumiesz to, kochany? Ja jestem samotna. A tego popołudnia nie byłam samotna.

– Do diabła! Ty przecież nie jesteś samotna – wtrąciłem. – Ja tu jestem. – Zacisnąłem rękę na jej ramieniu. – Czujesz? Słyszysz? Nie jesteś samotna!

Potrząsnęła głową. Po jej twarzy w dalszym ciągu spływały łzy. – Widzisz, Robb, ty tego nie rozumiesz. I nie ma sposobu, byś to zrozumiał. Powiedziałeś, że wiemy o sobie tak dużo, jak to tylko możliwe. I miałeś rację. Ale jak głęboko ludzie mogą się znać? Co oni mogą o sobie wiedzieć? Czy w rzeczywistości nie są wielkimi samotnikami, nie mogącymi się nawzajem porozumieć? Każdy

samotnie trwa w tym wielkim, ciemnym i pustym wszechświecie. Gdy mówimy, że nie jesteśmy sami, to tylko oszukujemy się nawzajem, bo w końcu jesteśmy już zupełnie sami, skazani sami na siebie. Czy jesteś we mnie, Robb? W moim świecie? Skąd ja mam to wiedzieć? Czy umarłbyś razem ze mną, Robb? Czy po śmierci bylibyśmy razem? Czy jesteśmy razem w tej chwili? Mówisz: „Jesteśmy bardziej szczęśliwi niż Normalni". Ja też tak twierdziłam. Mówisz, że oni posiadają tylko zmysły i głos, tak? Ileż razy ja to powtarzałam. Ale w rzeczywistości co my takiego mamy? Też w końcu zmysły i głosy. To mi już nie wystarcza. Boję się. Nagle zaczęłam się bać.

Zanosiła się szlochem. Instynktownie niemal objąłem ją ramionami, pieściłem. Leżeliśmy razem. Płakała z twarzą na mojej piersi. Przeczytałem jej ból, jej strach. Ogromny strach przed samotnością. Jej głód Zjednoczenia się z innymi. Jej głód współodczuwania. I chociaż bez przerwy pieściłem ją, szepcąc, że wszystko będzie dobrze, że przy niej jestem i zawsze będę, że nie jest samotna, to wiedziałem, że jest już za późno. Przepaść między nami stawała się faktem. Powiększała się wolno, ale nieustannie i nie wiedziałem, jak ją powstrzymać. A Lyanna, moja Lyanna, potrzebowała mnie. Wiedziałem o tym, ale nie mogłem jej w niczym pomóc.

Nagle zdałem sobie sprawę, że również płaczę.

Trwaliśmy tak, zalani łzami, ale w końcu łzy przestały płynąć. Lyanna przylgnęła do mnie całym ciałem tak mocno, że nie mogłem złapać tchu. Ja również obejmowałem ją z całych sił.

– Robb – powiedziała szeptem. – Powiedziałeś raz... powiedziałeś, że naprawdę znamy się nawzajem. Mówiłeś to wiele razy. A czasami mówiłeś, że jestem dla ciebie wszystkim, że jestem ideałem.

Skinąłem głową, starając się w to wierzyć.

– Tak, to prawda. Jesteś dla mnie doskonałością.

– Nieprawda – powiedziała z wysiłkiem, wyrzucając z siebie słowa. – Tak nie jest. Przeczytałam cię. Wiem, że szukałeś i dobierałeś słowa, zanim to powiedziałeś. Wyrzucasz to z siebie teraz. I widzę wspomnienia, przeżywam je z tobą. To wszystko jest na powierzchni. Pod tym jest jeszcze coś. Pewne nieokreślone myśli, których nie mogę nazwać. Są i uczucia nieokreślone. Są popędy, które tłumisz i wspomnienia, o których sam nie wiesz, że je posiadasz. Czasami udaje mi się zejść na ten poziom. Czasami. Jeżeli walczę o to, walczę do wyczerpania. Ale gdy nawet dostanę się tam, to po to, by dowiedzieć się, że poniżej... są myśli, które skrywasz przede mną i przed sobą. I tak bez końca. Nie mogę wiedzieć o tobie wszystkiego. To niemożliwe. Nie znam cię więc, nie mogę cię poznać. Nawet ty nie znasz siebie, czy wiesz o tym? Nie. A ty, czy znasz mnie? Znasz mnie mniej niż ja ciebie. Wiesz tyle, ile ci powiem i wiesz, że to, co mówię, to prawda. A może tylko część prawdy? I czytasz moje uczucia, moje płytkie uczucia. Ból z powodu skaleczonego palca, błysk zdumienia, przyjemność, jaką czuję, gdy jesteś we mnie. Czy to znaczy, że mnie znasz? A co z głębszymi poziomami i jeszcze głębszymi? Co z rzeczami, o których sama nie wiem? Czy znasz je ty? Co powiesz na to, Robb?

Wstrząsnęła głową w tym zabawnie uroczym geście, charakterystycznym dla niej, gdy była zmieszana. – I mówisz, że jestem doskonała, że mnie kochasz, że jestem dla ciebie stworzona, ale czy tak jest w rzeczywistości? Robb, ja czytam twoje myśli. Wiem, kiedy chcesz, żebym była sexy. Jestem wtedy sexy. Wiem, co cię podnieca i to robię. Wiem, kiedy chcesz, żebym była serio, a kiedy chcesz, żebym była swobodna. Wiem, jakiego rodzaju żarty lubisz. Nie lubisz żartów zbyt ostrych, takich, które ranią innych. Lubisz śmiać się zawsze razem z ludźmi, a nie z ludzi. A ja śmieję się razem z tobą i kocham cię za te upodobania. Wiem, kiedy chcesz, żebym była tygrysicą, a kiedy małą dziewczynką, która bezradnie chroni się w twoich ramionach. I robię zawsze to, co chcesz, ponieważ czuję twoją radość ze spełnienia twoich życzeń. Nigdy nie robię tego z wyrachowania ani od niechcenia i nigdy tego nie żałowałam. I nie żałuję teraz. W większości wypadków robiłam to zupełnie nieświadomie. Ty robisz zupełnie podobnie. Przeczytałam to w tobie. Ale ty nie potrafisz czytać tak głęboko jak ja, więc czasami odczytujesz moje życzenia źle. Stajesz się czasami brutalny, gdy ja chcę, byś był cichy i wyrozumiały. Grasz silnego mężczyznę, gdy ja pragnę małego chłopca spragnionego macierzyńskich pieszczot. Ale czasami odgadujesz też prawidłowo. Ale zawsze – tylko próbujesz. Ale czy to jesteś ty? Czy to naprawdę ja? A gdyby okazało się, że nie jestem wcale doskonała, że jestem tylko ułomną kobietą z wieloma wadami? Czy i wtedy byś mnie kochał? Nie jestem pewna, Robb. Czułam to. Ja ich znam. Gdybym do nich wróciła, znalazłabym tam więcej szczęścia niż z tobą. A oni mnie znają. Znają mnie taką, jaką naprawdę jestem. I kochają mnie mimo to. Czy rozumiesz to? Czy rozumiesz?

Czy rozumiałem? Nie wiem. Byłem zmieszany. Czy kochałbym Lyannę, gdyby była tylko sobą? Co to znaczy sobą? Czym to się różni od tej Lyanny, którą kochałem? I czy zawsze bym ją kochał? I czy to prawdziwa Lya była moją Lyanną? Kogo ja właściwie kochałem? Abstrakcyjny ideał, czy też ciało, głos i osobowość, które – jak myślałem – składają się na Lyannę? Nie wiem. Nie wiedziałem też i wtedy. Nie wiedziałem, kim jestem, kim była Lya, i co to wszystko razem znaczyło. Bałem się. Może nie mogłem czuć tego, co ona czuła tego popołudnia. Ale wiedziałem, co ona czuła. Byłem sam i potrzebowałem kogoś.

– Lya – powiedziałem – Lya, spróbujmy jeszcze raz. Nie poddawajmy się. Możemy połączyć się, przeniknąć. Jest sposób, nasz sposób. Robiliśmy to już. Chodź do mnie.

Mówiąc to, rozbierałem ją. Pieszczotami odpowiadała na pieszczoty. Gdy byliśmy nadzy, zaczęliśmy się całować. Czułem ją wewnątrz siebie. Nasze serca otwarły się dla siebie jak nigdy przedtem. Czułem ją w sobie. Coraz głębiej. Otworzyłem przed nią wrota swojej duszy, z jej najdrobniejszymi sekretami, nawet tymi, których się wstydziłem. Godziny samotności i płaczu, momenty przykrości, które komuś wyrządziłem, i momenty, gdy sam czułem się zraniony. Chwile płaczu i samotności, rozpaczy i strachu przed nieznanym, przesądy, które uważałam za niegodne, przeróżności, które zwalczałem w sobie, głupie wyskoki wieku durnego i chmurnego. Wszystko. Każdy szczegół. Nie ukrywałem nic. Oddałem siebie Lyannie, mojej Lyannie. Musiała mnie poznać.

Również i ona otworzyła się cała. Jej wnętrze było niczym las, przez który podążałem, potykając się o kępy emocji, strachu, a nade wszystko potrzeby bycia kochaną i potrzeby kochania. Pomiędzy tym wszystkim przeplatały się kaprysy i pasje małej dziewczynki. Nie posiadam Talentu tej miary co Lya. Czytam jedynie uczucia, nigdy myśli. Ale wtedy po raz pierwszy i chyba ostatni biła we mnie myślami. Wraz z jej duszą otwarło się dla mnie jej ciało. Wszedłem w nią, wdarłem się z pasją i poruszaliśmy się złączeni. Nasze umysły były splecione do granic ludzkich możliwości. I czułem przepływającą przeze mnie gorącymi falami rozkosz. Rozkosz moją i jej. Przez czas, który wydawał się wiecznością, utrzymywaliśmy się w stanie ekstazy. Spełnienie zbliżało się nieuchronnie niczym odległy brzeg. Gdy w końcu dobiegliśmy do brzegu, przez moment, niesłychanie krótki, nie mogłem rozróżnić orgazmów.

A potem minęło wszystko.

Obudziłem się pierwszy. W pokoju panował półmrok. Lyanna leżała skulona na drugim brzegu łóżka. Spała. Wydawało mi się, że niedługo powinno świtać. Czułem się wyczerpany.

Wstałem i bezszelestnie ubrałem się. Chciałem się gdzieś przejść, pomyśleć w spokoju. Ale dokąd miałem pójść?

W kieszeni znalazłem klucz, wyczułem go wkładając tunikę. Był to klucz do biura Valcarenghiego. O tej porze nikogo tam nie będzie, widok z biura z pewnością mnie uspokoi.

Wyszedłem z pokoju, odnalazłem windę i wystrzeliłem w górę, na szczyt stalowego wyzwania, jakie ludzie rzucili niebu nad planetą Shkeen.

Biuro tonęło w ciemnościach, cienie mebli majaczyły w mroku. Jedyne światło dochodziło z gwiazd. Shkeen jest bliższe centrum galatyki niźli Stara Ziemia czy Baldur. Gwiazdy są jasne i rozpościerają się jaskrawym baldachimem nad planetą. Niektóre z nich znajdują się w niewielkiej odległości i świecą na kształt czerwonych kul na tle nie zgłębionej czerni. Ściany gabinetu Valcarenghiego są ze szkła; podszedłem do jednej z nich i spojrzałem w dół. Nie myślałem o niczym. Czułem chłód i zagubienie.

Nagle za mną usłyszałem cichy, ledwo dosłyszalny głos. Odwróciłem się od ściany, ale światło gwiaz l przedostające się z przeciwległej strony oślepiło mnie. W jednym z foteli siedziała Laurie Blackburn pogrążona w ciemnościach.

– Cześć – powiedziałem. – Nie chciałem ci przeszkadzać. Myślałem, że o tej porze nikogo tu nie zastanę.

Uśmiechała się. Promienny uśmiech na promiennej twarzy, uśmiech, w którym nie znać było radości.

przeczyta mi go dla treningu. Wykręciłem się ze względu na wyjątkowe okoliczności. Znowu? – zapytała ze współczuciem i zarazem agresywnie. Znowu, potwierdziłem nie bez wyzwania. Przekleństwo, powiedziała Alena. Nie przeczę, powiedziałem. Na długo? – zapytała. Mam jeszcze trzy dni, odpowiedziałem. A jeżeli nie zdążysz? – zapytała. Wtedy koniec, odpowiedziałem. Spojrzała na mnie szybko i zrozumiałem, że znów wyobraża sobie jakieś okropności. Straszna nuda, powiedziałem. Już mi to obrzydło. Odbębnię tę sprawę i pojedziemy sobie razem gdzieś możliwie daleko stąd. Nie dam rady, powiedziała smutno. Czy jeszcze ci się nie znudziło? – zapytałem. – Zajmujecie się głupotami... Tak właśnie z nią trzeba. Z miejsca się najeżyła i zaczęła mi udowadniać, że wcale nie zajmuje się głupotami, tylko sprawami najwyższej wagi i do tego diablo ciekawymi. W końcu stanęło na tym, że za miesiąc pojedziemy na Nową Ziemię. To teraz bardzo modne...

Wróciłem do gabinetu i na stojąco wykręciłem numer domu Głumowej. Nikt nie odpowiadał. Była 7.51. Jasny, słoneczny poranek. W taką pogodę do ósmej mógł spać chyba tylko nasz Słoń. Maja Głumowa na pewno poszła już do pracy, a piegowaty Tojwo wrócił do swojego internatu.

Przymierzyłem się do swojego planu zajęć na dzień dzisiejszy. W Kanadzie jest teraz późny wieczór. O ile wiem Głowany prowadzą przeważnie nocny tryb życia, tak że nic złego się nie stanie, jeśli będę tam za jakieś trzy, cztery godziny... Ale, ale co się dzieje z zero-T? Połączyłem się z informacją. Zero-T wznowił normalną pracę od czwartej rano. A więc zdążę jeszcze dzisiaj zarówno do Szczekna jak i do Kornieja Jaszmaa.

Poszedłem do kuchni, wypiłem jeszcze jedną filiżankę kawy, odprowadziłem Alenę na dach do glidera. Pożegnaliśmy się z przesadną serdecznością – Alenę napadła trema przedwykładowa. Starannie machałem jej ręką aż mi nie zniknie z oczu, a potem wróciłem do gabinetu.

Ciekawe czego on się tak przyczepił do tego Muzeum? Muzeum, jak muzeum... Jakiś tam związek z pracą Progresorów, w szczególności na Saraksz oczywiście istnieje... Nagle przypomniałem sobie rozszerzone do granic możliwości źrenice Ekscelencji. Czyżby wtedy naprawdę się przestraszył? Czyżby udało się przestraszyć Ekscelencję? I to czym? Zwyczajną i w gruncie rzeczy przypadkową informacją, że przyjaciółka Abałkina pracuje w Muzeum Kultur Pozaziemskich... w sektorze przedmiotów o nieznanym przeznaczeniu. O przepraszam! Nazwę sektora wymienił sam Ekscelencja. Ja powiedziałem tylko, że Głumowa pracuje w Muzeum Kultur Pozaziemskich, a on sprecyzował – w sektorze przedmiotów o nieznanym przeznaczeniu... Przypomniałem sobie amfiladę pokoi zastawionych, obwieszonych, poprzegradzanych dziwacznymi, podobnymi do abstrakcyjnych rzeźb, lub modeli topologicznych, przedmiotami... I Ekscelencja wyobraża sobie, że oficera Imperium, który narozrabiał setki parseków stąd może cokolwiek zainteresować w tych salach...

Wybrałem numer Mai Głumowej w Muzeum i nieco osłupiałem. Z ekranu patrzył i miło się do mnie uśmiechał Grisza Serosowin, zwany Wodolejem, z czwartej podgrupy mojego wydziału. Przez kilka sekund obserwowałem kolejne zmiany, jakie zachodziły na rumianej fizjonomii Griszy. Przyjemny uśmiech, zmieszanie, oficjalna gotowość do wysłuchania polecenia i wreszcie ponownie przyjemny uśmiech. Nieco, powiedzmy, wymuszony. Można było go zrozumieć. Jeżeli ja sam lekko zbaraniałem, to już on miał pełne prawo, żeby się stropić. Oczywiście, ostatnim człowiekiem, którego spodziewał się zobaczyć na ekranie, był szef jego wydziału, ale ogólnie rzecz biorąc, znalazł się zupełnie dobrze.

– Dzień dobry – powiedziałem. Poproszę, jeżeli można, Maję Głumową.

Maję Głumową... – Grisza rozejrzał się. – Wie pan, jej tu nie ma. Zdaje się, że jeszcze nie przyszła. Czy mam jej coś przekazać?

– Proszę powiedzieć, że dzwonił Kammerer, dziennikarz. Powinna mnie pamiętać. Pan jest tu od niedawna? Jakoś sobie nie przypominam...

– Tak, od wczoraj... W ogóle nie jestem tu zatrudniony, pracuję nad eksponatami...

Ze sprawozdania Lwa Abałkina

... Znowu bardziej się rozpadało, mgła zgęstniała tak, że domy z lewej i prawej strony stały się prawie niewidoczne. Eksperci wpadają w panikę – wydało się im, że teraz z kolei przestała działać biooptyczna aparatura przekształcająca. Uspokajam ich. Kiedy się uspokoili zbezczelnieli i nalegają, żebym włączył reflektor przeciwmgielny. Włączam im reflektor. Eksperci są zachwyceni, ale za to Szczekn siada na środku jezdni, podwija pod siebie ogon i komunikuje, że nie zrobi ani jednego kroku, póki nie zlikwiduje się tej tęczy, od której bolą go uszy i swędzi między palcami. On, Szczekn, świetnie wszystko widzi i bez tych zidiociałych reflektorów, a jeśli eksperci czegoś nie widzą, to znaczy, że nie muszą, niech lepiej znajdą sobie jakieś pożyteczne zajęcie, na przykład niech przygotują dla niego, Szczekna, owsiankę z fasolą, żeby miał co jeść kiedy wróci. Eksplozja oburzenia. Szczerze mówiąc, eksperci trochę obawiają się Szczekna. Każdy Ziemianin, kiedy bliżej pozna Głowana wcześniej czy później zaczyna się go obawiać. Ale jednocześnie, jakby to nie było paradoksalne, ten sam Ziemianin nie potrafi traktować Głowana inaczej niż jak wielkiego mówiącego psa (taki tam cyrk, cuda zoopsychologii itp).

Jeden z ekspertów ma nieostrożność obiecać Szczeknowi, że w ogóle zostanie bez obiadu, jeśli będzie się upierać. Szczekn podnosi głos. Okazuje się, że on, Szczekn, przez całe życie znakomicie obchodził się bez ekspertów. Więcej. Czuliśmy się tutaj szczególnie dobrze akurat wtedy, kiedy ekspertów nie było ani widać, ani słychać.

Stoję na deszczu, który leje coraz bardziej, słucham tego całego ekspert-fasolowego zawracania głowy i,w żaden sposób nie mogę się otrząsnąć z jakiegoś drętwego otępienia. Majaczy mi się, że uczestniczę w zaskakująco głupim spektaklu teatralnym bez końca i początku, w którym wszyscy aktorzy pozapominali swoich ról i mówią co im ślina na język przyniesie w daremnej nadziei, że powstanie z tego jakaś całość. Ten spektakl wyreżyserowano jakby dla mnie specjalnie, żeby możliwie najdłużej zatrzymać mnie na miejscu, nie pozwolić ruszyć się na krok, a tymczasem za kulisami ktoś pospiesznie robi co może po to, żeby stało się dla mnie ostatecznie jasne – wszystko nie ma sensu, nie sposób cokolwiek zrobić, trzeba wracać do domu...

Z ogromnym trudem biorę się w garść i wyłączam przeklęty reflektor. Szczekn natychmiast urywa w pół słowa długie, starannie obmyślane przekleństwo i jakby nigdy nic rusza przed siebie. Maszeruję w ślad za nim słuchając jak Van der Hoose zaprowadza porządek u siebie na pokładzie. „Skandal! Przeszkadzać grupie zwiadowczej! Niezwłocznie wyrzucę z mostka! Zabronię! Przekupki!"

– Zabawiasz się? – cichutko pytam Szczekna.

Zamiast odpowiedzi zezuje wypukłym okiem.

– Rozrabiacz – mówię. – Wszyscy tacy jesteście. Każdy Głowan lubi rozróby i skandale...

– Mokro – nie na temat odpowiada Szczekn. – I pełno żab. Nie ma gdzie nogi postawić... Znowu ciężarówki – komunikuje.

Z mgły przed nami wyraźnie ciągnie smrodem mokrego zardzewiałego żelastwa, a chwilę później znajdujemy się w samym środku ogromnego złomowiska najrozmaitszych samochodów.

Są to i zwyczajne ciężarówki i furgonetki i gigantyczne platformy i malutkie aerodynamiczne samochody osobowe i jakieś potworne samochodopodobne machiny o ośmiu kołach wysokości człowieka. Wszystko to stoi na jezdni, na chodnikach, jedno przy drugim, byle jak, w poprzek i na ukos, często na styk – niewyobrażalnie przerdzewiałe, rozpadające się od samego patrzenia. Nie możemy iść szybko, trzeba omijać, przeciskać się, przełazić. Samochodów setki. I wszystkie załadowane domowymi gratami, a graty te też już dawno zgniły, zetlały, zmruszały nie do poznania...

A potem jakoś nieoczekiwanie ten nonsensowny labirynt kończy się.

To znaczy dookoła jak poprzednio stoją samochody, setki samochodów, ale stoją we względnym porządku, uszeregowane po obu stronach jezdni i na chodnikach, ale środek ulicy jest idealnie pusty.

Patrzę na Szczekna. Szczekn otrząsa się z furią, drapie wszystkimi czterema nogami jednocześnie, wylizuje grzbiet, parska, zionie przekleństwami, znowu zaczyna się otrząsać, drapać i wylizywać.

Van der Hoose z trwogą wypytuje nas, dlaczego zeszliśmy z trasy i co to był za skład. Tłumaczę mu, że to nie był skład. Dyskutujemy na następny temat – jeżeli to są ślady ewakuacji, to dlaczego tubylcy ewakuowali się z przedmieść do centrum.

– Tą drogą wracać nie będę – oznajmia Szczekn i wściekłym plaśnięciem rozmazuje na jezdni skaczącą w pobliżu żabę.

O drugiej po południu Sztab nadaje pierwsze wnioski. Ekologiczna katastrofa, ale cywilizacja zginęła z innej przyczyny. Ludność znikła, jeśli tak można powiedzieć, w jednej chwili, ale nie wyniszczyła się wzajemnie wojnami i nie ewakuowała się poprzez Kosmos – zbyt niski poziom techniki i w ogóle planeta nie jest cmentarzyskiem tylko wysypiskiem śmieci. Żałosne niedobitki tubylców wegetują na wsi, z trudem uprawiają rolę i są całkowicie pozbawione cywilizacyjnych nawyków, chociaż znakomicie dają sobie radę z bronią automatyczną. Wnioski dla mnie i Szczekna: miasto musi być absolutnie puste. Mnie ten wniosek wydaje się dosyć wątpliwy, Szczeknowi również.

Jezdnia staje się szersza, domy i samochody po obu stronach całkowicie znikają we mgle i wyczuwam przed sobą otwartą przestrzeń... Jeszcze kilka kroków i przed nami z mgły wyłania się przysadzista kwadratowa sylwetka. To znowu pancerka – dokładnie taka sama, jaka stała pod zwaloną ścianą, ale tę porzucono bardzo dawno temu, osiadła pod własnym ciężarem i jakby wrosła w asfalt.

Przed sobą nie widzę nic. Mgła na tym placu jest jakaś szczególna, nienaturalnie gęsta, można sądzić, że trwa tu wiele lat i przez te lata wytrąciła się, zsiadła jak mleko i stwardniała pod własnym ciężarem.

– Pod nogi! – komenderuje nagle Szczekn.

Patrzę pod nogi i niczego nie widzę. Za to dociera do mnie nieoczekiwanie, że pod podeszwami mam już nie asfalt, tylko coś miękkiego, co sprężynuje i jest gładkie niczym gruby dywan. Przykucam.

– Możesz włączyć swój reflektor – mruczy Szczekn.

Ale już bez żadnych reflektorów widzę, że asfalt pokryty jest prawie całkowicie nieapetyczną warstwą sprasowanej wilgotnej masy obficie przerośniętej różnokolorową pleśnią. Wyciągam nóż, podważam płat tej masy – od spleśniałego kożucha odłazi jakaś szmatka, a może kawałek rzemyka, a spod rzemyka mętną zielonością wyziera coś okrągłego (guzik? sprzączka?) i powoli wyprostowują się jakieś druciki czy sprężynki...

– Oni wszyscy tędy szli... – mówi Szczekn dziwnym głosem.

Wstaję i idę dalej, stąpając po miękkim i śliskim. Próbuję poskromić swoją wyobraźnię, ale teraz mi się to nie udaje. Oni wszyscy szli tędy, tą oto drogą, porzuciwszy swoje niepotrzebne już samochody i furgonetki, setki tysięcy, miliony wypływały z alei na ten plac, omijając pancerkę z groźnie i bezsilnie

– Ja ci pokażę „psa"! – w najczystszym miejscowym narzeczu odzywa się Szczekn. – Ty stary gadatliwy koźle.

W tym momencie nerwy chłopców nie wytrzymują i zaczyna się strzelanina.

3 czerwca 78 roku

Znowu Maja Głumowa

Mocno przesadziłem z regulacją wideofonu. Aparat nad moim uchem zaryczał melodyjnie, jak nieznajomy w krótkich spodenkach, w szczytowym momencie zalotów do missis Niklbi. Wyskoczyłem z fotela jak z katapulty jeszcze w locie, naciskając klawisz odbioru.

Dzwonił Ekscelencja. Była 7.03.

– Dosyć tego spania – powiedział nawet dosyć dobrodusznie. – Kiedy byłem w twoim wieku nie miałem zwyczaju spać.

Ciekawe, jak długo jeszcze będę wysłuchiwać od niego uwag na temat swojego wieku? Mam już czterdzieści pięć lat... Nawiasem mówiąc, kiedy był w moim wieku, to jednak sypiał. Teraz zresztą, nie powiem, też lubi pospać.

– Wcale nie spałem – zełgałem.

– Tym lepiej – powiedział. – To znaczy, że możesz niezwłocznie przystąpić do pracy. Znajdź tę Głumową. Dowiedz się od niej rzeczy następujących: Czy od wczoraj widziała się z Abałkinem. Czy Abałkin rozmawiał z nią o jej pracy. Jeśli rozmawiał, to co konkretnie go interesowało. Czy nie wyraził ochoty przyjścia do niej, do Muzeum. To wszystko. Ani mniej ani więcej.

Natychmiast reaguję na to końcowe zdanie.

– Mam się dowiedzieć od Głumowej, czy się z nim widziała jeszcze raz, czy rozmawiali o jej pracy, jeśli tak, to co go interesowało, czy nie zamierza odwiedzić Muzeum.

– Tak. Proponowałeś zmianę legendy. Zgadzam się. Komkon poszukuje Progresora Abałkina w celu uzyskania od niego zeznań dotyczących nieszczęśliwego wypadku. Dochodzenie związane jest z tajemnicą osobowości i dlatego jest niejawne. Zgadzam się. Czy masz jakieś pytania?

– Chciałbym wiedzieć, co ma do tego wszystkiego Muzeum – wymruczałem jakby do siebie.

– Mówiłeś coś? – zainteresował się Ekscelencja.

– Załóżmy, że oni w ogóle nie rozmawiali o tym przeklętym Muzeum. Czy w takim wypadku mogę spróbować wyjaśnić co między nimi zaszło w czasie tego spotkania?

– To jest ważne dla ciebie?

– A dla pana?

– Dla mnie – nie.

– Bardzo dziwne – powiedziałem patrząc w bok. – Wiemy czego chciał się dowiedzieć Abałkin ode mnie. Wiemy czego chciał się dowiedzieć od Fiedosiejewa. Ale nie mamy najmniejszego pojęcia, czego chciał od Głumowej...

Ekscelencja powiedział:

– Dobrze. Dowiedz się. Ale tylko w taki sposób, żeby to nie przeszkodziło w uzyskaniu odpowiedzi na zasadnicze pytania. Nie zapomnij o radiobransolecie. Włóż ją od razu, tak żebym to widział...

Z westchnieniem wyjąłem z szuflady radiobransoletę i zapiąłem ją na lewym nadgarstku. Była za ciasna. Uwierała.

– No tak – powiedział Ekscelencja i wyłączył się.

Poszedłem do łazienki. Z kuchni dobiegały łoskoty i szczękania – Alena puściła w ruch utylizator. Pachniała kawa. Wziąłem prysznic i zjedliśmy śniadanie. Alena w moim szlafroku siedziała naprzeciw i była podobna do chińskiego bożka. Zawiadomiła mnie, że ma dzisiaj referat i zaproponowała, że

Siedzę nieruchomo starając się zachować kamienny wyraz twarzy. Podświadomie oczekiwałem czegoś w tym rodzaju, ale to co usłyszałem od naocznego świadka i zarazem od ofiary, w żaden sposób nie chce mi się pomieścić w głowie. Fakty, które zrelacjonował stary, nie wywołują u mnie żadnych wątpliwości, ale jak to bywa we śnie – każdy element oddzielnie ma jakiś sens, a wszystkie razem układają się w jakiś nonsensowny obraz. Być może problem z tym, że weszło mi w krew tendencyjne wyobrażenie o Wędrowcach, bez zastrzeżeń obowiązujące u nas na Ziemi.

– Skąd wiadomo, że to nieludzie? – pytam. – Widziałeś ich? Ty sam ich widziałeś?

Starzec chrząka. Jego twarz staje się straszna.

– Oddałbym połowę swego nadaremnego życia, żeby chociaż jednego zobaczyć twarzą w twarz – mówi ochrypłym głosem. Tymi oto rękami... Sam... Ale ja, oczywiście, nie widziałem ich. Zbyt są ostrożni i tchórzliwi... Zresztą nikt pewnie ich nie widział, oprócz tych przeklętych sprzedawczyków z rządu czterdzieści lat temu... Jak słychać, oni w ogóle nie mają określonego kształtu, tak jak woda, albo powiedzmy dym...

– W takim razie w ogóle nie rozumiem – mówię – po co istoty w ogóle pozbawione formy wywabiają kilka miliardów ludzi do siebie, pod ziemię?

– Bądź przeklęty! – mówi starzec podnosząc głos. – Przecież to nieludzie! Skąd ty i ja możemy wiedzieć, co jest im potrzebne? Może niewolnicy. Być może jedzenie... A może materiał do budowy swoich fantomów... Co za różnica? Zniszczyli nasz świat! I teraz też nie dają nam spokoju, polują na nas jak na szczury...

I raptem twarz starego wykrzywia straszliwy grymas. Ze zdumiewającą, jak na swój wiek, energią odskakuje pod przeciwległą ścianę z hukiem przewracając taboret. Nie zdążyłem nawet okiem mrugnąć, kiedy okazało się, że trzyma oburącz wielki niklowany rewolwer wycelowany prosto we mnie. Senni strażnicy ocknęli się i z identycznym wyrazem zdumienia i grozy na twarzach, które nagle stały się całkiem dziecinne, nie spuszczając ze mnie oczu, macają dookoła poszukując swoich karabinów.

– Co się stało? – pytam starając się nie poruszyć.

– Twoje idiotyczne ubranie jednak się włączyło – parska Szczekn w swoim języku. – Prawie cię nie widać. Tylko twarz. Nie masz żadnego kształtu, jak woda albo dym. Zresztą stary już się rozmyślił, nie będzie strzelać. A może mam go jednak uspokoić?

Niklowana lufa kołysze się jak łódka na fali, strażnicy znaleźli wreszcie swoje karabiny i unisono szczękają zamkami.

– Nie trzeba – odpowiadam po rosyjsku.

Stary na koniec odzyskał głos. Jest bielszy od ściany, zacina się, ale nie ze strachu oczywiście, tylko z nienawiści. Ten stary jest jednak niezniszczalny.

– Przeklęty, podziemny wilkołaku! – mówi. – Połóż ręce na stole! Lewą na prawej! Właśnie tak...

To nieporozumienie – mówię gniewnie. – Nie jestem wilkołakiem. To jest specjalny kombinezon. Dzięki niemu mogę się stać niewidzialny, tylko że jest zepsuty i źle działa.

– Ach, kombinezon? – szyderczo powtarza stary. – Na Północnym Archipelagu nauczyli się już robić kombinezony niewidki?

– Na Północnym Archipelagu nauczyli się wielu rzeczy – mówię. – Odłóż broń i spokojnie porozmawiajmy.

– Jesteś głupi – mówi stary. – Pofatygowałbyś się przynajmniej, żeby raz spojrzeć na naszą mapę. Nie ma u nas żadnego Północnego Archipelagu... Od razu zdemaskowałem cię, tylko nie mogłem uwierzyć w taką bezczelność.

– Przecież to poniżające – parska Szczekn. – Słuchaj, weź na siebie starego, a ja obu młodych...

– Zastrzelić psa! – rozkazuje starzec strażnikowi nie spuszczając mnie z oczu.

wycelowanymi lufami karabinów maszynowych, szli i wypadały im z rąk ostatnie nieliczne przedmioty, które próbowali zabrać z sobą, potykali się, być może nawet padali na ziemię i wtedy już nie mogli wstać, bo wszystko co padało wdeptywano, wdeptywano, wdeptywano milionami nóg. I nie wiem dlaczego wydawało mi się, że to wszystko działo się nocą – ludzką kaszę oświetlało martwe niepewne światło i było cicho jak we śnie...

– Dół... – mówi Szczekn.

Włączyłem reflektor. Żadnego dołu nie było. Tak daleko, jak sięgał promień widniał równy, gładki plac oświetlony niezliczonymi mętnymi rozbłyskami świecącej pleśni, a dwa kroki przede mną czerniał wilgocią wielki, mniej więcej dwadzieścia na czterdzieści metrów prostokąt nagiego, gładkiego asfaltu. Jakby go starannie wycięto w migotliwym zapleśniałym dywanie.

– Stopnie! – mówi Szczekn jakby z rozpaczą. – Dziurawe! Głęboko! Nie widzę...

Mróz mi przechodzi po skórze – jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby Szczekn mówił takim dziwnym głosem. Nie patrząc opuszczam rękę i kładę dłoń na wielkiej kosmatej głowie, czuję nerwowe drganie trójkątnego ucha. Nieustraszony Szczekn boi się. Nieustraszony Szczekn tuli się do mojej nogi tak jak jego przodkowie tulili się do nóg swoich gospodarzy, zwęszywszy za progiem jaskini nieznane niebezpieczeństwo...

– Nie ma dna... – mówi Szczekn z rozpaczą. – Nie umiem zrozumieć. Zawsze jest dno. Oni wszyscy weszli tam, a dna nie ma i nikt nie wrócił... Czy musimy tam wejść?

Przykucam i obejmuję Szczekna za szyję.

– Nie widzę tu dołu – mówię w języku Głowanów. – Widzę tylko równy prostokąt asfaltu.

Szczekn ciężko dyszy. Jego wszystkie mięśnie są napięte i coraz mocniej tuli się do mnie.

– Ty nie możesz wiedzieć. – mówi. – Ty nie umiesz. Cztery szeregi dziurawych stopni. Starte. Błyszczą. Wciąż głębiej i głębiej. I do nikąd. Nie chcę tam. Nie każ mi iść.

– Szczekn – mówię. – Co z tobą? Jak ja ci mogę rozkazywać?

– Nie proś – mówi. – Nie żądaj. Nie zapraszaj.

– Pójdziemy sobie stąd – mówię.

– Tak, i to szybko!

Dyktuję meldunek. Van der Hoose już przełączył mój kanał na Sztab i kiedy kończę cała ekspedycja już jest poinformowana. Zaczyna się hałaśliwa dyskusja. Powstają hipotezy, padają propozycje działania. Szczekn powoli przychodzi do siebie – zezuje żółtym okiem i co chwila oblizuje się. Wreszcie włącza się sam Komow. Hałas milknie. Otrzymujemy polecenie kontynuowania marszu, co też z ochotą czynimy.

Omijamy straszny prostokąt, przechodzimy przez plac, mijamy drugą pancerkę, która zamyka aleję z przeciwnej strony i znowu idziemy wzdłuż dwóch kolumn porzuconych samochodów. Szczekn znowu raźno biegnie przodem, znowu jest energiczny, kłótliwy i wyniosły. Uśmiecham się do siebie i myślę, że na jego miejscu męczyłbym się teraz okropnie, byłoby mi głupio i wstyd za ten paniczny, niemal dziecinny strach, którego nie udało mu się opanować tam na placu. A tymczasem Szczekna żadne takie uczucia nie dręczą. Tak, przestraszył się, nie potrafił tego ukryć i nie widzi powodu do wstydu. Teraz głośno rozmyśla:

– Oni wszyscy zeszli pod ziemię. Gdyby tam było dno, przekonałbym ciebie, że oni wszyscy mieszkają teraz pod ziemią, bardzo głęboko, bezgłośnie. Ale tam nie ma dna! Nie rozumiem gdzie oni mogą tam żyć. Nie rozumiem dlaczego nie ma dna i jak to być może.

– Spróbuj wytłumaczyć – mówię. – To bardzo ważne.

Ale Szczekn nie może tego wytłumaczyć. Bardzo straszne, powtarza. Planety są kuliste, stara się objaśnić, ta planeta też jest kulista, sam widziałem, ale na tym placu wcale nie jest okrągła. Tam jest

jak talerz. A w talerzu dziura. I ta dziura prowadzi z jednej pustki, w której jeteśmy my, prosto w drugą pustkę, gdzie nas nie ma.

– A dlaczego ja nie widziałem tej dziury?

– Dlatego, że jest zaklejona. Ty nie umiesz. Zaklejona przed takimi jak ty, a nie przed takimi jak ja.

Potem nagle oznajmia, że znowu pojawiło się niebezpieczeństwo. Małe niebezpieczeństwo, zwyczajne. Od bardzo dawna wcale go nie było, a teraz znowu jest.

Po chwili z fasady domu po prawej z drugiego piętra spada balkon. Szybko pytam Szczekna czy niebezpieczeństwo się zmniejszyło. Bez wahania odpowiada że tak, zmniejszyło się, ale niewiele. Chcę go zapytać, z której strony zagraża nam teraz to niebezpieczeństwo, ale w tym momencie w plecy uderza mnie sprężone powietrze, w uszach świszcze, sierść na Szczeknie zjeża się.

Aleją pędzi maleńki cyklon. Jest gorący i śmierdzi żelazem.

– Co się tam u was dzieje? – krzyczy Van der Hoose.

– Jakiś przeciąg – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Ponowne uderzenie wiatru powoduje, że mimo woli przebiegam kilka kroków. Trochę to poniżające.

– Abałkin! Szczekn! – grzmi Komow. – Trzymajcie się środka. Jak najdalej od murów! Przedmuchuję plac, możliwe, że zaczną walić się ściany...

Szczekna wicher zbija z nóg i wlecze po ziemi w towarzystwie jakiego nieostrożnego szczura.

– Koniec? – pyta z irytacją, kiedy huragan cichnie. Nawet nie próbuje wstać.

– Koniec – mówi Komow. – Możecie iść dalej.

– Jesteśmy niewymownie wdzięczni – mówi Szczekn jadowity jak najjadowitsza żmija.

W eterze chichot, ktoś nie wytrzymał. Zdaje się, że Van der Hoose.

– Najuprzejmiej was przepraszam – mówi Komow. – Musiałem rozpędzić mgłę.

W odpowiedzi Szczekn wyrzuca z siebie w języku Głowanów wyjątkowo długie i skomplikowane przekleństwo, wstaje, otrząsa się wściekle i nagle zamiera w niewygodnej pozycji.

– Lew – mówi – niebezpieczeństwa już nie ma. W ogóle. Zdmuchnięte.

– Dzięki choć za to – mówię.

Informacja od Espady. Nadzwyczaj plastyczne opisanie Hattaucha. Widzę go jak żywego – niewyobrażalnie brudny, śmierdzący, obrośnięty i pokryty liszajami staruch, mniej więcej dwuchsetletni na oko, twierdzi, że ma dwadzieścia jeden lat, bez przerwy chrypi, kaszle, smarka i spluwa, trzyma na kolanach karabin i od czasu do czasu strzela Panu Bogu w okno ponad głową Espady, na pytania odpowiadać sobie nie życzy, za to stara się je sam zadawać, odpowiedzi wysłuchuje demonstracyjnie nieuważnie i co drugą odpowiedź głośno nazywa kłamstwem...

Aleję przecina jeszcze jeden plac. Właściwie nie jest to plac w pełnym tego słowa znaczeniu – po prostu z prawej strony znajduje się półokrągły skwer, za którym stoi żółty, długi budynek z wklęsłą fasadą ozdobioną pseudokolumnami. Fasada jest żółta, krzewy na skwerze też jakieś żółtawe, jakby w przededniu jesieni i dlatego nie od razu zauważam na środku skweru jeszcze jedną „szklankę".

Tym razem jest nienaruszony i lśni jak nowy, można pomyśleć, że ustawiono go dzisiejszego ranka, tu wśród żółtych krzewów – cylinder o wysokości około dwóch metrów i metrowej średnicy z półprzezroczystego materiału przypominającego bursztyn. Stoi idealnie pionowo i owalne drzwi są szczelnie zamknięte.

Na pokładzie wybuch entuzjazmu, a Szczekn kolejny raz demonstruje swoją całkowitą obojętność a nawet pogardę dla wszystkich tych przedmiotów „niepotrzebnych jego narodowi" – niezwłocznie zaczyna się drapać odwrócony tyłem do „szklanki".

Obchodzę cylinder dookoła, potem dwoma palcami ujmuję występ na owalnych drzwiach i zaglą-

– Co za głupota! – ze zmęczeniem i odrazą mówi starzec. – No dobrze, niech będzie po twojemu. Z jakiegoś powodu chcesz usłyszeć to, o czym wszyscy wiedzą doskonale... Dobrze. Słuchaj.

Okazuje się, że wszystkiemu winna jest rasa odrażających nieludzi, którzy wylęgli się w trzewiach planety. Czterdzieści lat temu rasa ta dokonała inwazji na tubylczą ludność. Inwazja zaczęła się od niespotykanej pandemii, którą nieludzie rozprzestrzenili na całej planecie. Przyczyna tej pandemii pozostała nieznana do dziś. A choroba wyglądała tak: poczynając od dwunastu lat, normalne, zwyczajne dzieci zaczynały błyskawicznie się starzeć. Tempo rozwoju ludzkiego organizmu, po osiągnięciu krytycznego punktu, wzrastało w postępie geometrycznym. Szesnastolatki wyglądały na czterdziestoletnich, od osiemnastu lat zaczynała się starość, a dwudziestolecie przeżywały tylko jednostki.

Pandemia szalała przez trzy lata po upływie których nieludzie po raz pierwszy postanowili się ujawnić. Zaproponowali rządom wszystkich państw zorganizowanie przesiedlenia ludności „na sąsiedni świat", to znaczy do siebie, do wnętrza ziemi. Obiecali, że tam w sąsiednim świecie pandemia zniknie sama z siebie i wtedy miliony przerażonych ludzi pomaszerowało do specjalnych studni, z których, oczywiście, do dzisiaj nikt nie powrócił. W ten sposób, czterdzieści lat temu, zginęła tutejsza cywilizacja.

Oczywiście, nie wszyscy uwierzyli i nie wszyscy przestraszyli się. Zostały całe rodziny, całe grupy, całe wspólnoty religijne. W potwornych warunkach pandemii kontynuowali swoją beznadziejną walkę o przeżycie, o prawo życia tak, jak żyli ich przodkowie. Jednakże nieludzie nie zostawili w spokoju nawet tego ułamka procentu. Zorganizowali prawdziwe polowanie na dzieci, na tę ostatnią nadzieję ludzkości. Rozplenili na planecie „niedobrych ludzi". Początkowo były to kopie ludzi, wyglądające jak wesołe pajace, obwieszone dzwoneczkami, wygrywające wesołe piosenki. Głupiutkie dzieci szły za nimi z radością i na zawsze znikały w bursztynowych „szklankach". Jednocześnie, na największych placach pojawiały się takie śpiewające po nocach szkatułki z zabawkami – dziecko wchodziło do środka i znikało bez śladu.

– Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Uzbroiliśmy się – w opuszczonych arsenałach było mnóstwo broni. Nauczyliśmy dzieci strachu przed „niedobrymi ludźmi", a później i strzelania do nich z karabinów. Burzyliśmy bursztynowe kabiny, rozstrzeliwaliśmy magazyny z zabawkami, aż w końcu zrozumieliśmy, że mądrzej będzie postawić obok nich wartę i zabierać nieostrożne dzieci, kiedy się tam pojawią. Ale to był dopiero początek...

Nieludzie z niewyczerpaną pomysłowością wysyłali na powierzchnię planety coraz to nowe formy myśliwych. Pojawiły się „potwory". Prawie nie sposób trafić w takiego, kiedy napada na dziecko. Pojawiły się gigantyczne kolorowe motyle – spadały na dziecko, otulały je skrzydłami i znikały razem z nim. Wreszcie najnowszy wymysł – pojawili się ci dranie właściwie nie do odróżnienia od zwyczajnego żołnierza. Ci po prostu biorą za rękę nic nie podejrzewającego dzieciaka i zabierają go ze sobą. Niektórzy z nich umieją nawet mówić.

– Świetnie wiemy, że praktycznie nie mamy żadnych szans na przeżycie. Tylko jeden człowiek na sto tysięcy jest odporny na infekcję. Na przykład ja, Draudan... i jeszcze jeden chłopiec – wyrósł na moich oczach, ma teraz osiemnaście lat i wygląda na osiemnaście... Jeśli nie wiedzieliście o tym wszystkim, to teraz już wiecie. Jeśli wiedzieliście, to przyjmijcie do wiadomości, że do końca zdajemy sobie sprawę z naszego położenia. Jesteśmy gotowi zgodzić się na wasze wszystkie warunki – możemy na was pracować, możemy się wam całkowicie podporządkować... Na wszystkie warunki, oprócz jednego – jeśli leczyć to wszystkich bez wyjątku. Nie ma mowy o elicie, o selekcji!

Stary milknie, sięga po kubek i chciwie pije wodę. Żołnierz stojący w drzwiach przestępuje z nogi na nogę, ziewa zasłaniając usta dłonią. Wygląda na dwadzieścia pięć lat. A ile ma naprawdę? Trzynaście? Piętnaście?

mieszkających w promieniu mniej więcej pięćdziesięciu kilometrów. Co się dzieje poza granicami terytorium, nie ma pojęcia, ale przypuszcza, że coś bardzo zbliżonego. Liczba ludności na jego terytorium sięga około pięciu tysięcy ludzi. Nie istnieje ani przemysł, ani jako tako zorganizowane rolnictwo. Tyle, że na przedmieściach pracuje jedno laboratorium. Dobre laboratorium, niegdyś jedno z najlepszych na świecie i kieruje nim do dnia dzisiejszego sam Draudan (dziwne, że nigdy o nim nie słyszałeś... on również miał szczęście – okazał się długożyjącym, tak jak ja...), ale do niczego tam nie doszli przez te czterdzieści lat. I najpewniej już nie dojdą.

– I dlatego – kończy starzec – nie ma co się bawić w dyplomację, ani krygować. Stawiam tylko jeden warunek – jeżeli leczyć, to leczyć wszystkich bez wyjątku. Jeśli ten warunek wam odpowiada, to wszystkie pozostałe stawiajcie sami. Przyjmuję je z góry. A jeśli nie, to lepiej żebyście się wycofali. My wszyscy, oczywiście, tu zginiemy, ale i wy nie będziecie mieli chwili spokoju, dopóki żyje choćby jeden z nas.

Milczę. Czekam, że Sztab mi coś podpowie. No, choćby cokolwiek! Ale tam, prawdopodobnie też nic nie pojmują.

– Chciałbym przypomnieć – mówię wreszcie – że nadal nic nie rozumiem, i nadal nie wiem o co chodzi.

– Więc zadawaj pytania! – mówi ostro stary.

– Powiedziałeś – leczyć. Czy panuje tu epidemia?

Twarz starego kamienieje. Długo patrzy mi w oczy, potem opiera się o stół i pociera palcami czoło.

– Przecież uprzedziłem cię – nie bawmy się w dyplomację. Nie zamierzamy się targować. Powiedz prosto i jasno – czy macie lekarstwo? Jeśli macie, możesz dyktować warunki. Jeśli nie, nie mamy o czym mówić.

– W ten sposób nie ruszymy z martwego punktu – mówię. – Załóżmy na początek, że ja nic o was nie wiem. Powiedzmy, że przespałem ostatnie czterdzieści lat lub coś podobnego. Nie wiem co to za choroba, nie wiem jakie jest wam potrzebne lekarstwo...

– I o inwazji także nic nie wiesz? – pyta starzec nie otwierając oczu.

– Prawie nic.

– I o Powszechnym Exodusie nie wiesz nic?

– Prawie nic. Wiem, że wszyscy odeszli. Wiem, że zamieszani są w to przybysze z Kosmosu. Więcej nic nie wiem.

– Przy-bysze z Kos-mosu... – z trudem powtarza starzec.

– Ludzie z księżyca... ludzie z nieba... – podpowiadam.

Starzec wyszczerza żółte, mocne zęby.

– Nie z nieba i nie z księżyca. Spod ziemi! – mówi. – To znaczy, że coś niecoś jednak wiesz...

– Przeszedłem przez całe miasto. Dużo widziałem...

– U was nic się nie działo? Zupełnie nic?

– Niczego podobnego nie było u nas – mówię stanowczo.

– I nic nie zauważyliście? Nie zauważyliście katastrofy, w której zginęła cała ludzkość? Przestań kłamać! Co chcesz osiągnąć za pomocą swoich kłamstw?

– Lew! – szeleści pod moim hełmem głos Komowa – przechodź na wariant „Kretyn"!

– Jestem tylko wykonawcą poleceń – oświadczam surowo. – Wiem tylko tyle, ile powinienem wiedzieć! Robię tylko to, co mi każą robić! Jeśli otrzymam rozkaz, żeby kłamać, będę kłamać, ale obecnie nie mam takiego rozkazu.

– A jaki masz rozkaz?

– Przeprowadzić zwiad w waszym rejonie i zameldować jak wygląda sytuacja.

dam do środka. Jedno spojrzenie wystarcza mi najzupełniej – zapełniając segmentami swoich straszliwych nóg wnętrze cylindra, wystawiwszy przed siebie kolczaste półmetrowe kleszcze, tępo i ponuro patrzy na mnie dwoma rzędami mętnozielonych ślepi olbrzymi rakopająk z Pandory w całej swojej krasie.

To nie mój strach zadziałał, tylko błyskawiczna reakcja na nieprzewidziane niebezpieczeństwo. Nie zdążyłem nawet pomyśleć, kiedy z całej siły przyciskałem ramieniem zatrzaśnięte drzwi, wparty nogami w ziemię, od stóp do głów zlany potem, drżący jak osika.

A Szczekn stał już obok gotowy do natychmiastowej walki – kołysząc się na wyprężonych nogach, kręcąc wyczekująco głową. Jego oślepiająco białe zęby wilgotnie błyszczą w kącikach warg. Trwa to zaledwie kilka sekund, a następnie Szczekn pyta swarliwie:

– O co chodzi? Kto cię skrzywdził?

Po omacku znajduję dłonią kolbę skorczera, ogromnym wysiłkiem woli odklejam się od przeklętych drzwi i wycofuję się tyłem trzymając skorczer gotowy do strzału. Szczekn wycofuje się razem ze mną, z każdą chwilą coraz wścieklejszy.

– Zadałem ci pytanie! – oznajmia z irytacją.

– Co ty, jeszcze nic nie czujesz? – pytam przez zęby.

– Gdzie? W tej budce? Tam nic nie ma!

Van der Hoose z ekspertami nerwowo hałasują nam w uszach. Nie słucham ich. Wiem i bez ich rad, że można, na przykład, podeprzeć drzwi belką – gdybym ją, rzecz jasna, znalazł – albo spalić całą „szklankę" ze skorczera. Nadal cofam się nie spuszczając oczu z cylindra.

– W budce nic nie ma! – uparcie powtarza Szczekn. – I nikogo nie ma. I od wielu lat nikogo nie było. Chcesz, otworzę drzwi i pokażę ci, że tam nic nie ma?

– Nie chcę – odpowiadam jako tako opanowując swój głos – chodźmy stąd.

– Tylko otworzę drzwi...

– Szczekn – mówię – tym razem się mylisz.

– My się nie mylimy nigdy. Idę. Zobaczysz sam.

– Mylisz się! – krzyczę. Jeżeli natychmiast nie pójdziesz ze mną, to znaczy, że nie jesteś moim przyjacielem i nie liczysz się ze mną.

Robię w tył zwrot (skorczer w opuszczonej ręce, odbezpieczony, ustawiony na ogień ciągły) i odmaszerowuję. Plecy mam ogromne, na szerokość całej alei i całkowicie bezbronne.

Szczekn nadzwyczaj niezadowolony, z miną pogardliwą, biegnie z lewej strony nieco z tyłu. Zrzędny i napastliwy. A kiedy odeszliśmy już około dwustu kroków, kiedy już zupełnie się uspokoiłem i zaczynam poszukiwać drogi do zgody, Szczekn nagle znika. Tylko pazury zazgrzytały po asfalcie. I oto już jest przy budce, i już za późno, żeby biec za nim, łapać głupka za tylne łapy i odciągać od cylindra. I mój skorczer jest już zupełnie bezużyteczny, a przeklęty Szczekn uchyla drzwi i długo, nieskończenie długo, patrzy w głąb.

Następnie, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, zamyka drzwi i wraca. Szczekn poniżony. Szczekn unicestwiony: Szczekn bez zastrzeżeń uznający swoją kompletną nieprzydatność i dlatego gotowy w przyszłości pokornie znieść wszystko co mu zgotuję. Wraca, siada bokiem u moich nóg smętnie spuściwszy głowę. Milczymy. Staram się nie patrzeć na Szczekna. Patrzę na „szklankę", czuję jak wysychają ściągając skórę strumyczki potu na moich skroniach, jak moje mięśnie przestają drżeć, a za to przenika je dręczący ból i jak najbardziej ze wszystkiego chciałbym móc syknąć „ty bydlaku!", nabrać tchu i z rozmachem trzasnąć w ten smutny, skretyniały, uparty, bezmózgi łeb. Ale mówię tylko:

– Mieliśmy szczęście. One tu nie napadają, nie wiadomo dlaczego...

Wiadomość ze Sztabu. Powstała hipoteza, że „prostokąt Szczekna" to wejście w międzyprzestrzenny tunel, przez który wyprowadzono mieszkańców planety. Prawdopodobnie zrobili to Wędrowcy...

Idziemy przez zaskakująco pustą dzielnicę. Ani żywego ducha, nawet komary gdzieś przepadły. Raczej mi się to nie podoba, ale Szczekn nie przejawia żadnego niepokoju.

– Tym razem spóźniliście się – mruczy.

– Na to wygląda – potwierdzam zgodnie.

Szczekn odzywa się pierwszy raz od incydentu z rakopająkiem. Zdaje się, że chętnie porozmawiałby na tematy oderwane. Skłonności tego rodzaju ujawnia dosyć rzadko.

– Wędrowcy – zrzędzi. – Wiele razy słyszałem. – Wędrowcy, Wędrowcy... Czy zupełnie nic o nich nie wiecie?

– Bardzo niewiele. Wiemy, że to supercywilizacja, wiemy, że są wielokrotnie potężniejsi od nas. Przypuszczamy, że nie są humanoidami. Przypuszczamy, że zbadali całą naszą galatykę i to już bardzo dawno. I jeszcze przypuszczamy, że nie mają domu w naszym i w waszym znaczeniu tego słowa. Dlatego nazywamy ich Wędrowcami...

– Chcecie się z nimi spotkać?

– Jakby ci tu powiedzieć... Komow oddałby za to swoją prawą rękę. A ja, na przykład, wolałbym, żeby takie spotkanie nigdy nie doszło do skutku...

– Boisz się ich?

Nie mam ochoty dyskutować na ten temat. Szczególnie teraz.

– Widzisz, Szczekn – mówię – to dłuższa rozmowa. Lepiej byś uważniej patrzył na boki, bo widzę, że jesteś jakby trochę roztargniony.

– Rozglądam się. Cisza, spokój.

– Zauważyłeś, że tu jakby wszystko wymarło?

– To dlatego, że tu często przychodzą ludzie – mówi Szczekn.

– Ach tak? – powiadam. – Uspokoiłeś mnie.

– Teraz ich nie ma. Prawie.

Kończy się czterdziesty drugi kwartał, zbliżamy się do skrzyżowania. Szczekn nagle oświadcza:

– Za rogiem człowiek. Jeden.

To zamierzchły starzec w czarnym palcie do pięt, w futrzanej czapce z nausznikami zawiązanymi pod splątaną brudną brodą, w wesołych jaskrawożółtych rękawiczkach, w ogromnych trzewikach z jakiegoś materiału. Porusza się z olbrzymim trudem, ledwie powłócząc nogami. Jesteśmy mniej więcej trzydzieści metrów od niego, ale i z tej odległości słychać jak ciężko świszcząc oddycha, czasem pojękując z wysiłku.

Załadowuje wózek na wysokich cienkich kołach, przypomina to wózek dziecka. Włazi przez rozbitą wystawę, znika w środku na bardzo długo, bardzo powoli wydobywa się na zewnątrz, jedną ręką opiera się o ścianę, drugą tuli do piersi po dwie, trzy puszki z kolorowymi etykietami. Za każdym razem kiedy dociera wreszcie do swojego wózka, bezsilnie opada na trzynogie składane krzesełko, czas jakiś siedzi bez ruchu, odpoczywa, a potem zaczyna równie powoli i ostrożnie przekładać puszki na wózek. Potem znowu odpoczywa, jakby spał siedząc, znowu wstaje i na drżących nogach idzie w kierunku wystawy – długi, czarny, zgięty niemal wpół.

Stoimy na rogu prawie się nie kryjąc, ponieważ jest dla nas jasne, że stary niczego nie widzi i nic nie słyszy. Szczekn jest zdania, że stary jest sam, nikogo więcej nie ma, a jeśli jest to bardzo daleko. Ja nie mam najmniejszej ochoty zawierać znajomości ze starcem, ale prawdopodobnie będę musiał, choćby po to, żeby mu pomóc z tymi puszkami. Ale boję się go przestraszyć. Proszę Van der Hoosa, żeby pokazał starego Espadzie. Niech Espada określi kto to taki – „szaman", „żołnierz" czy też może „człowiek".

Jest dla mnie oczywiste, że stary bierze mnie za kogoś innego. Na początek może to nawet i lepiej. Tylko muszę być ostrożny, bardzo ostrożny...

– Sam widzę, że nic nie rozumiesz – mówi stary. – I to właśnie jest co najmniej dziwne... Czy u was naprawdę nie było niczego podobnego?

– Nie – odpowiadam. – Czegoś takiego u nas nie było.

Starzec nagle eksploduje długim zdaniem, na które translator niezwłocznie reaguje: „Ten język nie jest zakodowany".

– Nie rozumiem – mówię.

– Nie rozumiesz... A wydawało mi się, że całkiem nieźle władam językiem Zagórza.

– Nie jestem stamtąd – zaprzeczam – i nigdy tam nie byłem.

– W takim razie skąd jesteś?

Podejmuję decyzję.

– To jest teraz nieistotne – mówię. – Nie będziemy rozmawiać o mnie. U nas jest wszystko w porządku. Pomoc nie jest nam potrzebna. Będziemy rozmawiać o was. Niewiele zrozumiałem, ale jedno jest dla mnie oczywiste – jest wam potrzebna pomoc. Jaka? Co wam jest potrzebne przede wszystkim? W ogóle co się tu u was dzieje? Oto o czym będziemy teraz rozmawiać. I najlepiej gdzieś, gdzie można usiąść, cały dzień jestem na nogach. Czy jest jakieś miejsce, gdzie można usiąść i spokojnie porozmawiać?

Czas jakiś stary w milczeniu śledzi wzrokiem moją twarz.

– Nie chcesz powiedzieć skąd jesteś... – mówi wreszcie. – No cóż, to twoje prawo. Jesteś silniejszy. Tyle tylko, że to głupio. Ja i tak wiem – jesteś z Północnego Archipelagu. Nie ruszali was dlatego, że was po prostu nie zauważyli. Wasze szczęście. Ale chciałbym zapytać, gdzieście byli przez ostatnie czterdzieści lat, kiedy nas tu żywcem gnoili? Żyliście sobie, jak u Pana Boga za pazuchą, tak? Bądźcie wy wszyscy przeklęci!

– Nie was jednych dotknęło nieszczęście – protestuję zupełnie szczerze. – A teraz przyszła właśnie kolej na was.

– Jestem rad niewypowiedzianie – mówi stary. – Chodźmy więc, usiądźmy i porozmawiajmy.

Wchodzimy w bramę domu naprzeciw, wchodzimy na pierwsze piętro, a potem do w miarę brudnego pokoju, w którym umeblowanie stanowią – stół na środku, wielka kanapa pod ścianą i dwa taborety. Okna wychodzą na plac i pokój oświetla białoniebieskie światło pawilonu. Na kanapie ktoś śpi przykryty z głową błyszczącym płaszczem. Na stole puszki konserw i duża metalowa manierka.

Zaledwie wchodzimy do pokoju, stary zabiera się do robienia porządków. Budzi śpiącego i każe mu gdzieś iść. Jeden z posępnych chłopców otrzymuje rozkaz, aby objąć wartę, więc siada na taborecie pod oknem, siedzi tam potem przez cały czas nie odrywając oczu od placu. Drugi równie ponury chłopiec wprawnie otwiera konserwy, a potem staje w drzwiach, oparty o framugę.

Zostaję posadzony na kanapie, potem zagrodzony stołem i obstawiony puszkami konserw. W manierce znajduje się zwyczajna woda, dosyć czysta, chociaż z żelazistym posmakiem. Nie zapomniano również o Szczeknie. Żołnierz, którego spędzono z kanapy, stawia na podłodze otwartą puszkę konserw. Szczekn nie protestuje, ale konserw nie je, odchodzi do drzwi i na wszelki wypadek siada obok wartownika. Nadzwyczaj starannie drapie się, parska, oblizuje ze wszystkich sił udając zwykłego psa.

Tymczasem stary bierze drugi taboret, siada naprzeciwko mnie i rozpoczynamy pertraktacje.

Przede wszystkim starzec przedstawia się. Naturalnie, okazuje się gattauchem i do tego nie po prostu gattauchem, ale gattauchem-okambomenem, co należy prawdopodobnie tłumaczyć „zarządca całego terytorium i przylegających regionów". Podlega mu całe miasto, port i około tuzina plemion

rakopająk jakby wybucha. Od razu. Caluteńki, od kleszczy do końca ostatniej nogi. Jak przegrzany kocioł parowy. Grzmi krótki grom, echo toczy się po placu, a zamiast monstrum, na jego miejscu puchnie gęsty, na oko nawet jakby twardy, obłok białej pary. Wszystko skończone. Chmura pary rozpełzła się z cichym sykiem, paniczny pisk i tupot nóg cichnie w głębi ciemnego zaułka, a drogocenna szkatułka pawilonu, jakby nigdy nic, promienieje na środku placu w całej swojej barbarzyńskiej wspaniałości...

– U diabła, jakie to straszne draństwo – mruczę. – Skąd się one tu wzięły? – o sto parseków od Pandory? A ty co, znowu go nie poczułeś?

Szczekn nie zdąża odpowiedzieć. Grzmi strzał karabinowy, echem przetacza się po placu, zaraz za nim drugi. Gdzieś, bardzo blisko, być może za rogiem.

– Szczekn, trzymaj się lewej, nie wysuwaj się! – krzyczę już w biegu.

Nie rozumiem co się tam dzieje, w tym zaułku. Najprawdopodobniej na dzieci napadł jeszcze jeden rakopająk... To znaczy, że ten karabin to jednak nie zabawka? I w tym momencie z ciemnego zaułka wychodzi, a potem zatrzymuje się zagradzając nam drogę trzech mężczyzn. Dwaj z nich są uzbrojeni w prawdziwe karabiny i dwie lufy skierowane są prosto na mnie.

Wszystko widać bardzo dokładnie w białoniebieskim świetle – rosły, siwy starzec w szarym mundurze z lśniącymi guzikami, a po jego obu bokach, trochę z tyłu dwaj chłopcy z karabinami gotowymi do strzału, są także w szarych mundurach, przepasani patrontaszami.

– Bardzo niebezpiecznie! – parska Szczekn w języku Głowanów. – Powtarzam – bardzo!

Przestaję biec i z niejakim wysiłkiem zmuszam się, aby schować skorczer do kabury. Zatrzymuję się przed starcem i pytam:

– Co z dziećmi?

Lufy karabinów skierowane są prosto w mój brzuch. Twarze chłopców są posępne i absolutnie bezlitosne.

– Z dziećmi wszystko w porządku – odpowiada stary.

Oczy ma jasne i nawet powiedziałbym wesołe. Jego twarz nie jest tak mrocznie posępna, jak twarze uzbrojonych chłopców. Zwyczajna, pomarszczona twarz starego człowieka, nie pozbawiona nawet pewnego uroku. Zresztą, być może, tylko tak mi się wydaje, być może, wszystko polega na tym, że w ręku zamiast karabinu trzyma wypolerowaną laskę, którą lekko i od niechcenia uderza po cholewie buta.

– Do kogo strzelaliście? – pytam.

– Do niedobrego człowieka – przekłada translator odpowiedź.

– To wy zapewne jesteście ci dobrzy ludzie z karabinami? – pytam.

Stary unosi brwi.

– Dobrzy ludzie? Co to znaczy?

Wyjaśniam mu to, co mnie wyjaśnił Ijadrudan. Stary kiwa głową.

– Rozumiem. Tak, to my jesteśmy ci dobrzy ludzie. – Ogląda mnie od stóp do głów. – A wam, jak widzę, wiedzie się całkiem nieźle... Maszyna do tłumaczenia za plecami... Myśmy też takie kiedyś mieli, ale olbrzymie, zajmowały całe sale... A takiej ręcznej broni nie mieliśmy nigdy. Ładnie załatwiłeś tego niedobrego człowieka! Jak z armaty. Dawno przylecieliście?

– Wczoraj – odpowiadam.

– A nam nie udało się zrobić latających maszyn. Nie ma kto nad nimi pracować – znowu przypatruje mi się bez skrępowania. – Tak, można wam tylko pogratulować. A u nas, jak widzisz, pełny rozkład. Jak wam się udało? Obroniliście się? A może znaleźliście jakiś sposób?

– Rozkład rzeczywiście kompletny – mówię ostrożnie. – Jestem już tu całą dobę i ciągle jeszcze nic nie rozumiem...

Stary po raz dziesiąty wyładował swoje puszki, znowu odpoczywa zgarbiony na trzynogim krzesełku. Jego głowa trzęsie się i coraz niżej opada na pierś. Widocznie stary zasypia.

– Nie widziałem niczego podobnego – oświadcza Espada. – Lew, porozmawiaj z nim...

– Jest okropnie stary – z powątpiewaniem mówi Van der Hoose.

– Zaraz umrze – mruczy Szczekn.

– Otóż właśnie – mówię – a zwłaszcza wtedy kiedy pojawię się przed nim w moim tęczowym chałacie...

Nie zdążam dopowiedzieć zdania, kiedy nagle starzec gwałtownie pochyla się do przodu i miękko pada bokiem na jezdnię.

– Koniec – mówi Szczekn. – Możemy podejść i zobaczyć, jeśli jesteś ciekaw.

Stary jest martwy, nie oddycha, tętno niewyczuwalne, prawdopodobnie rozległy zawał i doszczętne wyczerpanie organizmu. Ale nie na skutek głodu. Po prostu jest bardzo, niewyobrażalnie zgrzybiały. Klęczę na ziemi i patrzę na jego kościstą zielonkawobiałą twarz. Pierwszy normalny człowiek w tym mieście. Martwy. A ja nic nie mogę zrobić, ponieważ mam przy sobie tylko połowę aparaturę.

Aplikuję mu dwie ampułki mikrofaga i mówię do Van der Hoosa, żeby przysłał lekarzy. Nie zamierzam zatrzymywać się tutaj. To nie ma sensu. Stary nie przemówi. A jeśli przemówi, to nieprędko. Przed odejściem stoję nad nim jeszcze chwilę, patrzę na wózek do połowy załadowany puszkami konserw, przewrócone krzesełko i myślę, że stary na pewno wszędzie targał ze sobą to krzesełko, co chwila siadał na nim, żeby odpocząć...

Około osiemnastej zaczyna się zmierzchać. Według moich obliczeń do końca trasy mamy jeszcze dwie godziny marszu, proponuję Szczeknowi, żebyśmy odpoczęli i coś zjedli. Odpoczynek nie jest Szczeknowi potrzebny, ale jak zwykle chętnie coś przekąsi.

Przysiadamy na skraju dużej wyschniętej fontanny, w cieniu jakiegoś kamiennego skrzydlatego mitologicznego potwora i otwieram zasobnik z jedzeniem. Dookoła mgliście jaśnieją ściany martwych domów, panuje martwa cisza i miło jest pomyśleć, że w dziesiątkach punktów przebytej trasy nie ma już martwej pustki, że pracują tam ludzie.

W czasie jedzenia Szczekn nigdy nie rozmawia, jednakże kiedy zaspokoi głód lubi pogawędzić.

– Ten stary – mówi starannie wylizując łapę – naprawdę go ożywiono?

– Tak.

– Znowu jest żywy, chodzi i mówi?

– Wątpię, żeby mówił, a tym bardziej chodził, ale żyje.

– Szkoda – mruczy Szczekn.

– Szkoda?

– Tak. Szkoda, że nie mówi. Bardzo jestem ciekaw co jest tam...

– Gdzie?

– Tam, gdzie on był, kiedy stał się martwy.

Uśmiecham się.

– Myślisz, że tam w ogóle coś jest?

– Powinno być. Powinienem przecież gdzieś być, kiedy mnie już nie będzie.

– A gdzie się podziewa prąd elektryczny, kiedy go się wyłącza?

– Tego nigdy nie mogłem zrozumieć – przyznaje Szczekn – ale ty rozumujesz nieściśle. Tak, nie wiem gdzie się podziewa prąd elektryczny, kiedy się go wyłącza. Ale nie wiem także skąd się bierze kiedy go się włącza. A skąd ja się wziąłem to wiem i rozumiem.

– A więc gdzie byłeś, kiedy cię nie było? – pytam podchwytliwie.

Ale dla Szczekna to nie jest żaden problem.

– Byłem we krwi swoich rodziców. A przedtem – we krwi rodziców swoich rodziców.
– A więc kiedy ciebie nie będzie, będziesz w krwi swoich dzieci.
– A jeśli nie będę miał dzieci?
– Będziesz w ziemi, w trawie, w drzewach...
– To nie tak! W trawie i w drzewach będzie moje ciało. A gdzie będę ja sam?
– W krwi twoich rodziców też byłeś nie ty sam, tylko twoje ciało. Nie pamiętasz przecież jak ci było w krwi twoich rodziców...
– Jak to – nie pamiętam? Bardzo wiele pamiętam – dziwi się Szczekn.
– Fakt, masz rację – mamroczę przekonany. – Przecież wy macie pamięć genetyczną...
– Nazwać to można jak kto chce – mruczy Szczekn – ale ja naprawdę nie wiem gdzie ja się podzieję, jeśli zaraz umrę. Przecież nie mam dzieci.

Decyduję się przerwać tę dyskusję. Jest dla mnie jasne – nigdy nie zdołam przekonać Szczekna, że TAM nie ma niczego. Dlatego w milczeniu pakuję jedzenie, wsadzam je do specjalnego worka i sadowię się wygodniej wyciągając nogi.

Szczekn starannie wylizał drugą łapę, doprowadził do idealnego stanu sierść na policzkach i znowu zaczyna rozmowę.

– Zadziwiasz mnie, Lew – oznajmia. – Wszyscy mnie zadziwiacie. Czy naprawdę wam się tu nie znudziło? Po co pracować bez najmniejszego sensu?
– Jak to – bez sensu? Przecież widzisz ile dowiedzieliśmy się w ciągu jednego tylko dnia.
– Właśnie o to pytam – po co chcecie wiedzieć to co nie ma sensu? Co z tym zrobicie? Wciąż dowiadujecie się i dowiadujecie i nic nie robicie z tym, czegoście się dowiedzieli.
– Na przykład? – pytam.

Szczekn jest wielkim dyskutantem. Dopiero co odniósł jedno zwycięstwo, a teraz wyraźnie zamierza odnieść drugie.

– Na przykład dziura bez dna, którą znalazłem. Komu i po co może przydać się dziura bez dna?
– To właściwie nie jest dziura – mówię. – To raczej drzwi do innego świata.
– I wy możecie przejść przez te drzwi? – informuje się Szczekn.
– Nie – przyznaję. – Nie możemy.
– Więc po co wam drzwi, przez które i tak nie możecie przejść.
– Dziś nie możemy, a jutro będziemy mogli.
– Jutro?
– W przenośnym sensie. Pojutrze... Za rok...
– Inny świat, inny świat – mruczy Szczekn. – Czy na tym jest wam za ciasno?
– Jakby ci to powiedzieć? Zapewne ciasno jest naszej wyobraźni.
– Ja myślę! – jadowicie potwierdza Szczekn. – Przecież wystarczy wam znaleźć się w innym świecie, żeby natychmiast zacząć go przerabiać na podobieństwo waszego własnego. Więc naturalnie waszej wyobraźni znowu robi się za ciasno i wtedy zaczynacie szukać jeszcze innego świata i znowu zaczynacie go przerabiać...Gwałtownie przerywa swoją filipikę i w tejże sekundzie czuję czyjąś obecność. Tuż obok. Dwa kroki stąd. Przy fontannie z mitologicznym potworem.

To najzwyczajniejszy tubylec, najpewniej z kategorii „człowieków" – silny, postawny mężczyzna w brezentowych spodniach i brezentowej kurtce włożonej na gołe ciało, na piersi wisi karabin. Nieczesane włosy spadają mu na oczy, a policzki i podbródek ogolił nadzwyczaj starannie. Stoi przy fontannie absolutnie bez ruchu i tylko jego oczy nieśpiesznie wędrują ze mnie na Szczekna

sownie ogromne, jaskrawo umalowane lalki, potworne drewniane samochody i nieprzebrana mnogość różnokolorowych dobiazgów, które z tej odległości trudno rozróżnić.

Malutki, uzdolniony Pritułatan natychmiast zaczyna nudzić, żebyśmy wszyscy weszli do zaczarowanego domu, to nic nie szkodzi, że tata nie pozwolił, wejdźmy tylko na chwileczkę, zabierzemy ten samochodzik i od razu zaczniemy czekać na dobrych ludzi... Ijadrudan próbuje mu przerwać, początkowo za pomocą ustnej perswazji, a kiedy to nie pomaga, łapie go za ucho i zawodzenie traci artykułowany charakter. Translator beznamiętnie wysyła w przestrzeń cały worek „szczurzouchych żmij", z oburzeniem bulgocze pokład, Van der Hoose żąda abym uspokoił i pocieszył, i nagle wszyscy, z uzdolnionym Pritułatanem włącznie, raptownie milkną.

Zza najbliższego rogu pojawia się spotkany już przedtem tubylec z karabinem. Miękko i bezszelestnie stąpa po błękitnych odblaskach, trzymając dłonie na karabinie, który mu wisi na piersiach, podchodzi wprost do dzieci. Na mnie i na Szczekna w ogóle nawet nie patrzy. Mocno ujmuje ucichłego Pritułatana za lewą rękę, a rozpromienionego Ijadrudana – za prawą i odchodzi z nimi przez plac prosto do kolorowego domu – do mamy, do ojca, do bezgranicznych możliwości strzelania ile dusza zapragnie.

Patrzę w ślad za nimi. Niby wszystko jest tak, jak być powinno, ale jednocześnie jakiś drobiazg, jakiś cień psuje cały obraz. Jakaś kropelka dziegciu.

– Poznałeś? – pyta Szczekn.
– Co mianowicie? – mówię z irytacją, ponieważ w żaden sposób nie mogę się pozbyć tej drzazgi, która wszystko psuje.
– Zgaś w tym domu światło i wystrzel do niego z dziesięć razy z armaty...

Prawie go nie słyszę. Nagle rozumiem co to za drzazga. Tubylec oddala się trzymając dzieci za ręce i widzę jak w takt jego kroków, na jego piersi niczym wahadło, kołysze się karabin – od lewej do prawej, od prawej do lewej. Karabin nie może się tak kołysać. Nie może tak latać w tę i z powrotem ciężki karabin, który waży co najmniej pół puda. Tak może kołysać się tylko zabawka z plastyku, albo drzewa. Ten „dobry człowiek" ma fałszywy karabin...

Nie zdążę domyśleć tego wszystkiego do końca. Tubylec ma karabin-zabawkę. Tubylcy strzelają po mistrzowsku. Być może ten karabin-zabawka pochodzi z pawilonu z zabawkami... Zgaś światło w tym pawilonie i rozstrzelaj go z działa... To przecież dokładnie taki sam pawilon... Nie, niczego nie zdołałem domyśleć do końca.

Po lewej stronie sypią się cegły, z trzaskiem rozbija się o chodnik drewniana rama. Przez odrażającą fasadę pięciopiętrowego domu, trzeciego licząc od rogu, na ukos od dołu do góry przez czarne oczodoły okien przemyka płaski żółty cień – sunie tak lekko, tak nieważko, że wierzyć się nie chce, że to przez niego spadają z fasady płaty tynku i kawałki cegieł. Coś krzyczy Van der Hoose, przerażająco na dwa głosy krzyczą dzieci, a cień już jest na asfalcie – równie lekki, nieważki, półprzejrzysty, ogromny. Prawie nie widać wściekłego wirowania dziesiątków nóg i w tym migotaniu wzdyma się i opada długi segmentowany odwłok, dźwigający przed sobą wysoko uniesione chwytliwe kleszcze, na których leży nieruchomy, lakierowany pobłysk...

Skorczer sam pojawia się w moich rękach. Zamieniam się w automatyczny dalmierz, zajęty tylko tym, żeby dokładnie wymierzyć odległość między rakopająkiem a dziecięcymi figurkami, uciekającymi na ukos przez plac (gdzieś tam jeszcze plącze się tubylec ze swoim fałszywym karabinem, też biegnie ze wszystkich sił trochę w tyle za dziećmi, ale o nim nie myślę). Odległość szybko się zmniejsza, wszystko jest zupełnie jasne i kiedy rakopająk trafia w mój celownik, strzelam.

W tym momencie miałem do niego około dwudziestu metrów. Niezbyt często strzelam ze skorczera i jestem wstrząśnięty rezultatem. Liliowoczerwony blask na chwilę mnie oślepia, ale jeszcze widzę, że

osiemnaście lat – ale wszyscy umarli. Kiedy to się stało ojciec już nigdy nie zabierał ich ze sobą, kiedy szedł po żywność, chociaż przedtem zawsze chodzili całą rodziną. Wszędzie dokoła było pełno jedzenia – i tam, i tam, i tam (nie udało się wyjaśnić gdzie). Wychodząc, ojciec za każdym razem powtarzał – jeżeli nie wróci do wieczora, trzeba wziąć Księgę, wyjść na tę właśnie aleję i iść cały czas przed siebie do takiego ładnego, szklanego domu, który świeci w ciemności. Ale nie wolno wchodzić do tego domu – trzeba usiąść przed nim i czekać aż przyjdą ludzie i zaprowadzą ich tam, gdzie będzie ojciec, mama i wszyscy. Dlaczego w nocy? A dlatego, że w nocy na ulicach nie ma złych człowieków. Złe człowieki bywają tylko w dzień. Nie, nigdy ich nie widzieliśmy, ale wiele razy słyszeliśmy jak dzwonią dzwoneczkami, grają piosenki i wywabiają nas z domu. Wtedy ojciec i starszy brat chwytali swoje karabiny i wsadzali im kulkę w brzuch... Nie, nikogo więcej nie znali i nie widzieli. Wprawdzie kiedyś, już dawno temu, do nich do domu przyszli jacyś ludzie z karabinami i przez cały dzień kłócili się z ojcem i starszym bratem, a potem jeszcze wmieszała się mama i obie ciocie. Wszyscy głośno krzyczeli, ale ojciec naturalnie wygrał i ci ludzie sobie poszli i już nigdy więcej nie przyszli...

Malutki Pritułatan zasypia natychmiast, jak tylko biorę go na ramiona. Ijadrudan, przeciwnie, odmawia przyjęcia jakiejkolwiek pomocy. Pozwolił tylko, abym mu poprawił jego torbę i teraz, z całkowicie niezależną miną, idzie obok nas z rękami w kieszeniach. Szczekn biegnie przodem nie biorąc udziału w rozmowie. Całym swoim zachowaniem demonstruje pełną obojętność do tego, co się dzieje, ale w rzeczywistości dokładnie tak jak i ja i my wszyscy jest zaintrygowany przypuszczeniem, że celem wędrówki chłopców jest pewien świecący budynek – czyli właśnie ów obiekt „Świetlik-96"

... Co jest napisane w Księdze Ijadrudan nie umie opowiedzieć. Do tej Księgi dorośli codziennie zapisywali wszystko, co się wydarzyło. Że Pritułatana ukąsiła jadowita mrówka. Że woda nagle zaczęła uciekać z basenu, ale ojciec ją zatrzymał. Że ciotka umarła – otwierała konserwy, mama patrzy, a ciotka już nie żyje. Ijadrudan Księgi nie czytał, nie umie dobrze czytać i nie lubi, ma nieduże zdolności. Co innego Pritułatan – on ma duże zdolności, ale jest jeszcze mały i nic nie rozumie. Nie, nigdy się nie nudzili. Jak można się nudzić w domu, który ma pięćset siedem pokoi? W każdym pokoju jest pełno przedziwnych rzeczy, nawet takich, o których sam ojciec nie umiał powiedzieć, po co one i do czego potrzebne. Tylko karabinu tam nie było ani jednego. Karabin teraz to rzadkość. Być może, w sąsiednim domu znalazłyby się karabiny, ale ojciec nie pozwalał strzelać. Mówił, że nam to na nic. Co innego wtedy, kiedy pójdziemy do świecącego domu i dobrzy ludzie, którzy tam na nas czekają, zaprowadzą nas do mamy, wtedy będziemy strzelać ile zechcemy... A może to ty zaprowadzisz nas do mamy? W takim razie, dlaczego nie masz karabinu? Jesteś dobrym człowiekiem, ale karabinu nie masz, a ojciec mówił, że wszyscy dobrzy ludzie mają karabiny...

– Nie – mówię. – Nie potrafię zaprowadzić was do mamy. Jestem tu obcy i sam chciałbym spotkać dobrych ludzi.

– Szkoda – mówi Ijadrudan.

Jesteśmy na placu. Obiekt „Swietlik-96" z bliska przypomina gigantyczną, staroświecką szkatułkę z błękitnego kryształu w całej jej barbarzyńskiej wspaniałości, błyskającą nieprzeliczonymi klejnotami. Równe białobłękitne światło przebija od wewnątrz rozświetlając popękany, zarośnięty czarną szczeciną chwastów asfalt i martwe fasady domów otaczających plac. Ściany tej zdumiewającej budowli są idealnie przezroczyste, a wewnątrz jarzy się i faluje wesoły chaos czerwieni, złocistości, zieleni, żółci, tak że nie od razu można zauważyć szerokie jak wrota otwarte drzwi, do których prowadzi kilka niskich, płaskich stopni.

– Zabawki! – modlitewnie szepce Pritułatan i zaczyna się kręcić złażąc z moich ramion.

Dopiero teraz zaczynam rozumieć, że szkatułka wypełniona jest nie klejnotami tylko kolorowymi zabawkami, setkami tysięcy różnobarwnych, nadzwyczaj topornie wykonanych zabawek – bezsen-

i z powrotem. Wygląda na to, że widzi w ciemności nie gorzej od nas. Nie rozumiem jak mu się udało tak bezszelestnie i niedostrzegalnie podejść do nas.

Ostrożnie sięgam ręką za plecy i włączam lingan translatora.

– Podejdź i usiądź z nami, jesteśmy przyjaciółmi.

Z lingana z półsekundowym opóźnieniem wydostają się gardłowe, dosyć sympatycznie brzmiące dźwięki.

Nieznajomy wzdryga się i robi krok do tyłu.

– Nie obawiaj się – mówię. – Jak ci na imię? Ja nazywam się Lew, a on nazywa się Szczekn. Nie jesteśmy wrogami. Chcemy z robą porozmawiać.

Nie, nic z tego nie wychodzi. Nieznajomy cofa się znowu o krok i do połowy chowa się za fontannę. Jego twarz nadal niczego nie wyraża i nawet nie jest jasne czy rozumie co do niego mówię.

– Mamy smaczne jedzenie – nie poddaję się. – Może jesteś głodny albo spragniony? Usiądź z nami i zechciej być naszym gościem...

Nagle przychodzi mi do głowy, że tubylec może się nieźle wystraszyć tego „my", „z nami". Spiesznie przechodzę na liczbę pojedynczą. Ale to również nie pomaga. Tubylec całkowicie znika za fontanną, teraz go już nie widać i nie słychać.

– Odchodzi – mruczy Szczekn.

I wtedy znowu widzę tubylca. Długimi, płynnymi, absolutnie bezgłośnymi krokami przemierza ulicę, wchodzi na przeciwległy chodnik i nie obejrzawszy się ani razu znika w bramie.

2 czerwca 78 roku

Lew Abałkin we własnej osobie

Około 18.00 nadciągnęli (bez uprzedzenia) Andrzej i Sandro. Schowałem teczkę do biurka i na samym wstępie ostrzegłem ich ostro, że nie zniosę żadnych służbowych rozmów, ponieważ teraz nie ja jestem ich zwierzchnikiem tylko Klaudiusz. Oprócz tego nie mam czasu.

Obydwaj zaczęli się użalać, że nie przyszli z interesem, że się stęsknili i że tak nie można. Co jak co, ale użalać się umieją. Zdjęła mnie litość. Barek został otwarty i przez czas jakiś z przyjemnością rozmawialiśmy o moich kaktusach. Potem jakoś, czystym przypadkiem, zauważyłem, że rozmawiamy nie tyle o kaktusach ile o Klaudiuszu i to jeszcze mogło mieć jakieś uzasadnienie, ponieważ Klaudiusz jest tak kolczasty i kłujący, że mnie samemu przypomina kaktus, ale nie zdążyłem nawet okiem mrugnąć, kiedy ci prowokatorzy nadzwyczaj umiejętnie i naturalnie zjechali na sprawę biuraktorów i Kapitana Nemo.

Nic po sobie nie pokazując, pozwoliłem im zagłębić się w temacie i w kulminacyjnym momencie, kiedy byli przekonani, że ich szef jest ostatecznie ugotowany, zaproponowałem im, żeby się wynosili do diabła. I z pewnością bym ich przepędził dlatego, że byłem wściekły na nich i na siebie, ale wtedy (także bez uprzedzenia) pojawiła się Alena. Nie będziemy walczyć z przeznaczeniem, pomyślałem i poszedłem do kuchni. Tak czy inaczej był już czas na kolację, a nawet nasi młodzi prowokatorzy wiedzą dobrze, że przy postronnych o naszych sprawach nie należy mówić.

Kolacja była bardzo sympatyczna. Prowokatorzy zapomnieli o całym świecie, puszyli się przed Aleną. Kiedy ich poskramiała, dla odmiany sam zaczynałem się puszyć – po prostu dlatego, żeby zabawa nie stygła. Skończyło się to wszystko wielką dyskusją – co robić dalej z tak pięknie rozpoczętym wieczorem. Sandro żądał, żebyśmy szli na „Oktopusów" i to natychmiast, ponieważ najlepsze numery zwykle są na początku. Andrzej gorączkował się jak prawdziwy krytyk muzyczny,

jego ataki na „Oktopusów" były pełne pasji, za to całkowicie pozbawione treści, jego teoria muzyki współczesnej zdumiewała swoją niekonwencjonalnością i sprowadzała się do tego, że dzisiejsza noc jest najodpowiedniejszym momentem na wypróbowanie jego nowego jachtu „Mądromiła". Ja byłem zwolennikiem szarad, lub ostatecznie fantów. Zaś Alena, która zorientowała się już, że dzisiaj nigdzie nie pójdę i w ogóle jestem zajęty, zmartwiła się i zaczęła rozrabiać. „Utopić „Oktopusów" – żądała. – „Na bim-bom-bramsel! Śpiewajmy!" – i tak dalej.

W najgorętszym momencie tej dyskusji o 19.33 zapiszczał wideofon. Andrzej siedzący najbliżej aparatu, nacisnął palcem klawisz. Ekran pojaśniał, ale wizji nie było. Nic też nie było słychać, ponieważ Sandro ryczał z całej siły: „Wyspiarze, wyspiarze, wyspiarze!", wykonując przy tym dziwaczne ruchy mające naśladować niepowtarzalnego B. Tuarega i jednocześnie Alena, niepomna na nic, konkurowała z nim przy pomocy „Pieśni bez słów" Gliera (a może i nie Gliera).

– Cisza! – ryknąłem przedzierając się do wideofonu.

Zrobiło się trochę ciszej, ale aparat milczał nadal migając pustym ekranem. Wątpliwe, żeby to był Ekscelencja, więc się uspokoiłem.

– Proszę poczekać, przeniosę aparat – powiedziałem w błękitne migotanie.

W gabinecie postawiłem wideofon na biurku, opadłem na fotel i powiedziałem:

– Tu jest trochę ciszej, tylko niech pan weźmie pod uwagę, że nie widzę pana.

– Przepraszam, zapomniałem... – powiedział niski męski głos i na ekranie pojawiła się twarz – wąska, śmiertelnie blada, głębokie fałdy od nosa w dół ku wargom. Niskie szerokie czoło, zapadłe głęboko wielkie oczy, proste czarne włosy do ramion.

Ciekawe, od razu go poznałem, ale nie od razu zrozumiałem, że to on.

– Dzień dobry Mak – powiedział. – Poznajesz mnie?

Potrzebne mi było kilka sekund, żeby doprowadzić się do stanu używalności. Byłem zupełnie nieprzytomny.

– Chwileczkę... – starałem się zyskać na czasie gorączkowo zastanawiając się, jak mam się zachować.

– Lew Abałkin – przypomniał. – Pamiętasz? Saraksz, Błękitna Żmija...

– Mój Boże! – zawołał dziennikarz Kammerer, w przeszłości Mak Sym, rezydent Ziemi na planecie Saraksz – Lew! A mnie powiedziano, że cię nie ma na Ziemi i nie wiadomo kiedy wrócisz... A może jeszcze nie wróciłeś?

Abałkin uśmiechnął się.

– Nie, już wróciłem... Ale zdaje się, że przeszkadzam?

– Co za pomysł! – szczerze powiedział dziennikarz Kammerer. Nie ten dziennikarz Kammerer, który odwiedził Maję Głumową, raczej ten, który rozmawiał z Nauczycielem. – Jesteś mi potrzebny! Piszę teraz książkę o Głowanach!...

– Tak, wiem o tym – przerwał mi Abałkin. – Właśnie dlatego dzwonię. Ale, Mak, przecież ja od dawna nie mam już nic wspólnego z Głowanami.

– To nieważne – oświadczył dziennikarz Kammerer. – Ważne, że ty pierwszy z nimi pracowałeś.

– Powiedzmy, że pierwszy byłeś ty.

– Nie. Ja ich po prostu odkryłem i to wszystko. Zresztą o sobie już napisałem. Materiał o ostatnich pracach Komowa też zebrałem. Jak widzisz, mam już wstęp i zakończenie, brakuje drobiazgu – środka książki... Słuchaj Lew, musimy się koniecznie spotkać. Długo będziesz na Ziemi?

– Niespecjalnie – odparł. – Ale spotkamy się na pewno. Co prawda, dziś mi to nie na rękę...

– Dzisiaj i mnie byłoby nie najwygodniej... – szybko podchwycił dziennikarz Kammerer. – A jak wyglądasz jutro?

potępiająco, jednocześnie spazmatycznie otwiera i zamyka paszczękę, jakby chciał zawyć, ale jednak udaje mu się opanować. Jest to tym dziwniejsze, że na jego ojczystej planecie Saraksz księżyc jest niewidzialny z powodu atmosferycznej refrakcji, a ziemski Księżyc traktował zawsze całkowicie obojętnie, w każdym razie o ile mi wiadomo.

Potem nagle dostrzegamy dzieci.

Jest ich dwoje. Trzymając się za ręce powolutku idą chodnikiem, jakby starając ukryć się w cieniu. Idą w tym samym kierunku co i my ze Szczeknem. Sądząc po ubraniu są to chłopcy. Jeden wyższy, mniej więcej ośmioletni, drugi bardzo mały, może mieć cztery albo najwyżej pięć lat. Widocznie właśnie wyszli z jakiejś bocznej uliczki, inaczej zauważyłbym ich z daleka. Maszerują już długo, od paru godzin, są bardzo zmęczeni, ledwie przestawiają nogi... Młodszy właściwie już nie idzie, tylko wlecze się trzymając starszego za rękę. Starszy ma przewieszoną przez ramię płaską torbę na szerokiej taśmie. Torba bije go po kolanach i chłopiec co chwila musi ją poprawiać.

Translator oschłym beznamiętnym głosem tłumaczy: „Zmęczyłem się. Bolą mnie nogi... Masz iść, słyszysz... iść... Niedobry człowiek... Sam jesteś niedobry, zły człowiek... Uszata żmija... To ty jesteś niejadalny szczurzy ogon..." Tak. Przystanęli. Młodszy wyrywa rękę z dłoni starszego, siada. Starszy podnosi go za kołnierz, ale młodszy siada znowu i wtedy starszy daje mu w ucho. Z translatora sypią się jak z dziurawego worka „szczury", „żmije", „brzydko pachnące zwierzęta" i inna fauna. Potem młodszy zaczyna mocno szlochać i zdumiony translator milknie. Czas się wtrącić.

– Witajcie chłopcy – mówię samymi wargami.

Podszedłem bardzo blisko, ale zauważyli mnie dopiero teraz. Młodszy momentalnie przestaje płakać – patrzy na mnie z szeroko rozdziawionymi ustami. Starszy też patrzy, ale spode łba, nieprzyjaźnie i wargi ma mocno zaciśnięte. Przykucam przed nimi i mówię:

– Nie bój się. Jestem dobry. Nie skrzywdzę cię.

Wiem, że lingany nie przekazują intonacji i dlatego staram się wybierać proste, uspokajające słowa.

– Nazywam się Lew – mówię. – Widzę, że jesteście zmęczeni. Chcecie, żebym wam pomógł?

Starszy nie odpowiada. Nadal patrzy spode łba – z ogromną nieufnością, podejrzliwie. Młodszy nagle zainteresował się Szczeknem i nie spuszcza z niego oczu – widać, że jest wystraszony i zaciekawiony jednocześnie. Szczekn stara się wyglądać jak najczcigodniej, siedzi na boku, odwróciwszy swój wielki łeb.

– Jesteście zmęczeni – mówię. – Chcecie jeść i pić. Zaraz dostaniecie coś smacznego...

W tym momencie starszy wybucha. Wcale nie są zmęczeni i nie chcą żadnych łakoci. Zaraz doprowadzi do stanu używalności tę szczurzouchą żmiję i pójdą dalej. A jeśli ktoś im spróbuje przeszkodzić, dostanie kulkę w brzuch. To wszystko.

Bardzo dobrze. Nikt im nie zamierza przeszkadzać. A dokąd oni idą?

Idą tam gdzie chcą. Jasne?

A jednak? Może jest nam po drodze? Bo w takim przypadku szczurzouchą żmiję można by wziąć na barana.

Koniec końców wszystko układa się jak najlepiej. Zostają zjedzone cztery tabliczki czekolady, wypite dwie butelki tonizatora. Potem w małe pyszczki wciskamy po pół tubki owocowej masy. Tęczujący kombinezon Lwa zostaje zbadany i (po krótkiej, ale niezwykle energicznej dyskusji) zezwalam raz (tylko raz!) pogłaskać Szczekna (ale w żadnym wypadku po głowie, wyłącznie po grzbiecie). Na pokładzie u Van der Hoosa wszyscy płaczą z rozczulenia, za moment zaczną gaworzyć.

Następnie wyjaśnia się co następuje.

Chłopcy są braćmi, starszemu na imię Ijadrudan, młodszemu Pritułatan. Mieszkali dosyć daleko stąd (nie udaje się wyjaśnić gdzie konkretnie) z ojcem, w wielkim białym domu z basenem w ogrodzie. Jeszcze bardzo niedawno razem z nimi mieszkały dwie ciotki i jeszcze jeden brat – najstarszy, miał

I w tym momencie dotarło do mnie z oślepiającą jasnością, że przekroczyłem granice swojej kompetencji. Jakoś tak raptownie zrozumiałem, że stoję wobec ogromnej i ponurej tajemnicy i że los Abałkina wraz ze wszystkimi zagadkami nie sprowadza się do zwyczajnej tajemnicy osobowości – że splatała się z losami mnóstwa innych ludzi i że ingerować w te losy nie mam prawa, ani jako człowiek, ani jako funkcjonariusz.

I sprawa, oczywiście, nie polegała na tym, że WMI odmówił mi udzielenia informacji na temat jakiegoś tam eksperymentu „Zwierciadło". Byłem całkowicie pewien, że eksperyment ten nie ma żadnego związku z tajemnicą. Odmowa WMI była po prostu uderzeniem, które kazało mi obejrzeć się za siebie. To uderzenie jakby strząsnęło łuskę z moich oczu i od razu połączyłem ze sobą wszystko – i dziwaczne zachowanie Jadwigi Lekanowej i niezwykły stopień utajnienia i odmienność tego „pojemnika na dokumenty" i dziwaczny szyfr i odmowę Ekscelencji kiedy prosiłem, aby wprowadził mnie w(sprawę i nawet jego wstępne polecenie, abym nie kontaktował się z Abałkinem... A teraz dodatkowo fantastyczny zbieg okoliczności – sposób i data przyjścia na świat Abałkina i Kornieja Jaszmaa.

Istniała jakaś tajemnica. Lew Abałkin był tylko częścią tej tajemnicy. Zrozumiałem teraz dlaczego Ekscelencja powierzył to zadanie właśnie mnie. Z pewnością istnieli ludzie dokładniej wtajemniczeni w tę sprawę, ale widocznie nie nadawali się do prowadzenia dochodzenia. Było wystarczająco wielu takich, którzy przeprowadziliby dochodzenie nie gorzej, a może i lepiej ode mnie, ale Ekscelencja niewątpliwie wiedział, że dochodzenie prędzej czy później doprowadzi do ujawnienia tajemnicy i było niezmiernie istotne, żeby starczyło taktu i delikatności, aby w porę się zatrzymać. Ale nawet jeżeli w trakcie dochodzenia tajemnica zostanie odkryta, chodziło o to, żeby człowiekowi prowadzącemu dochodzenie Ekscelencja mógł ufać tak jak ufał sobie samemu.

A przecież tajemnica Lwa Abałkina to jeszcze na domiar wszystkiego i tajemnica osobowości! Bardzo niedobrze. Najbardziej posępna z tajemnic – nie może o niej wiedzieć nawet najbardziej zainteresowana osoba... Najprostszy przykład – informacja o nieuleczalnej chorobie. Przykład nieco bardziej złożony – tajemnica przestępstwa dokonanego w nieświadomości, które pociągnęło za sobą nieodwracalne skutki, jak to się stało w zamierzchłych czasach z królem Edypem...

No cóż, Ekscelencja dokonał słusznego wyboru. Nie lubię tajemnic. W naszych czasach i na naszej planecie wszystkie tajemnice, moim zdaniem, zatrącają jakby świństwem. Przyznaję, że wiele jest całkiem sensacyjnych, mogłyby wstrząsnąć ludzką wyobraźnią, ale ja osobiście nie lubię ich poznawać i jeszcze mniej lubię mieszać w to Bogu ducha winnych postronnych ludzi. U nas w Komkon-ie 2 większość pracowników ma identyczny punkt widzenia i dlatego przecieki informacji zdarza się u nas niezmiernie rzadko. Ale mój wstręt do tajemnic widocznie pomimo wszystko przewyższa średnią normę. Staram się nawet nie używać utartego terminu „odkryć tajemnicę", zwykle mówię „wygrzebać tajemnicę" i wydaję się wtedy sam sobie asenizatorem w pierwotnym znaczeniu tego słowa.

Tak jak na przykład teraz.

Ze sprawozdania Lwa Abałkina

...W ciemnościach miasto wydawało się płaskie jak staroświecka grawiura. Matowo połyskuje pleśń w głębi czarnych ram okiennych, a na rzadko spotykanych trawnikach i rabatach lśnią niewielkie tęcze – to rozkwitły na noc pąki nieznanych świecących kwiatów. Unosi się słaby, nie drażniący aromat. Spoza dachów wypełza i zawisa nad aleją pierwszy księżyc – ogromny, szczerbaty sierp, zalewający miasto nieprzyjemnym pomarańczowym światłem.

U Szczekna księżyc wywołuje jakiś niewytłumaczalny wstręt. Co chwila odwraca się, spogląda

Przez czas jakiś patrzył na mnie w milczeniu. Nagle złapałem się na tym, że w żaden sposób nie mogę określić koloru jego oczu – jakoś bardzo głęboko siedziały pod krzaczastymi brwiami.

– To niesamowite – powiedział. – Nic się nie zmieniłeś. A ja?

– Uczciwie? – zapytał dziennikarz Kammerer, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć.

– Tak – powiedział. – Minęło dwadzieścia lat. I wiesz Mak, tamte lata wspominam jak najszczęśliwsze. Wszystko było przede mną, wszystko się dopiero zaczynało... I wiesz, kiedy teraz wspominam tamte czasy myślę, że miałem niezwykłe szczęście zaczynając pracę pod kierownictwem takich ludzi jak Komow i jak ty, Mak...

– Nie przesadzajmy Lew – powiedział dziennikarz Kammerer. – Co ja z tym miałem wspólnego?

– Jak to co? Komow był szefem, ja i Rawlingson pomagaliśmy, ale koordynacją wszystkiego zajmowałeś się właśnie ty!

Dziennikarz Kammerer wytrzeszczył oczy. Ja również, ale na dodatek wydawało mi się to nader podejrzane.

– Lew – powiedział dziennikarz Kammerer – widocznie z powodu młodego wieku ni diabła nie zrozumiałeś z naszej organizacji. Ja tylko zapewniałem wam bezpieczeństwo, transport i żywność... zresztą nawet to...

– A kto był autorem pomysłów?

– Jakich pomysłów?

– Pomysł wyprawy na Błękitną Żmiję był twój?

– Tylko w tym sensie, że zawiadomiłem...

– Tak! To po pierwsze. Pomysł, że z Głowanami powinni pracować Progresorzy a nie zoopsycholodzy – to po drugie!

– Poczekaj Lew! To był pomysł Komowa! W ogóle wtedy nie miałem do was głowy. Powstanie na Pandei! Pierwszy masowy desant Imperium Oceanii! Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć co to znaczy. Boże! Jeśli mam być szczery w ogóle zapomniałem o waszym istnieniu! Zef się wtedy wami zajmował, Zef! Pamiętasz takiego rudego tubylca?

Lew Abałkin śmiał się obnażając równe białe zęby.

– Nie ma się czego śmiać – powiedział dziennikarz Kammerer gniewnie. – Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Co za bzdura! Nie, moi kochani, w samą porę zabrałem się za tę książkę. Coś niesłychanego, jak szybko rodzą się takie głupie legendy!

– Dobrze, już dobrze, więcej nie będę – powiedział Abałkin. – Odłożymy tę dyskusję do naszego spotkania...

– Otóż to – powiedział dziennikarz Kammerer. – Tylko, że nie będzie żadnej dyskusji. Nie ma o czym dyskutować. Zróbmy tak...

Dziennikarz Kammerer przycisnął guziczek notesu.

– Jutro o dziesiątej zero-zero u mnie... Albo może ci wygodniej...

– Lepiej spotkajmy się u mnie – powiedział Lew Abałkin.

– Wobec tego daj mi swój adres – rozkazał dziennikarz Kammerer. Jeszcze nie ostygł.

– Uzdrowisko „Olszynka" – powiedział Lew Abałkin. – Domek numer sześć.

2 czerwca 78 roku

Pewne domysły o zamierzeniach Lwa Abałkina

Sandro i Andrzejowi poleciłem opuścić lokal. Absolutnie oficjalnie. Musiałem przybrać oficjalny wyraz twarzy i przemówić oficjalnym tonem, co zresztą przyszło mi z łatwością, ponieważ chciałem

zostać sam i dobrze się nad tym wszystkim zastanowić.

Alena błyskawicznie wyczuła mój nastrój i bez sprzeciwu obiecała, że nie wejdzie do mego gabinetu i w ogóle będzie mój spokój ochraniać. O ile się orientuję, Alena ma całkowicie mylne wyobrażenie o mojej pracy. Na przykład sądzi, że moja praca jest niebezpieczna. Ale niektóre podstawowe rzeczy opanowała do perfekcji. W szczególności wie dobrze, że jeśli nagle okazuję się zajęty, to nie oznacza, że spłynęło na mnie natchnienie, lub że olśnił mnie wspaniały pomysł, natomiast oznacza, że pojawiło się pilne zadanie, które należy naprawdę szybko rozwiązać.

Pociągnąłem ją za ucho, zamknąłem się w gabinecie, zostawiająs sprzątanie na jej głowie.

Skąd Abałkin miał mój numer? Bardzo proste. Swój numer zostawiłem Nauczycielowi. Poza tym mogła mu o mnie powiedzieć Maja Głumowa. A więc albo Abałkin raz jeszcze spotkał się z Mają, albo postanowił jednak porozmawiać z Nauczycielem. Pomimo wszystko. Dwadzieścia lat nie dawał o sobie znać, a teraz nagle zdecydował się z nim zobaczyć. Po co?

W jakim celu dzwonił do mnie? Na przykład, powodowany sentymentem. Wspomnienie pierwszej prawdziwej pracy... Młodość, najszczęśliwsze lata życia. Hm. Bardzo wątpię... Altruistyczna chęć, żeby pomóc dziennikarzowi (i odkrywcy ulubionych Głowanów) w jego pracy, chęć wzmocniona zdrową ambicją. Zawracanie głowy. Dlaczego w takim razie daje mi fałszywy adres? A może adres nie jest fałszywy? A jeśli nie fałszywy to znaczy, że Abałkin się nie ukrywa, to znaczy, że Ekscelencja coś pokręcił... A właściwie skąd wiadomo, że Lew Abałkin się ukrywa?

Szybko połączyłem się z informacją i odnotowałem numer. Zadzwoniłem do „Olszynki" domek numer sześć. Nikt się nie odezwał. Jak zresztą należało oczekiwać.

Dobrze, zostawmy to wreszcie. Dalej. Co było najważniejsze w naszej rozmowie? Nawiasem mówiąc, raz o mało się nie wygadałem. Za takie rzeczy należy obcinać język „Kto jak kto, ale ty powinieneś dobrze wiedzieć co to jest desant floty „C"! „Ciekawe skąd wiesz Mak o flocie „C" i co jeszcze ciekawsze dlaczego sądzisz, że ja powinienem o tym wiedzieć?". Rozumie się, niczego podobnego Abałkin by nie powiedział, ale po chwili namysłu zrozumiałby wszystko. A ja po takiej haniebnej wpadce nie miałbym innego wyjścia jak tylko naprawdę zostać dziennikarzem... Dobra, miejmy nadzieję, że Abałkin nic nie zauważył. On też nie miał zbyt wiele czasu, żeby analizować i oceniać każde moje słowo. Wyraźnie chciał osiągnąć jakiś swój cel, a wszystko inne nie mające związku z tym celem, jak należy sądzić, puszczał mimo uszu...

Ale o co mu chodziło? Czemu próbował przypisać mi swoje własne zasługi i na dodatek zasługi Komowa? A co najistotniejsze tak wprost, na chama, ledwie zdążył się przywitać... Można pomyśleć, że do mnie należy fundamentalny projekt pracy z Głowanami, że sobie to wszystko przywłaszczyłem, a on Abałkin dowiedział się o tym i daje mi do zrozumienia, że jestem zwyczajnym gnojkiem. W każdym razie jego uśmieszek był bardzo dwuznaczny... Ale to przecież nonsens! O tym, że właśnie ja odkryłem Głowanów, wiedzą tylko specjaliści, zresztą i oni na pewno już dawno o tym zapomnieli jako o drobiazgu bez znaczenia.

Bzdura i zawracanie głowy, to jasne. Ale fakt pozostaje faktem – przed chwilą zadzwonił do mnie Lew Abałkin i oznajmił, że jego zdaniem, ojcem i koryfeuszem głowanologii jestem ja, dziennikarz Kammerer. Poza tym nasza rozmowa nie zawierała nic istotnego. Cała reszta – towarzyskie uprzejmości. Co prawda, jeszcze ten fałszywy (najprawdopodobniej) adres na zakończenie...

Oczywiście, narzuca się jeszcze jedna wersja. Było mu wszystko jedno o czym będzie rozmawiać. Mógł gadać dowolne głupstwa dlatego, że zadzwonił tylko po to, żeby mnie zobaczyć. Nauczyciel, albo Maja Głumowa powiedzieli mu, że niejaki Maksym Kammerer zbiera o tobie informacje. „Ach tak – myśli ukrywający się Lew – Bardzo dziwne! Wystarczyło, żebym się znalazł na Ziemi, a już

szanowanych ksenologów podzielało opinię Rawlingsona, który już dziesięć lat temu, w przypływie słabości, oświadczył: „Moim zdaniem, oni po prostu robią nam wodę z mózgu!..."

Zresztą to akurat mało mnie interesowało. Nie powinienem tylko, na wszelki wypadek, zapominać o słowach Rawlingsona.

Misja znajdowała się nad rzeką Telon w Kanadzie, na północny wschód od Baker Lake. Okazało się, że Głowany korzystają z pełnej swobody poruszania się, przy czym z tego przywileju korzystają bardzo chętnie, chociaż nie uznają żadnego innego transportu poza zero-T. Rezydencja misji została zbudowana dokładnie według projektu dostarczonego przez samych Głowanów, jednakże projektodawcy grzecznie wymówili się od jej zasiedlenia i zamieszkali opodal w podziemnych, samodzielnie skonstruowanych pomieszczeniach, czyli mówiąc po prostu, w norach. Nie uznawali telekomunikacji i na marne poszły wysiłki naszych inżynierów, którzy zbudowali wideoaparaturę dla Głowanów specjalnie przystosowaną do wzroku, słuchu i wygodną dla nich w obsłudze. Uznawali wyłącznie kontakty osobiste. A więc będę musiał lecieć nad Baker Lake.

Kiedy zakończyłem ze Szczeknem, postanowiłem jednak odnaleźć doktora Serafimowicza. Udało mi się to bez szczególnego wysiłku, to znaczy udało mi się uzyskać o nim informacje. Okazało się, że umarł dwanaście lat temu, w wieku stu osiemdziesięciu lat. Doktor pedagogiki, stały członek Euroazjatyckiego Komitetu Oświaty, członek Światowego Kongresu Pedagogicznego Walery Serafimowicz. Szkoda.

Zabrałem się do Kornieja Jaszmaa. Progresor, już od dwóch lat mieszkał w willi „Camping Iana", mniej więcej dziesięć kilometrów na północ od Antonowa, na nadwołżańskim stepie. Z danych o jego pracy wynikało, że cała jego działalność zawodowa była związana z planetą o nazwie Giganda. Najwidoczniej Korniej był bardzo wybitnym praktykiem, a i teoretykiem nietuzinkowym w dziedzinie historii eksperymentalnej, ale wszystkie szczegóły jego kariery naukowej wyleciały mi z głowy, ledwie dotarły do mnie dwa niezbyt z pozoru istotne fakty.

Pierwszy – Korniej Jaszmaa był pośmiertnym synem.

Drugi – Korniej Jaszmaa urodził się 6 października 38 roku. Rodzicami Kornieja nie byli członkowie grupy „Yormala", tylko małżeństwo, które zginęło tragicznie w czasie eksperymentu „Zwierciadło".

Nie zawierzyłem pamięci i zajrzałem do teczki. Wszystko się zgadzało. I, oczywiście, nigdzie nie zginęła notatka na odwrocie arabskiego tekstu: „...spotkała się dwójka naszego rodzeństwa. Zapewniam cię, że to zupełny przypadek...". Przypadek. No, być może tam na Gigandzie rzeczywiście zdarzył się jakiś przypadek – Lew Abałkin urodzony 6 października pośmiertny syn spotkał się z Korniejem Jaszmaa pośmiertnym synem urodzonym 6 października 38 roku... A to co mam przed sobą – to niby też przypadek? „Rodzeństwo" z różnych rodziców. „Jeśli nie wierzysz zajrzyj w 07 i 11". 07 – przede mną. A więc gdzieś w czeluściach naszego departamentu jest jeszcze i 11. Rozumując logicznie, należy przypuścić, że również i 01.02 i tak dalej... Nawiasem mówiąc należy mi się punkt karny, że od razu nie zwróciłem uwagi na ten dziwaczny szyfr „07". Nasza dokumentacja (oczywiście nie w kartonowych teczkach, tylko w kryształkozapisach) sygnowana jest przeważnie albo fantastycznymi zbitkami słownymi, albo nazwami przedmiotów...

A właściwie co to za eksperyment „Zwierciadło"? Nigdy o niczym takim nie słyszałem... Ta myśl przeleciała mi przez głowę jakby na drugim planie, posłałem pytanie do WMI nieomal automatycznie. Odpowiedź zdziwiła mnie. Informacja tylko dla specjalistów, proszę okazać zezwolenie. Wybrałem kod swojego zezwolenia i powtórzyłem pytanie. Tym razem fiszka z odpowiedzią wyskoczyła z kilkusekundowym opóźnieniem. „Informacja tylko dla specjalistów, proszę okazać zezwolenie". Opadłem na oparcie fotela. A to ci numer! Po raz pierwszy w mojej praktyce zezwolenie Komkon-u 2 okazało się niedostateczne dla otrzymania informacji z WMI.

– Czy mógłbym się dowiedzieć o czym on z panem rozmawiał? Bardzo mnie dziwi, że w ogóle zadzwonił do pana.

– To cię dziwi... Mnie również. Ale żadna rozmowa się nie odbyła. Abałkin wykonał ten sam numer co z tobą – nie włączył wizji. Delektował się chwilę moim widokiem, poznał mnie, jak przypuszczam, po czym się rozłączył.

– A właściwie dlaczego pan sądzi, że to był on?

– Dlatego, że połączył się ze mną kanałem, który znał tylko jeden człowiek.

– Więc być może ten człowiek...

– Nie. To wykluczone... Co zaś tyczy twojej hipotezy, jest ona pozbawiona podstaw. Lew Abałkin był znakomitym rezydentem, lubił tę pracę i nie zamieniłby jej na żadną inną.

– Chociaż zawód Progresora jest dla niego przeciwwskazany ze względu na konstytucję psycho...

– To nie leży w twojej kompetencji – ostro przerwał mi Ekscelencja. – Nie rozpraszaj się. Do rzeczy. Odwołuję rozkaz odnalezienia Abałkina i wzięcia go pod obserwację. Idź jego tropem. Chcę wiedzieć, gdzie on bywa, z kim się spotyka i o czym rozmawia.

– Zrozumiałem. A jeżeli mimo wszystko wpadnę na niego?

– Zrobisz z nim wywiad do swojej książki. A potem mi zameldujesz. Ani mniej, ani więcej.

2 czerwca 78 roku

Coś niecoś o tajemnicach

Około 23.30 szybko umyłem się pod prysznicem, zajrzałem do sypialni, upewniłem się, że Alena śpi jak zabita. Wobec tego wróciłem do gabinetu.

Postanowiłem zacząć od Szczekna. Szczekn, rzecz jasna, nie jest Ziemianinem, ani nawet humanoidem i dlatego okazało się potrzebne całe moje doświadczenie i cała moja, nie chwaląc się, umiejętność w korzystaniu z kanałów informacyjnych, żeby otrzymać te informacje, które otrzymałem. W nawiasie chciałbym zaznaczyć, że przeważająca większość Ziemian pojęcia nie ma o realnych możliwościach tego ósmego (a może już dziewiątego) cudu świata, Wielkiego Międzyplanetarnego Informatora. Uważam zresztą za całkowicie niewykluczone, że i ja przy swoim całym doświadczeniu i całej mojej wprawie, w żadnym wypadku nie mogę pretendować do absolutnej umiejętności wykorzystywania bezgranicznej pamięci Informatora.

Wysłałem jedenaście pytań – trzy okazały się, jak wynikło z odpowiedzi, niepotrzebne – i otrzymałem następujące informacje o Głowanie Szczeknie.

Okazuje się, że jego pełne imię brzmi – Szczekn-Irtcz. Od siedemdziesiątego piątego roku po dzień dzisiejszy jest członkiem stałej misji Narodu Głowanów na Ziemi. Mając na uwadze jego funkcje, jakie pełni przy kontaktach z ziemską administracją, jest on czymś w rodzaju tłumacza-referenta misji, zaś prawdziwe jego stanowisko w jej hierarchii jest nieznane, ponieważ układy wewnątrz samej misji były i pozostały dla Ziemian absolutną tajemnicą. Z pewną dozą prawdopodobieństwa, sądząc z niektórych danych, można było przypuścić, że Szczekn stoi na czele rodzinnej grupy, przy czym do tej pory nie dało się ustalić, jaka jest liczebność i jaki jest skład owej grupy, pomimo że te właśnie czynniki odgrywały najwidoczniej znaczną rolę przy rozwiązywaniu wielu istotnych problemów o charakterze dyplomatycznym.

W ogóle konkretnych danych o Szczeknie, jak zresztą o całej misji, zebrało się mnóstwo. Niektóre były zdumiewające, ale wszystkie, w miarę upływu czasu, stawały się sprzeczne z nowymi faktami, lub też okazywały się nieprawdziwe w świetle dalszych obserwacji. Wyglądało na to, że nasza ksenologia była bliska tego, aby podnieść (lub opuścić, jak kto woli) ręce przed tą zagadką. I wielu ogólnie

zainteresowałem Maksyma Kammerera. A przecież znałem kiedyś Maksyma Kammerera. Co to? Zbieg okoliczności? Lew Abałkin nie wierzy w zbiegi okoliczności. Najlepiej będzie, jeśli zadzwonię do tego człowieka i zobaczę czy to naprawdę Maksym Kammerer, w przeszłości Mak Sym... A jeśli to naprawdę ten sam, zobaczę jak się zachowa..."

Poczułem, że trafiłem w dziesiątkę. Abałkin dzwoni i na wszelki wypadek nie włącza wizji. Na wypadek gdybym nie był Maksymem Kammererem. Widzi mnie. Nie bez zdziwienia, ale za to z wyraźną ulgą. Widzi najzwyklejszego Maksyma Kammerera, u którego odbywa się niewielkie przyjęcie, słyszy wesoły harmider, nic, ale to zupełnie nic podejrzanego. No cóż, można chwilę pogadać na jakiś błahy temat, umówić się na spotkanie i przepaść...

Ale jednak! To niecała prawda i nie tylko prawda. Są tu dwa punkty co najmniej niejasne. Po pierwsze. Po co w takim razie w ogóle zaczynał rozmowę? Popatrzyłby, posłuchał, zobaczyłby, że ja to naprawdę ja i spokojnie mógł się wyłączyć. Błędne połączenie, zdarza się. I koniec.

A po drugie, ja też nie jestem wczorajszy. Przecież wiedziałem, że on nie tylko ze mną rozmawia, ale jeszcze śledzi moją reakcję. Chciał się upewnić, że ja to jestem ja i zobaczyć w jaki sposób zareaguję na określone słowa. Mówił ewidentne brednie i patrzył jak ja na te brednie zareaguję... Też bardzo dziwne. Na ewidentne brednie wszyscy ludzie reagują jednakowo. A więc, albo rozumuję nieprawidłowo, albo... albo z punktu widzenia Abałkina te brednie to nie są wcale takie brednie. Na przykład, z jakichś całkowicie niejasnych dla mnie powodów, Abałkin naprawdę przypuszcza, że moja rola w badaniach nad Głowanami jest nadzwyczaj wielka. Dzwoni do mnie, żeby sprawdzić swoje przypuszczenie i moja reakcja upewnia go, że przypuszczenie jest niesłuszne.

Zupełnie logicznie, ale jakoś dziwnie. Skąd do tego Głowany? Zresztą w życiu Lwa Abałkina Głowany odegrały fundamentalną rolę. Stop!

Gdyby teraz ode mnie zażądano, żebym streścił to, co najistotniejsze w biografii tego człowieka, prawdopodobnie powiedziałbym tak – Abałkin lubił pracować z Głowanami, najbardziej na świecie chciał pracować z Głowanami, miał już świetne wyniki w pracy z Głowanami, ale pracować z Głowanami z jakiegoś powodu mu nie pozwolono. U diabła, a co w tym byłoby dziwnego, gdyby wreszcie skończyła się jego cierpliwość, gdyby położył wajchę na ten swój Sztab „C", na Komkon, na dyscyplinę, gdyby plunął na wszystko i wrócił na Ziemię, żeby się wreszcie raz na zawsze dowiedzieć, dlaczego mu nie wolno zajmować się tym czym chce i kto – personalnie przeszkadza mu przez całe życie, kto odpowiada za rozbicie jego planów, za gorzkie niezrozumienie tego co się z nim dzieje, za piętnaście lat zmarnowanych na ciężką nielubianą pracę... No więc wrócił!

Wrócił i od razu trafił na moje nazwisko. I przypomniał sobie, że kuratorem jego pierwszej pracy z Głowanami byłem właśnie ja, więc postanowił sprawdzić, czy nie brałem udziału w tym bezprecedensowym oddzieleniu człowieka od jego prapowołania i dowiedział się za pomocą prostego chwytu, że nie, nie brałem, zajmowałem się raczej odbijaniem desantów i w ogóle nie wiedziałem o co chodzi.

W ten sposób można by, powiedzmy, wyjaśnić naszą niedawną rozmowę. Ale tylko tę rozmowę i nic poza nią. Ta koncepcja nie wyjaśnia ciemnej historii z Tristanem, ani ciemnej historii z Mają Głumową, ani tym bardziej przyczyny, dla której Lew Abałkin musi się ukrywać. Przecież, u diabła, gdyby moja hipoteza była słuszna, Lew Abałkin powinien teraz biegać po Komkon-ie i zgodnie ze swoją artystyczną i nieopanowaną konstytucją psychiczną, prać po pyskach tych, którzy go tak ukrzywdzili... Może zresztą w mojej hipotezie kryje się jakieś racjonalne jądro i w związku z tym powstawały pewne pytania natury ściśle praktycznej. Postanowiłem zadać je Ekscelencji, ale najpierw należało zadzwonić do Siergieja Pawłowicza Fiedosiejewa.

Spojrzałem na zegarek – 21.51. Miejmy nadzieję, że stary jeszcze się nie położył.

Istotnie stary jeszcze się nie położył. Z niejakim zdziwieniem, jakby nie poznając, patrzył z ekranu na dziennikarza Kammerera. Dziennikarz Kammerer bardzo długo i bardzo gorąco przepraszał za tak późny telefon. Przeprosiny zostały przyjęte, jednakże zdziwienie pozostało.

– Mam do pana dosłownie jedno lub dwa pytania – powiedział dziennikarz Kammerer bardzo zafrasowany. Widział się pan przecież z Abałkinem?

– Tak. Dałem mu pański numer.

– Proszę mi darować... Ale Abałkin przed chwilą zadzwonił do mnie... i rozmowa miała bardzo dziwny przebieg... – dziennikarz Kammerer z trudem dobierał słów – Odniosłem wrażenie... Być może się mylę, ale przecież wszystko się zdarza. W końcu Abałkin mógł pana źle zrozumieć...

Stary zaniepokoił się.

– O co chodzi? – zapytał.

– Pan mu przecież o mnie opowiadał... No, o naszej rozmowie...

– Naturalnie. Nie rozumiem pana. Czy nie powinienem opowiadać?

– Ależ nie, nie o to chodzi. Widocznie jednak Abałkin źle pana zrozumiał. Proszę sobie wyobrazić, nie widzieliśmy się z nim piętnaście lat. I po piętnastu latach ledwie zdążył się przywitać, z jakimś chorobliwym sarkazmem zaczyna mnie chwalić za... krótko mówiąc faktycznie oskarżył mnie, że pretenduję na priorytet w pracy z Głowanami! I to zapewniam pana, bez najmniejszych ku temu powodów... Niech pan zrozumie, zajmuję się tą sprawą wyłącznie jako dziennikarz, popularyzator i nic poza tym...

– Chwileczkę, chwileczkę młody człowieku! – stary podniósł rękę. – Proszę niech się pan uspokoi. Rozumie się, niczego podobnego mu nie mówiłem. Choćby tylko dlatego, że zupełnie się na tym nie znam...

– Ale, być może, pan niezupełnie ściśle sformułował...

– Pan daruje, ale ja mu w ogóle niczego nie formułowałem. Powiedziałem mu tylko, że pewien dziennikarz, Kammerer pisze o nim książkę i zwrócił się do mnie o informacje. Numer dziennikarza jest taki a taki. Zadzwoń do niego. To wszystko. To jest wszystko co powiedziałem.

– W takim razie nic nie rozumiem – powiedział dziennikarz Kammerer nieomal z rozpaczą. – Na początku myślałem, że Abałkin jakoś źle pana zrozumiał, ale jeśli to nie tak... W takim razie on jest chyba chory. Maniak. W ogóle ci Progresorzy być może zupełnie właściwie zachowują się w swojej pracy, ale na Ziemi czasem doprawdy pozwalają sobie trochę za dużo... Nerwy ich zawodzą czy co...

Stary zasłonił oczy powiekami.

– No, wie pan... W końcu nie jest wykluczone, że Lew rzeczywiście źle mnie zrozumiał... a ściśle mówiąc, mógł po prostu źle usłyszeć. Nasza rozmowa była bardzo krótka, ja się spieszyłem, wiał silny wiatr, głośno szumiały sosny, a ja przypomniałem sobie o panu dosłownie w ostatniej chwili...

– Ależ co znowu, nic takiego nie chciałem powiedzieć – wycofał się dziennikarz Kammerer. – Możliwe, że to raczej ja źle zrozumiałem Lwa... Wie pan, poza wszystkim, straszne wrażenie wywarł na mnie jego wygląd... Ogromnie się zmienił, stał się jakiś zły... Czy nie odniósł pan takiego wrażenia?

Tak. Siergiej Pawłowicz takie wrażenie również odniósł. Zdopingowany i popychany niezbyt skrywaną urazą dobrodusznego dziennikarza Kammerera stopniowo, chaotycznie, wstydząc się za swego ucznia i za jakieś tam własne myśli opowiedział jak się to wszystko odbyło.

Mniej więcej o 17.00 Siergiej Pawłowicz Fiedosiejew opuścił na gliderze swoje „Moskity" i wziął kurs na Swierdłowsk, w którym miał wyznaczone posiedzenie pewnego klubu. Po piętnastu minutach został dosłownie napadnięty i zmuszony do lądowania w gęstym sosnowym lesie. Zaatakował go jakiś

niewiadomy glider pilotowany, jak się okazało, przez Lwa Abałkina. Na polanie, wśród szumiących sosen, odbyła się krótka rozmowa według znanego mi już schematu.

Ledwie przywitawszy się i praktycznie nie pozwalając staremu Nauczycielowi otworzyć ust, nie tracąc czasu na powitalne uściski, Abałkin zasypał starego sarkastycznymi podziękowaniami. Jadowicie dziękował nieszczęsnemu Nauczycielowi za te niebywałe wysiłki, których jakoby nie poskąpił Siergiej Pawłowicz, aby przekonać komisję przydziałów o konieczności skierowania abiturienta Abałkina nie do Instytutu Zoopsychologii, do którego arbiturient wybierał się powodowany głupotą i niedoświadczeniem, tylko do szkoły Progresorów. Wysiłki te nie poszły na marne, zostały uwieńczone wspaniałym sukcesem i dzięki temu całe dalsze życie Abałkina płynie bezkonfliktowo i szczęśliwie.

Siergiej Pawłowicz wstrząśnięty tak bezczelnym fałszerstwem, wlepił swojemu byłemu uczniowi policzek. Doprowadziwszy go takim sposobem w stosowny dla niego stan milczenia i uwagi, spokojnie wyjaśnił, że w rzeczywistości wszystko było na odwrót. Właśnie Siergiej Pawłowicz Fiedosiejew, kiedy docierając nawet do Regionalnej Rady Oświatowej. I właśnie on, Siergiej Pawłowicz Fiedosiejew został koniec końców wezwany do Euroazjatyckiego Wydziału, gdzie zmyto mu głowę jak zwyczajnemu koniec końców wezwany do Euroazjatyckiego Wydziału, gdzie zmyto mu głowę jak zwyczajnemu smarkaczowi za próbę niedostatecznie uzasadnionej dyskredytacji decyzji komisji („Okazano mi tam opinię czterech ekspertów i udowodniono, że jestem starym durniem, a rację ma, jak się okazało, przewodniczący komisji, doktor Serafimowicz...").

Doszedłszy do tego punktu stary zamilkł.

– No i co on na to? – ośmielił się zapytać dziennikarz Kammerer.

Wydawało się, że stary gorzko coś przeżuwa.

– Ten dureń pocałował mnie w rękę i pobiegł do swojego glidera.

Przez chwilę milczeliśmy obaj. Potem stary dorzucił:

– I w tym momencie przypomniałem sobie o panu... Szczerze mówiąc, wydało mi się, że nie zwrócił na to uwagi... Być może należało mu opowiedzieć o panu dokładniej, ale nie miałem do tego głowy... Nie wiem dlaczego nagle zrozumiałem, że już go nigdy więcej nie zobaczę...

2 czerwca 78 roku

Krótka rozmowa

Ekscelencja był w domu. Przyobleczony w czarne, proste kimono siedział za biurkiem i oddawał się swemu ulubionemu zajęciu – oglądał przez lupę jakąś paskudną statuetkę ze swojej kolekcji.

– Ekscelencjo – powiedziałem – chcę wiedzieć czy Lew Abałkin kontaktował się na Ziemi z kimś jeszcze?

– Owszem – powiedział Ekscelencja i popatrzył na mnie z niejakim zainteresowaniem.

– Czy mogę się dowiedzieć z kim mianowicie?

– Możesz. Ze mną.

Stropiłem się. Ekscelencja odczekał chwilę i rozkazał:

– Melduj.

Zameldowałem. Obie rozmowy przytoczyłem dosłownie, pokrótce – swoje wnioski, a na samym końcu dodałem, że moim zdaniem należy oczekiwać, że w najbliższym czasie Abałkin wytropi Komowa, Rawlingsona, Goriaczewa i innych ludzi tak czy inaczej związanych z jego pracą z Głowanami. Jak również tego doktora Serafimowicza – ówczesnego przewodniczącego komisji. Ponieważ Ekscelencja nie opuszczał głowy i milczał, pozwoliłem sobie zadać mu następujące pytanie:

zakład zamknięty



Andrzej BRZEZICKI

Kester wytarł ręce pobrudzone świeżą, lepką ziemią w poły kurtki. Tak wielkiego korzenia nikt jeszcze nie znalazł. Wyjął z kieszeni zaostrzony na kamieniu kawałek blachy i ostrożnie zaczął nim oskrobywać warstwę ziemi, za którą ukazała się biała powierzchnia zdrewniałej tkanki, ukrywającej jadalny miąższ. Obejrzał zdobycz dokładnie ze wszystkich stron, nie było śladu brązowych plam sygnalizujących zgniłe wnętrze. Schował blachę, służącą mu za nóż, do kieszeni i ruszył w kierunku bungalowu. Był tak zadowolony, że prawie uśmiechał się mijając grupki współwięźniów, rozgrzebujące rękami ziemię.

Dziś wagowym był Stolp. Kester nie cierpiał tego małego, zarozumiałego i pewnego siebie człowieczka. Nie lubił go jak zresztą wszystkich pozostałych. Zdążył ich dokładnie znienawidzieć w czasie przymusowego, wspólnego życia. Na pamięć znał stereotypy ich zachowań, ich reakcje, wszystkie przyzwyczajenia i nawyki. Nawet w jego świadomości tkwiły cudze wspomnienia, opowiadane w jesienne wieczory, kiedy nie można było zasnąć, bo cienkie, nieszczelne ściany bungalowów uginały się pod podmuchami wiejącego od strony pustyni wiatru i nie chroniły przed jego lodowatym tchnieniem. Stolp był jak zwykle w dobrym humorze. Czekał przed drzwiami, wygodnie rozparty na podartym kocu rozłożonym wprost na ziemi. Na widok Kestera podniósł się dość szybko, jakkolwiek zaznaczając, że robi to od niechcenia.

Na widok olbrzymiego korzenia tylko gwizdnął przez zęby. Pochwycił go chciwym ruchem i przez chwilę wydawało się, że schowa go dla siebie. Podobno robił kiedyś takie numery słabszym, ale rzut oka na szerokie bary Kestera, na jego potężne, silne dłonie i ten szczególny wyraz twarzy cechujący zdecydowanie i determinację, starczył, by ze spokojem – wszystko jedno udanym czy naturalnym – położył korzeń na wadze. Powoli, jakby celebrując każdy ruch zmieniał na drugiej szali odważniki.

– Cztery i pół kilograma – oznajmił wreszcie. – Nie ma co, udało ci się stary. – Przez chwilę kreślił jakieś znaki na ziemi.

– To wychodzi trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut. Ale masz szczęście, dziś już nie musisz nic robić, jutro cały dzień i jeszcze pojutrze masz prawie dwie godziny wolnego...

Kester nie słuchał dalej, wyminął gadającego Stolpa i wszedł do swojego baraku. Wnętrze pozbawione było niemal sprzętów i jeżeli nie liczyć sześciu prycz oraz małego zbiornika z wodą, nic nie wskazywało na to, że jest to pomieszczenie mieszkalne. Brakowało nawet oświetlenia i gdyby nie wpadające przez szczeliny w dachu i ścianach promienie słoneczne byłoby tu całkiem ciemno. Niestety, katorżnicza, z braku jakichkolwiek narzędzi, praca przy wydobywaniu korzeni, stanowiących jedyny na tym terenie pokarm, zużywała dokładnie wszystkie siły ludzi i nie pozwalała na jakiekolwiek dodatkowe zajęcia.

Kester podszedł do zbiornika z wodą. Bardzo starannie umył ręce i wytarł je do sucha. Potem z ulgą rzucił się na pryczę. Miał trochę wolnego czasu do momentu, w którym zaczną się schodzić pozostali mieszkańcy, ale wiedział, że już nie zdąży zasnąć. Leżał, patrząc bezmyślnie w ciemniejący wraz z zapadającym zmrokiem sufit, gdy weszła Mira.

– Cześć Kes – rzuciła od progu – słyszałam, że znalazłeś największy korzeń jaki kiedykolwiek widziano, czy to prawda?

– Czy myślisz, że wylegiwałbym się tutaj gdyby tak nie było?
– Ile czasu przypada ci za niego?
– Ponad trzynaście godzin.

Kester ciągle leżąc odwrócił głowę. Miry nie było w polu widzenia, musiał usiąść, żeby ją zobaczyć. Była ładna, nawet bardzo ładna, szczególnie w porównaniu z dziewczynami, które tu widywał. Niestety, jej atrakcyjność była tu tylko jeszcze jednym narzędziem w rękach władz. Mimo że kobiety mieszkały i pracowały wspólnie z mężczyznami, kontakty damsko-męskie zostały surowo zakazane. Była to jedna z tych wyrafinowanych form zdalnego oddziaływania na więźniów, form tym dokuczliwszych, że odkąd sięgała pamięć Kestera nikt nigdy nie widział i nie rozmawiał z żadnym z wielu strażników, ani z nikim z kierownictwa zakładu. Nie było kontaktów z najbliższymi, żadnych paczek, listów, żadnych wiadomości z normalnego świata. Był tylko Regulamin. Przestrzegany bezwzględnie, wszechmocny i wszechobecny. Przy zupełnym braku styczności z kimś z zewnątrz, więźniowie tworzyli tu małą samowystarczalną społeczność, która w paradoksalny sposób korzystała z pewnej swobody i niezależności. Bowiem ciężka praca spowodowana była nie nakazem zewnętrznym, ale ich własnymi potrzebami – nie dostawali żywności ani ubrań. Ta pozorna wolność rodziła pokusy, które Kester dobrze znał; nawet nie strach powstrzymywał go od złamania Regulaminu, pożądanie było zbyt mocne, ale obsesyjna prawie pewność, że jest ciągle pod obserwacją. Irracjonalne wrażenie, że jest śledzony towarzyszyło mu, jak i innym więźniom wszędzie, chociaż brak było na to jakichkolwiek dowodów. Nawet zmęczenie spowodowane pracą ponad siły nie potrafiło przytłumić tego odczucia. Kester często myślał, że przy dożywotnim wyroku nic już nie może powiększyć jego kary, czy zmienić na gorsze panujących tu warunków, jednak ta beznadziejność sytuacji nie wprawiała go w determinację, raczej przeciwnie, osłabiała wolę i chęć czynu i tak już nikłą po tylu latach odbywania kary. Trud i monotonia dnia powszedniego sprawiły, że bezwolnie podporządkowywał się wymogom znanego na pamięć Regulaminu. W jego pamięci nieuchronnie zacierało się wspomnienie świata, z którego pochodził.

Spojrzał na Mirę. Mimo że była młodsza o dobre kilkanaście lat przeżywała to samo. Poza zniszczonymi i spuchniętymi dłońmi – wyglądającymi jak wypchane nierównomiernie, o kilka numerów za duże rękawiczki – i stalygowanym, drelichowym kombinezonem, nic więcej nie odróżniało jej od normalnego człowieka, jeszcze na dnie jej oczu nie czaił się ten wyraz całkowitej rezygnacji, tak charakterystyczny dla większości więźniów.

Przedłużającą się ciszę przerwała dziewczyna:
– Właściwie nie przyszłam do ciebie, żeby rozmawiać o korzeniach, wiesz, w nocy przyszedł do nas jakiś ślepiec...

– Niewidomy? Nie przypominam sobie, żebym tu widział takiego, a przecież...
– To nowy!

– Nowy? – słowo to wstrząsnęło Kesterem, nagle zupełnie dla niego niespodziewanie odżywać zaczęły dawno wyblakłe wspomnienia, a niejasne pragnienia zaczęły krążyć po głowie, nie konkretyzując się jednak w świadomości prawie całkowicie podległej rutynie. Nowy... Odkąd pamiętał nie zjawił się tu nikt obcy, mówiono, że władze nie pozwalają nawet na najmniejszy przeciek informacji z zewnątrz. Uznano, że kara tylko wtedy będzie dostateczna, gdy izolacja będzie zupełna.

Z trudem opanowując wzruszenie zapytał, z góry znając odpowiedź.
– Jaki wyrok dostał?

Odpowiedź jednak zaskoczyła go.
– Mówi, że nie ma żadnego wyroku.
– To jak tu trafił? – przez chwilę pobudzona ciekawość szybko przygasła. – To pewnie szpicel.

– Nie wygląda na szpicla, a poza tym kto miałby go wysłać? Władze więzienia? Po co, skoro wiedzą o nas wszystko. A poza tym, gdyby nawet oni go wysłali, czemu mieliby robić to tak nieudolnie, w sposób budzący podejrzenia, czemu nie przysłali go jako normalnego więźnia? Nie wiem jak się tu dostał, zastanawiałam się, ale nie doszłam do niczego. Niczego sensownego w każdym razie. Właśnie przyszłam cię prosić o radę, chciałabym, żebyś porozmawiał z tym człowiekiem.
– O czym mam z nim mówić?... Zaraz, ale dlaczego ja?
– Dlaczego ty? Bo tylko ty budzisz tu moje zaufanie, a poza tym byłeś

przecież psychologiem, łatwiej będzie ci rozgryźć jego kłamstwa.
Kester uśmiechnął się samą twarzą, uśmiechem bez wesołości, dokładnie takim, jakim szczerzą zęby wszyscy więźniowie, których Kesterowi udało się widzieć, a na pewno wszyscy więźniowie tutaj. Owszem, był kiedyś psychologiem, ale pamięć tak dalece odsunęła ten fakt, tak skutecznie zmieszała z innymi, że w pierwszej chwili nie uświadamiając go sobie, chciał zaprzeczyć. Czas zdążył dokładnie wymazać z osobowości Kestera -psychologa. Owszem, miał jeszcze dużo wiadomości z tej dziedziny (przypuszczał czasami, że to one pomogły przetrwać i nie ulec częstemu w tych warunkach wynaturzeniu, jakiemu uległo wiele z otaczających go osób), ale same wiadomości nie tworzą lekarza ani naukowca. A i tę właśnie nieuchwytną cząstkę czuł, że utracił już dawno.

Rozległy się kroki i przyciszone rozmowy wracających z pracy. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie.
– Muszę już iść, zobaczymy się jutro na placu jak wszyscy, bardzo cię proszę, porozmawiaj z nim wtedy...
Kiwnął głową. Uśmiechnęła się.
– Muszę już iść – powtórzyła. – Cześć Kes.
Machnął jej ręką. Nie słyszał jak wyszła, usłyszał za to, jak waląc buciorami zwaliła się do bungalowu piątka jego współmieszkańców.

– Słuchaj Kes, ale ci się udało – to był Mayer, najsilniejszy i najbardziej prymitywny z całej piątki, uważał się za najważniejszego w grupie, a także za coś w rodzaju przywódcy – nikt jak do tej pory nie wyprowadzał go z błędu. – Masz jutro cały dzień wolny, to rzadko się zdarza. Ale nie myśl, że nic nie będziesz robił, na południe wyznaczono ci dyżur w kuchni.
Kester cicho zaklął, choć nie był specjalnie zły, spodziewał się tego. Zresztą bał się trochę zbyt długiej samotności i bezczynności, musiałby zostać wtedy sam na sam ze sobą, czego ostatnio unikał.

Przybyli myli dokładnie ręce – było to konieczne przy tego rodzaju pracy, i kolejno walili się na trzeszczące prycze. Nie było żadnych rozmów, po tak ciężkim dniu zasypia się na ogół dość szybko. Tylko Kester długo się męczył, dusząc się w atmosferze przesyconej zapachem potu i nigdy nie mytych ciał. Dręczyło go, z powodów, których nie mógł zrozumieć, wspomnienie rozmowy z Mirą. Raczej wyczuwał niż wiedział, że ciosem dla niego było wskrzeszenie pamięci o Kesterze-psychologu. Ten bilet powrotny do przeszłości, do której nie można powrócić, rozsadzał cały spokój wewnętrzny, budowany z trudem przez tyle lat. Odżyły dawne rany, coraz straszniejszy wydawał się los, z którym myślał, że się pogodził.

Obudził go zwykły, poranny ruch. Zerwał się szybko, według Regulaminu nie wolno było leżeć rano zbyt długo. Według Regulaminu, którego nikt nie egzekwował, a który był z pewnością o wiele bardziej przestrzegany niż w innych, konwencjonalnych zakładach. Po złożeniu koców w kostkę i nalaniu świeżej wody do zbiornika, wyszli przed bungalow gdzie zmieszali się z ludźmi zmierzającymi na plac apelowy. Było pewne, że żadnego apelu nie będzie, ale wszechmocny Regulamin nakazywał odstanie tam godziny. Doszli szybko, plac znajdował się niedaleko części mieszkalnej, na piaszczysto kamiennej płaszczyźnie ograniczonej z dwóch stron dość stromymi, skalistymi wzniesieniami. W wąskim, prowadzącym na zewnątrz przesmyku, rozkraczyła się niska i przysadzista wieża strażnicza, jedyna widoczna z tego miejsca. O tej porze dnia słońce stało wprost nad nią wyostrzając ponurą wymowę jej profilu i oślepiając wszystkich patrzących w jej kierunku.

Kester rozejrzał się dookoła. Mira już czekała, machała ręką. Podszedł bliżej, dopiero teraz zauważył stojącego tuż obok starca w ciemnych okularach na dużym, nie dopasowanym do reszty nosie. Ani starość, ani małe czarne okulary nie zdołały zetrzeć z tej twarzy śladów inteligencji, owego charakterystycznego wyrazu, pozwalającego odróżnić jego właściciela w tłumie innych ludzi. Mimo kalectwa, w postawie ślepca widać było pewność, pewność jakiej Kester nigdy nie zauważył w obozie. Już na pierwszy rzut oka człowiek ten budził zaufanie. Kester nie poddał się temu uczuciu. Dziewczyna natomiast miała głęboko podkrążone oczy, twarz bladą i wymiętą. Była bardziej przygarbiona niż zwykle. Na pewno nie spała w nocy mimo całego dnia ciężkiej pracy. Na widok Kestera uśmiechnęła się, zaraz jednak jej twarz przybrała wyraz powagi.
– Wiesz Kes, powzięłam ważną decyzję, ale zanim ci ją wyjawię, chcę cię o coś spytać. Czy wiesz jak ten człowiek się tu dostał?
Wzruszył ramionami.
– On mówi, że wędrował skrajem autostrady z miasta do miasta, czasami jechał jak ktoś go zabrał, ale wczoraj czy raczej przedwczoraj właśnie szedł. Zaskoczyła go burza piaskowa, w której stracił swego psa przewodnika i zgubił autostradę, potem trafił tutaj... Ale co najważniejsze, przeszedł przez przesmyk, tuż koło wieży strażniczej i nikt go nie zatrzymał. Długo wczoraj rozmawialiśmy i... to wydaje się niemożliwe, ale doszłam do wniosku, że żadne więzienie nie istnieje, to jest...
– Co za bzdura! Czy chcesz powiedzieć, że jesteśmy tu z własnej woli? Że sami wymyśliliśmy to piekło?
– Świetnie to ująłeś Kes – krzyknęła. – Sami je poniekąd wymyśliliśmy! Ale nie przerywaj mi i nie odchodź, chcę cię jeszcze o coś spytać – powiedziała widząc jego reakcję.
– Czy pamiętasz jak się tu dostałeś?
Kester zastanowił się, ale jedyną refleksją jaka mu się nasunęła była pewność, że nigdy dotychczas o tym nie myślał. Zaczął uporczywie przeszukiwać wszystkie zakamarki pamięci.
– A może wiesz za co cię skazano?
Od paru chwil jakaś myśl uporczywie wymykała się Kesterowi, gdy wreszcie ją uchwycił, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Tak, to właśnie ona nie pozwalała mu tak długo zasnąć – nie mógł dojść dlaczego przestał być psychologiem, dlaczego tu jest? Pamiętał, że nie był w stanie skonkretyzować tego pytania, udało się to dopiero teraz.
– Widzisz, nie możesz sobie przypomnieć, nie ty jeden zresztą. To samo jest ze mną i z kilkoma innymi osobami, które pytałam. Jak myślisz, czy to możliwe, żeby nikt nie wiedział za co jest ukarany?
Kester popatrzył na nią z przerażeniem.

– Proszę cię Kes, odpowiedz mi, ale rzetelnie, na jedno pytanie: czy możliwe jest z punktu widzenia psychologii, by grupa ludzi tak dalece uwierzyła w pewną nie istniejącą sytuację, że mimo faktów świadczących przeciwko niej wierzą oni dalej i wzajemnie podtrzymują się w tej wierze nie dążąc do odkrycia prawdy?

– Jako psycholog odpowiem: teoretycznie istnieje taka możliwość, choć w takich wymiarach jakie tu występują (jeżeli twój domysł okazałby się trafny), każdy psycholog odrzuciłby ją definitywnie. Ale jako człowiek i współwięzień oświadczam, że bardziej nieprawdopodobnej historii nie mogłaś wymyślić, czy sądzisz, że te zasieki pod prądem, wieże strażnicze, wreszcie Regulamin są naszym wymysłem?
– Czy widziałeś kiedykolwiek jakieś zasieki albo wieże poza tą, którą oglądamy tylko wtedy gdy słońce świeci nam prosto w oczy? Czy widziałeś może jakiegoś strażnika albo kogoś z obsługi? Tak jak i Regulamin istnieją tylko w rozmowach przerażonych ludzi!
– Dziewczyno, nie wiesz chyba co mówisz, jak według ciebie dostaliśmy się tutaj?
– Nie wiem, ale na pewno odpowiedzi nie znajdziemy tutaj, nie przyjdzie ona do nas sama, kiedy kopiemy bliscy obłędu ziemię, musimy zacząć jej szukać!
– Spodziewałem się po panu czegoś więcej jako po psychologu – odezwał się milczący dotychczas starzec – ale pan tkwi we własnych i to narzuconych mu przekonaniach jak zwierzę pogodzone z klatką. Nie stać pana na rozumowe spojrzenie na świat, pozory zastępują panu fakty.
– A ty może jesteś – Kester dawno już odzwyczaił się od formy „pan" – jednym z wyznawców zasady, że rozum sięga dalej niż wzrok, że...
– W moim przypadku to oczywiste, w twoim po prostu niewidoczne – wpadł mu w słowo ślepiec – tworzysz sobie przeszkody w przekonaniu, że ich nie pokonasz, prokurując nowe światy nie stajesz się ich panem, ale niewolnikiem, jesteś dalszy człowiekowi niż ziemia, w której ryjesz.
Kester wstrząśnięty odwrócił się, chciał odejść, aby pomyśleć w samotności, potrzebował czasu, aby dojść ze sobą do ładu, aby móc uporządkować kłębek splątanych myśli, jaki tworzyła teraz jego świadomość, ale stanął oko w oko z otaczającymi go ludźmi. Nie zauważył kiedy ten tłum się zebrał, patrzył na przyciągnięte krzykiem zmięte postacie, na bezmyślne, zrezygnowane twarze, nic nie rozumiejące, patrzące z obojętnością maszyn. Zauważył wśród nich Mayera, później Stolpa, tak odbijających się na co dzień, teraz stopionych w jedną całość z otaczającym ich tłumem, całość kierowaną jednakowymi impulsami, całość okazującą jednakowe reakcje. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się z powrotem do starca i Miry. Spojrzał na nią.

Andrzej Ziemiański urodził się 17 lutego 1960 roku we Wrocławiu. W 1978 roku ukończył IX Liceum Ogólnokształcące imienia Juliusza Słowackiego, przedstawiając jako pracę maturalną opracowanie „Literatura fantastyczno-naukowa i jej rola w kształtowaniu świadomości społecznej na przykładzie pisarzy polskich i obcych drugiej połowy dwudziestego wieku". Za pracę tę uzyskał nagrodę w dorocznym konkursie „Życia Warszawy" dla autorów najlepszych prac maturalnych. Obecnie jest studentem Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej.
Jako autor opowiadań science fiction zadebiutował na łamach „Sigmy" w 1979 roku. W swoim twórczym dorobku ma kilkanaście opowiadań, spośród których dwa ukażą się w czwartym tomie antologii „Spotkanie w przestworzach".

– Co chcesz zrobić?
– Przejdę przez przesmyk.
Spodziewał się tej odpowiedzi.
– To szaleństwo. – Zabrakło w jego głosie pewności, którą zamierzał weń włożyć, był to raczej szept, bezgłośny szept poruszającego ustami dziecka. „To szaleństwo" – tak powiedziałby każdy z nich.
– Proszę cię, gdy już będę po tamtej stronie, przyjdź szybko, będę czekała.
Bezwiednie patrzył za oddalającą się dziewczyną. W tłumie rozległy się szepty, ktoś się roześmiał, ktoś powiedział: „Zaraz ją zastrzelą, ale będzie widowisko". Wszyscy czekali w napięciu. Dziewczyna przebyła już prawie połowę drogi. Kesterowi nagle zrobiło się jej żal, zrozumiał, że nie może dopuścić by zginęła, musi ją natychmiast zawrócić. Rzucił się biegiem w kierunku przesmyku. Zbliżał się szybko, ale i ona szła szybkim krokiem, wieża była już bardzo blisko, jeszcze kilka kroków i zrozumiał, że nie zdąży. W chwili gdy do niej dobiegł przechodziła przez przesmyk. Z rozpędu wpadł na nią, przewrócił i potoczyli się oboje w dół po łagodnym zboczu urwiska. Kester zerwał się natychmiast. Szukał wzrokiem wieży strażniczej. Słońce, które miał teraz za plecami oświetlało dokładnie skały nad nimi, nie mógł dostrzec nic górującego nad terenem oprócz wielkiego głazu o dziwnych, ale nic nie sugerujących kształtach. Przeniósł wzrok na dziewczynę. Siedziała tuż obok rozcierając kolano, uśmiechała się.
– Jesteś – powiedziała krótko. Takiego odcienia w jej głosie jeszcze nie słyszał, a może tylko nie zwrócił na niego uwagi.
– Chodźmy, zanim reszta tu przyjdzie, mam dość ich towarzystwa.
Kester też miał dość. Ruszyli najpierw wolno, potem coraz szybciej jakby nie mogąc się doczekać oczekującego ich świata, prawie biegli, gdy ukazała się autostrada.
Kiedy ludzie stracili z oczu Kestera i Mirę zapanowała pełna napięcia cisza. Słychać było coraz szybsze oddechy wielu płuc. Nie trwało to długo. Któraś z kobiet histerycznie krzyknęła:
– Wpadli do rowu z wodą, utopili się!
– Słuchajcie – zawtórował ktoś inny – strzały! Strzelają do nich!
Posypała się lawina okrzyków, cały tłum mieszał się i falował, nikt nie słyszał wołania ślepego starca usiłującego przekonać ich, że nikt nie zginął, że powinni go wysłuchać i uspokoić się. Pod naporem tłumu cofnął się na pobocze, usiłował odejść. Zapomniano o nim, ale nie na długo. Ktoś krzyknął przenikliwym głosem wybijającym się nad ogólny hałas:
– To przez niego zginęli!
Oczy wszystkich zwróciły się w stronę ślepca, choć wołający nie wskazał go palcem.
– Teraz strażnicy zemszczą się za ucieczkę.
Tłum zafalował. Nie wiadomo kto rzucił pierwszy kamień. Po kilku minutach, z wolna się uspokajając, ludzie ruszyli w kierunku korzennego pola.





– Kto by pomyślał, że tak szybko spotkamy...
– Zamknij się – syknął Lir i podczołgał się kawałek do przodu. Zaszeleściły rozchylone krzaki. Kater poczołgał się w milczeniu za tamtym.
– I co? – zapytał.
– Nic. Stoi – rzucił Lir odkładając na bok lornetkę.
– Żadnego ruchu?
– Sam zobacz. – Kater podciągnął się kawałek i rozchylił suche, jakby papierowe gałązki. Przyłożył do oczu lornetkę i wyostrzył obraz.
– Rzeczywiście stoi. I nic poza tym – rzekł opadając na brzuch.
– Czekają?
– Pewnie normalna procedura.
Zamilkli na chwilę. Kater jakby się ocknął.
– Taki tu tłok – powiedział – jak w Bazie na święta.
Znów sięgnął do lornety. W dole, w kotlinie, na samym środku jej płaskiego dna sterczało jak zaostrzony ołówek smukłe, złociste wrzeciono.
– Jak na święta – powtórzył w zamyśleniu.
– Widocznie nie tylko my mamy do nich jakiś interes – mruknął Lir.
Wylądowali w niezbyt pięknym stylu. Trzeba powiedzieć, że to ich zaskoczyło i zdeprymowało. Przecież automaty nie myliły się nigdy. Czegoś jednak nie przewidziały, skoro wylądowali tak jak wylądowali. Duża część urządzeń zaraz po pierwszym uderzeniu przestała funkcjonować. Prawie cała reszta po następnym. Statek zarył się w piach. Dobrze, że tylko tyle. Równie szczęśliwie wyszli z tego ludzie. Nie da się ukryć, że nie był to najlepszy początek.
Żeby doprowadzić wszystko do jakiej takiej użyteczności musieli pracować pełną parą. Przy tym niemal we frontowych warunkach. Nikt nie mógł powiedzieć, co spowodowało katastrofę, ale wiele faktów przemawiało za hipotezą, że był to atak. Zresztą, czy można tak to nazwać? Raczej obrona. To oni byli tutaj gośćmi. Wszystkie sondy wysłane w zwiadzie przestały działać w atmosferze. Nie można było mieć pewności co do powodów. Tak więc trzeba było przyjąć linię frontową. Zamknięci w polu naprawiali uszkodzenia. Nie próbowali nawet wysyłać jakichkolwiek sond, aż do momentu, gdy nie osiągną pełnej sprawności. Jakby w nadziei, że jeśli ktoś miał ich zauważyć, to jeszcze nie zauważył. Oczywista bzdura. Nikt się jednak nimi nie zajmował. Trzeciego dnia pozwolono im wyjść na powierzchnię. Pustynia jak pustynia. Na Ziemi są podobne. Może tylko mniej niebieskie. Czwartego dnia wysłali sondę. Obleciała całą planetę wzdłuż osiemdziesiątego równoleżnika. O dziwo, dotarła cała z powrotem. To, co zobaczyli, dało im pewność.
Strad sunął szerokim wąwozem. Zbocza były tutaj ostre. Strome skały rzucały na przeciwległą ścianę długie cienie. Słońce niedawno wzeszło i teraz wyzierało krwiste i olbrzymie znad krawędzi. Strad sunął powoli i bezszelestnie, wzbijając kurz. Wkoło panowała zupełna cisza. Nie zakłócał jej najlżejszy podmuch, najdelikatniejszy dźwięk. Milczeli. Za następnym zakrętem zatrzymali się. Przed nimi w kotlinie połyskiwała swymi wypolerowanymi ścianami potężna kula. Mogła mieć ze sto metrów wysokości, może więcej. Bez jednej rysy. Jakby odlana.
– To tutaj – powiedział Kater.
– Tak. Wyciągnij anteny.
Kater nacisnął guzik. Anteny jak czułki wysunęły się z przodu strada i zafalowały.
– Nadajemy?
– Zaczynaj!
W stronę kuli popłynęła zakodowana wiązka. Sygnały w przeróżnych kombinacjach pędziły ku masywnej budowli, która pozostawała wciąż nieruchoma.
Nadchodził zmrok. Kontury skał szarzały. Wąwóz topił się w krawej łunie. Strad stał pod skałą. Macki anten falowały w lekkich podmuchach wiatru. W przestrzeń uparcie płynął strumień informacji, danych o kulturze, osiągnięciach, zamiarach, fizjologii, wszechświecie. Kula nie dawała żadnego znaku. Żadnego odzewu. Cisza.
– Namyślają się? – zapytał samego siebie Lir.
– Może się pomylili?
– Wiesz dobrze, że się nie mylą w takich sprawach. Skoro nas tu wysłali, to znaczy, że mają pewność.
– Tak. Muszą mieć pewność – Kater otarł spocone czoło i sięgnął po termos. Kamery, notowniki, odbiorniki, ekrany – wszystko czekało w pogotowiu na znak. Znaku nie było.
Te puste miasta. Te wyludnione miasta mogły im były już wcześniej powiedzieć, że coś tu nie gra. Ulice opustoszałe. Czy to były zresztą ulice? Można je tak umownie nazwać. Żadnej powierzchni. Żadnych chodników, eskalatorów, pojazdów. Nic. Tylko po obu stronach te zastygłe białe bąble.

Wyglądało to tak, jakby zniknęli. To nie pokrywało się w żaden sposób z obrazami z sondy. Kiedy ona przelatywała nad tym miastem panował w nim ruch. Krzątanina, kolory. Musieli wiedzieć o niej. Mimo to pozwolili im fotografować miasto. Te wszystkie kopuły były wtedy rozchylone, jak kielichy kwiatów. Otwarte do słońca. Teraz martwa pustka...
Strady zatrzymały się przy małym bąblu wielkości niewielkiego domku. Nikt z nich nie wysiadł. Przez chwilę wpatrywali się w bąbel.
– Tniemy? – zapytał Firank. Było to pytanie raczej formalne. Wiadomo, że po to tu przyjechali. Zabrali się do roboty. Bąbel był oporny. Nic nie mogło go ruszyć. W końcu musieli dać za wygraną. Nie wolno go było przecież traktować antymatem, czy czymś w tym rodzaju. Musieli dać za wygraną.

U spodu wrzeciona rozwarła się teraz czarna jama. Robiło się coraz ciemniej. Lirowi zdrętwiały już nogi. Kater cały naprężony wpatrywał się przez lornetkę w ciemność. Tak. Wyraźnie u spodu wrzeciona coś się zmieniło. Trącił Lira w bok podając mu lornetkę.
– Chyba się rusza?
Zerwał się lekki wiatr. Kater popatrzył na niebo, ale było już prawie czarne.
– Żeby tylko nie padało – wymamrotał do siebie. Położył się na wznak i rozluźnił mięśnie. Siedzieli tutaj od przeszło czterech godzin. Robiło się coraz chłodniej.
– Ruszają się! – niemal wrzasnął Lir. Kater wyszarpnął mu lornetę i wytężył wzrok. Coś tam się działo.
– Przejdź na podczerwień – szepnął Lir. Kater przesunął dźwignię. Nie wiadomo dlaczego bez przerwy mówili szeptem. Przyłożył znów instrument do oczu.
– Tak – powiedział specjalnie głośno – ruszają się.
W polu widzenia długi sznur małych poziomych cygar wytaczał się z wnętrza wrzeciona. Sunęły na północny zachód, w stronę, gdzie kotlina otwierała się szeroko, tworząc wielusetkilometrowy płaskowyż porośnięty tymi dziwnymi szeleszczącymi krzakami.
– Baza?!! Baza?!! Mówi Lir! Ruszyli się! Kierunek PZ! Zamilkł na moment, nasłuchując odpowiedzi.
– Rozumiem – rzucił w mikrofon. – Zrozumiałem! W bezpiecznej odległości!!
Szarpnął Katera za nogawkę. Pochód nie miał zamiaru się skończyć. Z rozwartej czarnej jamy sączył się coraz szerszy strumień ni to pojazdów, ni to urządzeń, strumień cygarowatych tworów, które po bliższym przyjrzeniu się przypominały najbardziej olbrzymie błyszczące gąsienice.
– Pójdziemy równolegle w bezpiecznej odległości w tym samym kierunku, co oni. Mamy bez przerwy meldować – Kater oderwał oczy od wypolerowanego okularu i spojrzał na tamtego, jakby go widział pierwszy raz. Dopiero po chwili dotarło do niego. Wyczołgali się na skarpę i wstali z ziemi. Nareszcie mogli trochę rozprostować kości. Kater zarzucił lornetkę na plecy i poszli.

– Niestety – ciągnął Rasin – oni po prostu nie chcą z nami rozmawiać.
– Tak – Leuian miał zafrasowaną minę – nie odpowiadają na sygnały, w dodatku wszędzie, gdzie się zjawimy, zastajemy pustkę. Bąble pozamykane, chociaż nie ukrywali się przed naszą pierwszą sondą. Następne sondy natrafiają już tylko na taki sam obraz, jak my podczas zwiadów. Nie udało nam się sforsować ani jednego bąbla przy użyciu w miarę konwencjonalnych środków.
– Moglibyśmy tego dokonać – wtrącił Essmin – jak się wydaje, jedynie przy zastosowaniu antymatów.
– Antymaty – powiedział Rasin – spowodowałyby prawdopodobnie zbyt wiele szkód. Mogłoby to wręcz uniemożliwić nawiązanie kontaktu.
Posiedzenie ciągnęło się do rana. Każdy miał coś do powiedzenia. W sumie nic to nie zmieniło. Po prostu byliśmy w kropce. I była to kropka absolutna. W sali narad zrobiło się już niemożliwie duszno, mimo ciągłej pracy sprężarek na pełnych obrotach. Zebrała się w niej cała załoga i wszyscy naukowcy. Trzeba się było zapoznać z dotychczasowymi wynikami i zastanowić. Nad czym? Tak; właściwie nad czym? Co za dziwny pęd do jałowych dyskusji!
– Trzeba rozpocząć eksplorację wód, przyjrzeć się dnom oceanów – mówił Eutat, i kontynuować próby porozumienia.
– Myślę, że bąblom możemy dać spokój – powiedział Firank. – Wydaje mi się natomiast, że należałoby rzucić podziemne sondy i jeżeli to coś da, w miejscach podejrzanych rozpocząć wiercenia.
– Zgoda – rzekł naczelny. – Pozostałe grupy będą działać tak jak do tej pory. Poddaję projekt pod głosowanie.

Zapaliły się same zielone światełka.
Ludzie wysypywali się z dusznego pomieszczenia rozprawiając o wszystkim naraz. Każdy miał coś do powiedzenia. No, może nie każdy. Na przykład Ateya i Ptieex mówili zupełnie o czym innym. Lir wiedział to dokładnie. Dziewczyna płonęła cała i poruszała się jak lunatyczka. Ptieex obejmował ją ramieniem.
– Ten ma powodzenie – pomyślał Firank.
– Myślę, że skoro nie udało im się odnaleźć śladów na powierzchni, to znajdą je gdzie indziej – mówił Ptieex. Stał po pas w wodzie w nieprzemakalnym kombinezonie i wielką siecią usiłował coś złowić.
– Wątpisz w to? – Ateya otwierała pojemnik, wpuszczając do niego ni to meduzę, ni to płaszczkę, która ciskała się na wszystkie strony.– Oczywiście, że wątpię. Skoro nie chcą z nami nawiązać kontaktu, to na pewno nie uda nam się to, gdziekolwiek by nie byli... – szarpnął gwałtownie siatkę w której trzepotała następna sztuka.
– Może jednak docenią nasze starania?
Odwrócił się, w krwawym blasku dziewczyna wydała mu się jeszcze piękniejsza. W tym oświetleniu jej skóra zdawała się być tak gładka, jak mury ich budowli. Roześmiał się wychodząc na brzeg.
– Z czego się śmiejesz?
– Jesteś niby poważnym naukowcem, ale jednocześnie jest w tobie bardzo dużo z dziecka. Ja nie mam tych złudzeń.
– Jesteś zbyt sceptyczny, powiedziała, biorąc z jego dłoni rybę. Wtłoczyła ją do kolejnego pojemnika, nie spojrzawszy nawet na niego. Najwyraźniej poczuła się urażona.
„Tak" – pomyślał Ptieex – „młode kobiety-naukowcy są bardzo ambitne". Zdjął gumowy kombinezon. Wziął pod pachę pojemniki i ruszył przed siebie. Po chwili zrównali się.
– Uważasz mnie za głupią?
Powiedziała to z wyrzutem. Zatrzymał się. Objął ją ramieniem i dalej szli razem. Uśmiechał się do swoich myśli. Wszystko było w porządku.
Przedzierali się przez gąszcz z suchym chrząstem łamanych gałęzi. Lir raz po raz przystawał, ocierając spocone czoło. Szło im to niesporo. Splątane krzaki tworzyły gęstą pajęczynę, której rozrywanie wymagało wielkiego wysiłku. Wreszcie dotarli do jakiejś ścieżki. Kater otrzepał zakurzone rękawy, poprawił lornetę i ruszyli dalej. Teraz posuwali się o wiele szybciej. Szli po przekątnej do kursu obranego przez cygara. Lir bez przerwy zastanawiał się, co to może być i o co w ogóle chodzi. Inwazja, czy co? Cygara poruszały się bardzo powoli. Na skraj zarośli wyszli niespodziewanie. Kater aż się przestraszył. Szarpnął się w tył, powstrzymując Lira. Zamarli. Dosłownie kilka kroków od nich sunęły równym rządkiem cygara. Z bliska można było dopiero właściwie ocenić ich rozmiary. Giganty. Wycofali się krok za krokiem za najbliższe krzaki i tam przywarowali. Lir zajął się nadajnikiem. Podał pozycję i kierunek, w jakim poruszała się kolumna. Czekali dosyć długo na odpowiedź.
– Ale to trwa – wyszeptał Kater – mogliby się pospieszyć, bo skóra mi cierpnie.
– Widocznie mają z tym problem.
Za cienkim murem z zarośli przesuwały się z miarowym dudnieniem i łomotem metaliczne cygara.
– Zauważyłeś, jak się poruszają? – zapytał Lir.
– Jakby się kręciły wokół swojej osi i wiły równocześnie.
Coś zaskrzeczało w słuchawkach.
– Wracać natychmiast!! – usłyszał Lir. – Wracać natychmiast!!! Idą na szyb numer sześć i siedem i w ogóle na wszystkie szyby! Nie muszę wam tłumaczyć, co to znaczy!!
– Zrozumiałem – powiedział Lir i rzucił do Katera – Zbieramy się stary. Oni walą prosto na szyby i nasz statek.
Ten przez chwilę jakby nie rozumiał. Jakoś nie mogło to dotrzeć do jego świadomości.
– Musimy się cholernie spieszyć – wycedził wreszcie. – Oni mają bliżej niż my. Zostawiamy strad?
– Tak. Jest za daleko. Trwałoby to dłużej. Większe szanse mamy na piechotę.

Weszli znów w gąszcz. Spieszyli się. Krzaki stawiały coraz większy opór, a im spieszyło się coraz bardziej. Ostre gałęzie wczepiały się w skafandry, kaleczyły dłonie. Uszarpali się z nimi nieźle, zanim dotarli do szóstego szybu. Na szczęście cygar jeszcze nie było, ale od południa, zza zarośli, nadciągało już dudnienie. Stąd droga była prostsza. Wyrąbały ją strady obługujące szyb. Nie było już tutaj zwykłej załogi. Nie było zresztą żywej duszy. To, czego się spodziewał po wierceniach Firank, oczywiście, nie spełniło się. A raczej spełniło tylko częściowo. Sondy rzeczywiście wykryły podziemne zgrupowanie sztucznych formacji. Na dość dużych głębokościach, ale nie niemożliwych do osiągnięcia dla naszych świdrów, uruchomiono trzynaście szybów. Statek przeniesiono i spoczywał on teraz przy ósmym z nich. Wiercili dzień i noc. Okazało się, że zgrupowania sztucznych tworów pod ziemią, ciągną się w jednej linii, wyznaczając oś, na przedłużeniu której znajdowała się Biała Kula. Nie sposób było domyślić się, co to oznacza. Wysuwano dziesiątki hipotez. Wszystkie prawdopodobne, jednak żadna pewna. Zresztą przestały one mieć znaczenie, gdy dotarto do głębokości sześciu tysięcy metrów. Stwierdzono tylko, że to ta sama substancja, z której zbudowane są bąble. Wszystkie narzędzia jeszcze raz okazały się bezużyteczne.
Eutat sterczał nad ekranem z rękami w kieszeniach. Wkoło zbici w ciasną gromadkę pozostali, trwali wpatrzeni tak jak on w ekran. W twarzach napięcie. Nie tylko w twarzach. W gestach, rzucanych pojedynczych słowach.
– Nie ma wątpliwości – powiedział pocierając brodę. – Wylądowali.
Wylądowali. Ile było w tym jednym słowie emocjonalnego ładunku. Na

pewno więcej niż chłodu logicznego rozumowania. Wylądowali. Ale kto?
– Czy to oni? – zapytał zupełnie niepotrzebnie Lir. Jak zwykle palnął byle co. Kto mógł wiedzieć, czy to Ich statek, czy jeszcze jakiś inny.
– Meldunek dla Naczelnego – powiedział Eutat do dyżurnego.
– Nie trzeba – odezwał się za ich plecami Naczelny. Rozstąpili się. Przez chwilę wpatrywał się w ekrany. Jego srebrzysta głowa zawisła wpół drogi. Wydawało się, że chce z ekranu wyczytać coś więcej, niż można zobaczyć. W końcu westchnął. Wyprostował się.
– Za piętnaście minut narada. Wszyscy członkowie Rady Głównej i Pomocniczej zbiorą się w moim gabinecie.
Tak. To był ich stary. Ani jednego niepotrzebnego słowa, ruchu. Krótko i jasno. Wszyscy zaczęli się rozchodzić.

– Ciekawe, do czego dojdą i co z tym fantem zrobią pomyślał Kater, chociaż dla niego było to mniej ważne. Pozostawał tylko wykonawcą. Zrobi, co mu każą. Zawsze postępował w ten sposób, mimo że czasami miał swoje zdanie. Na przykład teraz także. Nie chcą z nami rozmawiać, to nie pchajmy się. Po cholerę się narzucać. Może kiedyś nabiorą ochoty. Obojętne. Wyciągnął się na swojej koi i bezmyślnie spoglądał w sufit. Z zapatrzenia wyrwał go głośnik.
– Kater i Lir – zaskrzeczał – zgłoszą się do Koordynatora!!
Lir coraz bardziej opadał z sił. Katerowi przez moment wydawało się, że cygara przyspieszyły i dopędzają ich. Nie. To nie cygara. To oni zwolnili. Miał coraz bardziej miękkie nogi... Wreszcie znaleźli się na nie porośniętej płaszczyźnie. Polana wokół ósmego szybu. Odetchnęli głęboko. Już niedaleko. Z pięćset metrów. Lir potknął się. Kater podtrzymał go i pociągnął za sobą.
– Nie mogę – wyjęczał Lir.
– Musisz – rzucił Kater twardo. – Jesteśmy u siebie.
Dopadli pola w momencie, gdy na skraju polany ukazały się pierwsze cygara. Na lewo od nich rozpaliły się zielone światełka. Otwarto kanał. Widać namiarowy śledził ich od jakiegoś czasu. Wpadli w kanał, niczym zbłąkany podróżny do oazy. Pole zatrzasnęło się za nimi. Kater obejrzał się. Były niedaleko. Winda czekała. Stanęli na podeście, który uniósł ich w górę. Dwie malutkie sylwetki na tle kosmitowego kolosa.

Teraz mam was gdzieś – myślał Lir – cygara, cygaretki i cygarniczki. Zaśmiał się nerwowo.
Kater spojrzał na towarzysza i zrozumieli się bez słów. W dole wokół pola ustawiały się pojazdy, czy też urządzenia tamtych, a oni sunęli w górę mijając grube szramy łączeń na pancerzu. Właz zatrzasnął się za nimi i dyżurny zaprowadził ich do centrali. Badanie było krótkie. Meldunek jeszcze krótszy: cała załoga na stanowiskach. Cała oprócz nich dwóch. Oni mieli teraz wolne. Kater skierował się do sterowni. Lir go dopędził.
– Jesteś ciekawy co się tam dzieje?
– Uhm – mruknął wkładając ręce w kieszenie.
Poszli razem. Przy ekranach siedział Firank i jeszcze kilku techników.

– Zrobili kordon – powiedział na ich widok.
– Widziałem z windy – rzekł Lir, rzuciwszy okiem na ekran. – Ale tu jest ich jakoś mało.
– Reszta otoczyła szyby – powiedział jakiś młody technik. Ręce mu się trochę trzęsły. Najwyraźniej był zdenerwowany.

„Nowicjusz" – pomyślał Kater. – „Tutaj trzeba być opanowanym. Co będzie, gdy drgnie mu ręka?" Bez słowa odsunął technika od pulpitu i przejął kontrolę. Firank nic nie powiedział. Nie było o czym mówić. Każdemu może się zdarzyć. Na zewnątrz nic się nie działo. Ale był to tylko moment.

– Co u was? – rzucił wpatrzony w fosforyzującą tarczę. Na ekranie miał dziewiąty i jedenasty szyb.

– Zaczęło się – wycedził technik.
Na zewnątrz we wszystkich miejscach równocześnie rozszalała się burza. Cygara sypały gradem niewielkich kiszkowatych tworów, które padały na szyby i rozbryzgiwały się, ściekając po konstrukcjach. Kopuła pola rozżarzyła się. Nagle na wszystkich ekranach pojaśniało. Wszystko stanęło w ogniu. Statkiem targnęło. Pole zachwiało się na moment, ale cygara otaczające statek zamilkły. Natomiast przy szybach trwała nadal kanonada. Setki tysięcy metrów ziemi zamieniało się w parę. Na placenie zapanował nagle dzień. Trzynaście rozżarzonych punktów zamieniło się w ciągłą linię oślepiającego blasku. Tylko w miejscu, gdzie stał statek, ziała w tej jaśniejszej od tutejszego słońca linii, czarna wyrwa.

– Bombardują też Kulę – powiedział technik.
– Startujemy – rozległ się w głośnikach głos Naczelnego.
– Start!! – wrzasnął Firank, choć wszyscy słyszeli go dobrze.

Startowy docisnął spust. Wszystko zadrżało. Zawyło. Rakieta ruszyła w górę.
– Cała moc!!
Obłęd. Statek dostał całą moc, a nie ruszał się z miejsca. Firank zaniemówił. Startowy walił raz po raz z planetarnych. Ani centymetra w górę.

– Fotonowy! – rozległo się. Popatrzyli po sobie. Naczelny wie, co robi. Stawka była za wysoka.

– Fotonowy!! – zagrzmiał Firank. Czekali w napięciu. Ich twarze nie wyrażały nic poza tym. Tylko napięcie. Oczekiwanie. Co nastąpi? Morze ognia. Fontanny ognia. Gejzery, oceany rozgrzane do niemożliwych granic. Cygara musiały już dawno wyparować. Statek targnął w górę, lecz zamarł.
– Stop! – rozkazał Naczelny. – Nie mamy szans. Moglibyśmy się przypadkiem dogrzebać do tych na dole. Stop!

– Stop! – rozległo się. – Stop! Stop!! – odpowiedziały pokłady statku. Osiedli nieco niżej niż poprzednio. Łuny w ekranach pogasły. Wkoło pola rakiety stały nadal cygara.

– Niewiarygodne – Firank osunął się na fotel. – Niewiarygodne.
– Wytrzymali to – stwierdził Lir. Nikt się nie odezwał.
Cygara odjechały. Wystartowali. Pozwolono im wystartować. I zaraz po starcie powierzchnia planety rozjarzyła się na nowo. Kontynuowali. Robili swoje.

„Pozwolili" – myślał Kater – „pozwolili w swej niebrzebranej łasce nędznym robaczkom ujść cało. Nieprędko to zapomnimy. Wspaniałomyślni – wzbierała w nim wściekłość – zdobywcy!! Zaśmiał się. Ha, ha, ha! Nędzne, malutkie robaczki. A my myśleliśmy, że to o nas im chodzi. Nie. Oni nas po prostu nie zauważyli. To nie o nasze szyby szło. Nie o nasze skóry. Po prostu przypadkiem nasze drogi się zetknęły".

Statek oddalał się. Na pokładzie panowało raczej przygnębienie. I strach. Naocznie przekonali się o tym, że niekoniecznie na tak wysokim etapie, na jakim byli tamci, można być tylko dobrym, pobłażliwym wujaszkiem. Starszym bratem. Zbyt naocznie.

(Patrz: nota biograficzna w „Słowniku polskich autorów fantastyki" na str. 56)



Wiktor SADOWSKI

Jacek Rodek

VII Eurocon odbył się w dniach 20–22.08.1982 roku w Mönchengladbach (RFN). Wzięła w nim udział delegacja z naszej redakcji



w składzie A. Hollanek, A. Wójcik, T. Markowski i J. Rodek

TRZY DNI W KRĘGU FANTASTYKI

19.08.1982 r. godz. 17.05 Mönchengladbach

Wysiadamy z pociągu relacji Kolonia – Mönchengladbach pełni niepokoju – jest Kongres, czy go nie ma? Przed samym wyjazdem zmieniało się miejsce imprezy (Moskwa, Szwajcaria – wreszcie RFN). Jeśli Kongres jest – to jak nas przyjmą? Nie otrzymaliśmy w Warszawie odpowiedzi na telex wysłany do organizatorów – o zmianie terminu i miejsca dowiedzieliśmy się w ostatniej chwili drogą telefoniczną od organizatora Kongresu w Szwajcarii Pascala Ducommun. Jesteśmy wszyscy świadomi trudnego zadania, jakie nas czeka, trzeba odnowić stare kontakty, przerwane po wprowadzeniu stanu wojennego, nawiązać nowe, zdobyć prawa autorskie na publikacje w naszym piśmie, poinformować Stowarzyszenie o uruchomieniu w Polsce pierwszego specjalistycznego magazynu science fiction i wiele innych spraw, które chcielibyśmy na tym Kongresie załatwić dla pisma i ruchu SF w Polsce. Ale w tej chwili nurtuje nas tylko jedno – czy Kongres w ostatniej chwili nie został odwołany.

Niepokoje się kończą, kiedy w hali dworcowej dostrzegam z daleka na drzwiach wejściowych napis „Eurocon" i strzałkę wskazującą kierunek. Wkładamy bagaże do skrzynek i kierujemy się według znaków. Spotykamy pierwsze rozlepione na murach plakaty, dowiadujemy się z nich, że Festiwal Der Fantastic odbywa się w liceum matematycznym. Trochę błądzimy po uliczkach miasta, w końcu docieramy na miejsce. Później okaże się, że była to dłuższa droga – dla samochodów. Budynek liceum z lekka nas oszałamia swoim ogromem. Architektura przypomina bardziej kompleks nowoczesnego ośrodka naukowego. Z początku wygląda tak, jakby nikogo nie było. Ale dziś jest 19. Przez szybę widać plakaty filmów SF rozpięte na stelażach. Tadek w pewnym momencie dostrzega jakąś postać. Rozmowa przez szybę na migi wyjaśnia nam, że wejście jest z drugiej strony. Organizatorów spotykamy w hallu głównym. Witamy się. Mówimy, że właśnie przyjechaliśmy z Polski na Kongres, pytamy się, kto jest, kto ma przyjechać, jaki jest program, itp. Po chwili zjawia się przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Walter Jost. Załatwiamy sprawy noclegowe, dowiadujemy się, że jest już przewodniczący Euroconu – John Brunner, Anglik, popularny pisarz SF, nasz stary znajomy. Gościliśmy go w Polsce w 1980 roku podczas III Konwentu Klubów SF w Krakowie. Jest także Wolfgang Jeschke, wydawca serii SF, najpopularniejszej w RFN Wilhelm Heyne Verlag, poznaliśmy się z nim przed dwomá laty na Kongresie SF w Stresie. Umawiamy się z organizatorami na następny dzień rano. Mają wskazać nam miejsce, gdzie przygotujemy przywiezioną ze sobą wystawę polskich książek SF. Następnie udajemy się do hotelu, który, niestety, położony jest dość daleko od tego liceum, bo aż w drugiej dzielnicy miasta. Wieczorem ostatni rzut oka na miasto i tak kończy się pierwszy dzień naszego pobytu.

20.08.1982 r.

O wpół do jedenastej jesteśmy już w liceum. Powoli zaczyna się ruch. Zjeżdżają uczestnicy – fanowie, zaproszeni goście. W wyznaczonym miejscu organizujemy naszą wystawę, na razie jesteśmy pierwsi. W tym miejscu od jutra będzie odbywał się kiermasz książek i magazynów SF. Z programu wynika, że oficjalne otwarcie Euroconu przewidziane jest na godzinę 16.00. Godzina 16.15 – oficjalne otwarcie VII Euroconu. Sala główna wypełniona do ostatniego miejsca. Na zewnątrz kręci się jeszcze sporo osób, recepcja ma pełne ręce roboty. Będzie tak już do ostatniego dnia. Ogółem uczestniczyło w Kongresie ponad 1000 osób.

Na podium wchodzi przewodniczący europejskiego komitetu John Brunner, siada za stołem prezydialnym z resztą władz Euroconu. Wstaje Walter Jost, główny organizator ze strony gospodarzy. Wita zaproszonych gości, poszczególne delegacje, w tym także naszą. Tę część ogólnie można nazwać „galówką". Na dzień dzisiejszy przewidziane są jeszcze dwie projekcje filmów. Z powodu jakichś komplikacji dochodzi tylko do jednej. Jest to film z 1968 roku pt. „The Bed Sitting Room". Niestety, wersja językowa jest niemiecka. W RFN wszystkie filmy „idące" w kinach i w telewizji opracowywane są w wersji niemieckiej. Wpadam tylko zobaczyć, co to za film. Sala jest mała, pełno ludzi, a obraz nie wydaje się szczególnie interesujący. Szybko więc rezygnuję i wracam do hallu głównego. Tu także jest sporo ludzi. Jedni siedzą na schodach, inni stojąc w małych grupkach rozmawiają. Gdzieś z boku jakaś młoda kobieta gra na gitarze, grupa młodych ludzi śpiewa razem z nią. Taki ogólny luz. Widzę jak Andrzej z Tadkiem rozmawiają z Johnem Brunnerem. Podchodzę do nich. Rozmowa jest swobodna, taka o wszystkim i o niczym. Na koniec umawiamy się z Brunnerem na następny dzień na wywiad. Jeszcze kilka rozmów ze spotkanymi znajomymi i wracamy do hotelu.

21.08.1982 r.

Od samego rana jesteśmy przy naszej wystawie. Na innych stolikach też już są książki, magazyny, fanziny, plakaty, zdjęcia filmowe, gry planszowe SF. Do naszego stolika podchodzi Carlo Tolle, jeden z najlepszych europejskich grafików, ogląda nasze książki. Niektóre okładki podobają mu się. Rozmawiamy na temat naszej poligrafii, polityki wydawniczej, popularności gatunku w Polsce, informujemy go o powstaniu w naszym kraju pierwszego pisma specjalistycznego SF proponując jednocześnie współpracę, na którą chętnie przystaje. Mówimy mu, że będziemy mogli zapłacić tylko w złotówkach. Tolle uśmiecha się i kiwa głową, że się zgadza. Odnoszę wrażenie, że w ogóle mu nie zależy na jakiejkolwiek zapłacie. Rozumie nasze trudności – albo stać go na to. Wokół przewija się dużo ludzi, podchodzą, oglądają, przekładają, rozmawiają. Nie widzę jednak, żeby coś kupowali. Przypomina to obraz naszych giełd płyt, gdzie także ludzie rozkładają dziesiątki płyt, zazwyczaj ciągle tych samych, lecz rzadko widzę obrazek zawieranej transakcji. Nie raz zastanawiałem się, jak może opłacać się ten interes dla handlujących płytami. Widocznie musi, skoro to robią. Podobnie jest i tutaj. Podczas całego Kongresu w różnych miejscach na terenie odbywa się szereg imprez towarzyszących. Są to pokazy filmów, spotkania z zaproszonymi twórcami, mityngi fanów, wystawy grafiki i malarstwa SF. W jednej z sal odbywa się prezentacja możliwości komputera, każdy może spróbować zmierzyć się w pojedynku z komputerem, w dowolnie wybranej z tysiąca możliwych gier. Można tu także zakupić lub wymienić kasety z filmami SF w systemie video. W innej sali odbywa się pokaz możliwości elektronicznie programowanej muzyki. Odbywają się także spektakle amatorskich zespołów teatralnych – a wszystko to dzieje się jednocześnie, tak że uczestnik zmuszany jest do wyboru. Wieczorem odbywa się posiedzenie Europejskiego Komitetu. Andrzej zostaje zaproponowany na funkcję sekretarza generalnego na Europę Wschodnią. Kandydatura zostaje jednogłośnie przyjęta. Przypomnę, że poprzednio funkcję tę pełnił Peter Kuczka z Węgier. Rozpoczyna się debata nad przyznaniem nagród Euroconu. Głosowana jest najpierw nagroda dla najlepszego europejskiego wydawnictwa. Padają dwie kandydatury KAW i WHV. Odbywa się głosowanie, w wyniku którego KAW zdobywa o dwa głosy więcej niż WHV. W tym momencie zabiera głos jeden z delegatów Belgii, zwracając uwagę, że jednak WHV jest największym wydawnictwem na świecie, wydającym rocznie ponad 100 nowych tytułów, w związku z tym ma pewne wątpliwości. Tu zabiera głosTadek i proponuje przyznanie dwóch nagród równorzędnych. Tak też zostaje to przyjęte. W dalszej kolejności przyznawane są nagrody dla pisarzy. Z naszej strony pada propozycja przyznania nagrody za całokształt twórczości braciom A. i B. Strugackim co zostaje przyjęte z aplauzem. Zostaje także przyznana pośmiertnie godność honorowego członka Euroconu Czesławowi Chruszczewskiemu, znanemu pisarzowi, jednemu z założycieli tego europejskiego stowarzyszenia. Późnym wieczorem spotykamy się jeszcze z Johnem Brunnerem i Pierre Barbetem, francuskim pisarzem SF. Andrzej z Tadkiem przeprowadzają z nimi wywiady. I tak kończy się ten dzień pełen wrażeń.

22.08.1982 r.

Ostatni dzień Kongresu i naszego pobytu. O godzinie 10.00 rano jest pokaz filmu „Sleeper" Woody Allena. Niestety, znów w językowej wersji niemieckiej – tracę przez to w odbiorze przeszło połowę filmu. W godzinach południowych jest zorganizowane spotkanie z polską fantastyką naukową, na którym Adam odczytał referat o fantastyce polskiej. Pada szereg pytań pod naszym adresem o popularność gatunku w Polsce, sytuację pisarzy, ilość wydawanych książek, a także na temat działalności polskich fanów. W miarę możności staramy się na wszystkie odpowiedzieć. Po południu odbywa się uroczyste zakończenie Euroconu i oficjalne ogłoszenie listy przyznanych nagród.

KLĘSKA PROROKA?

Rozmowa z koordynatorem Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction, pisarzem francuskim Pierre Barbetem

Tadeusz Markowski – *Literatura SF na Zachodzie traci podobno na popularności mimo coraz większej ilości wydawanych pozycji. Nie sądzi Pan, że za kilka lat grozi pisarzom bezrobocie?*

Pierre Barbet – Zaraz wyjaśnię, co się wydarzyło we Francji. Przede wszystkim muszę wyjaśnić, że wydawcy francuscy, jak wszyscy wydawcy zachodni, nastawieni są głównie na osiąganie zysków finansowych. W pewnym momencie, kiedy literatura SF stawała się coraz bardziej popularna, każdy chciał mieć u siebie taką serię, bo książki SF szły jak woda. Doprowadziło to oczywiście do stopniowego rozczarowania czytelników, gdyż autorzy nie utrzymywali w tej sytuacji odpowiedniego poziomu literackiego swych prac. Zdarzało się niejednokrotnie, że wydawano książki Van Vogta, które niestety niewiele miały wspólnego z jakością jego najlepszych utworów. Wiele więc z tych powstających radośnie serii splajtowało, bo rzeczywiście SF było dużo, lecz jej poziom obniżył się w sposób bardzo znaczny.

Literatura SF, wydawana we Francji, zawiera wiele pozycji z rynków angielskojęzycznych, głównie z USA, bo trzeba było skądś brać te masy tekstów. Doprowadziło to do tego, że procent wydawanych autorów z innych stref językowych jest bardzo niski. Co więcej, procentowy udział autorów francuskich na rynku jest względnie niski w stosunku do ilości wydawanych pozycji. Największym wydawcą francuskim, który publikuje największą liczbę autorów rodzimych, jest niewątpliwie „Fleuve Noir", należąca do grupy wydawniczej Presse de la Cité. Ale i to wydawnictwo postanowiło uruchomić dodatkową serię zatytułowaną „Światowe bestsellery", składającą się głównie z autorów radzieckich i amerykańskich. Na moją prośbę zgodzili się jednak rozszerzyć formułę na wszystkie kraje Europy Wschodniej. Z polskich autorów ukaże się w tej serii książka Konrada Fiałkowskiego i być może coś Czesława Chruszczewskiego.

T.M. – *Problemem we Francji są więc nie tylko tłumaczenia w dużej ilości, ale – jak przypuszczam – również kłopoty z renomowanymi nazwiskami?*

P.B. – I tak, i nie. Wydawca, biorąc książkę renomowanego autora, na przykład Asimova czy Van Vogta, jest prawie pewien, że ją sprzeda. Ale okazuje się, że ci autorzy nie są studnią bez dna i że czasem zdarza im się napisać coś, co jest po prostu złe. Doprowadziło to do rozczarowania wśród czytelników, jak wspomniałem, ale na szczęście przychodzi sporo młodych autorów francuskich, którzy wnoszą na rynek powiew świeżości, co w konsekwencji utrzymuje popularność gatunku.

T.M. – *Czy ta sytuacja nie obniża jednak sprzedaży?*

P.B. – We Francji nie mamy z tym problemów, zwłaszcza w renomowanych seriach. Nakłady we „Fleuve Noir" na przykład nie zmniejszają się, a raczej mają nawet tendencję zwyżkową. Dobry Van Vogt sprzedaje się w stu tysiącach egzemplarzy.

T.M. – *Jako koordynatora Europejskiego Stowarzyszenia SF chciałbym Pana spytać, czy – i w jaki sposób – widzi Pan możliwości ułatwienia wymiany autorów między Wschodem a Zachodem. My, Polacy, jesteśmy w miarę au courant tego, co pisze się i wydaje na Zachodzie. A odwrotnie? I to mimo tak znakomitych nazwisk jak Lem czy Strugaccy.*



P.B. – Przede wszystkim gdyby nie Eurocon, to byśmy się tu dzisiaj nie spotkali. Tak więc, jeżeli chodzi o kontakty osobiste, organizacja ta spełnia raczej swoje zadania. Dzięki niej poznaliśmy pisarzy i fanów z Rumunii, Czechosłowacji, Węgier, Polski itd. Właśnie dlatego staramy się za wszelką cenę rozwijać naszą działalność, mimo że wszyscy pracujemy społecznie i jak dotąd nie jesteśmy w żaden sposób dofinansowywani.

Co się zaś tyczy Strugackich, to jest to problem trochę bardziej skomplikowany. Chociaż są oni znani w ZSRR czy w Polsce, to na przykład ich książki wydane w USA nie odniosły sukcesu. Problem tłumaczeń jest o tyle skomplikowany, że nie wiadomo, czy dany autor – popularny w jednym kraju – odniesie sukces w innym. Na przykład autorzy francuscy rzadko kiedy są popularni za granicą. Może dlatego, że piszą głównie dla Francuzów z charakterystycznym dla tej kultury podtekstem. Tłumaczyć można więc tylko takie książki, które poruszają problemy ponadnarodowe. Innym sposobem – choć tu już wkraczamy w domenę „fantasy" – jest poruszenie jakiegoś tematu czysto folklorystycznego, właściwego jedynie dla danego kraju. Zrobiłem tak w swojej książce pt. „Venusine", w której wykorzystałem słownictwo, zwyczaje i legendy z czasów „Pieśni o Rolandzie". Książka ta została przetłumaczona w USA, a potem w ZSRR i na Węgrzech. Ale w przypadku pisania o sprawach czysto wewnętrznych autor nie może praktycznie liczyć na tłumaczenia.

T.M. – *Pozostaje jeszcze problem niewymienialności walut w krajach socjalistycznych, o którym Pan nie wspomniał. Czy Eurocon mógłby tu znaleźć jakieś rozwiązanie?*

P.B. – To nie jest najważniejszy problem. Reprezentuję na przykład Europę w Stowarzyszeniu World SF i wiem, że nawet i ono ma problemy z wydawaniem polecanych przez siebie książek i to mimo dość dużych dotacji finansowych. Największą trudność stanowi przekonanie wydawców do podjęcia ryzyka opublikowania książki autora mniej znanego. Eurocon natomiast nie ma jak dotąd żadnego dofinansowania i nie czerpie wpływów z opłat członkowskich. Dopóki nie uda nam się zdobyć jakoś środków i zaoferować naszym członkom konkretnych usług, w zamian za składki, rola Euroconu musi ograniczyć się do nieformalnego pośrednictwa. Występujemy teraz do UNESCO o pewną pomoc finansową, ale nie mogę na razie powiedzieć nic więcej na ten temat.

T.M. – *Wróćmy do literatury. Chodząc po księgarniach widzi się na półkach głównie utwory z gatunku „fantasy" (baśni fantastycznej), a klasyczna „technologiczna" SF spychana jest do kąta. Czy według Pana to dobrze, czy źle?*

P.B. – Jest to wyraźnie związane z sytuacją panującą na Zachodzie. Przestano wierzyć w niewyczerpalność energii atomowej. Postępujące bezrobocie sprawiło, że runął mit nauki sprawiającej cuda w gospodarce. To i wiele innych jeszcze problemów przyczyniło się do odwrotu od nauki, zwłaszcza wśród młodych. Zjawisko to przejawia się na razie silniej w USA niż na przykład we Francji, ale istnieje wszędzie. W Stanach Zjednoczonych prawie siedemdziesiąt procent książek zaliczanych ogólnie do SF to „fantasy". Reszta zresztą nie sprzedaje się dobrze. Klasyczna SF ma jeszcze popyt wtedy, kiedy porusza problemy pokazywane na co dzień w TV. Przykładem mogą być miasta orbitalne budowane z surowców wydobywanych w kopalniach księżycowych. Muszę się przyznać, że sam mam cztery książki na ten temat sprzedane właśnie w USA.

T.M. – *Naukowa fikcja w swych początkach niewątpliwie stymulowała rozwój nauki. A już z całą pewnością przyczyniała się do wzrostu zainteresowania nauką. Wygląda na to, że dzisiaj to opuszczone miejsce w rządzie dusz zajmuje „fantasy". Czyżby więc jednak klęska proroka?*

P.B. – To nie jest zupełnie tak. Sprzedaż klasycznej SF we Francji na przykład nie jest wcale gorsza od sprzedaży „fantasy". W USA jak mówiłem dobra powieść technologiczna również się sprzedaje. Podobnie dzieje się z powieścią socjologiczną. Po prostu „fantasy" jest na razie bardziej popierana. Pierwsza próba jej wylansowania we Francji przed pięcioma laty okazała się fiaskiem. Dopiero teraz wydaje się, że ma ona szanse trwałego miejsca na rynku. Zobaczymy.

T.M. – *Zazwyczaj uważa się SF za literaturę drugorzędną mimo świetnej klasyki gatunku. Czy sądzi Pan, że uda się kiedyś zmienić to uprzedzenie?*

P.B. – We Francji nazwano to „gettem SF". Próbowano walczyć z tym różnie. Wydawnictwo „Laffont" na przykład publikuje SF w tej samej serii co bestsellery współczesne. Okazuje się, że

ciąg dalszy na stronie 50

Pierre Barbet (ur. 1925) to pseudonim francuskiego pisarza, farmaceuty, należącego dziś do grupy najbardziej znanych francuskich twórców SF. Zadebiutował w 1962 roku powieścią „Vers un avenir perdu" napisaną dla serii SF Le Payon Fantastique. Opublikował ponad czterdzieści powieści i zbiorów opowiadań, głównie w wydawnictwie Heuve Noir i wydawnictwie Albin Michel. Do najbardziej znanych książek Barbeta zaliczają się „Evolution magnetique" (1968), „Les grognards d'eridian" (1970), „Liane de noldaz" (1973), „Venusine" (1976) i „Lendemains incertains" (1978). Liczne utwory Pierre Barbeta przetłumaczono na angielski, węgierski, portugalski i polski.

Od 1970 roku P. Barbet jest aktywnym działaczem europejskiego ruchu SF, współzałożycielem Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction. W 1978 roku IV Europejski Kongres SF w Brukseli powierzył mu funkcję koordynatora ESSF. Funkcję tę pełni już czwartą kadencję.

ŚWIATOWA SF W ZWIERCIADLE WILHELM HEYNE VERLAG

z Wolfgangiem Jeschke, redaktorem działu SF w Wilhelm Heyne Verlag rozmawiają Andrzej Wójcik i Adam Hollanek

Fantastyka: – Jest pan redaktorem największej niemieckiej serii SF, serii, która niedawno obchodziła jubileusz dwudziestolecia. Proszę nam powiedzieć, jakie są założenia tej serii i jacy autorzy są w niej reprezentowani?

Wolfgang Jeschke: – Wilhelm Heyne Verlag istnieje od 1958 roku, zaś seria SF ukazuje się od roku 1960. Jej założenia zmieniały się w ciągu tego czasu. Od początku prezentujemy w niej chyba wszystkich liczących się w świecie pisarzy, przede wszystkim angloamerykańskich, ale także europejskich, japońskich i orientalnych. Osobiście redaguję tę serię od 8 lat, w tym od 1979 roku samodzielnie. Moim założeniem jest ukazywanie czytelnikowi najwybitniejszych utworów, w tym również dzieł pisarzy dotąd u nas nie znanych, a wśród nich głównie autorów europejskich ze szczególnym zwróceniem uwagi na pisarzy z krajów socjalistycznych.

F: – W pańskim wydawnictwie wychodzi co roku bardzo dużo książek SF...

W.J.: – Około stu...

F.: – Właśnie. Istnieje również wiele innych niemieckich wydawnictw, które masowo wydają naukową fantastykę. Jak reaguje rynek czytelniczy na tę lawinę utworów?

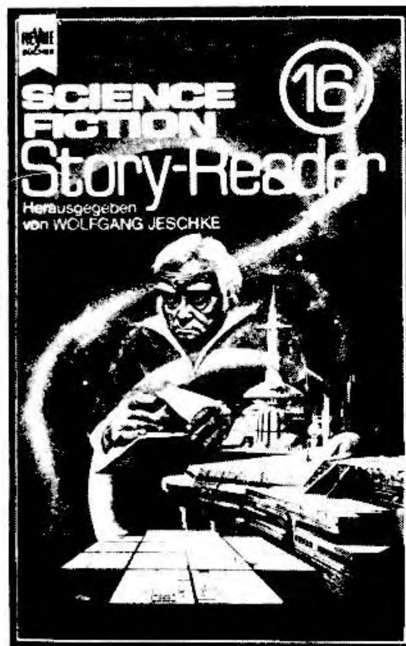
W.J.: – Martwiło mnie zawsze to, że nasz rynek wchłania głównie literaturę angloamerykańską. Jeszcze osiem lat temu żadne z naszych wydawnictw praktycznie nie mogło sobie pozwolić na wydawanie czegoś innego niż przekłady bądź utwory będące kliszami amerykańskich wzorców. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych czytelnicy po prostu przyzwyczaili się do takiego rodzaju literatury. Wykształciło to bardzo konsumpcyjny typ czytelnika poszukującego nowych opracowań znanych wzorców i nie potrafiącego przyjąć innego rodzaju fantastyki – takiej jak na przykład francuska, włoska czy polska – bardziej ambitnej pod względem literackim i filozoficznym.

F: – A kiedy wobec tego zaczęło się zainteresowanie polską fantastyką i skoro już mówimy o autorach, jacy polscy autorzy są najbardziej cenieni – czy tak jak u nas Lem?

W.J.: – Tak, jak mówiłem przełom nastąpił jakieś osiem lat temu, a skoro wspominacie o Lemie, muszę stwierdzić, że jako myśliciel jest niewątpliwie jednostką wybitną, ale nie zawsze odpowiada mi jego sposób narracji. Tym, co interesuje mnie jako wydawcę są utwory Konrada Fiałkowskiego i Adama Wiśniewskiego-Snerga – literacko spełniające wszelkie wymagania. Ciekawe są również propozycje młodych polskich autorów.

F: – Wczoraj wieczorem Europejski Kongres SF po raz drugi już przyznał reprezentowanemu przez Pana wydawnictwu europejską nagrodę dla najlepszego wydawcy. Jaką rolę spełnia pańskim zdaniem Europejskie Stowarzyszenie SF w dziedzinie współpracy Wschodu i Zachodu Europy?

W.J.: – Jako postronnemu obserwatorowi, nie biorącemu bezpośredniego udziału w pracach tej organizacji, trudno mi oceniać całokształt jej roli. Tym, co dla mnie osobiście jest w niej najcenniejsze, jest możliwość nawiązywania osobistych kontaktów. Dzięki kongresom mogłem na przykład poznać w Stresie Adama Wiśniewskiego-Snerga, autora, którego utwory zainteresowały mnie jako wydawcę już wcześniej, tu również można wymienić informację o książkach, polecić sobie nawzajem ciekawsze pozycje do zaprezentowania w różnych krajach, zawrzeć wstępne porozumienia z autorami i wydawnictwami.



F: – Na wszystkich dotychczasowych kongresach, i na tym także, mówiło się i mówi wiele o popularności SF, o jej znaczeniu, o zachodzących w niej zmianach. Jaki Pana zdaniem kierunek fantastyki jest obecnie najpopularniejszy i jakie zmiany zachodzące we współczesnej fantastyce mają największe znaczenie?

W.J.: – Kiedyś najpopularniejsza była fantastyka przyszłościowa, techniczna. Tym, co najbardziej interesujące w dzisiejszej fantastyce to poruszane przez nią problemy socjologiczne, filozoficzne i polityczne. Dużą rolę odgrywa obecnie fantastyka psychologiczna, fantastyka wnętrza, inner space. Mnie osobiście najbardziej interesują budowane przez współczesną fantastykę polityczne i socjologiczne modele świata przyszłości.

F: – Jest Pan również pisarzem...

W.J.: – Tak. Piszę fantastykę od 1956 roku. Jako autora interesują mnie problemy związane z czasem, podróżami w czasie, duchowym rozwojem ludzkości.

F: – Jest Pan od niedawna również wydawcą i redaktorem naczelnym Heyne Science Fiction Magazin. My z kolei reprezentujemy pierwsze polskie pismo SF. Czy możemy liczyć na jakieś formy współpracy?

W.J.: – Oczywiście. Od początku istnienia naszego magazynu szukamy współpracowników w różnych krajach, którzy co roku publikowaliby na naszych łamach materiały dotyczące fantastyki swojego kraju. Współpracujemy już z Włochami, Francuzami, Rosjanami, kolegami z NRD, toteż byłbym bardzo zadowolony gdybym mógł także publikować materiały z Polski.

F: – A w zamian?

W.J.: – Chętnie, ale to jest już nie tyle problem chęci co czasu. Przygotowujemy rocznie sto książek, kilka antologii i cztery numery magazynu. W miarę jednak możliwości i ja i moi współpracownicy służyć wam będziemy informacjami, bibliografiami i omówieniami najnowszej niemieckiej SF.

F: – Dziękujemy za wywiad i liczymy na owocną współpracę.

Wolfgang Jeschke urodził się 19 listopada 1936 roku w Decinie (Czechy). W 1956 roku ukończył szkołę mechaniczną i przez trzy lata pracował w zakładach budowy maszyn. W 1959 roku, po zdaniu matury, rozpoczął studia na wydziałach germanistyki, anglistyki i filozofii Uniwersytetu Monachijskiego.

W latach 1969–1971 redagował w wydawnictwie Lichtenberg Verlag serię „Science Fiction dla znawców". Od 1973 roku nawiązał współpracę z Wilhelm Heyne Verlag, od 1979 roku jest samodzielnym redaktorem serii Heyne Science Fiction. Jako autor SF debiutował w 1956 roku opowiadaniami, zebranymi później w tomie „Der Zeiter" (Lichtenberg Verlag 1970). Wiele z nich przetłumaczono na angielski, francuski, holenderski, hiszpański i polski. Jest autorem, bądź współautorem, około 40 antologii prezentujących najwybitniejsze osiągnięcia współczesnej i klasycznej SF, wśród których na plan pierwszy wysuwają się: „Titan" – antologia klasyki światowej SF przygotowywana wspólnie z Frederickiem Pohlem, Robertem Silverbergiem i Ben Bową oraz „Heyne SF Jahresband" – doroczny, wydawany od 1980 roku, przegląd najciekawszych światowych propozycji w dziedzinie SF.



KLESKA PROROKA?

ciąg dalszy ze strony 49

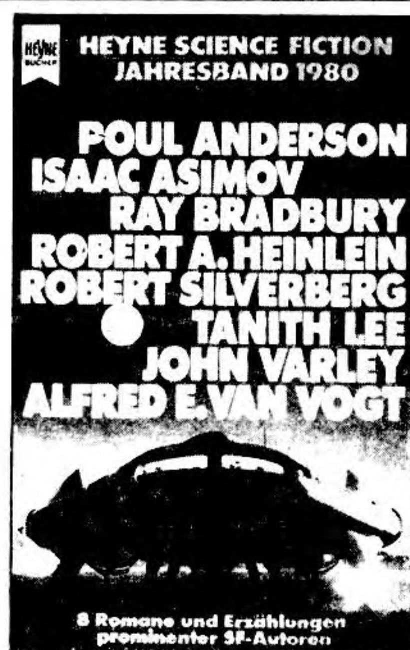
sprzedaż jest równie dobra co książek wydawanych w specjalnych seriach. We Francji zresztą science fiction wykładana jest na uniwersytetach, gdzie doczekała się kilku doktoratów, a nawet występowała jako temat pracy maturalnej z francuskiego.

W czasach kiedy zaczynałem pisać, gatunek ten miał o wiele gorszą opinię. Dzisiaj jest już uważany za coś, co może być wartościowe. Nawet w USA widzi się pewne symptomy poprawy opinii. Jest to zresztą zupełnie zasłużone. Przecież to J. Verne sprawił, że wszyscy zaakceptowali intelektualnie możliwość lotu na Księżyc. Verne przewidział nawet, że start nastąpi z Florydy. Może właśnie dlatego lot Apollo przyjęto jako w sumie coś oczywistego...

Rozmawiał:
Tadeusz Markowski

WILHELM HEYNE VERLAG - MONACHIUM





Pierwsze książki ze znaczkiem „Heyne" zaczęły ukazywać się na RFN-owskim rynku księgarskim w 1958 roku. W dwa lata później, jako trzydziesta dziewiąta pozycja wydawnictwa wydana została pierwsza książka science fiction. Był to „Dzień tryfidów" Johna Wyndhama. Obok niej w tymże 1960 roku oficyna „Heyne" zaprezentowała swoim czytelnikom jeszcze trzy pozycje SF: „The Shrinking Man" – klasyczną powieść Richarda Mathesona, „Donowans Brain" Curta Siodmaka i „Pozytronowego detektywa" Isaaca Asimova.

Do 1963 roku na 188 książek Heynego ukazało się jeszcze sześć tytułów SF: „The Uncertain Midnight" Edmonda Coopera, „Lancelot Biggs: Spaceman" Nelsona Bonda, „The Naked Sun" Isaaca Asimova, „Children of Light" H.L. Lawrence'a. Przełomowymi stały się lata 1963/1964, kiedy to szef wydawnictwa Kurt Bernhardt powierzył redagowanie serii SF Günterowi Schelwokatowi. Za jego sprawą w latach 1963/1964 nakładem monachijskiego wydawnictwa ukazało się dwadzieścia osiem tytułów, a w następnych latach liczba ich zaczęła gwałtownie rosnąć.

Początkowo zamiarem wydawnictwa było zaprezentowanie niemieckiemu czytelnikowi przede wszystkim wybitnych dzieł światowej, głównie anglo-amerykańskiej SF. Ukazały się wówczas utwory Wellsa, Ballarda, Vonneguta, Aldissa, Bestera, Bradbury'ego, Dicka, Asimova, Heinleina, Van Vogta, Andersona, Silverberga, Herberta, Harrisona. Wkrótce jednak obok tych podstawowych autorów SF lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pojawiać się zaczęły popularne serie książek z rodzaju „fantasy": „Conan", „Gor", „Scorpio", „Elric" jak również wielotomowe wydania poczytnych historii bohaterów „Foundation" Asimova, „Lensmena" i „Skylarka" Smitha, „Duune" Herberta.

W 1970 roku narodził się ambitny program prezentacji światowej klasyki (do 1939 roku). Wydawnictwa fantastyczno-naukowe sygnowane znakiem „Heyne" ukazywały się wówczas cztery razy w miesiącu: dwa tytuły SF współczesnej, jeden tytuł „fantasy" i jedna pozycja z zakresu klasyki.

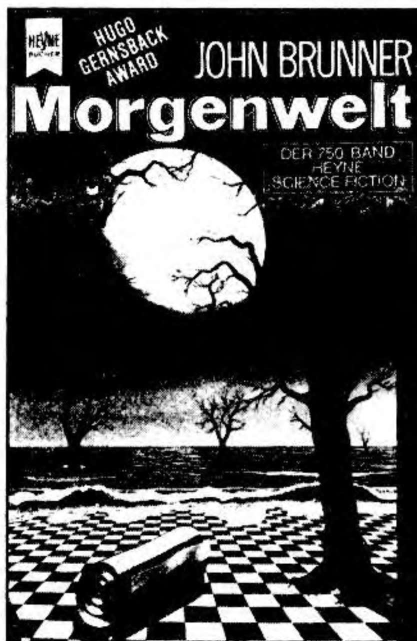
Ten burzliwy rozwój sprawił, że pełniący jednocześnie obowiązki redaktora w wydawnictwie Moevig Günter Schelwokat zrezygnował z dalszej pracy w Heyne Verlag na rzecz Moeviga. Prezentowane wydawnictwo zdecydowało się wtedy zatrudnić w charakterze redaktorów dwóch znanych już dobrze na niemieckim rynku pisarzy i wydawców: Herberta W. Franke i Wolfganga Jeschke. Pierwszy z nich był do tego momentu redaktorem serii SF w prezentującym ciekawą serię Goldmann Verlag, drugi redagował w plajtującym Lichtenberg Verlag interesującą i ciekawą serię „Science-Fiction dla znawców".

Pozyskanie tej dwójki doświadczonych, acz młodych jeszcze stosunkowo redaktorów stało się ważnym momentem w historii Wilhelm Heyne Verlag. Ich bowiem zasługą jest wprowadzenie na dość konserwatywny dotąd rynek RFN pokolenia młodych pisarzy, którzy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaczęli nadawać ton światowej fantastyce: Ursuli Le Guin, Iana Watsona, Gene Wolfe, Normana Spinarda, Jamesa Tiptree jr., Johna Growleya, Larry Nivena, Michaela Coneya, Christophera Priesta, Allana D. Fostera, Johna Varleya, Tanath Lee, George'a R.R. Martina. Udało się również przełamać kolejną zaporę – kliszowanie amerykańskich wzorców przez rodzimych autorów.

Specjalnie dla serii Wilhelm Heyne Verlag pisać zaczęli znani, współcześni pisarze RFN – Carl Amery, Alfred Andersch, Reinmar Cunis Urlich Harbecke, Lothar Streblow. Wśród tej plejady poczytnych na rynku RFN autorów dzięki osobistym zainteresowaniom Wolfganga Jeschke, zrazu powoli, potem coraz szerszą ławą pojawiać się zaczęły nazwiska autorów francuskich, włoskich, skandynawskich, kanadyjskich, radzieckich, czeskich i polskich. Pierwszym polskim autorem zaprezentowanym w Wilhelm Heyne Verlag był Konrad Fiałkowski. W 1977 roku pod tytułem „Allein im Kosmos" (Sam w kosmosie), z numerem kolejnym 3566 ukazał się zbiór opowiadań wybranych z tomów „Wróble galaktyki" i „Włókno Clapperiusa". W ślad za utworami Konrada Fiałkowskiego w programie wydawnictwa znalazły się książki Adama Wiśniewskiego-Snerga, Krzysztofa Borunia, Andrzeja Krzepkowskiego, Andrzeja Wójcika i Ryszarda Głowackiego. To jednak nie koniec. Współpraca samodzielnie od 1979 roku prowadzącego serię Wolfganga Jeschke z polskimi autorami ciągle rozwija się. W chwili gdy piszę te słowa monachijskie wydawnictwo rozważa możliwość prezentacji niemieckim czytelnikom kolejnych polskich autorów: Janusza A. Zajdla, Adama Hollanka, Edmunda Wnuka-Lipińskiego.

Od połowy lat siedemdziesiątych Wilhelm Heyne Verlag jest największym na świecie wydawcą naukowej i fantastycznej SF. Obok utworów pojedynczych autorów znaczną część jego publikacji stanowią cykliczne antologie i almanachy: „Science Fiction Story Reader" (dwa tomy rocznie, redaktorzy: Herbert Franke i Wolfgang Jeschke), „Titan" (redaktorzy: Frederic Pohl, Robert Silverberg, Ben Bova i Wolfgang Jeschke), „Heyne SF Jahresband" (redaktor: Wolfgang Jeschke), „Isaac Asimov's SF Magazin" (redaktor: Isaac Asimov), oraz niemieckie wydanie „The Magazine of Fantasy and Science Fiction". Najnowszymi propozycjami Wilhelm Heyne Verlag przeznaczonymi dla znawców SF są „Biblioteka Literatury Science Fiction" – specjalna seria publikująca jedynie te utwory, które uznane zostały za milowe kamienie w dziedzinie science fiction oraz krytyczno-literacki kwartalnik „Heyne Science Fiction Magazin" zawierający obok licznych opowiadań również sporą dozę eseistyki i krytyki literackiej na temat literatury fantastycznej, informacje o tym, co dzieje się na światowym rynku SF, portrety pisarzy i ich twórczości, rubrykę poświęconą sztuce SF, a także bibliograficzne zestawienia publikacji SF i o SF ukazujących się na świecie. Dziełem autorów współpracujących z wydawnictwem jest również wydany w 1980 roku, liczący ponad 1250 stron „Leksykon literatury Science Fiction" zawierający informacje biograficzne i bibliograficzne dotyczące znacznej większości pisarzy SF, dokładne bibliografie niemieckojęzycznych wydań fantastyki naukowej, informacje o wydawcach i wydawnictwach oraz prezentujące przegląd najważniejszych kierunków rozwoju dwudziestowiecznej fantastyki.

Od czterech lat Wilhelm Heyne Verlag uznawane jest powszechnie za jedno z dwóch najlepszych w dziedzinie SF wydawnictw w Europie. Na Europejskich Kongresach SF w Stresie (1980) i w Mönchengladbach (1982) wespół z polskim wydawnictwem – Krajową Agencją Wydawniczą – zdobywało najwyższe na naszym kontynencie wyróżnienie – „Premio Europa – Prix Européen". ■



UPADEK CZY PRZEMIANA?

Wywiad z współprzewodniczącym Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction, angielskim pisarzem Johnem Brunnerem

Fantastyka: – *Czemu takie masy książek SF zalegają półki w księgarniach? Czy jest to symptom spadku popularności gatunku?*

John Brunner – W pewnym sensie jest to prawda – wówczas kiedy chodzi o autorów młodszych czy mniej znanych. Nie dotyczy to natomiast renomowanych pisarzy, zwłaszcza należących do generacji mnie poprzedzającej. Widać to chociażby na przykładzie trylogii Asimova pt. „Fundacja", która niezmiennie staje się bestsellerem dla kolejnych pokoleń czytelników.

Z drugiej strony – błyska pewien promyk nadziei, bo na rynek znajduje drogę również wielu nowych autorów, chociaż nie jest to już takie proste, jak było w moich czasach, przed trzydziestu laty. W krajach anglojęzycznych jest to jednak całkowicie możliwe. Młodzi autorzy znajdują w końcu wydawców, a to może tylko polepszyć stan gatunku.

Osobiście nie widzę w tym bynajmniej oznak upadku, a raczej początki nowego boomu.

F: –*Słowem uważa Pan, że jest to okres przejściowy między kolejnymi pokoleniami autorów?*

J.B. – *Właśnie.*

F: – *Nakłady na Zachodzie są stosunkowo małe – średnio dwadzieścia tysięcy dla „kieszonkowców". Na Wschodzie są one dziesięciokrotnie większe, choć liczba tytułów jest niewątpliwie o wiele mniejsza. Jednocześnie oba bloki są niejako skazane wyłącznie na siebie. Czy możliwe jest według Pana stworzenie jakiegoś mostu między nimi?*

J.B. – Z zachodniego punktu widzenia jest to szalenie trudne. Po pierwsze, w krajach anglojęzycznych mamy wystarczająco wielu autorów, żeby zaspokoić rynek. Nie brak nam przecież dobrych pisarzy.

Po drugie, jesteśmy z przekonania nacjonalistami i regionalistami. Z tego powodu w Anglii na przykład znam niewiele wydawnictw, w których pracują ludzie znający obce języki. Nawet pisarze z Francji czy z RFN mają olbrzymie trudności z umieszczeniem swoich książek na naszym rynku. Odnosi się to zresztą nie tylko do literatury SF. Dlatego sądzę, że największą zasługą Euroconu jest zaznajamianie jego uczestników z najlepszymi utworami i pisarzami z innych stref językowych. Choć to dopiero początek. Prawdziwym problemem jest przekonanie wydawców do ciągłej penetracji obcych rynków. W krajach Europy Wschodniej sytuacja pod tym względem jest o wiele lepsza, bo wydawnictwa mają z reguły ludzi znających co najmniej jeden obcy język. Jeżeli w wydawnictwie angielskim znajdzie się ktoś znający obcy język, to z reguły będzie to francuski, a nie rosyjski czy polski.

F: – *Czy nie jest to w jakiejś mierze właśnie wynikiem rodzimej nadprodukcji SF?*

J.B. – W pewnym sensie. Zwłaszcza w świetle sukcesów filmów SF. Z nadejściem „Gwiezdnych wojen", „Aliena" czy „Czarnej dziury" (notabene wszystkie te tytuły są „made in USA") ludzie odkryli, że gatunek ten może być równie bezmyślny, jak sławne romanse typu „Love story". To tak, jakby Hollywood odkrył dopiero twórczość SF z lat czterdziestych, a przecież nie ma to nic wspólnego z tym, co ja na przykład robię w 1982 r. Jest to, obawiam się, wynikiem pogoni handlowców za eksportem. Dopóki wydawnictwa będą rządzone przez rady programowe z jednej strony i przez ludzi przyzwyczajonych do manipulowania rynkiem z drugiej, dopóty niewiele będzie miejsca dla dobrych i ambitnych autorów.

F: – *Jak pan, jako przewodniczący Euroconu widzi rolę tej organizacji w tworzeniu pomostu między literaturą SF Wschodu i Zachodu w sytuacji kiedy mamy do czynienia z hermetycznością językową oraz rynkową?*

J.B. – Najważniejsze jest to, co nam się nie do końca udało w tym roku – nie z naszej zresztą winy. Myślę o osobistych kontaktach między ludźmi z różnych krajów. Jest to chyba jeden z najważniejszych problemów. Gdyby Lech Jęczmyk na przykład nie przyleciał do Londynu, gdyby nie znalazł kogoś w British Council, gdyby nie dowiedział się, że jestem pisarzem SF mieszkającym w Londynie i gdybyśmy wreszcie nie spotkali się na jakimś przyjęciu, to być może nigdy nie przyjechałbym do Krakowa w 1980 r. Osobiste kontakty między pisarzami i wydawcami z różnych krajów są głównym ogniwem umożliwiającym wydawanie własnej i poznawanie cudzej twórczości poza swoim krajem.

Eurocon jest właśnie takim pomostem, mimo że odbywa się tylko co dwa lata. Gdyby ułatwiał jedynie kontakty osobiste, już to samo stanowiłoby o jego ważności.

F: – *Pewną barierę porozumienia tworzą także kłopoty finansowe. Jak widzi Pan możliwość obejścia tej bariery?*

J.B. – Problem nie jest całkowicie nie do rozwiązania. Mój agent na Wschód mówił mi niedawno, że udało mu się uzyskać honoraria w dolarach za książki F. Herberta i B. Aldissa. Z drugiej strony, otrzymałem ostatnio z Polski – od pana Wiktora Bukato – propozycję wydania w „Iskrach" zbioru moich opowiadań. Odpowiedziałem mu, jak zawsze odpowiadam w przypadku krajów o niewymienialnej walucie, że za pierwszą książkę przyjmę honorarium w lokalnej gotówce. Jeżeli odniesie ona sukces, to w sprawie druku następnych pozycji będziemy prowadzić osobne negocjacje. W Polsce jak dotąd nie wydałem żadnej książki. Jedynie kilka opowiadań. Uważam, że dla ugruntowania swojej pozycji na danym rynku trzeba na nim umieścić własną książkę.

F: – *Obserwuje się znaczne zmiany w gatunku SF na Zachodzie. Coraz przemożniej zaczyna królować „fantasy". Czy według Pana to dobrze czy źle?*

J.B. – Sądzę, że mamy tu do czynienia co najmniej z trzema różnymi zjawiskami. Po pierwsze, na świecie panuje recesja gospodarcza, a w takich czasach ludzie zwykle uciekają w marzenia. Po drugie, coraz silniejszy i powszechniejszy bywa strach przed konsekwencjami rozwoju techniki. W wielu przypadkach chodzi może jedynie o podświadome obawy, ale istnieją w tej dziedzinie także zagrożenia realne.

Po trzecie, i to jest dla mnie najważniejsze, coraz powszechniejsze staje się stwierdzenie, że społeczeństwo naszego typu nigdy nie będzie w stanie spełnić swoich snów. Śmieszne byłoby wyobrażanie sobie czystych, wystrzyżonych bohaterów amerykańskich czy nawet wschodnich pionierów wyruszających do gwiazd przy poziomie kultury, która obecnie dominuje w krajach uprzemysłowionych. W tym sensie niektóre opowiadania SF, tzw. technologiczne, mają swoją wagę i wartość. Przykładem mogą być powieści G. Woolfa, umieszczone w niesamowicie odległej przyszłości. To, co mnie w nich najbardziej pociąga, oprócz maestrii językowej, to właśnie wizja społeczeństwa, które nigdy nie spełniło swoich marzeń. My również musimy sobie ciągle powtarzać, że nie żyjemy zgodnie z naszymi ambicjami. Klasyczna SF popełniała błąd, lekceważąc interesy jednostek. Iluż autorów opowiadań opisywało tysiące potężnych statków kosmicznych startujących ze środka miasta, nie zastanawiając się nad tym, co czuliby mieszkańcy na widok tych kolosów odlatujących z ich dachów. Dlatego właśnie myślę, że w „fantasy" jest coś dobrego i zdrowego, chociaż jest ona niestety mocno zdominowana przez fałszywe wizje i tendencje eskapistyczne. Barbarzyńscy herosi baśni fantastycznej nie mają żadnego związku z rzeczywistością, wywodzą się jedynie z dziecięcych marzeń.

F: – *A może to schyłek pewnej cywilizacji...?*

J.B. – Może. Choć uważam, że wielu wnosi o schyłku naszej cywilizacji, ponieważ stała się ona dla nich zbyt skomplikowana, ażeby mogli sobie z nią poradzić.

F: – *Być może. Niemniej jednak literatura SF jest uważana powszechnie za drugorzędną, nawet jeżeli zdarzają się w niej dzieła na miarę Herberta, Tolkiena czy Strugackich i mimo że w krajach takich jak ZSRR czy Polska nosi ona wyraźne znamiona intelektualizmu. Jakie są według Pana szanse uznania jej wreszcie za prawdziwą literaturę przez duże L?*

J.B. – Ludziom, którzy automatycznie klasyfikują SF w drugim czy trzecim rzędzie chciałbym zadać pytanie: czy są w stanie podać definicję współczesnego opowiadania, które byłoby w stanie jednocześnie łączyć w sobie walory popularnego „kieszonkowca" i „Zbrodni i kary" Dostojewskiego?

Zakres literatury SF jest właśnie tak szeroki. I wszyscy znają zapewne zasadę, która mówi, że dziewięćdziesiąt procent SF jest śmieciem, ponieważ dziewięćdziesiąt procent wszystkiego co się pisze jest śmieciem. Przykładem w SF może być seria Perry Rhodana sprzedawana w oszałamiających nakładach. Z tego powodu wszyscy uważają ją zaraz za komiks bez obrazków. Ale czy należy przekreślić całe malarstwo tylko dlatego, że miliony drugorzędnych sentymentalnych malowideł wiszą na ścianach ludzkich mieszkań? Czy wszystkie wielkie dzieła należy oceniać na zasadzie najmniejszego wspólnego mianownika? Uważam, że jest to niesłuszne i niesprawiedliwe.

F: – *Czy nie dałoby się zmienić negatywnych opinii o gatunku?*

J.B. – Trudno jest zmienić ludzkie uprzedzenia. Większość z nich nabywa się w szkole lub w domu rodzinnym. Jeżeli więc uda nam się zmienić system nauczania i społeczeństwo to oczywiście...

F: – *A więc wróciliśmy niejako do początku naszej rozmowy. Czy mamy więc do czynienia z przemianą, a nawet z upadkiem literatury SF?*

J.B. – Chyba tak. Na Zachodzie prawie utonęliśmy w powodzi informacji, których nawał nie daje nam czasu na nic innego niż ich trawienie. Wszystkiego mamy za dużo – poezji, science fiction, literatury, TV etc...

F: – *Ostatnio doszły jeszcze wideokasety, uważane przez niektórych za koniec kina?*

J.B. – W tym akurat można dostrzec trochę dobrego. Kiedyś jechałem taksówką w Los Angeles i jej kierowca pokazywał mi z dumą kolekcję własnych wideokaset, z których, jak się okazało, większość stanowiły filmy angielskie z lat pięćdziesiątych. Dlaczego ludzie zbierają kasety? Bo telewizja bywa tak zła, że wolą sami wybierać to, co uważają za dobre, zamiast po prostu wciskać klawisz, żeby zobaczyć co dadzą dziś wieczorem. Jest w tym coś pocieszającego. Byłem na przykład zaskoczony kiedy zaczęto brać na serio komiksy. Dopiero potem odkryłem, że wiele świetnych satyr naszego społeczeństwa ukazało się w tej właśnie formie. To mnie nauczyło zastanawiać się zanim coś definitywnie odrzucam.

F: – *Choć nadal dziewięćdziesiąt procent tych komiksów to śmiecie...*

J.B. – Oczywiście. To prawo uniwersalne.

Rozmawiali:
Tadeusz Markowski
Andrzej Wójcik



John Brunner (Kilian Houston) urodził się w 1934 roku w Oxfordshire. Ukończył Cheltenham College, gdzie studiował języki nowożytne (francuski, niemiecki, włoski). Po ukończeniu szkoły odbył służbę wojskową w lotnictwie. Jako autor zadebiutował w wieku 19 lat publikując na łamach „Astounding Science Fiction" opowiadanie „Thou god and faithful". Postanowił wówczas zostać zawodowym pisarzem. W uznaniu zasług dla ruchu pokoju Brunner został w 1972 roku zaproszony jako gość honorowy na Kongres Pokoju do Moskwy.

Jako autor SF jest twórcą ponad 60 powieści i zbiorów opowiadań, wśród których na plan pierwszy wysuwają się: „Stand on Zanzibar" – powieść nagrodzona w 1979 roku nagrodą HUGO, „Some lapse of time" i „The last lonely man" – opowiadania będące kanwą dla angielskiego serialu telewizyjnego „Out of the unknown" oraz „Such stuff" – nowela, według której telewizja amerykańska nakręciła znany serial: „Night Gallery". W swoim dorobku, obok nagrody HUGO, ma Brunner również British Fantasy Award, British SF Award i bardzo wysoko cenioną francuską Prix Apollo. W 1982 roku Europejski Kongres SF w Mönchengladbach postanowił przyznać mu nagrodę europejską za całokształt twórczości. Od wielu lat Brunner jest aktywnym działaczem europejskiego ruchu SF. W 1980 roku V Europejski Kongres SF powołał go na funkcję współprzewodniczącego Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction, zaś VII Kongres w Mönchengladbach powierzył mu to stanowisko powtórnie.

Śląski Klub Fantastyki w Katowicach

We wrześniu 1981 grupa 22 osób zwróciła się do Urzędu Miejskiego w Katowicach z prośbą o zarejestrowanie stowarzyszenia o nazwie Śląski Klub Fantastyki. Stowarzyszenie powstało po samolikwidacji Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction w Bytomiu, kiedy to Andrzej Wolski wraz z całym ówczesnym zarządem KMFiSF zrezygnował z prowadzenia dalszej działalności. Dorobkiem owego okresu (lata 1978–79) pozostało 10 numerów fanzinu „Somnambul". Pisemko miało na celu szeroko zakrojoną propagację fantastyki naukowej – od materiałów najnowszych aż po opowiadania pochodzące ze starych gazet i trudno dostępnych książek. W praktyce opowiadaniami najczęściej drukowanymi na łamach „Somnambula" były prace Jana Maszczyszyna, Krzysztofa Bielańskiego, Mariana Kwaśniewskiego, Jerzego Ferencowicza, Urszuli Mygi i Marka Lasoty.

Po rozpadzie KMFiSF inicjatywę przejął Andrzej Kowalski (obecny sekretarz i wiceprezes ŚKF) który podjął się prowadzenia Korespondencyjnego Klubu Miłośników Fantastyki „Tachion". Z materiałów pozostałych po „Somnambulu" skompletował i wydał 4 pięćdziesięciostronicowe biuletyny. Później brak materiałów i trudności poligraficzne zmusiły go do przerwania działalności wydawniczej. Był to koniec Korespondencyjnego Klubu Miłośników Fantastyki. Lecz wśród członków „Tachionu" znajdował się obecny prezes ŚKF – Piotr Kasprowski – który zaczął zabiegać o rejestrację stowarzyszenia. 18 września 1981 starania utworzonej przez niego grupy założycielskiej zostały uwieńczone sukcesem – Śląski Klub Fantastyki w Katowicach został wpisany do rejestru stowarzyszeń i związków Urzędu Miejskiego w Katowicach pod numerem R-67.

Działalność imprezową rozpoczęto 26 listopada 1981 od spotkania z Krzysztofem Boruniem. Potem nastąpiła stosunkowo długa przerwa – aż do początku kwietnia 1982 większość sił członków ŚKF pochłaniały prace związane z remontem pomieszczeń klubowych. Bez większych zakłóceń działały jedynie sekcje: archiwum, biblioteka, zajmujące się kompletowaniem klubowego księgozbioru. Działała i nadal rozwija się mini-księgarnia, która poprzez sprzedaż antykwaryczną umożliwia członkom klubu nabywanie nowych pozycji popularnonaukowych, fantastycznych i fantastyczno-naukowych. Naprawdę szeroko zakrojoną działalność dla dużego kręgu sympatyków SF rozpoczęto 29 maja 1982 od projekcji filmu „Gwiezdne wojny" i spotkania autorskiego Zbigniewa Dworaka, który mówił o problemie rzetelności naukowej pisarzy fantastów. 30 maja impreza została powtórzona w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej. W czerwcu br. zorganizowano projekcję całej serii filmów: „Gwiezdne wojny", „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" oraz „Obcy – ósmy pasażer Nostromo".

W najbliższych planach ŚKF mieszczą się spotkania z interesującymi autorami, przeglądy filmów, spotkania z tłumaczami i wydawcami SF. Natomiast ambitne plany wydawnicze Śląskiego Klubu Fantastyki uległy znacznemu okrojeniu. Leżą przede mną dwa zeszyty o nazwie (nomen omen) „Fantastyka – Informator Śląskiego Klubu Fantastyki w Katowicach". W pierwszym z nich znalazły się przede wszystkim materiały kiedyś publikowane w „Somnambulu". Poziom tych opowiadań jest nierówny, na tle bardzo przeciętnej całości korzystnie wyglądają jedynie „Przypadek" Roberta Borowicza i „Czyż nie mogło być tak?" Marka Lasoty. W sumie zamieszczenie tak zestawionych opowiadań dowodzi, iż klubowi krytycy dopiero uczą się czytać fantastykę naukową nie tylko jako pomysł, ale także jako dzieło literackie.

Kolejny zeszyt „Informatora" jest już bogatszy treściowo, oprócz kroniki klubu zawiera sporo drobnych informacji. Niestety, nie zawsze są to informacje ścisłe. Na przykład sformułowanie: „Przez pięć lat działał OKMFiSF pod dyrekcją Andrzeja Wójcika" o tyle mija się z prawdą, iż w OKMF nikt nigdy nie pełnił funkcji dyrektora. Natomiast najdłuższym sprawowaniem funkcji prezesa ZG OKMFiSF wyróżniła się koleżanka Grażyna Sanojca.

Ponadto w numerze tym znajdują się dwa opowiadania, nota o śmierci Czesława Chruszczewskiego, dowcipne recenzje dwóch książek oraz bibliografia książek fantastycznych i fantastyczno-naukowych wydanych w Polsce w latach 1940–45.

Powróćmy jednak do planów ŚKF – przyznam, iż obudziły one we mnie swoisty sentyment. Pamiętam bowiem OKMFiSF często kiedyś krytykowany i wreszcie rozbity w 1980 roku, pamiętam rozklejanie afiszy, które zapowiadały spotkania z autorami, przeglądy filmów i giełdy książek SF. Bo oto dobrze pomyślane, choć nie zawsze skoordynowane działania członków dawnego OKMFiSF znalazły kontynuatorów. Odżył we mnie ten niemal niepowtarzalny nastrój sprzed kilku lat, kiedy tak o trzeciej nad ranem w obcym mieście stałem przed słupem ogłoszeniowym i czytałem ręcznie wypisany afisz:

„– Maraton filmowy...
– Spotkania autorskie...
– Aukcja..."

To wszystko przecież znaczy, że ŚKF naprawdę żyje i naprawdę działa. (RPA)

Zacznijmy od narracji...

Dominantą konstrukcyjną powieści Andrzeja Krzepkowskiego, jednego z najciekawszych autorów polskiej SF ostatniego dziesięciolecia, jest sposób prezentacji wydarzeń fabularnych. Narracja zostaje poprowadzona w czasie wcześniejszym od czasu zdarzeń, co jest zjawiskiem niezmiernie rzadkim, nie tylko w dziejach gatunku science fiction, lecz także w całej historii literatury europejskiej. Z trudnością przyjdzie wskazać na „Wielką podróż" Sempruna i „Miazgę" Andrzejewskiego, utwory nie mające z fantastyką naukową nic wspólnego. Wprowadzenie powyższego zabiegu w obręb konwencji SF jest jednak znacznie bardziej doniosłe w skutkach. Wypowiedź SF – z istoty swej – operująca przemieszanymi płaszczyznami czasowymi (u Krzepkowskiego wizją transformowania czasu na stacji BIO i efektem relatywizacji powstałym w wyniku przemieszczeń kosmolotu) powinna właśnie ukazywać niezwykłość, komplikację prezentowanych zjawisk pod względem konstrukcyjnym, sprawozdawczym.

Pierwsza część „Kreksu" zapowiada mające nastąpić wydarzenia i przewiduje reakcje bohaterów (opowieść jest utrzymana w czasie przyszłym), co pozwala na ironiczną konfrontację przypuszczeń z zaistniałymi faktami. Narrator powieści jest postacią należącą pozornie do świata przedstawionego, a mimo to posiada wszechwiedzę autora, demonstrując proces powstawania historii fabularnej. Wybór takiego rozwiązania – odważny na tle rodzimych wypowiedzi scjentyficznych – nawiązuje do prężnego, sięgającego dalekiej przeszłości, nurtu dokonań europejskich. Wprowadzenie (nazwijmy to umownie) „nadrzędnego narratora" można bowiem traktować jako swego rodzaju protest przeciw zauważalnej sprzeczności, wywodzącej się z XIX-wiecznej, realistycznej, balzakowskiej techniki sprawozdawczej: autor, który wie o swoich bohaterach wszystko, skoro sam ich wymyślił, opowiada o nich tak, jakby był zewnętrznym ich obserwatorem. Pierwszą próbą rozwiązania wspomnianego dualizmu stała się tzw. „ironia romantyczna" (ślady jej znajdziemy w IX rozdziale książki), polegająca na przerwaniu wątku historii, odsłonięciu kulis utworu, przyznaniu się do nieautentyczności prezentowanych wydarzeń. Przeszczepiona z początkiem dwudziestego wieku z powieści poetyckiej do prozy – ironia romantyczna rodzi wiele utworów, które można określić jako autotematyczne. Jednym z bohaterów „Fałszerzy" Gide'a jest sam autor, którego notatki o innych postaciach stanowią składową część historii i demonstrują proces jej powstawania. Podobną technikę wykorzystał Jan Karczewski w epilogu międzywojennej powieści „Bakcyl", a w kilkadziesiąt lat później – Wilhelm Mach w pozascjentyficznym tekście „Góry nad Czarnym Morzem". Wątek o charakterze autotematycznym można również odnaleźć w utworze Krzepkowskiego. „Kreks" ma co najmniej trzy plany sprawozdawcze: narratora – autora – bohatera, nadnarratora i osobowości będącej projekcją świadomościową tego pierwszego.

Wypada postawić pytanie o cel warsztatowych autodemaskacji science fiction. Opowiedź najprostsza wskazuje na intencjonalną polemikę z dotychczasową, hermetyczną konwencją gatunku, próbę przełamania obowiązujących wyborów konstrukcyjnych, odnowienie, czy też poszerzenie metod kreacyjnych odmian, nawet kosztem działania za pomocą szoku, świadomej prowokacji, rezygnacji z wpisania się w dobrze znany horyzont czytelniczego odbioru. Dzięki psychizacji rzeczywistości zostaje złagodzony konflikt pomiędzy fikcyjnym tematem a realistyczną techniką: temat z fikcyjnego staje się przeżyty, technika z realistycznej – psychologiczną. Autor nie chce wyjaśniać zasad logiki pojęciowej, rzeczywistość widziana oczyma bohatera staje się niezgłębiona, traci przejrzystość, poznajemy ją stopniowo i nigdy do końca. Światem, który jest wykładnikiem snu, rządzą nie fizyczne, lecz psychologiczne prawa. Jak we śnie znika różnica między znakiem a znaczeniem, obrazem a wywołanym przezeń nastrojem. Po uznaniu transcendentnej rzeczy-

Klisze

Dwa wydane dotychczas tomy trylogii „Kronika Akaszy" potwierdzają opinię o Sawaszkiewiczu jako o sprawnym styliście i autorze dobrze dającym sobie radę ze skomplikowanymi, wielowątkowymi fabułami. Zanim nazwiemy tę biegłość zwodniczą, oddajmy więc autorowi to, co mu należne. Był Sawaszkiewicz i pozostaje jednym z lepszych piór nowej generacji polskiej SF, „Kronika" jest dziełem barwnym i zmontowanym zręcznie. Powiedziałbym nawet, napisanym z troską o to, by czytelnik nie miał wątpliwości, że tzw. rewolucję artystyczną w młodej prozie autor przerobił. Mamy tu więc do czynienia z książką znaczącą i autorem obiecującym – uff! – a teraz nuże do krytycznego dzieła. Dobrym prawem krytyki i czytelników jest patrzeć co z czasu, w którym dzieło powstało, przeniknęło do książki. Jakie odpryski znaczących lektur, dyskusji, wydarzeń towarzyszących pisarzowi w momencie tworzenia znajdą się potem w jego prozie i w jakiej mianowicie postaci? Jest w „Kronice Akaszy" wiele własnych wątków, ale to co w książce zapożyczone, to co jest echem, powtórzeniem, parafrazą – nie sposób uniknąć tego wrażenia – występuje zawsze w złagodzonej, zbanalizowanej, satyrycznej, ale za to jakby pozbawionej intensywności postaci. Jest tak, jakby autor zręcznie bawił się rewelacjami swego czasu, ale ich nie przeżywał.

Szał końca lat siedemdziesiątych, w których powstawała „Kronika" to rewelacje doktora Moody, opisane w słynnej, znanej także u nas książce „Życie po życiu". Opowieści ludzi reanimowanych, którzy niejako zajrzeli na tamten świat i wrócili, były pełne niesamowitego piękna i uchylały rąbka eschatologicznych tajemnic. Relacja podobnego ozdrowieńca-odmrożeńca u Sawaszkiewicza jest opowieścią-igraszką o męczarniach faceta, któremu tamten świat do znudzenia „wyświetla" na niezliczonych „kliszach" różne warianty jego życia.

To tylko przykład, świadectwo stałej tendencji. Podobnie jest z postacią uzdrowiciela z II tomu, który doprowadza do psychicznej ruiny mieszkańców miasta Dutson. Gdy autor pisał książkę, za oknami wielu miast Polski stały do uzdrowiciela z Anglii długie kolejki. U Sawaszkiewicza podobnie: my i kolejki, i lewy handel „fiszkami", ale uzdrowiciel ów okazuje się kimś na kształt... Jary'ego z książki Dicka żywiącego się ludzkimi duszami. I hibernaci Sawaszkiewicza też są jak z Dicka. Ale Dick tworzył swoje postacie przed Moodym, a Sawaszkiewicz pisał po obydwu i jest jakby od nich bardziej banalny.

Żeby nie było nieporozumień. Podoba mi się w „Kronice Akaszy" wiele rzeczy. Autor ma wielki dar, wielką zręczność wiązania kilkunastu ludzkich losów, co zresztą nie jest widoczne od razu. Te losy krzyżują się, na chwilę się rozchodzą, by znowu w bardzo znaczący sposób wpływać na siebie.

Za sprawą niebanalnie ukazanych wątków hipnotycznych mamy tu do czynienia z wędrówką dusz rozumianą zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Autor podejmuje także problem predestynacji – ale tu znowu kiks. Zapewne zawieszony gdzieś w przestrzeni zestaw wielowariantowych klisz opisujących wszystkie możliwe wątki

wistości za niezgłębioną nie pozostaje nic innego, jak wyrzec się jej w ogóle i stworzyć świat immanentny, psychiczny, fikcyjny. Konsekwencją psychologizmu jest surrealizm.

Dialogizacja poziomów sprawozdawczych, niekończąca się próba wieloaspektowego oświetlenia przeżytych zdarzeń, symultaniczny tok akcji sytuują powieść Krzepkowskiego w polu „nowofalowych" odniesień fantastyki naukowej. Pomysł zaprezentowany przez autora znalazłby swoje uwarunkowania w konstrukcji „Kongresu futurologicznego", a nawet „Solaris" – Stanisława Lema. Z tej ostatniej powieści zostaje zapożyczony projekt „kontaktu" opartego na penetracji „otorbień" ludzkiej jaźni. Krzepkowski zrywa jednak z dotychczasową konwencją sprawozdawczą: umieszczeniu akcji w doznaniach psychicznych podmiotu towarzyszą zabiegi formalne nawiązujące do poetyki surrealizmu. Technika luźnych skojarzeń odsyła do wewnętrznego świata człowieka, świata złożonego, skomplikowanego, obfitującego w zjawiska ulotne, nieuchwytne, trudne do nazwania. Niebezpieczeństwo polega na tym, że służy ona obiektywizacji faktów z natury swej subiektywnych. Każdy zapis jest już uporządkowaniem skoro pełni funkcję poznawczą: jeśli w marzeniach sennych znajdują swój wyraz stłumione pragnienia, urazy, kompleksy, to ich interpretacja powinna dostarczyć istotnej wiedzy o człowieku. Oto Scylla i Charybda przesłania nadrealistycznego: wizje wewnętrzne „Kreksu" nie nabierają znamion jednowymiarowości, ale widoczny jest także zabieg przeciwny, polegający na dookreślaniu materiału fabularnego.

Umieszczenie recenzowanej powieści w tradycji odwołań historycznych nie może przesądzać o końcowej ocenie utworu. W większości dokonań literackich daje się zaobserwować pewna rozbieżność zamierzenia i realizacji pomysłu. Tak jest i w przypadku „Kreksu": nieuchronne błędy i zaprzeczenia wynikają z wielości zadań, które musiał rozwiązać dwudziestokilkuletni twórca, aby uporać się z niekonwencjonalną techniką i opornym materiałem kreacji. Uchybienia i niedociągnięcia kompozycyjne nie mogą jednak przesłonić zasadniczych wartości utworu: nowatorstwa konstrukcyjnego, walorów poznawczych i niepowtarzalnego nastroju, jaki towarzyszy jego lekturze.

Andrzej Niewiadowski

Andrzej Krzepkowski: Kreks, KAW – 82

■

● ●

ludzkiego życia, ową „kronikę Akaszy" można uznać za metaforę tego, co wyprawiali z nami manipulatorzy różnej maści. Ale szczerze mówiąc – klisze – są tu zaledwie zabawne. No i bardzo przypominają „ekrany" z „Nagiego celu" Snerga.

Co podoba mi się u Sawaszkiewicza bez zastrzeżeń? „Alternator" i „Spowiedź" – dwa znakomite, utrzymane w konwencji SF opowiadania, wrzucone w książkę na zasadzie kolażu, dość luźno wiążące się z akcją powieści. Najbardziej podobała mi się „Inicjacja" – pierwsza, ponad stustronicowa część powieści zamieszczona w pierwszym tomie. Jest to bezpretensjonalna, opowiedziana w pierwszej osobie historia dziewczyny, którą wszyscy usiłują się posłużyć, ale której nikt nie kocha. Tu Sawaszkiewicz nie jest ironistą i wykręcającym się od odpowiedzialności za postać satyrykiem. Tu razem z nim bierzemy naprawdę udział w życiu pięknej, ale uderzonej przez życie dziewczyny. W „Inicjacji" autor demonstruje wrażliwość i gotowość do literackiej gry serio.

Cała książka czyta się. Połykacz fabuł, wielbiciel point, znudzony polskimi ograniczeniami zwolennik scenerii amerykańskiej, miłośnik barwnych intryg, poszukiwacz gettowych naukowo-fantastycznych rewelacji, czytelnik oczekujący moralnych przesłań i takichże satysfakcji – wszyscy oni zostaną nasyceni. Jest jeden szkopuł. Poza „Inicjacją" gdzie jest prawdziwy ludzki ból obcujemy w książce głównie z niezobowiązującym światem literackich i gatunkowych konwencji.

„Kronikę Akaszy" traktuję jako znaczącą zapowiedź tego, co autor może zrobić – gdy naprawdę zechce.

Maciej Parowski

Jacek Sawaszkiewicz: Kronika Akaszy (Inicjacja, Skorupa Astralna). Wyd. Poznańskie – 81, 82. Cena 35/60 zł.

■

NASZA LISTA BESTSELLERÓW

Ze względu na całkowity brak nowych książek SF w okresie od 31 lipca do 31 sierpnia 1982 nasza lista w tym miesiącu bez zmian. Przypominamy więc notowania z okresu do 31 lipca:

1. Stanisław Lem – **SOLARIS** – Iskry
2. Philip K. Dick – **SŁONECZNA LOTERIA** – Czytelnik
3. Antologia – **SPOTKANIE W PRZESTWORZACH** t. 1 i 2 – KAW
4. Harry Harrison – **PLANETA ŚMIERCI** – Czytelnik
5. Stanisław Lem – **NIEZWYCIĘŻONY** – Iskry
6. Maciej Parowski – **TWARZĄ KU ZIEMI** – Czytelnik
7. Andrzej Krzepkowski – **ŚPIEW KRYSZTAŁU** – Wydawnictwo Lubelskie
8. Stefan Wul – **REMEDIUM** – KAW
9. Janusz A. Zajdel – **OGON DIABŁA** – KAW
10. Andrzej Krzepkowski – **KREKS** – KAW

- Kate Williams – **GDZIE DAWNIEJ ŚPIEWAŁ PTAK** – Czytelnik
- Andrzej Mercik – **MGŁA** – Wydawnictwo Literackie
- Jacek Sawaszkiewicz – **KRONIKA AKASZY 2** – Wydawnictwo Poznańskie
- Mirosław Jabłoński – **KRYPTONIM „PSIMA"** – Iskry
- E. Szymańska, A. Szarlat – **BOGOWIE NASZEJ PLANETY** – KAW
- Ryszard Głowacki – **RAPORT Z REZERWATU** – KAW
- Henryk Kurta – **DZIEŃ CZERWONEGO GIGANTA** – KAW
- Antologia – **USKOK W CZASIE** – Wydawnictwo Poznańskie

BARSZCZEWSKI JAN (1790–1851)

Poeta, nowelista

Urodził się w roku 1790 (bądź w 1794 – zdaniem historyka literatury Piotra Chmielowskiego) w Morawach, na Białorusi, w rodzinie ubogiego szlachcica zaściankowego. Wychowanek Kolegium Jezuickiego w Połocku. Przez pewien czas przebywał w Petersburgu, na posadzie prywatnego nauczyciela. Tu też poznał Adama Mickiewicza i Tarasa Szewczenkę (wg zapewnień Juliana Bartoszewicza – A. Mickiewicz „osobiście poprawiał Barszczewskiemu jego wiersze"). Gdy na Uniwersytet w Petersburgu zaczęła napływać młodzież pochodzenia polskiego, założyła swoje czasopismo i na redaktora wybrała właśnie Barszczewskiego (rocznik „Niezabudka": 1840–1844). Periodyk ten przyczynił się walnie do rozbudzenia życia umysłowego na Białorusi. Młodzież, mając gdzie drukować swe prace, wsparła go prenumeratą. Swoje artykuły publikowali tu m. in.: W. Dawid, Ludwik de Pertheés, Wincenty Reutt, Gaudenty Szepielewicz. Największą ozdobą rocznika były psychologiczne powiastki (→) Ludwika Sztrymera.

W późniejszym czasie Barszczewski wyjeżdżał wielokrotnie za granicę. Odbył kilka podróży morskich. Zwiedził Francję i Anglię. Po powrocie do kraju poświęcił się zbieraniu legend, powieści i piosenek ludowych. Zmarł w roku 1851, w Cudnowie, w posiadłości Henrykowej Rzewuskiej.

Dużą popularnością cieszyło się główne dzieło Barszczewskiego: **„Szlachcic Zawalnia czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach"** (Petersburg 1844–1846, wstęp Romualda Podberskiego). Inne swe prace (w tym wiersze) zebrał i zaczął wydawać w Kijowie („Proza i wiersze", część I, 1849), ale rychła śmierć nie pozwoliła mu tego zamierzenia dokończyć.

Opowiadanie „Zachariaszek" zamieszczone w I tomie „Polskiej noweli fantastycznej" J. Tuwima (Kraków (1959), 1976) jest liryczną trawestacją motywu o duszy pokutującej; „Włosy krzyczące na głowie", również z tego tomu – ostrzegawczą przypowieścią o walce Dobra ze Złem, zakończoną śmiechem triumfującego szatana...

BIBLIOGRAFIA
Ogólna: – „Encyklopedia Powszechna" S. Orgelbranda (1898), t. 2,
– „Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana" (1891), t. 5,
– J. Tuwim, Posłowie do: „Polska nowela fantastyczna", Kraków 1959 (1976 – wyd. 2).

BARSZCZEWSKI STEFAN (1862–1937)

Literat, dziennikarz, tłumacz, podróżnik

Urodził się 21 VI 1862 r. w Warszawie. Szkołę średnią ukończył w Warszawie, wyższą – w Petersburgu. W 1885 r. opuścił kraj udając się do Wiednia, Paryża, potem – Londynu. Kilka lat przebywał w Ameryce Północnej, zwiedził Argentynę i Brazylię. Od 1892 r. osiedlił się w Chicago w Stanach Zjednoczonych, gdzie brał udział w redagowaniu dzienników polskich oraz w pracach rozmaitych stowarzyszeń. Liczne sprawozdania ze swych podróży ogłaszał na łamach „Kuriera Warszawskiego". W 1891 r. na zjeździe w Filadelfii został wybrany przedstawicielem „Związku Stowarzyszeń Polskich" w Ameryce Północnej. Był redaktorem organu związkowego „Zgoda" (wydawanego w Chicago).

W 1901 r. powrócił do kraju i włączył się w nurt pracy literackiej. Przez długi czas był członkiem redakcji „Kuriera Warszawskiego". Wydał szereg utworów o tematyce podróżniczo-przygodowej, m. in.: „Obrazki amerykańskie" (Warszawa 1905), „Złoto Mai" (Warszawa 1924), „Na szlaku sławy, krwi i złota" (Szkice z dziejów odkrycia Ameryki) (Warszawa 1928), „Marion. Opowieści z dalekiej Kanady" (Warszawa 1928), „Na ciemnych wodach Paragwaju" (Lwów 1931).

Utwory Stefana Barszczewskiego wprowadzające motywy literatury fantastyczno-naukowej to przede wszystkim powieści: **„W osiem dni dookoła świata"** (powieść z niedalekiej przyszłości) (Warszawa 1922), **„Eliksir profesora Bohusza"** (Warszawa 1923), **„Czandu"** (powieść z XXII wieku) (Warszawa 1925), **„Jak być mogło"** (nieurzeczywistniona opowieść lotnicza) (Warszawa 1926), **„Tajemnica Jeziora Bangweolo"** (powieść podróżnicza) (Lwów 1938).

Barszczewski znał doskonale twórczość Herberta Wellsa, m. in. tłumaczył jego „The War of the Worlds" (1898) („Wojna dwóch światów", Warszawa 1907) i „The War in the Air" (1908) („Wojna w przestworzu", Warszawa 1910). Pociągała go też francuska literatura „optymizmu scjentycznego", o czym świadczy wyraźnie odautorski wstęp do „Ośmiu dni dookoła świata": *„Gdy pod wrażeniem potężnym cudownych postępów lotnictwa i radiotelegrafii moja myśl kreśli zuchwały plan podróży dookoła świata w ciągu dni ośmiu, nie mogę zapomnieć o J. Verne, którego umysł genialny przewidział tyle zdobyczy techniki nowoczesnej, którego wiedzy i wyobraźni zawdzięczaliśmy tyle chwil szczęśliwych w młodości naszej".*

Skrzyżowanie wspomnianych wpływów i zapożyczeń dało np. ciekawą opowieść o nieśmiertelności („Eliksir profesora Bohusza") – historię o „cudownym odkryciu", niezwykle krytyczną w ocenie naszego współczesnego świata, z pełnym zadumy i refleksji epilogiem – przesłaniem. Wpływy J. Verne przeważają w ogólnym dorobku powieściowym Stefana Barszczewskiego, nawet w tych utworach, gdzie do głosu dochodzą popularne prognozy katastroficzne XX-lecia międzywojennego (mit zagrożenia, upadku cywilizacji zachodniej w koncepcjach O. Spenglera, M. Zdziechowskiego, F. Znanieckiego i in.). Powieści: „Czandu" i „Jak być mogło", stanowiące klasyczny przykład scjentyficznej historii sensacyjnej – operują schematem przyszłej, ogólnoświatowej wojny, lecz na przekór ostrzegawczym wizjom powszechnej zagłady, odbudowują w finale ład początkowy, w czym należy upatrywać zarówno niesłychane możliwości „wynalazków technicznych" (zmodernizowane rakiety, działa, hydroplany – helikoptery etc.), jak i mesjanicznych zalet narodu polskiego, który ocala Europę przed upadkiem, stając się ostatnim bastionem kultury chrześcijańskiej.

BIBLIOGRAFIA
Ogólna: – „Encyklopedia Powszechna" – S. Orgelbranda (1898), t. 2.

BIAŁCZYŃSKI CZESŁAW (1952–

Prozaik, poeta, autor SF

Urodził się w Krakowie, w roku 1952. Jest z zawodu geodetą (w roku 1971 ukończył Technikum Geodezyjne). Od 1978 r. utrzymuje się z pracy twórczej. Od 1980 r. studiuje w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Teatralnej i TV w Łodzi na Wyższym Studium Scenariuszowym.

Debiutował opowiadaniem **„Styk"** („Młody Technik" 1976/11). Następnie ogłosił drukiem powieść SF **„Próba inwazji"** (Iskry, Warszawa 1978). W roku 1980 Polskie Radio emitowało jego kolejny utwór o tematyce fantastyczno-naukowej: powieść **„Zakaz wjazdu"** (Iskry, Warszawa 1981). W przygotowaniu znajduje się kolejna powieść Białczyńskiego **„Miliardy białych płatków"** (KAW 1983). W „Antologii młodych 1980" – „Spotkanie w przestworzach" (KAW 1983) ukaże się jego opowiadanie **„Ostatnia noc niewidzialnych"**.

Debiutancka opowieść Czesława Białczyńskiego – „Styk" jest interesującą wersją „kontaktu niezrealizowanego", w którym „spotkanie" dwóch, wrogich sobie cywilizacji rozgrywa się ponad głowami zdezorientowanych przedstawicieli Ziemi (przesłanie utworu nawiązuje tu do nurtu wywodzącego się z „Wróbli Galaktyki" (→) K. Fiałkowskiego).

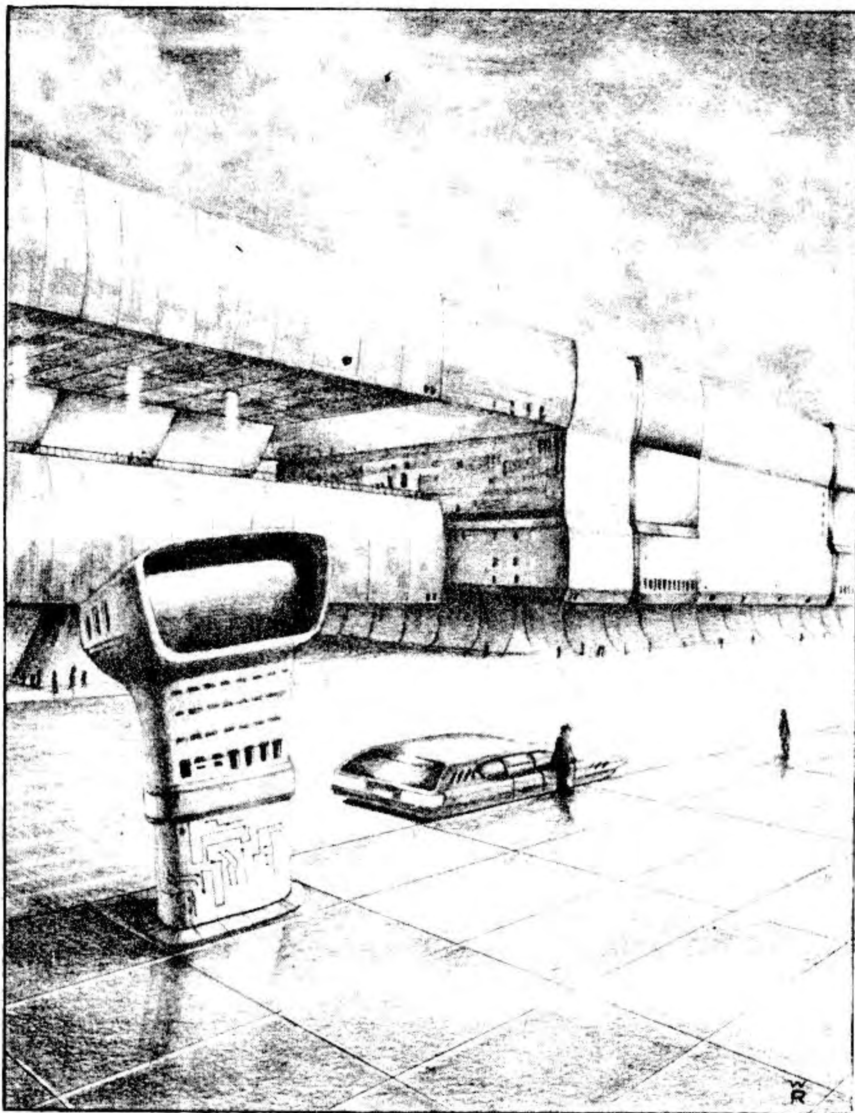
W powieści „Próba inwazji" mamy do czynienia również z próbą „kontaktu", tym razem w wymiarze alegoryczno-sensacyjnym, o przewrotnym zakończeniu fabularnym. Sprawna warsztatowo, operująca swobodnie elementami „kryminalnej science fiction" – „Ostatnia noc niewidzialnych" jest współczesną wersją historii o „cudownym wynalazku" (odkryciu niewidzialności) wraz z nieodłącznymi refleksjami na tematy socjologiczne. Powieść „Zakaz wjazdu", rozgrywająca się w tajemniczej, nieco surrealistycznej scenerii planety Irma, staje się tragiczną przypowieścią o możliwych konsekwencjach naszego, nieograniczonego poznawania świata, lecz jej schemat fabularny niewiele odbiega od przygodowego wzorca perypetii kosmonautycznych.

„Czandu"

powieść z XXII wieku

Wielka wojna 1914–1918 przywracając Polsce niepodległość, zapewniła Warszawie rozwój ogromny (...)
Dziś miasto – olbrzym, nowa Warszawa wchłonęła w siebie starą z początku XX wieku, tak że tylko dawne mapy i plany dawały o niej pojęcie. I nie dziw, bo stare dzielnice stanowiły już zaledwie cząstkę tego ogromnego ciała, które rozrosło się z nich na wszystkie strony w promieniu dziesiątków kilometrów, a przy tym ulice i place podległy takim zmianom regulacyjnym, zastosowanym do potrzeb nowoczesnych, że wobec nich głośne burzenie Paryża przez Haussmana za Napoleona III można by nazwać igraszką. Ocalał jedynie sędziwy rynek Starego Miasta, były Zamek Królewski i gdzieniegdzie budowla historyczna, nie przeszkadzająca w przeprowadzeniu planu regulacyjnego. Były to jedynie nieme świadki wieków romantyzmu politycznego, w których przy wszelakich poczynaniach przeważało rozrzewnienie nad przeszłością, czułość dla dzieła ojców i praojców. Dziś nad wszystkim górowały względy polityczne, nad wszystko wybijał się cel ułatwienia, uprzyjemnienia życia.
Nowa, ogromna Warszawa (...) stała się dziś miastem pełnym światła przenikającego wszędzie, pełnym przestrzeni umajonej zielenią bulwarów i parków. Zagrażający jej swego czasu system potwornych drapaczy niebios, czyniący z niektórych miast amerykańskich ciemne, wilgotne wąwozy górskie (...) mógł być tutaj w czas poniechany dzięki ogromnym postępom techniki na wszelkich polach działalności ludzkiej.
Wzdłuż ulic wyrosły przeważnie domy czteropiętrowe, dostosowane do charakteru otoczenia stylem i barwą, o ścianach jakby polerowanych, gładkich, łatwych do czyszczenia, oknach wielkich i o dachach, stanowiących platformy dla samolotów, używanych powszechnie.
Dzięki specjalnym instalacjom termicznym i przyrządom ułatwiającym spływanie wody, dachy te, na pozór niepraktyczne w kraju zim nieraz bardzo śnieżnych, przyjęły się łatwo ze względu na ogromną wygodę żeglugi powietrznej.
Co jednak w nowym mieście uderzało najbardziej, to przezroczystość atmosfery, brak dymu i sadzy, brak tak charakterystycznych w dawnych budowlach kominów.
Bo też wiek węgla kamiennego i drzewa, jako opału minął bezpowrotnie. Wszechwładnie zapanowała elektryczność, dostarczając ciepła, siły poruszającej w zakładach przemysłowych, roznosząc wymianę myśli i obrazy zdarzeń po świecie całym (...)
Wyzyskanie nareszcie ogromnej siły przypływów i odpływów mórz i oceanów, tudzież wodospadów i potoków górskich, dostarczało aż nadto prądu elektrycznego dla rozgrzania wszystkich domów, puszczenia w ruch wszystkich kolei i warsztatów świata.
A jeżeli w wiekach ubiegłych maszyna wypierała stopniowo pracę ręczną, to teraz maszyny robiły niemal wszystko z tą różnicą, że człowiek stał się teraz panem maszyny, gdy przedtem był jej niewolnikiem (...)
W nowym mieście przestało być też zagadnieniem trapiącym: czyszczenie ulic i utrzymywanie w porządku domów. Pneumatyczne wsysacze nieczystości i kurzu, używane w XX wieku tylko w wielkich hotelach i zamożnych domach, oswobadzały teraz codziennie ze skrupulatną dokładnością ulice i place z wszelkich brudów, wpychając pył zebrany do rur podziemnych, skąd dostawał się, pędzony przez prąd powietrza, do palenisk elektrycznych, zamieniających go w popiół. I w tym jednak procesie palenia uniknięto wytwarzania dymu przez zastosowanie wchłaniaczy sadzy i gazów. Tak samo udoskonalony system kanalizacji oswobadzał domy z nieczystości i śmieci, automatycznie dzielił je na części stałe i płynne, odkażał lub palił, wytwarzając nawozy sztuczne, choć pod tym względem azot, otrzymywany z powietrza na ogromną skalę, czynił zadość potrzebom rolnictwa.
Jeżeli wszakże z jednej strony elektryczność spełniała funkcje tak rozliczne w mieście nowoczesnym, to z drugiej – przestała być w każdym razie jedynym źródłem światła.
Wyręczały ją pod tym względem promienie słoneczne, chwytane w odpowiednio urządzone przewodniki, rozprowadzone po kuli ziemskiej tak, że gdy na jednej połowie Ziemi panowała noc, to światło dzienne spływało na nią z drugiej półkuli, tryskając ożywczymi promieniami ze szczytów latarń ulicznych lub lamp pokojowych, regulowane co do natężenia przez barwne filtry kryształowe. Zakłady zaś, chwytające promienie słoneczne, budowano na szczytach górskich, aby dać konsumentom czyste światło, obfitujące w promienie ultrafioletowe, tak zbawcze przy niektórych cierpieniach organizmu ludzkiego (...)
Z rozwojem olbrzymim miasta szedł w parze, a nawet go wyprzedzał, rozwój komunikacji. Chodniki ruchome, podziemne koleje elektryczne i pneumatyczne, samoloty i samochody dostępne dla każdego i dogodne ze względu na niezmiernie lekkie a potężne akumulatory, o których Edison już marzył, ułatwiały szybkie połączenia pomiędzy najodleglejszymi dzielnicami (...) O koniach, jako środku lokomocji, zapomniano. Piękne te zwierzęta stały się raczej ornamentem życia, źródłem rozrywki zdrowej i atrybucją sportsmanów, wyścigi bowiem konne nie przestawały przyciągać ludzi pragnących emocji. Oczywiście w rolnictwie rola konia skończyła się prawie zupełnie (...) Wobec powszechnego zastosowania traktorów elektrycznych do pługów, bron, żniwiarek itp. (...) powstrzymano sztucznie reprodukcję inwentarza żywego, tak że zaspokajał tylko potrzeby sportu i aprowizacyjne.

Gebethner i Wolf, Warszawa 1925 (fragmenty – ss. 24–31).



przygotował:
Andrzej Niewiadowski

ŚWIAT JEDEN ALBO ŻADEN

Prof. Piotr Leonidowicz KAPICA, laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 1978 r., należy do naukowców chętnie wychodzących poza obszar swej specjalności. W licznych publikacjach o publicystycznym zacięciu apeluje do uczonych, by pomogli światu w poszukiwaniu rozwiązań problemów globalnych, takich jak rozbrojenie czy wyczerpywanie się naturalnych zasobów Ziemi (jest członkiem radzieckiego Komitetu Pugwash). Różnorodność zainteresowań godzi z bardzo rozległymi badaniami naukowymi: zajmował się badaniem silnych pól magnetycznych, zjawiskiem nadciekłości, fizyką plazmy i kontrolowaną syntezą termojądrową. Przez 14 lat pracował wraz z E. Rutherfordem w Cavendish Laboratory, a po powrocie do Związku Radzieckiego założył Instytut Problemów Fizyki. Nie unika wypowiedzi na tematy uważane przez naukowców za nienaukowe i niepoważne, np.: czy istnieją inne cywilizacje? Niedawno w wywiadzie na łamach „Kultury i Żizni" mówił m. in.: „Wyznaję pogląd o wielości światów, na których może być życie i na pewno rozum. O tym świadczą fakty ujawnienia w kosmosie aminokwasów i oczywistość naszego wcale nie wyjątkowego miejsca we wszechświecie". Drukowany fragment, dość typowy dla poglądów Kapicy, pochodzi ze zbioru jego artykułów „Experiment, Theory, Practice", wydanego w 1980 r. przez holenderskie wydawnictwo D. Reidel Publishing Company, Dordrecht. Tytuł pochodzi od Redakcji. (Red.)

Główną przyczyną znaczenia problemów tu omawianych jest ich zasięg globalny. W stuleciu, w którym żyjemy, rozwiązanie wielu problemów leży poza możliwościami jakiegokolwiek pojedynczego kraju – można je osiągnąć jedynie w skali globalnej. Uświadomienie sobie planetarnego charakteru powiązań między człowiekiem a przyrodą po raz pierwszy miało miejsce wraz z narodzinami bomby atomowej i groźby światowego konfliktu jądrowego. Uważa się powszechnie, że wybuch takiej wojny w jakiejkolwiek części świata może doprowadzić do skażenia całego globu i w ciągu kilku godzin położyć kres istnieniu ludzkości. Mając na uwadze tę groźbę ludzkość musi powstrzymać się od użycia broni nuklearnych.

Tu i ówdzie pokutuje jeszcze wiara w to, że człowiek zdoła przetrwać katastrofę radioaktywną, jeśli tylko uda mu się zbiec do schronu wyposażonego w odpowiednie filtry. Jest to jednak złudzenie. Człowiek może bowiem żyć wyłącznie w stanie równowagi z przyrodą. Jest ona nie do pomyślenia wtedy, gdy żywy człowiek będzie otoczony przez środowisko skażone promieniowaniem radioaktywnym. W powojennym świecie, w którym wszystkie duże zwierzęta uległyby zagładzie i nie istniałaby już równowaga biologiczna, po wyjściu ze schronu człowiek byłby skazany na śmierć z powodu braku białka.

W chwili obecnej rysują się trzy główne aspekty problemów globalnych:
- techniczno-ekonomiczny związany z wyczerpywaniem się światowych zasobów naturalnych;
- ekologiczny, a mianowicie problem równowagi biologicznej między człowiekiem a przyrodą w skali globalnej;
- społeczno-polityczny, wynikający z uznania potrzeby rozwiązań powyższych problemów w skali globalnej.

Analiza problemów globalnych dawno już wykazała, że wielkości charakteryzujące ilościowo dynamikę tych procesów wzrastają zgodnie z postępem geometrycznym i rosną wykładniczo w funkcji czasu. Cechą charakterystyczną tych procesów jest to, że w końcu następuje ich przyspieszenie i eksplozja. Dobrym przykładem jest wybuch ładunku atomowego. W łańcuchowej reakcji jądrowej każdy neutron wyzwala więcej niż jeden neutron – w efekcie ich liczba rośnie wykładniczo, a wynikiem związanego z tym gromadzenia się energii jest eksplozja.

Podobne wykładnicze reguły odnoszą się do procesów demograficznych. Światową populację szacuje się dziś na 3,7 mld ludzi. Jeżeli założymy, że tempo przyrostu, które obecnie wynosi około 2% rocznie nie ulegnie zmianie, to po siedmiuset latach średnia gęstość zaludnienia dojdzie do 1 osoby na metr kwadratowy. Jest to oczywiście niemożliwe i trend wzrostu populacji ludzkiej z pewnością zostanie odwrócony na wiele lat wcześniej. Głównym problemem niedalekiej przyszłości stanie się określenie czasu i okoliczności, w jakich to nastąpi, a także określenie stanu, w jakim znajdzie się wtedy nasza cywilizacja.

Badania tego złożonego problemu na dużą skalę i przy wykorzystaniu globalnych danych statystycznych dopiero się rozpoczynają. Stały się one możliwe dzięki zastosowaniu komputerów. Szczególnie interesujące i przekonujące wyniki opublikowali J.W. Forrester[1] oraz D.L. Meadows[2]. Wykazali oni, że „wybuchowy charakter" procesów ekologicznych nie jest wyłącznie zależny od wykładniczego charakteru wzrostu populacji. Do globalnego kryzysu, gwałtownego i kończącego się wybuchem, mogą wkrótce doprowadzić również różne inne czynniki (mające także charakter wykładniczy), np. wzrost zużycia energii i surowców czy zanieczyszczenie środowiska. Jednym z głównych problemów globalnych jest energia. Poziom wykorzystania zasobów energetycznych przez człowieka jest zasadniczym czynnikiem determinującym poziom cywilizacji i jej dobrobyt. W naszych czasach najbogatszym źródłem energii pozostaje węgiel; przy obecnym poziomie zużycia jego zasoby szacowane są na około 1000 lat. Jeśli przyjmiemy, że populacja nie będzie rosnąć, a wzrost zużycia energii na jednego mieszkańca będzie taki, jak w ostatnim stuleciu, to zasoby węgla wyczerpią się za 100–150 lat. Jeśli idzie o inne surowce, kryzys nastąpi jeszcze wcześniej: srebra wystarczy jedynie na 13–40 lat, ołowiu na 20–60 lat itd. (I to przy założeniu, że pięciokrotnie wzrosną rozpoznane zasoby tych minerałów).[3]

Nauka może wskazać drogę umożliwiającą uniknięcie zbliżającego się kryzysu. Ludzkość może rozwiązać swój najpoważniejszy problem – energii – dzięki wykorzystaniu kontrolowanych procesów termojądrowych. Źródłem energii w tych procesach jest deuter, ciężki izotop wodoru, znajdujący się w wodach oceanicznych w praktycznie nieograniczonych ilościach. Dzięki pomocy nauki i wprowadzeniu „obiegów zamkniętych" w gospodarce będzie można zapobiec kryzysowi gospodarczemu związanemu z wyczerpywaniem się zasobów surowcowych. Będzie to można osiągnąć w sposób bardzo zbliżony do procesu, który występuje w przyrodzie, gdzie wszystko wchodzi w ponowny obieg, gdzie nic się nie marnuje. Obiegi „zamknięte" – choć skomplikowane – są całkowicie wykonalne z punktu widzenia nauki. Przy ich tworzeniu największym problemem będzie konieczność większego zużycia energii. Z tego powodu z ich praktycznym zastosowaniem w skali globalnej trzeba będzie poczekać do czasu opanowania kontrolowanej reakcji termojądrowej.

Możliwość wyczerpania się surowców grozi już naszemu pokoleniu. Z tego właśnie wynika pilna potrzeba rozwiązania techniczno-ekonomicznych problemów związanych ze zmianami w układzie człowiek-przyroda. Ale pojawia się także aspekt społeczno-polityczny: ze względu na globalny charakter tych problemów, ich rozwiązanie leży poza zasięgiem możliwości któregokolwiek pojedynczego kraju i wymaga szerokiej współpracy międzynarodowej przy uznaniu zasady pokojowego współistnienia państw o odmiennych systemach społecznych.

Kolejny problem, ekologiczny, wynika z zakłócenia stanu równowagi, spowodowanego zanieczyszczeniem – również na skalę globalną – środowiska naturalnego. I chociaż nie jest to problem tej wagi, co wyczerpywanie się zasobów, jest on bardziej oczywisty i dotkliwie odczuwany przez ludzi. Dlatego poświęca mu się sporo uwagi w poszczególnych krajach i na

forum różnych organizacji, np. ONZ. Główna trudność przy rozwiązywaniu tego rodzaju problemów polega na tym, że procesy technologiczne stosowane w skali globalnej przy obecnym poziomie cywilizacji zaczęły oddziaływać na środowisko, w którym żyjemy – na powietrze, wodę, glebę – do tego stopnia, że biologiczna równowaga w przyrodzie została zakłócona, a fauna i flora zaczynają obumierać. Procesy technologiczne związane z cywilizacją dnia dzisiejszego w sposób nieunikniony zakłócają procesy ekologiczne. Istnieje więc potrzeba osiągnięcia innego rodzaju równowagi biologicznej. Głównym zadaniem biologów jest znalezienie niezbędnych warunków rozwoju przyrody zgodnie z cywilizacyjnymi potrzebami człowieka.

Ekologia zajmowała się dotychczas badaniem procesów gwarantujących równowagę w przyrodzie. Obecnie musi ona zacząć poszukiwać nowych warunków równowagi. Przykładem takich poszukiwań jest Bajkał. Przemysł potrzebuje świeżej wody. Bajkał ma jej mnóstwo – jednak znaczenie tego jeziora polega na tym, że jest ono biologicznym filtrem ogromnych rozmiarów produkującym czystą wodę. Rzeki wpadające do jeziora niosą wodę stosunkowo mocno zanieczyszczoną, która ulega w nim oczyszczeniu. Oczyszczenie to następuje dzięki procesom biologicznym zachodzącym w jeziorze.

Przemysłowe znaczenie Bajkału polega na tym, że oczyszcza on wodę na dużą skalę. Troska o to jezioro zmusza nas do zachowania tej jego funkcji. Zatem ci, którzy ostrzegają: „Nie tykajcie Bajkału!" – nie mają racji. Bajkał musi być eksploatowany, ale w sposób, który pozwoli zachować w nim życie i jego zdolności oczyszczające. Dlatego należy określić maksymalny poziom zanieczyszczenia, z jakim jezioro będzie w stanie sobie poradzić. Biolodzy stoją przed problemem zintensyfikowania procesów biologicznych zachodzących w jeziorze w wyniku przenikania do niego odpadów przemysłowych. Chemicy z kolei muszą opracować takie procesy technologiczne, które zapewnią odpady odpowiadające zdolnościom przetwórczym jeziora, określonym przez biologów.

Współczesna technika jest zdolna nie tylko do niszczenia życia na skalę globalną, ale także do jego stymulowania. Przyrodę musimy leczyć z chorób tak, jak leczy się ludzi.

Współczesna ekologia musi stać się jedną z głównych nauk biologicznych. Jej najważniejszym zadaniem będzie nie tylko badanie różnych typów równowagi biologicznej w przyrodzie, ale – co ważniejsze – określanie zdolnych do zachowania życia rodzajów równowagi w przyrodzie eksploatowanej przez przemysł, a także procesów równowagi związanych z nadużywaniem związków chemicznych w rolnictwie. Oddziaływanie człowieka na przyrodę ma obecnie charakter globalny. Brak kontroli nad różnymi formami ingerencji w przyrodę może doprowadzić do eksplozji.

Trzeci aspekt problemów globalnych polega na stworzeniu takich stosunków i struktur społecznych, które umożliwiłyby zastosowanie osiągnięć technicznych i przemysłowych w taki sposób, by zapewniony był harmonijny postęp cywilizacji bez ryzyka katastrofalnych wybuchów.


Zygmunt JANUSZEWSKI

Aby rozwiązać dwa pierwsze problemy i zapobiec zbliżającej się katastrofie, której przyczyną może być wyczerpanie się surowców i zanieczyszczenie środowiska, jesteśmy w stanie dość jasno sformułować pytania, na jakie muszą odpowiedzieć technika i ekologia. W przeciwieństwie do tego w zakresie problemów społecznych zaczynają się właśnie pojawiać podstawowe trudności. Oczywiste jest, że potrzebne są tu działania międzynarodowe, ale mogą one kłócić się z interesem narodowym poszczególnych krajów.

Rozważmy następujący, prosty przykład. Sąsiadują ze sobą państwa, z których jedno wytwarza celulozę nie zanieczyszczając przy tym wód, podczas gdy ten sam przemysł w drugim państwie zatruwa wody. Papier będzie oczywiście kosztował drożej w kraju, w którym wytwarzanie celulozy nie powoduje zanieczyszczenia wody. Problem sprowadza się do przekonania kraju będącego sprawcą zanieczyszczenia o konieczności zastosowania bardziej kosztownego procesu produkcyjnego – pod groźbą możliwości utraty rynków zbytu.

Nie opracowano jeszcze efektywnych metod zapobiegania zatruwaniu środowiska przez dany kraj. Niektóre państwa kierowane wąsko pojmowanymi interesami narodowymi przeprowadzają wybuchy jądrowe w atmosferze nie zwracając uwagi na powstające w ich wyniku w atmosferze promieniowanie radioaktywne. Uważam, że w najbliższej przyszłości konieczne stanie się powołanie kompetentnej organizacji międzynarodowej, która zajmie się kontrolowaniem zjawisk mających zasięg globalny.

Obecnie zaczyna się toczyć szeroka dyskusja nad światowymi problemami społecznymi. Nawet na Zachodzie wielu socjologów i ekonomistów zaczyna zdawać sobie sprawę, że globalne rozwiązanie problemów techniczno-ekonomicznych wymaga socjalistycznej organizacji przemysłu (gospodarki). Między innymi poglądy takie głosi znany holenderski ekonomista, S. Mansholt.[4]

Inne szkoły myślenia utrzymują, że system kapitalistyczny, który dotychczas w sytuacjach kryzysowych sięgał po mechanizmy regulacji poprzez ceny i podatki, będzie w stanie i tym razem rozwiązywać w sposób podobny problemy globalne. Taka jest na przykład opinia C. Kaysena.[5]

Jednak wszystkie te rozważania są raczej mgliste.

Bez wątpienia potrzeba rozwiązania problemów globalnych w skali międzynarodowej pomoże w znalezieniu sposobów na pokojowe współistnienie i rozbrojenie. Charakterystycznym aspektem wydatków na cele zbrojeniowe jest zużywanie olbrzymich ilości energii przez flotę, lotnictwo i lądowe siły zbrojne. Technika militarna pochłania ogromne ilości metali szlachetnych. Przy tak masowym wytwarzaniu i wykorzystywaniu broni niemożliwe jest zorganizowanie „obiegu wtórnego", którego wymaga zachowanie równowagi ekologicznej.

Gdy niedostatek energii i surowców osiągnie skalę globalną i zacznie wywierać niekorzystny wpływ na standard życia ludzkości – nie będzie alternatywy dla rozbrojenia. Wszyscy ludzie poczują się sąsiadami stojącymi twarzą w twarz przed wspólnym wrogiem – przed zagrażającym wszystkim kryzysem globalnym, kryzysem, który spowoduje, że zapomną o wszelkich waśniach i połączą swe wysiłki we wspólnej walce.

Zainteresowanie problemami globalnymi gwałtownie rośnie. Nieuniknione jest, że dyskusja nad nimi, jeśli idzie o proponowane przedsięwzięcia – obfituje w wiele poglądów rozbieżnych. Wszyscy są jednak zgodni, że problemy globalne mają zasadniczą wagę dla ludzkości i że muszą zostać rozwiązane z udziałem najlepszych sił intelektualnych wszystkich krajów.

Ludzkość nie ma już wiele czasu; bądź co bądź mamy zaledwie niecałe stulecie na zapobieżenie kryzysowi ekologicznemu. Wyjaśnienie ludziom tych spraw jest powinnością naukowców, którzy jako pierwsi zdali sobie sprawę z rozmiarów nadchodzącego kryzysu i mogą wskazać sposoby przeciwdziałania.

Naukowcy, specjaliści z dziedzin nauk przyrodniczych i społecznych, muszą zorganizować świadomość społeczeństw w celu wspólnego rozwiązywania problemów ekologicznych świata, który – jak to już wiemy – jest mimo wszystko dość mały.

Z angielskiego przełożyła:
Barbara Komuda

[1] J.W. Forrester: World Dynamics (Cambridge, Mass: Wright-Allen, 1971).
[2] D.H. Meadows, D.L. Meadows, J. Rangers and W.W. Behrens III The Limits to Growth (New York: Universe Books, 1972).
[3] R.L. Heilbroner, „Growth and Survival", Foreign Affairs, 51 (Oct. 1972), pp. 139–53.
[4] S. Mansholt and others, Ecologie et Revolution, Nouvel Observateur, No. 397, special suppl. 11 (1972).
[5] C. Kaysen, The Computer that Printed W O L F, Foreign Affairs (July 1972), p. 660.

SZUKAJCIE A ZNAJDZIECIE

Zawsze, gdy mowa o penetracji przestrzeni kosmicznych, przypominają mi się nadzieje naszego wybitnego uczonego, profesora Eugeniusza Rybki. „Kosmiczna epoka zmieni stosunek człowieka do człowieka, człowieka do Ziemi, rewolucyjnie poszerzy horyzonty". On to tak widział. Podobnie sądzą uczeni, poszukujący pozaziemskich cywilizacji.

W bieżącym roku, roku kontrowersji międzynarodowych w sprawie wykorzystania kosmosu, odbył się w Tallinie sympozjon na temat „Poszukiwania rozumnego życia we Wszechświecie", w którym uczestniczyli przedstawiciele ZSRR, USA, Francji, Japonii oraz innych krajów, w tym także i Polski. Znamienny to i napawający pewnym optymizmem wypad w przyszłość.

Samotni czy w towarzystwie

Angielski astronom (nieżyjący już), James Jeans, uważał, że życie ziemskie to tylko pleśń, przypadkowe zanieczyszczenie jednego z ciał niebieskich we Wszechświecie. Sławny biolog francuski Jacques Monod, laureat Nobla sprzed kilku lat, skłaniał się również do poglądu o wyjątkowości życia na Ziemi. Dwadzieścia jeden lat temu Amerykanin, Francis Drake, opracował swój słynny „wzór wielości pozaziemskich cywilizacji". Zdania, jak widać, były podzielone. W Tallinie również ścierały się argumenty zwolenników i przeciwników wielości cywilizacji.

W ciągu niecałych stu lat rozwinął się na naszej planecie system sygnalizacji radiowej i telewizyjnej. Opanowano zasady wyzwalania energii atomowej. Wszystko to milionkrotnie, w bardzo krótkim z punktu widzenia wielkości kosmicznych czasie, zwiększyło „widzialność" naszej cywilizacji! Czemu więc nikt na to nie zareagował, jeśli istnieją jakieś rozumne istoty poza granicami systemu słonecznego?

Członek radzieckiej Akademii Nauk, prof. Józef Szkłowski, uparcie wyraża opinię, że gdyby nawet w kosmosie egzystowały cywilizacje inteligentnych istot, to prawdopodobieństwo nawiązania z nimi kontaktu byłoby prawie żadne. Z drugiej jednak strony dowody naukowe świadczą o jednakowych prawach, jakimi rządzi się przyroda Wszechświata. A nawet, spośród tych gigantycznych przestrzeni, mierzonych miliardami lat świetlnych, liczącymi ponad 10 miliardów galaktyk, z których każda zawiera ponad 10 miliardów systemów słonecznych - potrafiono już wyodrębnić i nazwać gwiazdy, mające najprawdopodobniej systemy planetarne. A więc systemy podobne do tego, w jakim żyjemy. Czemu więc nie mogłyby tam żyć istoty człekopodobne, inteligentne?

Argumenty zwolenników teorii istnienia życia pozaziemskiego brzmią interesująco, zdają się świadczyć na korzyść szans poznania jakiegoś pozaziemskiego towarzystwa. Rozwój cywilizacji (w związku z rozwojem Wszechświata) mógł przebiegać mniej więcej jednocześnie z ewolucją życia na Ziemi. Technologiczne więc różnice poszczególnych cywilizacji nie mogą być zbyt wielkie. W jaki sposób się porozumiewać, oto pytanie, które zadajemy sobie tak my, jak i zapewne hipotetyczni „oni".

Wielki ogień – niemożliwy

Starym sposobem porozumiewania się istot rozumnych była i jest po dziś dzień sygnalizacja świetlna. Zbudowanie latarni, której światło byłoby dostrzegalne w setnej zaledwie części naszej Galaktyki, to znaczy w promieniu tysiąca lat świetlnych, wymagałoby mocy 10^{16} watów. Tymczasem Ziemia, na przykład, otrzymuje od Słońca 10^{17} watów.

Latarnia taka musiałaby się w dodatku znajdować na skraju systemu planetarnego, jak najdalej od rodzinnego gniazda, aby promieniowanie mu nie zaszkodziło. W sumie należałoby właściwie zbudować dla celów sygnalizacyjnych specjalną, dodatkową planetę. Takich możliwości nie mamy. I wątpliwe czy mają je znajdujące się najbliżej nas hipotetyczne cywilizacje pozaziemskie. Mówi prof. Wsiewołod Troicki, członek Akademii Nauk ZSRR: „Nie obserwujemy cudów kosmicznych, ponieważ są one poza zasięgiem nawet bardzo wysoko rozwiniętej cywilizacji".

Na razie więc trzeba się wsłuchiwać w muzykę gwiazd, szukając wśród jej naturalnych brzmień sygnału sztucznego, sygnału wysyłanego przez istoty rozumne.

Nasza cywilizacja dopiero zaczęła podróże kosmiczne. Wśród fantastycznych projektów rozszerzenia tej niezwykłej komunikacji międzyplanetarnej odnotować można całe programy, których realizacja stanie się w pełni realna technicznie w ciągu najbliższego stulecia.

Do takich właśnie należy angielski projekt budowy gigantycznego statku kosmicznego „Dedal", który będzie musiał pokonać przestrzeń 6 lat świetlnych, dzielącą od naszej Ziemi system planetarny gwiazdy Barnarda. A tam właśnie m.in. spodziewają się uczeni istot rozumnych. Jest także radziecki projekt statku-sondy (bez załogi). Statek ten w 50 lat miałby przelatywać przestrzeń 10–20 lat świetlnych w poszukiwaniu innych cywilizacji.

Amerykańscy astronomowie nastawiają się na inną działalność: ich zadanie polega na przeczesywaniu radioteleskopami gwiazda po gwieździe przestrzeni, w promieniu tysiąca lat świetlnych. W sumie chodzi o zbadanie 10 milionów gwiazd podobnych do naszego Słońca!



Zygmunt JANUSZEWSKI

Epsilon Eridana

Wszystko to brzmi trochę jak opowieści z literatury science fiction, ale istotnie o takich projektach dyskutowano w Tallinie, jakby Zieloni z kosmosu stali już za drzwiami sali konferencyjnej. Nie zapominajmy także, że na literaturze SF kształciła się wyobraźnia współczesnych nam kosmonautów i pamiętajmy o faktach. Toż dopiero w ostatnim pięćdziesięcioleciu powstała i rozpowszechniła się telewizja, a pierwszy człowiek zaledwie 21 lat temu wzbił się poza sferę przyciągania Ziemi, osiągnął próg kosmosu. Tymczasem w nauce już się dyskutuje na temat ekspansji naszej cywilizacji w przestrzeniach kosmicznych. Można także oczekiwać podobnych działań od cywilizacji pozaziemskich.

Prędzej czy później bowiem istoty rozumne (jeśli są naprawdę), po wyczerpaniu się na rodzimej planecie bogactw naturalnych, koniecznych do życia, będą budować latające cywilizacje, będą próbowały tworzyć sztuczne planety ze sztuczną atmosferą.

Francis Drake - uczony, który jest autorem wzoru mnogości cywilizacji we Wszechświecie, zapytany podczas konferencji tallińskiej czy trzeba poszukiwać innych cywilizacji, odparł: „Wybór już został dokonany. Sygnały naszych telewizji każdego dnia wędrują coraz dalej ku gwiazdom. Automatycznie więc włączyliśmy się do klubu galaktycznego. Jestem zdania, że nawiązanie kontaktów z jakąś inną cywilizacją miałoby niezwykle dodatni wpływ na rozwiązywanie naszych, ziemskich konfliktów. Sądzę, że w poszukiwaniach innych cywilizacji trzeba zjednoczyć wysiłki, realizując np. budowę gigantycznego radioteleskopu w kosmosie. Gdybym zaś mógł przedsięwziąć podróż międzygwiezdną, udałbym się w kierunku systemu planetarnego Epsilon Eridana, szukając tam innej „cywilizacji"

(A.H.)

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Powstanie Układu Słonecznego

Do niedawna obowiązywała hipoteza głosząca, że wszystkie planety wraz z satelitami powstały z chłodnego gazowo-pyłowego obłoku przechwyconego przez Słońce. Teoria ta nie wyjaśniała jednak różnic w budowie planet, składzie ich atmosfer oraz aktywności wulkanicznej spowodowanej istnieniem źródeł ciepła w ich wnętrzach. Wśród planet naszego Układu brak korelacji pomiędzy masą a gęstością. Na przykład 17 razy lżejszy od Ziemi Merkury ma gęstość taką, jak nasza planeta, natomiast Jowisz – o masie 31 razy większej od ziemskiej – ma gęstość równą 25% gęstości Ziemi. Z niedawno przeprowadzonych badań grupy amerykańskich i australijskich astronomów wynika, że cały nasz Układ (Słońce, poszczególne planety i ich księżyce) musiał powstać z gorącego spiralnego obłoku, który był lokalnym zawirowaniem jednego z ramion galaktyki. Obłok wirował w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. W jego centrum (tworzącym tzw. spiralę pierwszego rzędu) powstało jądro skupiające około 98% materii. Na krańcach obłoku tworzyły się mniejsze zawirowania, czyli spirale drugiego rzędu. Stały się one jądrami planet, przy czym wielkość i budowa planet zależały od ilości materii występującej w danym wirze. Natomiast na krańcach wirów planetarnych powstały spirale trzeciego rzędu, z których uformowały się satelity planet. Różnice między planetami można tłumaczyć niejednakową szybkością kątową różnych części spirali oraz tym, że wirujący obłok zmieniał swój kształt przechodząc od formy spiralnej do kolistej. Nowa teoria tłumaczy wewnętrzne ciepło planet energetycznymi przemianami samego obłoku. Wirujące gazy skoncentrowane pod postacią planet spowodowały przekształcenie energii rozpędzonych cząstek w energię cieplną.

Na Antarktydzie znaleziono przybyszów z Marsa

Są to dwa meteoryty, kore odmiennością swojej budowy zwróciły na siebie uwagę amerykańskich uczonych. Według ich teorii około 1 200 000 lat temu olbrzymi meteoryt uderzył w powierzchnię Marsa, co spowodowało gigantyczną eksplozję i wyrzucenie w przestrzeń kosmiczną fragmentów marsjańskiej skorupy.

Fakt przechwycenia owych szczątków przez Ziemię może być doskonałym argumentem dla wszystkich przeciwników kosmicznego sondażu. Zamiast wydawać olbrzymie kwoty na budowę rakiet można przecież poczekać cierpliwie tych parę milionów lat na kolejne meteoryty.

Operacje ... krwi

Okazuje się, że możliwe jest chirurgiczne leczenie białaczki i hemofilii. Rzecz jasna, do takich operacji nie używa się skalpela, na nic nie zdają się ultradźwięki i lasery. W Centralnym Naukowo-Badawczym Instytucie Hematologii w Moskwie do operowania krwi stosuje się wzmożoną grawitację. W specjalnych wirówkach-rektyfikatorach, przy prędkości pięćdziesiąt mililitrów na minutę, rozszczepia się krew na poszczególne składniki: erytrocyty, leukocyty, trombocyty, plazmę i pozostałe elementy. Przy tej okazji następuje też wyodrębnienie populacji chorych komórek – mają one specyficzną barwę i można je dostrzec nawet bez pomocy mikroskopu. Bezbolesny zabieg – pacjent może sobie w tym czasie czytać gazetę – trwa około 5–6 godzin. Z żyły jednej jego ręki pobiera się krew do rektyfikatora, gdzie zachodzi proces odwirowania i odsysania chorych komórek. Następnie oczyszczoną, zdrową krew wprowadza się do żyły drugiej ręki pacjenta. Metodami chirurgii grawitacyjnej zainteresowali się również immunolodzy, pulmonolodzy oraz specjaliści z dziedzin ginekologii i kardiologii. Naukowcy przewidują, iż chirurgia grawitacyjna może być również niesłychanie pomocna przy leczeniu cukrzycy.

Paliwo przyszłości...

... to jednak stary i poczciwy węgiel – twierdzi Derek Ezra, przewodniczący brytyjskiego urzędu węglowego (NCB). W roku 2000 będą istniały potrzeby i możliwości wykorzystania blisko miliarda ton węgla rocznie we wszystkich 42 krajach należących do Organizacji Współpracy Ekonomicznej i Rozwoju (OECD). Obecnie zużywają one 343 miliony ton rocznie, a zapotrzebowanie będzie się każdego roku powiększało o 5%. Czysto ekonomiczne względy uzasadniają budowę instalacji przemysłowych spożytkowujących węgiel, nie zaś olej czy gaz. Niesłychanie istotne okazują się tu osiągnięcia naukowo-techniczne w zakresie sposobów spalania węgla. Tak zwana technika spalania fluidalnego ma zapewnić bezpieczną, nie szkodzącą środowisku eksploatację urządzeń opalanych węglem. Tymczasem – zgodnie z prognozą zachodnioniemieckich specjalistów – w latach 1980–90 moc wszystkich elektrowni jądrowych na świecie powiększy się trzykrotnie. Pod koniec dekady w 40 krajach będą pracowały 552 bloki energetyczne. 64% obywateli RFN w wieku powyżej 16 lat opowiedziało się za energią jądrową. Zaobserwowano zbieżność poglądów ze stanowiskami poszczególnych partii politycznych. Wśród sympatyków CDU/CSU za energią atomową opowiedziało się 72% ankietowanych. Na drugim miejscu postawili oni energię słoneczną, a następnie elektrownie węglowe i wodne. Natomiast sympatycy „Zielonych" (Partii Obrońców Środowiska Naturalnego) aż w 80% opowiadają się za energią słoneczną, zaś elektrownie atomowe wymieniają na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o zapewnienie źródeł energii w najbliższym trzydziestoleciu.

Nie tylko uzbrojone satelity...

... krążą dookoła Ziemi. Polscy specjaliści przygotowali projekt ogólnoafrykańskiej sieci geodezyjnej na miejsce przestarzałych i fragmentarycznych systemów stworzonych na przełomie XIX i XX wieku. Realizacja tego projektu będzie jednym z największych przedsięwzięć w dziejach światowej geodezji. Dzięki pomiarom dokonanym z kosmosu na kontynencie afrykańskim zostanie wyznaczonych kilkaset punktów, które pozwolą na stworzenie sieci geodezyjnych w poszczególnych krajach. Ponadto zunifikowana sieć kontynentalna w Afryce stanie się fragmentem nowoczesnego, ogólnoświatowego systemu geodezyjnego.

Superinteligentne dzieci...

... niekoniecznie muszą rodzić się w probówkach. Studium „Revue Nature", prowadzone pod kierunkiem psychologa Richarda Lynna z Uniwersytetu w Ulsterze, pozwoliło na ustalenie ilorazu inteligencji przeciętnego Japończyka, urodzonego w latach 1960–61, na 111 (średnia amerykańska wynosi 100). Doktor Lynn tłumaczy to poprawą jakości odżywiania Japończyków oraz czynnikami środowiskowymi. Co więcej, dzieci dzisiejszych japońskich dwudziestolatków mają spore szanse na osiągnięcie przeciętnej dochodzącej do 115.

Tych, którzy nie lubią ryżu i ryb, którym nie odpowiada klimat wysp, którym nie podobają się Japonki – możemy jednak pocieszyć. Jeżeli ktoś pragnie mieć supermądre dziecko, nie musi przeprowadzać się do Japonii. Od 1954 roku w klinice Uniwersytetu Witwatersrand w Południowej Afryce zaczęto stosować metodę Haynsa.

Na brzuch ciężarnej kobiety nakłada się olbrzymi klosz połączony z pompą wysysającą spod klosza powietrze. Zabieg ten (pół godziny dziennie) przeprowadza się przez 70 dni ciąży oraz w momencie samego porodu. Początkowo pomyślany był on jako zabezpieczenie przyszłej matki przed nieprawidłowym ukształtowaniem macicy oraz jako uchronienie płodu przed niedotlenieniem. Bomba wybuchła po jakimś czasie, kiedy dzieci urodzone przy zastosowaniu dekompresji poddano szczegółowej obserwacji. Otóż wśród 100 dzieci urodzonych normalnie zdarza się 2 lub 3 o wyjątkowym rozwoju fizycznym i inteligencji.

Natomiast po zastosowaniu dekompresji dzieci takich jest aż 40! Różnie też kształtują się wskaźniki inteligencji. U najzdolniejszych dzieci urodzonych normalnie dochodzą one do 142. Natomiast u dzieci dekompresyjnych ten sam wskaźnik sięga 160!

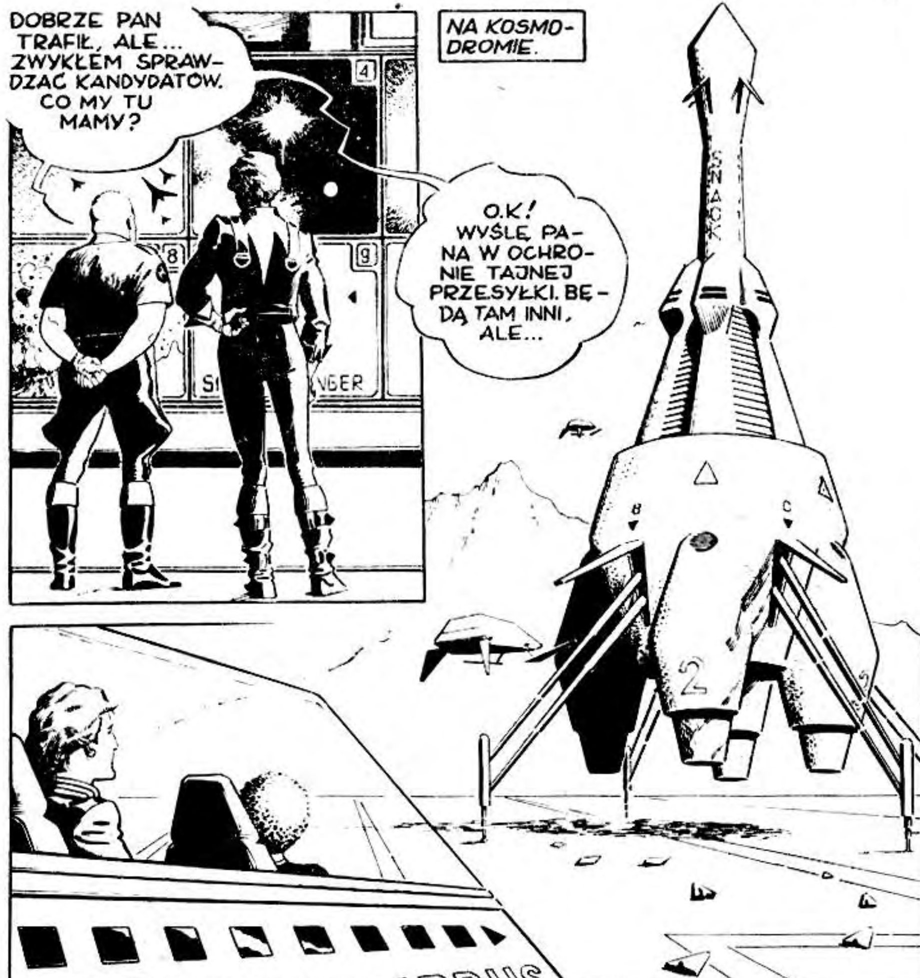



DEPARTAMENT POLICJI KOSMICZNEJ.
UPRZEDZAŁAM, ŻE SZEF ZAJĘTY!

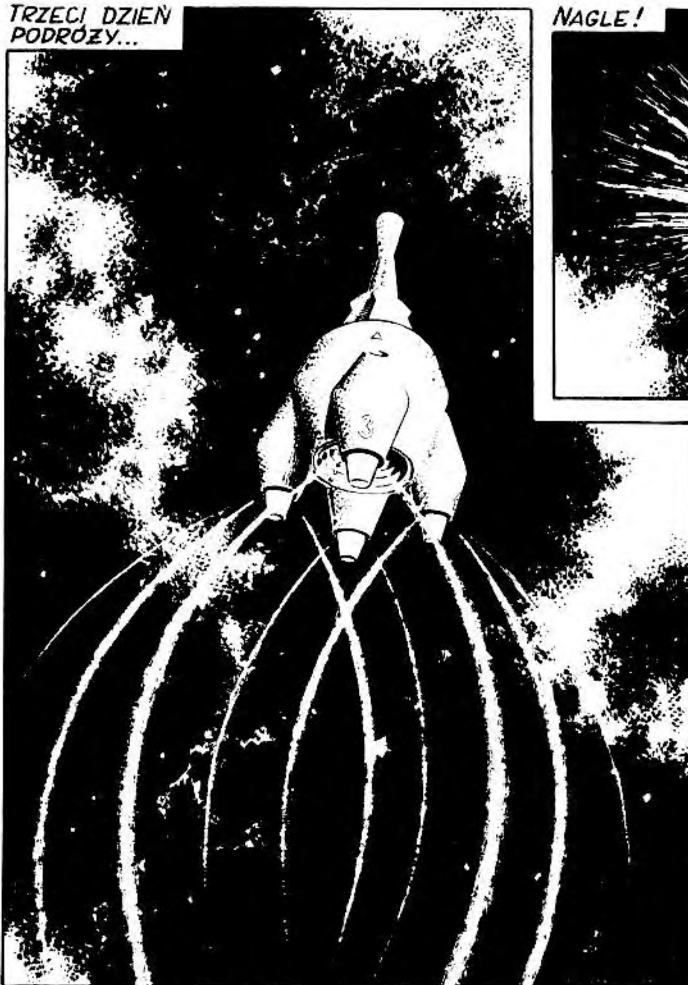

POWIEDZIANO MI, ŻE LICENCJE DETEKTYWÓW KOSMICZNYCH ZAŁATWIA PAN OD RĘKI.
A PAŃSKIE REFERENCJE?


POR. FUNKY KOVAL. „AIR STAR FORCE". PIĘĆ LAT CZYNNEJ SŁUŻBY. MILIARDY NA LICZNIKU. ODZNACZENIA. TAKŻE SREBRNA GWIAZDA PALANTIRU.
FUNKY KOVAL


DOBRZE PAN TRAFIŁ, ALE... ZWYKŁEM SPRAWDZAĆ KANDYDATÓW. CO MY TU MAMY?
O.K! WYŚLĘ PANA W OCHRONIE TAJNEJ PRZESYŁKI. BĘDĄ TAM INNI, ALE...


NA KOSMODROMIE.
SNACK


ALEŻ TO KOLOS!
SNACK


TRZECI DZIEŃ PODRÓŻY...


NAGLE!
WYBUCH W CZWARTYM!


PASAŻERSKI NIEUSZKODZONY... ALE ŁADOWNIE! CHOLERA.
WZYWAM NAJBLIŻSZY RATUNKOWY!


PRZYBYŁ STATEK RATUNKOWY.
WYSYŁAMY PIĘCIU TECHNIKÓW. POTEM WEŹMIEMY WAS NA HOL.
P1


WESZLI TECHNICY.
SPRAWDŹ TUTAJ.
IDZIEMY DO STEROWKI.
JEŚLI TO SĄ TECHNICY, TO JA... A TEN KOLEŚ KOGOŚ MI PRZYPOMINA.


CZEGO ON TU SZUKA?
COCKPIT


PRZECIEŻ TO MOJA KABINA!
HEJ, KOLEGO!
44
?!

2B


ALE DRAŃSTWO.


SPRAWA JASNA. TO PIRACI.


W STERÓWCE.
U NAS O.K.! PRZEJMUJE-MY ŁADUNEK, PODCHODŹ-CIE!
„JEDYNKA", ZAŁATWIŁEŚ FUNKY'EGO ?
?..!


AAACH!




PADNIJ FUNKY!


?
CO SIE TU DZIEJE?
O.K. FUNKY!

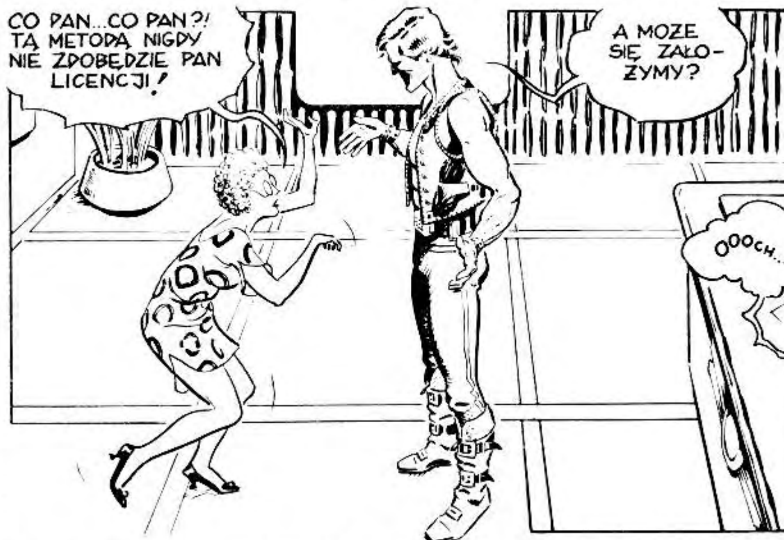

TO ZOSTAŁ JESZCZE JEDEN.
JUŻ NIE. SPOTKAŁAM GO PO DRODZE.


DEPARTAMENT POLICJI KOSMICZNEJ.
WITAJ FUNKY! OTO TWOJA LI
HEJ! TAM BYŁ MÓJ SOBOWTÓR! TYLKO PAN WIEDZIAŁ ŻE LECĘ. CZYZBY FAŁSZYWY TROP, CO?
SECRET

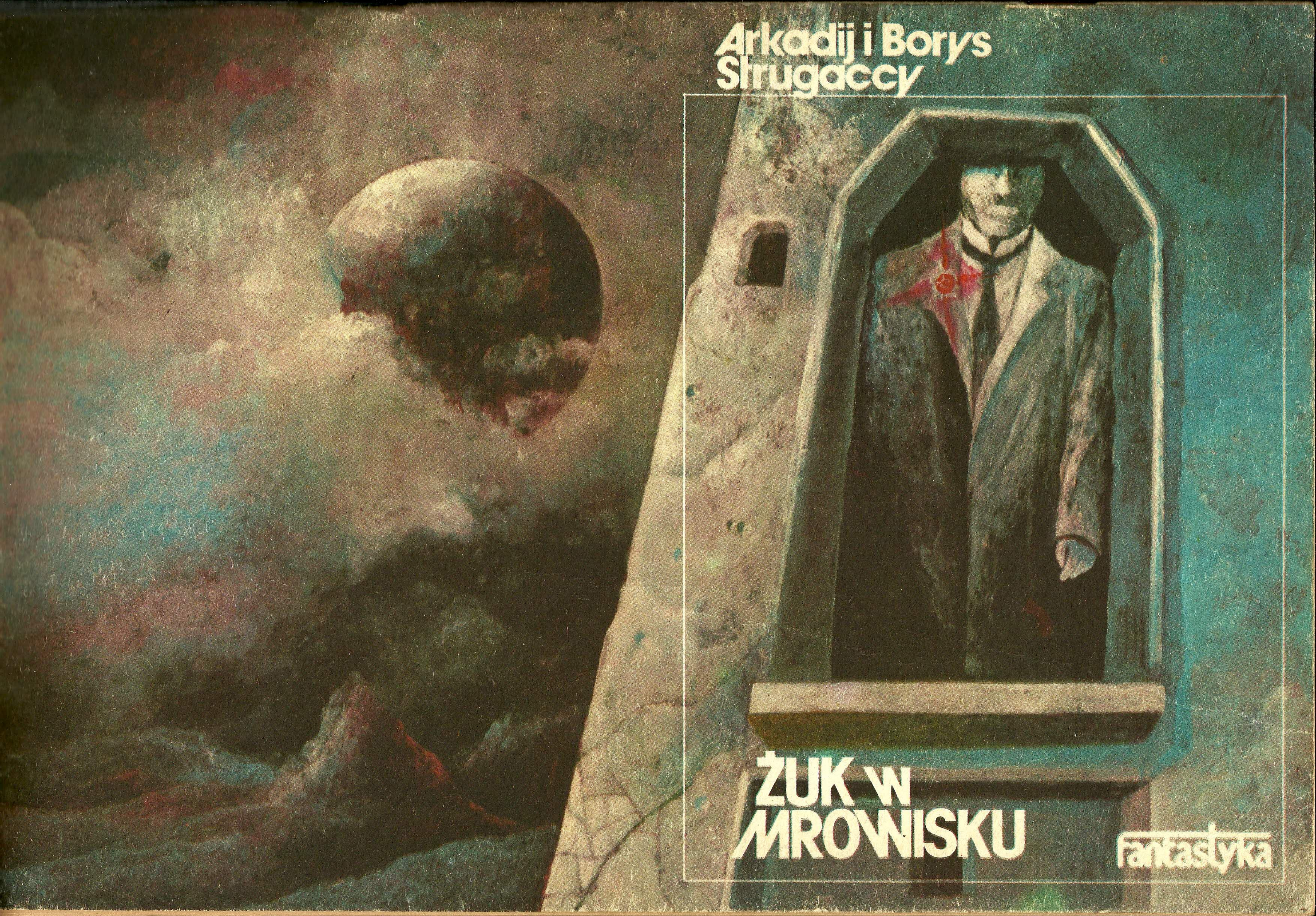

AKCJA „PANDORA" SKOŃCZONA. PUSZKA NIETKNIĘTA. „RATUNKOWY" JUŻ UMKNĄŁ. KONTYNUUJEMY LOT.
PANI TEŻ Z OCHRONY?


NIE. TAJNE ZLECENIE. AGENCJA UNIVERSS. A TY JESTEŚ DOBRY. MÓGŁBYŚ DLA NAS PRACOWAĆ.
MUSZĘ PRZEDTEM ZAŁATWIĆ JEDNĄ SPRAWĘ.


AAACH!
E3
SECURITY


CO PAN...CO PAN?! TĄ METODĄ NIGDY NIE ZDOBĘDZIE PAN LICENCJI!
A MOŻE SIĘ ZAŁOŻYMY?
OOOCH...


NASTĘPNEGO DNIA.
STAR
EX-PILOT A.S.F. I AGENTKA UNI
UDAREMNIAJĄ POLICYJNĄ INTRYGĘ!!!
LICENCJA KOSMICZNEGO DETEKTYWA
FUNKY KOVAL
© by M.PAROWSKI & J.RODEK
rys. B.POLCH '82


Arkadij i Borys
Strugaccy
ŻUK W
MROWISKU
fantastyka